



Dziewczyna
z warkoczem

Agnieszka Jordan-Gondorek


Replika

Agnieszka Jordan-Gondorek

Dziewczyna
z warkoczem



Copyright © Agnieszka Jordan-Gondorek

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Magdalena Kawka

Projekt okładki

Iza Szewczyk

Skład i łamanie

Maciej Martin

Wydanie elektroniczne 2019

Wydawnictwo Replika

ul. Szarotkowa 134, 60-175 Poznań

tel./faks 61 868 25 37

replika@replika.eu

www.replika.eu

Mało brakowało, a schrzaniłbym cięcie. Ręce zwykle mnie nie zawodzą, ale od rana myślę o niej i pewnie stąd ta chwila nieuwagi. Ale fryzjer nie przyzna się do błędu, musi go tylko umiejętnie zatuszować.

– Pani Bronisławo, wycieniujemy tył trochę mocniej, fryzura będzie się lepiej układać – zapewniam wyuczonym, uprzejmym tonem.

– W pana rękach czuję się absolutnie bezpieczna – stwierdza, zalotnie trzepocząc rzesami.

Udaję, że tego nie widzę. To też mam opanowane do perfekcji. Nie chodzi o to, że pani Bronia jest w wieku mojej matki, ale klientki często myślą, że mogą sobie pozwolić na więcej. Z początku mnie to dziwiło i wprawiało w zakłopotanie, jednak teraz po prostu nie zwracam uwagi. Zwłaszcza od kiedy pojawiła się ona.

Z niemym westchnieniem ulgi zamykam drzwi za ostatnią dzisiaj klientką. Czuję się połamany, jakbym przerzucił trzy

tony węgla. Godziny stania z uniesionymi rękami dają w kość kręgosłupowi. Wiem, że za dużo pracuję, zwłaszcza ostatnio. Coraz częściej łapię się na myśli, by kogoś zatrudnić albo chociaż na początek przyjąć na praktykę. Jednak pewnie minie jeszcze sporo czasu, nim do tego dojdzie. Zwłaszcza że powinienem omówić z nią ten pomysł.

Myślami jestem gdzie indziej, jednak do mojej świadomości powoli przedziera się dzwonek telefonu. Klnę w duchu, spodziewając się, że ktoś chce się umówić na wizytę. Ale to dzwoni Zoja.

– Zabrało ją pogotowie! – krzyczy, nie dając mi szansy na chociażby zdawkowe „cześć”.

Nie mogę się powstrzymać i klnę pod nosem. A więc jednak mój wewnętrzny niepokój miał uzasadnienie.

– Ale jak, do cholery? – Coś we mnie pęka, protestując przeciwko takiemu obrotowi sprawy. – Przecież niedawno z nią rozmawiałem. Co się stało?

– Ochroniarz już wezwał policję. Ktoś podrzucił wam do ogrodu kartkę z pogrózkami. Zemdląła z nerwów, nie mogłam ryzykować, musiałam wezwać ambulans – relacjonuje rozgorączkowana.

Słyszając strach w jej głosie, czuję narastającą wściekłość. Może gdybym został w domu, nie doszłoby do tego? Bzdura! Los nauczył mnie już okrutnie, że robi, co chce, pozostawiając nam jedynie niewielkie pole manewru. Ktoś bawi się z nami w kotka i myszkę. Ktoś próbuje zniszczyć nasze życie.

– Utknęłam u was w domu – podejmuje Zoja. – Przyszła sąsiadka, ta Japonka, i mówi, że przypilnuje wszystkiego, ale nie wiem, czy mogę ją tutaj zostawić.

– Możesz wracać do siebie – zapewniam, nie chcąc przeciągać tej rozmowy. Dopytuję jeszcze, czy wie, do którego szpitala karetka zabrała moją dziewczynę, i się rozłączam.

Nie przebieram się, nie chcę marnować czasu, więc docieram na miejsce w ciągu zaledwie dwudziestu minut. Znowu tu jestem, walcząc ze strachem o nią i własnymi demonami.

Nienawidzę szpitali, budzą we mnie przykre wspomnienia. Izolatka. Łóżko i pasy, które w każdej chwili mogą skutecznie unieruchomić. Zakratowane okno, przez które widać było jedynie wierzchołki topoli... Nie, to przeszłość, do której nie chcę wracać.

Zapach środków do sterylizacji drapie w gardle, ale staram się nie zwracać na to uwagi. Martwię się o nią, czy jest przytomna, czy niczego jej nie brakuje. Ona jest najważniejsza, nawet matka to zrozumiała. Przecież nie protestowała, gdy poprosiłem, by pożyczyła perły.

– Niedawno przywieziono tu moją narzeczoną – rzucam do jednej z kobiet siedzących za kontuarem na izbie przyjęć.

Baba pyta o pesel, ale przecież nie znam. Imię i nazwisko powinno zresztą wystarczyć.

Wklepuje dane do tego swojego programu tak wolno, że wydaje mi się, że mija godzina. W międzyczasie odbiera jeszcze dwa telefony i zagaduje swoją towarzyszkę o adres sklepu, w którym ta kupiła nowe buty. No litości!

– Tak, zgadza się – mówi wreszcie, gdy mam już ochotę ją udusić. – Czwarte piętro, sala numer czterysta dwadzieścia dwa.

Nie jestem pewien, czy zdążyłem jej podziękować, bo rzucam się pędem w kierunku schodów. Mam w nosie, co o mnie myśli.

Nie wiem, dlaczego właśnie w tej chwili przypomina mi się moment, gdy zobaczyłem Roszpunkę po raz pierwszy. Oczarowała mnie tą burzą włosów, które potem, gdy już się poznaliśmy, kazała obciąć. Ale rozumiem, dlaczego musiała to zrobić. Tylko w ten sposób mogła uciec z wysokiej wieży, w której kiedyś pozwoliła się zamknąć.

Teraz przyszedł czas na naszą wspólną bajkę. Muszę dopilnować, żeby miała szczęśliwe zakończenie.

Mimo iż jest dopiero kwiecień, słońce świeci z właściwym sobie uporem, sprawiając, że trawa wydaje się bardziej zielona, a kwitnące na klombach kwiaty bardziej kolorowe. Ale to tylko potęguje mój ponury nastrój. Mój świat się zawalił, a ten tutaj zdaje się nic sobie z tego nie robić. Bezczelność.

Po drodze do domu chcę kupić butelkę szampana. Moje marzenie z dzieciństwa, to o zestarzeniu się przy boku ukochanego mężczyzny, poszło w cholerę, bo dziś jakiś sędzia, chyba Zbigniew mu było, rozwiązał moje sześćoletnie małżeństwo i definitywnie zakończył trwający przeszło osiem lat związek. Czterdzieści pięć minut i koniec.

Odruchowo zaciskam dłonie w pięści. Psia jego mać!

Hubert tak bardzo chciał się ze mną rozwieść, że bez mrugnięcia okiem wziął całą winę na siebie. Nawet nie próbował niczemu zaprzeczać, otwarcie przyznał się do zdrady. Bez żadnych wyrzutów sumienia opowiedział, jak poznał Honoratkę i od jak dawna ze sobą sypiają.

Mnie już nie kocha.

Nie zwracając uwagi na moje uczucia, palnął, że to Honorata jest miłością jego życia. Że powinien był poczekać, a nie żenić się ze mną. Że żałuje, że nie spotkał jej wcześniej...

Miałam ochotę się rozplakać albo choć urządzić dziką awanturę, ale jakaś resztką zdrowego rozsądku powstrzymała mnie przed zrobieniem z siebie pośmiewiska. Nie wiem, kto wymyślił to przesłuchanie stron podczas rozprawy rozwodowej. Po co to całe wywlekanie brudów? Przecież ja chciałam się tylko rozwieść. Nie chciałam słuchać, jak bardzo Hubert kocha Honoratkę. I jeszcze ten banał, że poszedłby za nią w ogień... To przecież upokarzające.

Z tego wszystkiego zrezygnowałam z możliwości ubiegania się o alimenty. Zresztą nic od niego nie chcę. I czuję satysfakcję, że kiedyś, jeszcze w fazie głębokiego zauroczenia, miałam tyle rozumu, by zachować po ślubie własne nazwisko. Nie muszę teraz wymieniać wszystkich dokumentów.

I pomyśleć, że Hubert tak się wtedy wściekał, że nie chciałam nazywać się tak jak on, Kolec...

Ta Honoratka najwidoczniej chce, bo inaczej do łóżka by mu nie weszła. Na dodatek do mojego łóżka, w moim mieszkaniu, kupionego za moje pieniądze. Podła larwa.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że ona się nazywa Honorata Dysiewicz. Byłam w szoku, puściły mi nerwy, ale twarz wydała się znajoma. Męczyło mnie to strasznie, dwie noce nie spałam, aż w końcu wypatrzyłam ją za ladą sklepu mięsnego, w którym od czasu do czasu robiłam zakupy. Hubert najwidoczniej też tam przychodził. Honoratka musiała robić maślane oczy, wciskając mu nieświeżą pasztetową, a on dał się złapać jak rybka na haczyk.

W czym ona jest ode mnie lepsza? Cycki ma większe, to fakt, ale czy facetom chodzi tylko o cycki? Jest niższa niż ja, a na dodatek natura obdarzyła ją wyjątkowo irytującym, piskliwym głosem.

Nie przestraszyła się na mój widok, nie próbowała niczego

tłumaczyć, nie przeproszała. W pamięci utkwiał mi obraz triumfu w jej oczach. „Ukradłam ci męża!” – zdawała się krzyzczeć. Skoro ukradła, to niech go sobie, cholera, bierze.

– Pani uważa! Czerwone światło! – Ktoś łapie mnie za ramię, gdy już jedną nogą jestem na jezdni, a ciąg powietrza spowodowany przez przejeżdżający tuż przede mną samochód wywołuje gęsią skórę na łydkach.

Ale nie umiem po ludzku podziękować. Zamiast tego wzbiera we mnie złość.

– Odczep się pan! – rzucam opryskliwie, strącając pomocną dłoń. Mój wzrok powinien go zabić. Nienawidzę całego świata, a mężczyzn w szczególności.

Mimo to niechętnie przyznaję, że jest na czym oko zawiesić.

Niech to szlag! Że też musiał się akurat teraz przypałać! Szczupły, wysoki, zadbane włosy w odcieniu jasnego brązu. Myślę, że właściwie mógłby być w moim typie. Ale ja przecież dopiero co strasznie zawiodłam się na facecie i obiecałam sobie, że żadnemu już nie zaufam. A tu proszę, księżę bez białego konia ratuje mnie z opresji i pewnie oczekuje jakiejś wdzięczności. Dlaczego nie ma zapryszczonej, przeoranej bliznami po ospie twarzy, chorobliwej otyłości i nie pachnie zniewalająco potem? Tak byłoby o wiele łatwiej. Tymczasem typ wygląda, jakby przed chwilą wziął prysznic, świeżość aż bije od niego. Za grosz przyzwoitości. Nienawidzę gościa, po prostu nienawidzę!

Światło zmienia się na zielone. Jak wariatka ruszam biegiem przed siebie, niezdarnie wymijając nadchodzących z przeciwka ludzi. Zatrzymuję się dopiero pod klatką bloku, by wstukać kod w domofonie. Dopiero tu czuję się bezpieczna.

Ale czy na pewno?

Schodek po schodku wspinam się na górę, czując, jak z każdym krokiem moje nogi ważą coraz więcej. Nie chcę tam wracać. Nic już nie będzie takie jak wcześniej. Stan cywilny: rozwódka. Lepsze to niż porzucona, ale i tak czuję się, jak towar drugiego gatunku. Bo przecież dobrych rzeczy się tak po prostu

nie wyrzuca. Nie przekreśla się bez mrugnięcia okiem wspólnie spędzonych chwil: skradzionych ukradkiem pocałunków, pierwszego razu gdzieś na tapczanie w pokoju w akademiku, wybieranych wspólnie zaproszeń na ślub, wznoszonych toastów...

Przelykam łzy. Tego wszystkiego już dawno nie ma. Przecież dzisiaj się dowiedziałam, że byłam pomyłką. Nawet prezent na Gwiazdkę, zegarek, który zresztą sam sobie wybrał, mu się nie podobał. Już wtedy podobno czuł się nieszczęśliwy, zaniedbany i niedoceniany. Nic dziwnego, że gdy inna kobieta okazała mu serce i zrozumienie, zapragnął być właśnie z nią.

Honoratka czekała na Huberta pod salą rozpraw i gdy tylko wyszedł, rzuciła mu się na szyję. Na mnie nikt nie czekał.

Otwieram drzwi mieszkania. Rzeczy Huberta nie ma już od dawna, ale i tak ciężko mi się tu odnaleźć. Jakby to nie było już moje miejsce, tylko jakaś obca przestrzeń, która jedynie toleruje moją obecność.

Może teraz w końcu zaplanuję odkładany od dawna remont? Przydałoby się odświeżyć ściany i kupić nowe firanki. Może wtedy będzie tu choć trochę przytulniej.

Zostawiam torebkę na szafce w przedpokoju. Tuż przy ławie w salonie stoi ulubiony fotel Huberta. Fotel formalnie należy do mnie, lecz mój były już obecnie mąż lubił w nim siedzieć. Być może z nią też tu siedział, gdy leżałam w szpitalu, dochodząc do siebie po operacji. Znów ogarnia mnie ta bezsilna wściekłość. Może gdybyśmy mieli dziecko, wszystko byłoby inaczej? Może Hubert nie spojrzałby wtedy na babę sprzedającą kotlety w mięsny, tylko grzecznie siedział w domu?

Załamana siadam na sofie i naciagam na siebie miękki, melanzowy koc, prezent od Zoi. No i nie kupiłam tego przeklętego szampana. Nie mam czym świętować, a i okazja, prawdę mówiąc, też kiepska.

Potrzebuję jakiegoś bodźca, jakiejś zmiany, ale przecież wiem, że wytarganie Hubertowego fotela na śmietnik na nic się nie zda, bo w gruncie rzeczy jestem zła na siebie. Za to, że niczego

nie zauważyłam. Że dałam się mamici, że mu wierzyłam. Że jego zdrada tak bardzo mnie zaboląa...

Przez dwa ostatnie miesiące żyłam jak w transie, czekając na wyznaczony termin rozprawy rozwodowej. W pracy sajgon. Szykowała się duża inwestycja i musiałam dopiąć budżet. Nie obeszło się bez kredytu, ale wynegocjowałam dobre warunki i nawet szef zauważył moje zaangażowanie, bo po kilku dniach dostałam solidną podwyżkę i zapewnienie, że firma docenia moją ciężką pracę i szef jest zadowolony, że dał mi szansę.

Jeszcze trzy lata temu byłam zwykłą księgową, jak Anka i Zoja, odpowiedzialną za sprawozdania finansowe. I wtedy nasz dyrektor finansowy, Andrzej Gołębek, połamiał się na nartach tak niefortunnie, że potrzebna była operacja kręgosłupa. Zarząd zaczął wpadać w panikę. Wydzwaniali do Andrzeja do szpitala, a nawet ciągali mnie ze sobą, bo ktoś przecież musiał podejmować kluczowe dla firmy decyzje, a wkrótce planowano otwarcie nowej linii produkcyjnej i trzeba było określić najlepszą z opcji finansowania.

Właśnie wtedy Andrzej powiedział, że mogę go zastąpić, że jeśli dadzą mu wreszcie święty spokój, on mnie należycie przygotuje. Od tego momentu dzieliłam czas pracy na siedzenie w biurze oraz szkolenia w szpitalnej sali i naukę pod okiem unieruchomionego dyrektora.

Andrzej był bardzo wymagającym nauczycielem, ale też ochoczo dzielił się swoją wiedzą. Był ze mnie dumny, gdy udało mi się uzyskać lepsze warunki, niż zakładał w wariancie optymistycznym. Roześmiałam się wtedy, sugerując, że mam tajną broń i wskazałam długi za pupę gruby warkocz. W dzień poprzedzający spotkanie w banku byłam tak zestresowana, że postanowiłam zająć się swoimi włosami. Długie i gęste, w odcieniu głębokiego brązu, są tak zjawiskowe, jak te z portretów przedstawiających cesarzową Austro-Węgier Elżbietę. Wprawdzie nie myję ich w żółtkach i koniaku, ale pielęgnacja i tak jest czasochłonna i skomplikowana, bo wszelkie dostępne w drogeriach szampony i odżywki im nie służą. Dopiero niedawno odkryłam sprowadzany z Japonii szampon z dodatkiem olejku z płatków magnolii, ale kosztuje

majątek i wtedy nie wiedziałam jeszcze o jego istnieniu, więc sięgnęłam po sprawdzoną sodę oczyszczoną, a po myciu nałożyłam na całą długość maseczkę z siemienia lnianego. Ta prosta mikstura działa cuda, zamyka łuski i nawilża włosy, nadając im niesamowity blask.

Wiedziałam, że tej nocy z nerwów nie zasnę, więc pozwoliłam włosom wyschnąć bez suszarki. Rano tylko ponownie je wyszczotkowałam i podpięłam boki do góry. Do tego elegancka garsonka i już byłam gotowa na podbój świata.

Andrzej słuchał całej tej mojej relacji z przygotowań z uśmiechem na ustach. Gdy skończyłam, powiedział, że poradziłam sobie naprawdę świetnie. Poinformował mnie też, że dzień wcześniej złożył rezygnację ze stanowiska i rekomendował mnie na swoje miejsce. Gdy spojrzałam na niego spanikowana, dodał, że nadal będzie zatrudniony, jako doradca, ale w praktyce to ja będę za wszystko odpowiedzialna. Z wrażenia aż zamknęłam buzię. Chciałam zaprotestować, powiedzieć, że to jakaś pomyłka i na pewno sobie nie poradzę, ale zapewnił, że swoją decyzję dokładnie przemyślał, teraz musi się skupić na powrocie do zdrowia, że potrzebnych będzie jeszcze kilka operacji, a on nie czuje się na siłach, by być równocześnie pacjentem i dyrektorem finansowym. Już rozmawiał z szefem na temat listy kursów, na które trzeba mnie wysłać. Tak więc zajęłam biuro Andrzeja, przywożąc mu uprzednio kilka osobistych rzeczy, o które prosił. Zyskałam prestiż, własną sekretarkę, lub jak kto woli: asystentkę, ale też masę nowych obowiązków, które teraz, gdy moje życie osobiste się zawaliło, pozwoliły mi przeżyć.

Świadomość, że nie kupiłam szampana, budzi mój gniew. Obiecywałam sobie, że nie będę ryczeć, że potraktuję rozwód jako wstęp do nowego, lepszego życia, a tymczasem nie potrafię nawet dopilnować jednej prostej czynności. A minęłam po drodze dwa sklepy. Może nie mają w ofercie Dom Perignon, ale przecież, do diabła, nawet Piccolo by się nadał.

Naciągam koc na głowę. Żałuję, że odmówiłam, gdy Zoja proponowała, że dotrzyma mi dzisiaj towarzystwa. Planowała symboliczną imprezę: skoro ślub człowiek chce uczcić huczną

zabawą do białego rana, to rozwód powinien zakończyć się podobnie. Miało być ciasto, lody i alkohol. Ale nie. Nakłamałam, że łapie mnie grypa, że smaruję się vicksem i popijam fervex. No po prostu genialne posunięcie. Zabłysnęłam inteligencją.

Ze wszystkich kątów atakują mnie przykre wspomnienia. Tamtego dnia, gdy z powodu osłabienia wróciłam wcześniej z pracy, drzwi nie były zamknięte na zamek, dlatego nie zauważyli, że weszłam. Nie mogli zauważyć. Byli zbyt zajęci obściskiwaniem się i wymianą płynów ustrojowych. Pierwszy raz od bardzo dawna słyszałam z ust Huberta czułe wyznania. Jednak czynił je w stronę Honoratki, nie moją. Tak bardzo się cieszył, że zostanie ojcem. Powiedział, że będę musiała zrozumieć.

Faktycznie zrozumiałam. Od razu kazałam mu wynieść się na zbity pysk. Ale koniec końców to ja więcej straciłam, bo zostałam sama.

Otrząsam się z obrzydzeniem. Zoja miała rację, muszę odciąć się od przeszłości. Potrzebuję silnego bodźca, jakiegoś podkreślenia, że coś się w moim życiu definitywnie zmieniło.

Dwa lata temu tak na poważnie zaczęliśmy z Hubertem starać się o dziecko. Już od dłuższego czasu nie stosowaliśmy antykoncepcji, ale nie przyniosło to spodziewanych rezultatów. Zmiana lekarza, a później monitoring cyklu w prywatnej klinice, laparoscopia z histeroskopia, gruba kasa wydana w aptekach na witaminy i specyfiki wspomagające owulację... Wszystko na nic. A Honoratka po prostu zaszła w ciążę. To dlatego Hubert postanowił się rozwieść za wszelką cenę. Oczywiście mogłam mu utrudniać, ale to by pewnie i tak niczego nie zmieniło. Niech idzie w cholere. Krzyż na drogę. Jak nie ten, to inny...

Hola, szalona! – przywołuję się do porządku. – Przecież definitywnie skończyłaś z facetami.

Kręcę się nerwowo na sofie, a długi warkocz klinuje się gdzieś za moimi plecami. I już wiem, co powinnam, a raczej co muszę zrobić. Gdyby nie te przekłete włosy, może nie dostałabym awansu? Spędzałabym więcej czasu w domu i upilnowała męża albo chociaż zauważyła, że coś się święci? Może nie byłabym

teraz sama i nie użalała się nad sobą?

Zerkam na zegarek. Szesnasta. Pani Irenka, jedyna fryzjerka, do której od czasu do czasu chodzę, ma salon tu, niedaleko. To ona chesała mnie do ślubu, powinna więc zrozumieć.

Zakład fryzjerski mieści się na parterze, dwa bloki dalej. Nieprzezroczyste szyby z mrożonego szkła dają poczucie intymności. Klientki mają pewność, że nikt ich nie podejrzy w wałkach na głowie czy z włosami owiniętymi celofanem.

Naciskam guzik domofonu i słyszę charakterystyczne piknięcie oznaczające, że mogę wejść. Szybko pokonuję te kilka schodów dzielących mnie od parteru i naciskam klamkę. Drzwi jak zawsze są otwarte, ale coś się tu zmieniło. Ściany nie mają koloru brzoskwini, są wrzosowe, przełamane srebrnymi akcentami. Stanowisko fryzjerskie nie jest już metalowym stolikiem z wysokim lustrem i wyszczerbionym pulpitem. To zupełnie inny salon. Gruby blat z ciemnego drewna wyznacza miejsce dla dwóch osób, ale tylko połowa jest w tej chwili dodatkowo rozświetlona włączonymi ledówkami. Lustra są dwa, ale za to jakie! Jedno rozciąga się na oba stanowiska, drugie zaś zajmuje niemal całą ścianę z tyłu. Tego wcześniej tu nie było. Ani jagodowych foteli i stolika kawowego, przy którym można poczekać na swoją kolej. Kiedy byłam tu po raz ostatni? Już nie pamiętam.

Rozglądam się za panią Irenką, ale zamiast niej widzę mężczyznę. Tego samego, którego spotkałam na przejściu dla pieszych. Psiakrew! Opiera się plecami o parapet i wlepia we mnie zagniewane spojrzenie.

– Gdzie jest pani Irenka? – pytam skonsternowana, próbując ukryć zakłopotanie. – To moja fryzjerka. Zawsze do niej przychodzę.

Facet wywraca oczami, nawet nie próbując ukryć niechęci.

– Widocznie dość rzadko. Półtora roku temu sprzedała zakład fryzjerski.

Wiem, że kpi ze mnie, ale chyba sobie na to zasłużyłam. Dopiero teraz zauważam, że ma na sobie coś w rodzaju

czarnego uniformu. Wcześniej przecież był ubrany inaczej.

– Kiepski dzień – próbuję się wytłumaczyć.

– A co ja mam z tym wspólnego? – odpowiada spokojnie, zwiększając tylko moje poczucie winy.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc milczę.

– Czym mogę pani służyć? – przerywa w końcu krępująca ciszę.

Formalny ton jego głosu zbija mnie z tropu. Nie wiem, co on tu robi. Czy zastępuje fryzjerkę w czasie jej nieobecności? To naprawdę krępujące, że musiałam trafić akurat na niego. Zacięty wyraz jego twarzy wyraźnie świadczy o tym, że ciągle się gniewa.

– Chciałam... Chciałam zarezerwować termin na strzyżenie – jąkam się jak speszona nastolatka.

Spogląda na mnie krytycznie, a ja już wiem, co będzie dalej.

– Raczej na podcięcie końcówek – zauważa, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Zagryzam ze złości wargi. Zawsze to samo. Nikt nie chce ryzykować z moimi włosami. Nawet głupiej grzywki nie mogę mieć.

– Na krótko, proszę pana – rzucam wkurzona.

Zdecydowanie kręci głową, a ja czuję, że nic z tego nie będzie. Chyba przyjdzie mi samej obciąć cały warkocz. Wtedy nie będzie miał wyboru.

– Mam teraz trochę czasu. – W końcu kapituluje, rozluźniając napięte mięśnie. – Rozgość się, zrobię kawę.

Znika w pomieszczeniu z tyłu, a ja siadam nie przy stoliku, który wskazał, tylko w fotelu przed lustrem. Zagarniam do przodu warkocz i zaczynam rozplatać, aż w końcu włosy luźno opierają się na moim ramieniu, tworząc coś w rodzaju peleryny. Są miękkie i lśniące, w odcieniu orzechowego brązu. To chyba wina oświetlenia, bo zauważam w nich miedziane refleksy. A może zawsze tam były, a ja po prostu nie zwracałam na nie

uwagi? Zaczęłam zapuszczać włosy w wieku dziesięciu lat, po obejrzeniu serialu na podstawie książek Montgomery. Dziewczeta z Wyspy Księcia Edwarda miały piękne, długie włosy i zapragnęłam być jedną z nich. Tylko że życie nie jest bajką. Pora dorosnąć.

W zamyśleniu sięgam po szczotkę, z lubością celebrując świadomość, że czeszę tak długie włosy po raz ostatni. Nawet jeśli on ich nie obetnie, sama to zrobię. Jestem zdecydowana.

Unoszę głowę, słysząc brzęk stawianego przede mną kubka. Nie zapytał, czy chcę z mleczkiem, po prostu przyniósł czarną. Nie wiem, czy posłodził, a głupio zapytać.

– Wsypałem dwie łyżeczki – mówi, odgadując moje myśli. – Ta jest do suszenia i modelowania – wyjaśnia, zabierając mi szczotkę. Sięga po inną, płaską.

Widzę jego odbicie w lustrze. Minę ciągle ma zaciętą, ale szare oczy przepełnione są łagodnością. Zdaję sobie sprawę, że fryzjer stara się zrozumieć, co mną kieruje, ale niczego nie ułatwiam. Obserwuję go, gdy pasmo po pasmie, rozczesuje włosy. Robi to tak delikatnie, że mam ochotę przymknąć oczy i się odprężyć, ale jakaś część mnie protestuje. Przecież nie po to tu przyszłam. Chcę być wściekła. Chcę, żeby wszyscy cierpieli tak, jak ja.

W oczach zbierają mi się łzy. Zaciskam mocno powieki, pociągając odruchowo nosem.

– Zabolalo? – pyta zdezorientowany.

– Tnij – warczę i od razu czuję wyrzuty sumienia, bo to przecież naprawdę nie jego wina, że tak strasznie zawiodłam się na facetach.

Niezrażony moim tonem odkłada szczotkę do metalowego koszyka i sugeruje, żebym się napiła. To rzeczywiście dobry pomysł.

Kawa jest mocna, taka jak lubię. Od razu rozpoznaję, że to Mehmet Efendi. Zaparzana smakuje nieco inaczej niż gotowana w tygielku, niemniej jednak doceniam, że fryzjer ma w swoim salonie coś bardziej wyrafinowanego niż kawa marki kawa. Przecież nie musi, bo to nie kawiarnia.

– Jestem Krysia – przedstawiam się, nieco zażenowana staroświeckim imieniem.

– Igor – rzuca szorstko. – Miło mi.

Znów spoglądam w lustro. Igor jest skupiony. Sprawnie, a jednocześnie delikatnie rozczesuje włosy, sprawdzając, jak się układają. Widzę, że się waha.

– Naprawdę muszę je ściąć – nalegam, bo to jasne jak słońce, że uważa, że zwariowałam. – Chcę zrobić dobry uczynek. – Wymyślone na poczekaniu kłamstwo otwiera przede mną nowe możliwości. Tak, jestem gotowa iść w zaparte, byle tylko osiągnąć cel. Przypominam sobie, że istnieje fundacja, która zbiera włosy na peruki dla osób chorych na raka. To moja szansa. Ja pozbędę się tych cholernych kłaków, a ktoś na tym skorzysta. Plan idealny. – Przecież kiedyś odrosną – kokietuje go, kręcąc na palcu wskazującym cienkie pasmo.

Igor zerka na zegarek.

– Zaraz będę miał farbowanie – mówi, zaplatając warkocz. Chcę zaprotestować, ale nie pozwala mi przerwać. – Prześpij się z tą decyzją, a jeśli nie zmienisz zdania, przyjdź jutro o ósmej rano.

Dopijam kawę i niechętnie wychodzę. Czuję się oszukana, bo nic z tego nie rozumiem. Fryzjer to fryzjer. Powinien ciąć, jak każe, a nie kazać przemyśleć raz podjętą decyzję. To bez sensu.

W domu uruchamiam laptopa. Ikona programu pocztowego sygnalizuje nowe wiadomości, ale nawet go nie włączam, od razu uruchamiam Google i wklepuję kombinacje słów mających umożliwić odnalezienie strony fundacji. Po kilku minutach już wiem, że spełniam warunki, i ogarnia mnie błoga radość. Nie mam dzieci, ale będę żyć ze świadomością, że jakieś chore dziecko otrzyma perukę z moich włosów.

Zamawiam pizzę. Taką, jak lubię, z frutti di mare. Hubert nie przepadał za owocami morza. Raz zamówiliśmy taką pół na pół, ale i tak marudził, że mu śmierdzi, więc by uniknąć konfliktów, od tamtego momentu braliśmy ubogą prosciutto. Ale teraz koniec z ograniczeniami! Poszalałam z dodatkową ilością

krewetek.

Wtulona w róg kanapy okrywam się kocem i sięgam po pilota. Przez chwilę skaczę po kanałach i zatrzymuję się na jednym z muzycznych. Chyba trafiłam na maraton piosenek o miłości, bo lecą jedna po drugiej: angielskie, polskie, francuskie, włoskie... Do zarzygania. Ale katuję się nimi, by umocnić swą wiarę w to, że miłość to bzdura. To tylko wymysł marketingowców, którzy chcą wcisnąć płytę z pościelówkami czy misia z serduszkiem.

Na szczęście po niecałych dwóch kwadransach doręczyciel pizzy przerywa ten niezdrowy seans umartwiania się. Daje mu solidny napiwek i wracam na kanapę.

Oregano pachnie, wyostrzając apetyt, a sos czosnkowy ma idealny smak i konsystencję. To nowa pizzeria, zdecydowałam się zamówić, bo dziewczyny w pracy zachwalały. Będę musiała im przy okazji podziękować.

Po godzinie idę pod prysznic, by zmyć z siebie negatywne emocje. Nie mam ochoty suszyć włosów przez pół nocy, więc podpinam warkocz do góry. Już wiem, że podjęłam słuszną decyzję. Igor będzie musiał się z tym pogodzić.

Rano przed wejściem do klatki przystaję skonsternowana. Wczoraj nie zauważyłam tego szyldu, choć jest spory i w takich samych barwach, jak salon: we wrzosie i srebrze. „Fryzjernia. Igor Sygniewski”. I numer telefonu. Żadnych godzin otwarcia. Uznaję, że to dziwne, ale zanim decyduję się nacisnąć odpowiedni guzik, słyszę charakterystyczne bzyczenie i mogę otworzyć drzwi.

Igor wita mnie lekkim skinieniem głowy. O nic nie pyta, dobrze wie, po co przyszłam. Jednak zanim siadam w fotelu, przynosi kawę. Chcąc nie chcąc, łapię się na myśleniu, że Hubert nigdy tak o mnie nie dbał. Zawsze oczekiwał, że to ja będę wszystko stawiać mu przed nosem i odgadywać zachcianki, zanim jeszcze zdążą się skryzalizować. Podły drań.

Upijając łyk kawy, obserwuję w lustrze, jak Igor rozplata,

a następnie rozczesuje moje włosy. Delikatnie, z czułością. Podejrzewam, że chce, żebym się rozmyśliła.

– Chcę je oddać dla fundacji – wypalam, dla potwierdzenia słuszności drastycznej zmiany fryzury.

Spogląda na mnie spod oka.

– Tak, pamiętam. – Ton jego głosu wyraźnie sugeruje, że wcale mu się to nie podoba. – Mogę to sfotografować? – pyta po chwili.

Wzruszam ramionami. Dlaczego nie? Niech sobie fotografuje.

Igor robi zdjęcia na każdym etapie pracy: najpierw rozczesane włosy, później splecione warkocze, a następnie skończoną fryzurę, gdy kędziory sięgają zaledwie ramion. Zgodził się też na grzywkę.

Patrzę w lustro i nie mogę się rozpoznać. Wyglądam inaczej i tak też się czuję. Trzępię głową na wszystkie strony, a włosy luźno falują.

– Nie będę na razie mocno cieniował – ostrzega, próbując ukryć rozbawienie. – Trzeba odczekać kilka dni i pozwolić im się na nowo ułożyć. Może zechcesz zaczesywać na którąś stronę.

Potwierdzam skinieniem głowy. Sama jestem ciekawa, jak będą się teraz zachowywały. Zmiana jest przecież kolosalna.

Sięgam do torebki po portfel, ale nie pozwala mi zapłacić.

– Formalnie nie ma mnie jeszcze w pracy – mówi. – W czasie wolnym robię, co chcę. Zresztą pewnie jeszcze się spotkamy – dodaje, widząc moją konsternację.

Nie mogę się powstrzymać i przeczesuję palcami włosy od nasady aż po same końce, śmiejąc się w duchu, że to scena z jakiejś reklamy. Będę musiała się przyzwyczać, że są tak krótkie, jednak nie czuję żalu. Wiem, że teraz wszystko będzie łatwiejsze, bo zwykle mycie czy czesanie już nie będzie takim wyzwaniem. Zyskałam wolność.

– Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłam – zauważam.

Igor wręcza mi jedną z leżących na stole wizytówek.

– W razie czego dzwoń.

*

Wychodzę odmieniona, i to nie tylko fizycznie. Przez myśl przemyka mi, że tak właściwie dopiero teraz zasłużyłam na szampana, więc skręcam w stronę sklepu spożywczego. Wszyscy mnie tutaj znają, ale starałam się nie zauważać, że ekspedientki ukradkiem zerkają w moją stronę.

Już w domu dobrą godzinę stoję przed lustrem, oglądając się z każdej strony. Robię najpierw kitkę, ale później podpinam włosy wysoko, formując luźny kok. Jestem zadowolona z rezultatu, więc utrwalam fryzurę kilkoma dodatkowymi wsuwkami.

Wstępuje we mnie nowa energia, więc zaczynam planować zmiany. Odnajduję w notesie numer pana Stasia, który malował ściany trzy lata temu, i pytam, kiedy może zacząć. Ma poumawiane remonty aż do końca wakacji, ale poleca zięcia, którego próbuje wkręcić do interesu. Chłopak płytek jeszcze nie położy, ale ściany potrafi odmalować. Może przyjść w przyszłym tygodniu, muszę tylko wybrać kolory do poszczególnych pomieszczeń.

Uruchamiam laptopa i wchodzę na strony czołowych producentów farb, jednak nie potrafię się odnaleźć w paletach barw. Wiem, że wszystko zależy od ustawień monitora, a chcę wiedzieć, jak to wygląda na żywo, więc decyduję się na wizytę w najbliższym markecie budowlanym. Jednak po drodze wpadam jeszcze do „Oishii” na sushi. Wstyd się przyznać, kiedy byłam tu po raz ostatni, więc zaskakuje mnie nowy wystrój. Stoliki oddzielone są od siebie zdobionymi papierowymi parawanami. Na szczęście zza baru kłania mi się znajomy pan Yamada, więc mam pewność, że jeśli chodzi o jedzenie, nic się tu nie zmieniło.

Jestem głodna, więc biorę zupę miso i zestaw składający się z nigiri, california maki i uramaki. Gdy pan Yamada otwiera drzwi do kuchni, gdzieś przy garnkach miga mi sylwetka jego

syna, Yana. Nie zauważa mnie, ale może to i lepiej? Przecież czuję wyrzuty sumienia, że rozluźniłam więzi. Znamy się od dziecka, ale gdy Yan zdał maturę i postanowił uczyć się w Tokio, nie było jakoś czasu na podtrzymywanie znajomości. A później Hubert uznał, że to dziwni ludzie, i wynajdywał tysiące powodów, bylebym tylko się z nimi nie spotykała.

Siadam przy stoliku z parawanem ozdobionym wizerunkiem smukłych, długonogich ptaków, bo kojarzy mi się z książką, którą kiedyś czytałam. Próbuję sobie przypomnieć tytuł, ale pamiętam jedynie autora. Kawabata Yasunari. Japoński noblista. Parawan to świetne rozwiązanie. Yan na pewno mnie nie zobaczy. Nie będę musiała się tłumaczyć. Nie mam na to siły. Nie dzisiaj.

Kenji Yamada stawia przede mną parującą miseczkę pożywnej zupy miso i wraca za ladę, która jest jednocześnie stołem roboczym, by przygotować resztę zamówienia. Jestem zaskoczona, że pomimo iż dobiega już sześćdziesiątki, jego czarne włosy nie są poprzetykane srebrnymi nitkami. Oczy zdradzają wiek, ale ciągle ma jeszcze ruchy młodzieńca. I potrafi ugotować takie cuda, że cieknie ślinka.

Jem powoli, delektując się smakiem. Moim zdaniem to najlepsza japońska restauracja w mieście, ale przecież nie jestem obiektywna. To potrawy, które znam od dzieciństwa, ale nie każdemu odpowiadają. Ceny również.

W rogu siedzi jakaś para. Dziewczyna stara się jeszcze jeść pałeczkami, ale chłopak już dawno zrezygnował i używa palców. Po chwili idzie w jego ślady. Mężczyzna przy stoliku obok radzi sobie o niebo lepiej. Zgrabnie wywija pałeczkami, sprawdzając coś na tablicie. Oprócz naszej czwórki widzę jeszcze dwie osoby, ale pana Taro nie ma, więc pewnie rozwozi zamówienia. Wiszący na telefonie pan Yamada przyjmuje kolejne. Sama często zamawiam coś z biura, bo z reguły zostaję dłużej. Szef zaakceptował, że modyfikuję nieco godziny pracy, bo dobrze wywiązuję się ze swoich obowiązków. Z Hubertem nie byłam tu nigdy, bo on nie je niczego, co wygląda bardziej egzotycznie niż pocziwy schabowy.

Po godzinie z uczuciem sytości opuszczam lokal. Gdy wsiadałam do samochodu, wyleciało mi z głowy, że miałam plany, i zawracam dopiero na rondzie na Głowackiego. Zastanawiam się, czy to jedzenie mnie tak rozkojarzyło, czy może coś innego.

Albo ktoś.

Parkuję niedaleko wejścia i przez chwilę opieram głowę o kierownicę. Wdech i wydech.

Skup się – powtarzam to, co przed chwilą nakazałam sobie w myślach. Dopiero się rozwiódłaś. Nie potrzebujesz kolejnej miłosnej awantury. Poza tym to fryzjer, a każdy fryzjer to gej – uznaję autorytatywnie i od razu czuję zawód. Niech to szlag!

Jestem zła na siebie, bo nie potrafię zrozumieć własnych uczuć. To wszystko jest nieracjonalne. Przecież nienawidzę wszystkich mężczyzn jednakowo, więc dlaczego jest mi przykro, że Igor jest gejem? Bo mi się podoba? No litości!

W markecie od razu odnajduję dział z farbami. Po chwili zastanowienia do sypialni wybieram stonowaną groszkową zieleni, do kuchni budyń waniliowy, jednak nie mogę zdecydować się na kolor do salonu. Przejrzałam już całą paletę zieleni i żółcieni, przeszłam obojętnie obok czerwieni i błękitów i przystaję przed tablicą z fioletami. Przypomina mi się wrzosowy odcień, jaki Igor ma w swoim zakładzie, i czuję wzbierającą złość.

– Niech to szlag! – Moje myśli uzewnętrzniają się w gniewnych słowach.

– Krysieczka? – słyszę gdzieś z prawej i nie muszę odwracać głowy, bo doskonale wiem, że to głos Huberta. To przez jego debilne zdrobnienie znienawidziłam własne imię. – Prawie cię nie poznałem – stwierdza, a ja mimo wszystko odczuwam satysfakcję, że potrafiłam go zaskoczyć, że jednak tak naprawdę mnie do końca nie zna.

Głupio udawać, że nagle ogłuchłam, więc uśmiecham się szeroko i odwracam w jego stronę, zauważając przy okazji Honoratkę z mocno już zaokrąglonym brzuchem. Gołąbki mają

w koszyku pięciolitrową puszkę różowej farby, więc odgaduję, że potomek będzie dziewczynką.

– Jak miło cię widzieć, Krysiu – słodko szczebiocze Honoratka, która chyba postanowiła udawać, że to nie przez nią rozpadło się moje małżeństwo. – Też planujesz remoncik? Będziemy mieć córeczkę, wiesz? Tyle pięknych imion do wyboru, że nie możemy się zdecydować. Wczoraj się zaręczyliśmy. Hubercik uklęknął i poprosił mnie o rękę – gada jak nakręcona. – Dał mi pierścionek z perłą, jeszcze po swojej babci.

Kasłam, by przerwać ten wywód, ale w głębi duszy chce mi się śmiać, że już na początku tego ich, pożał się Boże, związku Hubert kłamie jak z nut. Przecież dobrze wiem, że o pierścionek rozgorzała w rodzinie awantura. Alina Zakrzewska, babcia Huberta, zapisała w testamencie całą biżuterię siostrze ojca Huberta, a ta za nic na świecie nie chciała się z nikim podzielić rodzinnymi pamiątkami. Poza tym tamten pierścionek był z onyksiem, a nie z perłą, ale tego Honoratka nie może przecież wiedzieć.

Narieczona mojego byłego nie rozumie, że nie mam ochoty na zaprzyjaźnienie się z nią, bo zaczyna zapraszać mnie na ciasto do ich nowego gniazdka. Chwali się, że to jej przyszła, czyli moja była teściowa, zrobiła im prezent, bo przecież potrzebują z Hubercikiem więcej miejsca niż w maminy mieszkanie, skoro ich rodzinka wkrótce się powiększy. Emanuje takim naiwnym szczęściem, że aż mnie mdli. I gdy myślę już, że gorzej być nie może, ktoś obejmuje mnie w pasie i z przesadną namiętnością całuje w usta.

Odbiera mi dech. Znajomy zapach. Czuję go, gdy pochylał się nade mną, obcinając włosy. Igor.

– Przepraszam, kochanie, że musiałaś czekać – rzuca, przygarniając mnie do siebie.

Chce mi się krzyczeć, ale nie mogę dać się poniżyć jeszcze bardziej. Podejmuję grę.

– Już myślałam, że zablądziłeś – mówię z wyrzutem.

Ogarnia mnie niepokój, bo zauważyłam w jego szarych oczach

jakiś błysk. Jestem pewna, że coś kombinuje.

– Domyślałem się, że nie znajdziesz tej farby – wyjaśnia, wkładając małą puszczkę do mojego koszyka. – Stoi gdzie indziej. Kolor nazywa się wrzosowy raj. W sam raz do salonu.

Zagryzam usta, by nie parsknąć śmiechem. Skubany, rozgryzł mnie.

– Masz rację, poległam z tą farbą na całej linii. – Próbuje opanować emocje, ale wiem, że moje policzki oblewa rumieniec.

– Nieważne, od tego masz przecież mnie. – Igor się uśmiecha. – Przy okazji, świetna fryzura – dodaje jakby od niechcenia. – Podziękuj pani Irencce.

Mam ochotę walnąć go w ramię, ale się powstrzymuję. To by nie pasowało do obrazka, który Igor starał się dla mnie namalować. Doceniam starania, bo przecież nie musi. Ale poczucie humoru ma iście kuriozalne.

Zerkam na Huberta. Wyraźnie stracił rezon. Wygląda, jakby chciał uciec, ale niczego nieświadoma Honoratka przytrzymuje go za ramię, gotowa zaprosić na herbatę i ciasto również Igora.

– Och widzę, że też już ułożyłaś sobie życie – szczebiocze radośnie, jak słodka idiotka. – To takie urocze. Fajnie móc pójść z kimś do kina albo chociaż na zakupy.

Nie wierzę własnym uszom. Przecież ta franca ukradła mi męża, a teraz szczyli się tym. Podła, bezduszna larwa. Modłę się, by w końcu przestała gadać, ale widzę, że Igor świetnie się bawi.

Podaje rękę Hubertowi.

– Sygniewski. Pan musi być byłym mężem Krysi – rzuca cierpko. – No cóż, muszę panu podziękować. Na tak wspaniałą kobietę warto było poczekać kilka lat. Ktoś traci, ktoś zyskuje, jak to w życiu.

Zakłopotana odwracam wzrok. Igor nie musiał być tak niegrzeczny, ale rozumiem, że chciał ratować mój honor. To w końcu ja zostałam bezczelnie porzucona. Musiał przecież to zauważyć, stan Honoratki jest aż nadto widoczny.

Jednak zastanawia mnie, skąd w Igorze ta pewność, że Hubert był moim mężem. Na osiedlu jest osiem bloków, każdy ma pięć klatek. Pięć poziomów razy dwa mieszkania w każdej klatce... To daje czterysta rodzin. Dlaczego Igor zwrócił uwagę akurat na nas? Bo miałam długie włosy?

– Pokażesz mi, gdzie jest ta farba? – pytam, by zmienić temat.
– Potrzebuję dużo więcej.

Igor zgadza się i po kilku zdawkowych słowach pożegnania zostawiamy mojego byłego męża i jego flandrę.

– Skąd wiedziałeś, że tu będę? – zadaje chyba najgłupsze pytanie, jakie przychodzi mi do głowy.

Odruchowo obejmuje mnie ramieniem, by odsunąć nieco, bo jakiś starszy pan próbuje dostać się do wybranego koloru.

– Nie wiedziałem. Zauważyłem, że farba w jednym miejscu odparzyła się na ścianie, więc muszę to jakoś naprawić. Dlatego tu jestem.

Nie, no nie wierzę... Mam ochotę mu przyłożyć. Znów. Przecież musi wiedzieć, o co mi chodzi.

– Całujesz wszystkie spotkane na zakupach dziewczyny? – kpię, nie mogąc się powstrzymać.

– Tylko te, które pyskują – odpowiada w tym samym tonie.

Czuje, że zaraz wybuchnę. Dlaczego ten facet tak mnie irytuje? Nie wiem, co bardziej wytrąciło mnie z równowagi: przypadkowe spotkanie z Hubertem i jego flamą czy to, że pocałował mnie akurat ten mężczyzna.

Igor wcale nie wygląda na skruszzonego, wręcz przeciwnie – jest z siebie dumny. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że mi się podobało!

– Nie życzę sobie więcej takiego zachowania – mówię, dziwiąc się równocześnie, jak gładko kłamstwo przeszło mi przez gardło.

– Jak chcesz. – Wzrusza ramionami. – Po prostu wiem, że byliście małżeństwem. Wczoraj nie widziałem obrączki na twoim palcu, a dzisiaj zobaczyłem go w towarzystwie osoby, która jest

chyba sprawcą waszego rozstania, więc pomyślałem, że potrzebujesz pomocy. Taka koleżeńska przysługa.

Niechętnie przyznaję, że nieźle to wykombinowałem. Gdy tylko się pojawił, Hubertowi wyraźnie zrzędała mina i jego doskonały nastrój gdzieś prysnął. Pewnie nie sądził, że tak szybko mogę znaleźć pocieszenie w ramionach innego faceta. Zapewne myślał, że nocami płacę w poduszkę, a tymczasem zobaczył mnie w towarzystwie mężczyzny, nie ma się co oszukiwać, dużo przystojniejszego niż on sam. Nadmiernie napompowane ego prysnęło jak bańka mydlana.

– Dziękuję – wymyka się z moich ust.

Igor spogląda na mnie z uśmiechem, mrużąc oczy niczym zadowolony kocur.

– Nie ma za co.

Zabrzmiało to tak dwuznacznie, że czuję się dziwnie skrępowana. Nie, muszę przestać o nim myśleć. Przecież przyszedłam tu po coś innego. Odnajduję na regale odpowiedni odcień farby. Igor komentuje, że to świetny wybór. Po chwili jednak dodaje, że na męża wybrałam kompletnego popaprańca.

Mimo wszystko jest mi przykro.

– On kiedyś nie był taki. – Próbuję wyjaśnić, że jednak nie byłam totalną idiotką, wychodząc za męża za Huberta.

Na twarzy Igora pojawia się sarkastyczny uśmiech.

– Niech zgadnę... Ona się nachyliła, by podnieść przypadkiem upuszczony długopis, a on się potknął i na nią wpadł?

Rozbawia mnie jego poczucie humoru.

– No chyba mniej więcej tak to było – kwituje. Jednak zaskakuje mnie jego podejście do całej sprawy. Przecież zazwyczaj faceci starają się udowodnić, że zdrada jest winą zdradzonej kobiety. Tymczasem Igor, nie wiedząc czemu, stoi po mojej stronie. Mimo że jeszcze przedwczoraj w ogóle mnie nie znał. Przypomina mi się zdanie z jednej z moich ulubionych książek.

– „Szczęśliwi ludzie to tacy, którzy nie są świadomi lepszych i większych możliwości, żyją we własnych światach, odpowiednio skrojonych do ich predyspozycji” – cytuje z pamięci.

– Tak, wiem, to Huxley – zauważa Igor, dziwnie poirytowany.

Nie powiedziałam nic złego, a jednak czuję wyrzuty sumienia, że niechcący go zraniłam.

– Masz czas na kawę? – pytam.

Igor spogląda na zegarek.

– Dzisiaj już nie – rozwiewa moją nadzieję. – Wpadnij za kilka dni do salonu – zaprasza. – Pokombinuję coś jeszcze z twoją fryzurą.

Nie czeka na odpowiedź, po prostu wyciąga z koszyka swoją farbę i odchodzi w kierunku kas.

*

Puszki z farbą są tak ciężkie, że postanawiam zostawić je w bagażniku. Mam przecież jeszcze kilka dni, nie muszę już dzisiaj targać ich do mieszkania. Poza tym powinnam ustalić jakiś plan remontu, nie mogę wynieść się naraz ze wszystkich pomieszczeń.

Gotuję kawę w tygielku i przelewam do ulubionego kubka. Siadam przy kuchennym stole. Dopiero po upiciu kilku łyków jestem w stanie zebrać myśli. Chyba najlepiej będzie zacząć tutaj. Na suficie przecież nadal jest tłusta plama, która pozostała po tym, jak Hubert smażył wątróbkę. Co jak co, ale antytalent do gotowania mój były mąż posiada naprawdę wielki. Nawet jajka nie umiał ugotować, a wszystko, czego dotyczył, kończyło się katastrofą, jak to nieszczęsne mięso na suficie.

Otwieram jedną z szafek i już wiem, że ten remont będzie nie lada wyzwaniem. Muszę popytać w spożywczaku o jakieś kartony. Kubki i talerze po prostu wyniosę do salonu, ale trzy

półki przypraw trzeba kategorycznie przebrać. Od kiedy awansowałam, gotuję naprawdę rzadko i pewnie połowa ziół jest już dawno przeterminowana. Zamykam drzwiczki szafki, by odsunąć od siebie perspektywę grzebania się w tym wszystkim. Dzisiaj nie mam siły.

Żołądek daje znać, że wypada coś zjeść. Kurczę, zapomniałam zrobić zakupy. Znowu. Przecież wczoraj kupiłam jedynie szampana, a dziś rano zjadłam ostatnie kromki razowca. Ganię się za bezmyślność. Mogę wprawdzie skoczyć jeszcze do marketu, ale nie mam ochoty wychodzić z domu. Albo będę głodować, albo...

Sięgam po telefon i wybieram numer pana Yamady. Niedługo zamyka restaurację, ale może zdąży jeszcze coś przygotować i podrzuci w drodze do domu? Mieszka przecież w okolicy.

Mam szczęście, mój rozmówca obiecuje przywieźć, co zostało na kuchni. Składam też od razu zamówienie na rano, prosto do pracy.

Po pół godziny słyszę dzwonek i gdy otwieram, Kenji Yamada z torbą wypełnioną jedzeniem wchodzi do mieszkania.

– *Kyō Krysia-san wa kanashī desu*[\[1\]](#) – zauważa.

– Zapomniałam o zakupach. – Bagatelizuję całą sprawę, próbując ukryć zdziwienie, że jednak zwrócił uwagę na mój ponury nastrój.

Pan Yamada wyklada na stół szczelnie zamknięte pojemniczki.

– Jest zupa miso – mówi, uśmiechając się od ucha do ucha. – I udon z warzywami. I sashimi, takie jak Krysia lubi.

Dziękuję serdecznie i po chwili zostaję sama. Na szczęście o nic więcej nie pytał. Tak jest lepiej. To moja wina, to ja odsunęłam ich od siebie. Nie mogę teraz oczekiwać, że wszystko będzie tak, jak dawniej. Muszę myśleć o nim: „pan Yamada”. Brzmi obco, z dystansem. Nie mogę już nazywać go *otōsan*, czyli tatą. Jestem dużą dziewczynką, muszę płacić za błędy, które popełniłam.

Włączam radio, by zagłuszyć poczucie osamotnienia. Czy to widok szczęśliwego Huberta tak na mnie podziałał? Przecież wiem, że z nią mieszka. Prędzej czy później i tak bym się gdzieś na nich natknęła. Gdyby nie Igor, pewnie w końcu puściłyby mi nerwy i zrobiłabym Hubertowi awanturę.

Z uczuciem sytości idę wziąć prysznic. Z przyzwyczajenia wyciągam z szafki wodoodporny turban, którym zawsze owijałam głowę, gdy nie chciałam moczyć włosów, ale już go nie potrzebuję. Spinki dadzą jeszcze radę utrzymać fryzurę przez jakiś czas.

Dopiero gdy osuszam ciało ręcznikiem, rozpuszczam włosy. Wpatruję się w lustro i zastanawiam, kim jest ta kobieta. Piersi może nie są zbyt duże, ale wciąż jędrne, a brzuch płaski. Więc dlaczego Hubert wybrał Honoratkę? Tylko dlatego, że nie mogłam dać mu dziecka? Czuję wzbierające łzy, ale nie potrafię ich powstrzymać.

Decyzję o powiększeniu rodziny podjęliśmy spontanicznie, niejako zmuszeni do tego zrzędzeniem losu. Wyjechaliśmy na tydzień do Zakopanego. Miałam tego dnia zacząć kolejne pudełko pigulek, ale zostały na szafce w przedpokoju.

Na początku nie martwiło mnie, że mimo seksu bez zabezpieczenia okres pojawiał się regularnie jak w zegarku, ale po pół roku zaczęłam się niepokoić. Przeczytałam gdzieś o testach owulacyjnych, ale i z nimi się nie udało. Hubert bardzo zaangażował się w starania. To on znalazł adres kliniki napro. Przeszliśmy szkolenie, wklejałam kolejne naklejki do zeszytów, uzupełniałam tabelki, ale wszystko na nic. Z każdym mijającym miesiącem czułam się coraz bardziej bezwartościowa. Później przyszła kolej na badanie drożności jajowodów, które wspominam jako największy koszmar w życiu, monitoring cyklu oparty o usg, zastrzyki ovitrelle na wywołanie owulacji i seks w ściśle określonym czasie. I nadal brak ciąży.

Aż w końcu pojawiła się nadzieja. Lekarz powiedział, że odkrył teoretyczną przyczynę niepowodzeń: polipy w jamie macicy. Klinika nie miała podpisanego kontraktu z NFZ, więc za operację zapłaciłam sama.

Ale podczas gdy dochodziłam do siebie po narkozie, otumaniona ketonalem, Hubert już bzykał się z Honoratką.

Nawet nie zauważyłam, kiedy ten romans się zaczął. Musiał trwać już jakiś czas, bo gdy tydzień później urwałam się wcześniej z pracy i przyłapałam ich w domu, na ławie leżał dumnie pozytywny test ciąży.

Zaciskam mocno powieki, by powstrzymać łzy. Czyli to wszystko moja wina. Jestem wybrakowanym modelem. Nie mogę dać mężczyźnie szczęścia.

Chłód ciągnący od płytek wrywa mnie z zamyślenia. Gęsia skórka zdażyła już pokryć ramiona, więc przemykam do sypialni, gdzie zostawiłam rano piżamę. Mięciutka flanela sprawia, że od razu robi mi się cieplej. Wślizguję się pod kołdrę i przykrywam aż po same uszy. Zasypiam z przeświadczeniem, że już zawsze będę sama.

*

Gdy wchodzę rano do firmy, milkną rozmowy. Czuje konsternację. Owszem, spóźniłam się całe dwie i pół minuty, ale to chyba nie powód, by robić aferę, tymczasem wszyscy gapią się na mnie, jakbym była ufoludkiem. Zerkam na swoje ubranie. Nie przyszłam w piżamie. Mam na sobie koszulową bluzkę w kolorze fuksji i szarą ołówkową spódnicę. Rzucam szybkie „dzień dobry” i przemykam do swojego biura.

Kładę torebkę na stoliku pod oknem i włączam komputer. Kątem oka zauważam, że drzwi się otwierają. Dwie pary nóg. Te w czarnych czółenkach bez wątpienia należą do Zoi, ale co do tych drugich nie jestem pewna, waham się pomiędzy Aurelią i Sylwią. Szybko prostuję się i już wiem, że to jednak Aurelia, moja asystentka.

– Widziałyśmy twoje zdjęcia – zaczyna konspiracyjnie.

Obrzucam dziewczyny zdziwionym spojrzeniem, pewna, że kompletnie odleciały.

– Gdzie? – pytam z czystej uprzejmości.

– Na stronie Fryzjerni. Nie widać dokładnie twarzy, ale odgadłyśmy po włosach. Dziewczyny z działu zakupów zakładały się, że to ktoś inny, ale przyszłaś i właśnie potwierdziłaś, że to my – zaznacza z dumą – miałyśmy rację. Jak ci się udało dostać do tego fryzjera?

Z wrażenia siadam na krześle obrotowym. Igor rzeczywiście pytał, czy może zrobić zdjęcia, ale jakoś umknęła mi informacja, że umieści je na stronie w internecie. Ale zastanawia mnie coś innego: dlaczego dziewczyny chcą wiedzieć, jak udało mi się do niego dostać. Co to w ogóle za pytanie?

Wzruszam ramionami.

– Miałam ochotę zmienić fryzurę, więc zaszłam, a on akurat miał chwilę.

Czarnowłosa Zoja opiera się ciężko o biurko.

– Żartujesz, prawda? Przecież do niego umawia się z półrocznym wyprzedzeniem. Wiem, bo szwagierka do niego chodzi. Za farbowanie z podcięciem końcówek skasował siedemset pięćdziesiąt złotych. Ile dałaś za tę fryzurę? No, przyznaj się.

Czuje się oszołomiona. Nigdy bym się nie spodziewała, że tuż pod moim nosem salon otworzy tak rozchwytywany fryzjer. Przecież pani Irenka obcinała włosy i robiła trwałe głównie starszym paniom z okolicznych bloków. A tu taka zamiana.

Tyle kasy za wizytę i terminy zarezerwowane na pół roku naprzód? Igor chyba rzeczywiście jest prawdziwym fachowcem.

– No ile dałaś? – dopytuje się Aurelia. – Jestem umówiona na konsultację, ale to dopiero za trzy miesiące – dopowiada, mnać między palcami końcówki sięgających nieco poniżej ramion płowych kędziorów.

– Miałam spory rabat, bo oddałam włosy na peruki dla chorych dzieci – odpowiadam wymijająco. – Dostanę jakąś kawę? – zmieniam temat.

Aurelia się prostuje, przypominając sobie o obowiązkach.

– Da się zrobić, szefowo.

– Trzymasz się jakoś? – pyta Zoja, gdy zostajemy same. Ona jedna rozumie, dlaczego musiałam ściąć włosy. Tylko jej zwierzyłam się ze swoich małżeńskich problemów.

– Spotkałam ich wczoraj na zakupach – mówię, starając się, żeby mój głos brzmiał neutralnie. – Szli pod rączkę. Wybierali farbę do dzieciennego pokoju. Powiedzieli, że będą mieć córkę. Honoratka była tak miła, że myślałam, że się porzygam. – Już nie potrafię zapanować nad emocjami i robię wymowny gest.

Zojka bezskutecznie stara się ukryć rozbawienie wywołane przez moją grę aktorską.

– Mam nadzieję, że flama się roztyje i będzie mieć potworne rozstępy – złorzeczy.

Mimowolnie się uśmiecham. Dobrze mieć taką przyjaciółkę.

Zoja z początku trochę się boczyła, gdy awansowałam, jednak z czasem nasze relacje uległy poprawie i zaczęłyśmy wychodzić razem na zakupy. Hubert nienawidził kupowania ciuchów, a ja się cieszyłam, że zyskałam kogoś, kogo mogę się poradzić, kto nie powie, że wyglądam świetnie w pierwszej lepszej szmacie, byle tylko szybciej wrócić do domu.

– Skoczmy jutro do naszego ulubionego butiku, chcesz? – proponuje Zoja. – Powinni już mieć coś na lato. Pora wymienić garderobę.

Do biura wraca Aurelia z moją kawą. Zoja daje znać, że zadzwoni, i obie wychodzą, zostawiając mnie samą. Poruszam myszką, by wygaszacz ekranu się wyłączył, i loguję się do Windowsa. Szybko sprawdzam pocztę, ale nie znajduję nic, co wymagałoby natychmiastowej uwagi. Wszystko jest pod kontrolą.

Rok temu wywalczyłam, żeby Zoja została moim zastępcą. Zarząd z początku dzielnie się opierał, jednak przypomniałam im chaos, który panował w firmie po wypadku Andrzeja. Oczywiście nie mam w planach niedyspozycji tego typu, jednak uświadomiłam im, że w przypadku mojej dłuższej nieobecności dobrze byłoby mieć kogoś, kto ogarnie temat. Zoja była tak

wdzięczna za awans, że teraz nieproszona wyręcza mnie w wielu rzeczach, pozostawiając jedynie kwestię korekty bądź podpisania się pod jakimś dokumentem.

Sięgam do torebki po smartfon. Nie pamiętam, jak Igor ma na nazwisko, ale po wklepaniu w Google kombinacji kilku wyrazów pojawia się link do strony internetowej. Fryzjernia. Igor Sygniewski.

Witryna utrzymana jest w takiej samej kolorystyce jak salon. Nawigacja nie stanowi problemu. W aktualnościach znajduje fotorelację z mojej wizyty. Pod zdjęciem obciętego warkocza pojawiają się komentarze klientek. Jedne piszą, że oszalałam, pozbywając się takich włosów, inne zaś gratulują odwagi. Mam mieszane uczucia, bo przecież kierowało mną głównie pragnienie zmiany.

Z ciekawości wchodzę w zakładkę z cennikiem i wybałuszam oczy ze zdziwienia. Dziewczyny rzeczywiście nie żartowały, że ma aż tak kosmiczne ceny. Ale skąd miałam wiedzieć? Przecież cennik nie wisiał nigdzie w salonie. Teraz rozumiem, dlaczego Igor nie chciał ode mnie pieniędzy. Pewnie spodziewał się, że mnie na niego po prostu nie stać.

Pieprzony filantrop – myślę wściekła. Ja mu jeszcze pokażę.

Przed dziesiątą pojawia się młody Taro z restauracji pana Yamady.

– *Ohayō, Krysia-san*[\[2\]](#). – Kłania się z szacunkiem. W dłoniach trzyma pojemniki do *bentō*, a nie firmowe opakowania. Sięgam po portfel, ale kręci głową. – Pan Yamada kazał dać pani Krysi – tłumaczy zakłopotany. – Pani Yamada przygotowała. Nie można cały czas jeść sushi, powiedziała panu Yamadzie. Zdrowsze jest domowe jedzenie. Smacznego – życzy, kładąc na biurku pojemniki. – Czerwony, śniadanie. Niebieski, lunch.

Gdy Taro wychodzi, otwieram pudełko z naklejoną na górze karteczką z napisem *asagohan*[\[3\]](#). W środku oprócz jednorazowych pałeczek znajduje ryż posypany czarnym sezamem, idealnie kwadratowe kawałki omletu *tamago*, smażonego węgorka oraz warzywne szaszłyki. Wszystko o wiele

ładniejsze i znacznie smaczniejsze niż zdechłe kanapki, które zazwyczaj biorę do pracy. Obiecuję sobie, że przy najbliższej okazji podziękuję panu Yamadzie i jego żonie.

Dzień mija wyjątkowo leniwie. Wykonuję kilka telefonów, potem uczestniczę w zebraniu, na którym na dobrą sprawę mogłoby mnie nie być. Wszyscy się na mnie gapią przez te obcięte włosy, ale zaledwie kilka osób odważa się wyrazić zdanie, że fajnie wyglądam. Reszta chyba musi się po prostu przyzwyczaić, że zmiana jest nieodwracalna.

Podczas lunchu łapię się na myśleniu o Igorze. Nie wiem, dlaczego ten irytujący typ znów stanął mi przed oczami, gdy na chwilę przymknęłam powieki, by odpocząć od tabelki na monitorze. Skoro tak trudno się do niego dostać, to dlaczego przyjmuje mnie niemal od ręki? Bo założył, że jednak się rozmyślę i nie przyjdę? Za to w sklepie wykazał się dużą odwagą. Ja przecież nigdy nie podeszłabym do widzianego wcześniej dwa razy mężczyzny, ani tym bardziej bym go nie pocałowała!

Odruchowo podnoszę dłoń do ust, gdzie jeszcze czuję dotyk jego warg. Męski, zdecydowany.

Czy wszyscy fryzjerzy to geje? – kołaczę mi po głowie. Nie, on przecież nie może być gejem. Wplątam palce we włosy tuż u nasady włosów nad czołem i przetykam łzy. Dobrze, że nie zdażyłam rano pomalować oczu, cały makijaż by spłynął. Czy tak bardzo pragnę męskiego towarzystwa, że interesuje mnie orientacja seksualna jakiegoś fryzjera? W czym on jest niby lepszy od Huberta? Przecież on też mnie oszukał. Zrobił ze mnie kompletną idiotkę. Mógł powiedzieć, że będę wizytówką jego wypasionej witryny internetowej.

Chowam do reklamówki pudełko po *bentō*, spoglądając odruchowo na zegarek. Zostało jeszcze dwadzieścia minut, a ja nie mogę się już doczekać, kiedy zegarek wskaże szesnastą. Najchętniej wyszłabym wcześniej, ale wiem, że nie powinnam, zwłaszcza że tak właściwie nie mogłabym znaleźć żadnej wymówki. Wpatruję się w białą tarczę zegarka, jakby to mogło w jakiś sposób sprawić, by czas płynął szybciej. Już za pięć

wyłączam komputer i jestem gotowa do wyjścia. Udaję jeszcze tylko, że przeglądam najnowsze sprawozdanie, ale gdyby ktoś zapytał, o czym jest, nie umiałabym odpowiedzieć.

Przeklęty Igor – złorzeczę w duchu, marszcząc groźnie czoło. Nie wolno w ten sposób wchodzić w czyjeś życie, po prostu nie wolno.

Wiem doskonale, że nie powinnam kontynuować tej znajomości. To nie będzie wcale trudne, następnym razem pójdę po prostu do innego salonu. Igor nie jest przecież jedynym fryzjerem w mieście, nie jestem na niego skazana.

Jednak gdy parkuję samochód pod blokiem, genialny plan diabli biorą. Chcę przecież wiedzieć, dlaczego nie powiedział prawdy. Mam prawo wiedzieć.

Drzwi do lokalu są otwarte i w jakiś sposób to dodatkowo mnie ośmiela. Mimo to przystaję w pół kroku, widząc, jak Igor suszy włosy znanej aktorki, które w miękkich lokach opadają na ramiona. Nigdy nie domyśliłabym się, że to farba, ale na pulpicie zauważam pędzle i plastikowe miseczki, w powietrzu zaś unosi się charakterystyczny, słodkawy zapach. No cóż, każdy ma jakieś tajemnice.

Wracam myślami do rzeczywistości, gdy zauważam, że oboje, Igor i Wiktoria Zawiślak, patrzą na mnie z konsternacją. Wściekam się, bo nie rozumiem, o co chodzi. Do diabła, nie jestem umówiona, ale tu chyba każdemu wolno wejść!

Tymczasem Igor dyskretnie daje mi znać, że coś jest nie tak. Dopiero widząc swoje odbicie w lustrach, zauważam, że moja twarz jest cała opuchnięta. Nie wiem, co mam powiedzieć, więc tylko gapię się na Igora, żądając, żeby sam się domyślił, dlaczego płakałam.

– Daj mi chwilę – prosi. – Zrób sobie kawę. Zaraz muszę wyjść, ale niedługo wrócę.

Mam ochotę się zbuntować i uciec stąd jak najdalej, ale zamiast tego bez słowa idę na zaplecze. Jestem wściekła. Na siebie. Za to, że nie potrafiłam trzasnąć drzwiami i wyjść. Co on sobie wyobraża? Że tak po prostu będzie mi mówił, co mam

robić? Mimowolnie uśmiecham się przez łzy. Przecież tak właśnie jest. Zaczarował mnie, po prostu opętał.

Pomieszczenie było kiedyś kuchnią, bo znajduję tu zlewozmywak, niewielki stół z dwoma krzesłami oraz dwie szafki. Na jednej z nich stoi ociekacz, na drugiej czajnik elektryczny. W szafce pod nim znajduję puszkę z kawą, cukierniczkę, filiżanki z Paradyża oraz kilka kubków. Bez zastanowienia sięgam po bordowy, w którym Igor zrobił mi wczoraj kawę.

W zlewie zauważam granatowy kubek z porządną porcją fusów. Pewnie Igora. Zmywając, zastanawiam się, czy on cokolwiek je, bo nigdzie nie widzę śladu po drugim śniadaniu, i zaraz uświadamiam sobie, że ja też mam pustki w lodówce. Po drodze z pracy miałam zrobić zakupy, ale zamiast tego przybiegłam tutaj. No pięknie. Wzorowa gospodyni ze mnie, nie ma co. Nic dziwnego, że Hubert znalazł sobie inną. Honoratka pewnie przygotowuje mu kolorowe kanapeczki i dwudaniowe obiady, nie mówiąc już o podwieczorku.

Czuję, że robi mi się gorąco. Mam ochotę otworzyć okno, by chłód wiosennego popołudnia orzeźwił mnie trochę, jednak uświadamiam sobie, że przeciąg mógłby przewiać klientkę Igora, więc rezygnuję.

Ledwie słyszę, że wychodzą. W drzwiach zgrzyta klucz. Przez chwilę czuję niepokój, że Igor to psychopata, że specjalnie mnie tu zamknął, ale zaraz przypominam sobie, że to parter i wyjście przez okno nie stanowiłoby wielkiego problemu. Ganię się za niedorzeczne pomysły. Nie wiem, skąd takie rzeczy przyszły mi do głowy. Może to ze zmęczenia? Ostatnie tygodnie dały mi mocno w kość, chyba zasłużyłam na dłuższy urlop. Nie mogę przecież codziennie wieczorem dzwonić do pana Yamady i żebrać o resztki z kuchni. To, że pani Yamada zdecydowała się interweniować, jest aż nadto wymowne.

Państwa Yamada znam od dziecka. Kenji Yamada ukończył z najlepszą notą jedną z tokijskich szkół gastronomicznych. By uczcić sukces, zrobił wraz z żoną coś wyjątkowo szalonego, mianowicie wybrał się na wycieczkę do Polski. Pani Yuki

podobno zakochała się w domu przy ulicy Chabrowej, w którym obecnie mieszkają, i zapragnęła tu zostać. Nie znając zupełnie polskiego, zgłosili się do małej szkoły językowej, w której pracowała moja mama. Widząc zapał pary Japończyków, mama postanowiła im pomóc nie tylko jeśli chodzi o naukę polskiego, ale także załatwianie spraw w urzędach.

Państwo Yamada przez cztery lata mieszkali w wynajmowanym mieszkaniu, dwie klatki od nas, ale gdy urodził się Yan, dom marzeń pani Yuki został wystawiony na sprzedaż i pan Yamada stanął na głowie, by go kupić. Pani Yuki zajęła się domem i wychowaniem syna, a jej mąż wydzierżawił od miasta zrujnowany lokal, w którym w końcu udało mu się otworzyć japońską restaurację. Yan po szkole pomagał ojcu w kuchni, ale na studia pojechał do Tokio. Wrócił, przywożąc żonę i przyjaciela, pana Taro, który teraz też pracuje w rodzinnej restauracji Yamadów.

Kiedyś często odwiedzałam pana Yamadę w lokalu, ale gdy cztery lata temu umarła moja mama, nasza znajomość mocno się rozluźniła. Ograniczyłam się do zamawiania jedzenia przez telefon, dlatego nie wiedziałam, że w restauracji zmienił się wystrój. Teraz czuję wyrzuty sumienia. Bo przecież wiem, że w naturze Japończyków nie leży wtrącanie się w cudze sprawy, z reguły unikają tego jak ognia, udając, że niczego nie widzą. A jednak pani Yamada uznała, że należy nagiąć normę społeczną, by mnie porządnie nakarmić. Dobrze wie, że teraz, po śmierci mamy, nie mam już nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić o pomoc.

W języku japońskim funkcjonują dwa słowa oznaczające matkę. O swojej mamie mówi się *haha*, a czyjaś matka określona jest mianem *okāsan*. Czuję ukłucie w sercu, gdy przypominam sobie, że właśnie w ten sposób zwracałam się do pani Yuki. Byliśmy rodziną. Byłam częścią ich rodziny.

Hubert nie rozumiał tej więzi. Zawsze gdy rozmawiałam przez telefon po japońsku, boczył się na mnie i mówił, że to barbarzyński język. Po remoncie salonu dopilnował, by wszystkie moje książki i płyty zostały w piwnicy. Nie chciałam się kłócić, więc pozwoliłam na to wszystko, a teraz żałuję, bo

skrzywdziłam ludzi, którym naprawdę na mnie zależy. Muszę schować dumę do kieszeni i podziękować Yuki za życzliwość.

Igor wrywa mnie z zamyślenia, stawiając na stole reklamówkę z jedzeniem na wynos. Zaskoczona unoszę brwi. Co to ma być?

– Pomyślałem, że możesz być głodna. Po drodze miałem tylko włoską knajpkę.

Kawa jest już zimna, ale i tak dopijam resztkę. W tym czasie Igor rozpakowuje spaghetti i sięga do szafki po sztucce.

– Czemu nie powiedziałaś, że taki ekskluzywny z ciebie fryzjer? – rzucam zaczepnie, gdy zabiera się do jedzenia.

Wzrusza ramionami i sięga widelcem po kolejną porcję makaronu.

– Nie pytałaś – odpowiada już z pełnymi ustami.

– To nie jest wyjaśnienie – mówię poirytowana. – Dlaczego?

Przełyka pożywienie i spogląda na mnie, grzebiąc nerwowo w styropianowym pojemniku.

– A czy to ważne? Czy to by coś zmieniło? – odpowiada pytaniem na pytanie. – Czy wtedy nie ścięłaś włosów?

Tego nie wiem, ale wcale nie czuję się uspokojona. Wręcz przeciwnie. Igor wciągnął mnie w jakąś grę i tylko on zna zasady.

– Słuchaj, nie mam nastroju do żartów. – Pochyliłam się w jego stronę, obrzucając piorunującym spojrzeniem. Ale mój gniew nie robi na nim wrażenia. Wydaje się nie rozumieć, o co mi chodzi.

– Chciałaś obciąć włosy, to obciąłem – podejmuje spokojnie. – W czym problem?

Zdenerwowana zaciskam dłonie w pięści i kładę je na blacie. Przez chwilę wydaje mi się, że robi sobie ze mnie żarty, że chce mnie sprowokować, ale zdziwienie, które maluje się na jego twarzy, jest tak szczere, że ręce mi opadają. Nie, faceci sami niczego się nie domyślą, muszą mieć wyłożoną kawę na ławę.

– Dlaczego nie powiedziałaś, ile bierzesz za ścięcie? Dlaczego nie powiedziałaś, ile czeka się na wizytę u ciebie? Dlaczego dopiero koleżanki z pracy musiały mi to uświadomić?

Igor bezskutecznie próbuje ukryć rozbawienie. Mimo wyraźnych wysiłków uśmiech niebezpiecznie krąży w kącikach jego kształtnych ust. Zastanawiam się, czy kolejny pocałunek byłby równie namiętny, jak ten wczoraj, i mam ochotę wylać sobie na głowę wiadro zimnej wody. Kompromituję się na całej linii.

– Terminy są tak odległe, bo mam pewne zobowiązania, przez co nie zawsze mogę siedzieć tu bite osiem godzin. Planowałem pozbyć się części klientek, dlatego podniosłem ceny, ale wtedy zleciało się ich o wiele więcej, przez co czas oczekiwania się wydłużył. Tak błędne koło się zamyka. Ot i cała tajemnica.

– Efekt Veblena – wyrywa mi się.

Spogląda na mnie zaskoczony.

– Co takiego?

– Wzrost wartości podaży spowodowany wzrostem ceny. Paradoks, który ma miejsce chyba jedynie w sektorze dóbr luksusowych.

Uśmiecha się zażenowany.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz – przyznaje szczerze.

– Ekonomia – dopowiadam. – Moja działka.

Jemy, póki spaghetti jeszcze do końca nie wystygło. Nie przepadam za włoską kuchnią, ale doceniam gest Igora, więc nie marudzę. Łapię się na myśli, że powinnam go kiedyś zabrać do „Oishii”, choćby na zwykłe nigiri z łososiem. Nawet nie przyjmuję do wiadomości, że mógłby nie lubić surowej ryby.

– Jak remont? – pyta jakby od niechcena.

– Dopiero się zacznie – wyjaśniam. – Jestem wstępnie umówiona na przyszły tydzień.

– I już kupiłaś farby? – Nie potrafił ukryć zdziwienia. – Bez

żadnej konsultacji?

Nie rozumiem, dlaczego się czepia.

– Farba to farba, przecież się nie zepsuje. Najwyżej dokupię więcej.

Igor nie komentuje tego. Nie musi. Po jego minie widzę, co sądzi o moim pomysle.

Zerknęłam na zegarek, by zyskać na czasie. Na szczęście dobra wymówka sama o sobie przypomniała. Mój smartfon brzęczy, sygnalizując nadejście nowej wiadomości. To Zoja informuje, że będzie na mnie czekać pod butikiem przed dziesiątą rano.

– Chyba powinnam już iść – mówię. – Umówiłam się jutro z koleżanką na zakupy – wyjaśniam, choć wiem, że wcale nie muszę.

Igor chyba nie ma nic przeciwko moim wynurzeniom, bo posyła mi czarujący uśmiech.

– Bawcie się dobrze. Trochę rozrywki ci się przyda.

Wstaję i biorę kubek, ale Igor każe mi go odstawić. Mówi, że jest już dużym chłopcem i potrafi posprzątać ze stołu. Rozbawiona życzę mu dobrej nocy i wychodzę.

Mam jeszcze piętnaście minut, by zrobić zakupy. Sprzedawczynie obrzucają mnie niechętnymi spojrzeniami, ale nie zwracam na to uwagi. Wkładam do koszyka pomidory, twaróg, chleb wieloziarnisty, masło i jakieś suszone owoce, które w paczkach leżą tuż przy kasie. Mam ochotę kupić wino, ale nie chce mi się już wracać do regału. Zresztą przypominam sobie, że w domu od wczoraj mam szampana.

W mieszkaniu wita mnie cisza, ale zdążyłam się już do tego przyzwyczać. Wkładam zakupy do lodówki, a później napełniam wodę do wanny. Łazienka jest spora, powiększona kosztem jednego z pokoi, więc Hubert uparł się, by zamontować tu zarówno wannę, jak i prysznic, ale, prawdę mówiąc, nigdy z niej nie korzystałam. Z długimi włosami zawsze łatwiej było mi opłukać się pod natryskiem, jednak teraz problem zniknął,

mogę więc przygotować sobie prawdziwą kąpiel z bąbelkami.

Otwieram z hukiem szampana, nalewam kieliszek, zabieram butelkę i wchodzę do wanny. *Przyjedź po mnie rano.* – Wysłałam jeszcze wiadomość do Zoi i zanurzam się w przyjemnie ciepłej wodzie.

Płyn o zapachu pomarańczy działa odprężająco. Przymykam oczy i wydaje mi się, że jestem gdzieś indziej. Odnajduję dłonią kieliszek i upijam łyżek. Nie jestem koneserem, jeśli chodzi o alkohol, wzięłam pierwszego z brzegu szampana, ale okazał się dobry, więc ochoczo wypijam do dna i nalewam kolejną porcję. Po trzecim kieliszku czuję lekki szum w głowie.

Moje myśli krążą nieskrępowane. Można było przypuszczać, że pojawi się w nich Hubert z tą głupią babą, tymczasem przed oczami staje mi przystojny mężczyzna, o którego istnieniu jeszcze kilka dni temu nie miałam zielonego pojęcia. Teraz już wiem, dlaczego jego włosy uznałam za zadbane. Przecież Hubert nawet nie wiedział, że istnieje coś takiego jak odżywka do włosów, ani tym bardziej, że mógłby jej użyć. Niech to szlag!

Zrywam się, strącając przy okazji pustą już butelkę, ale nie schylam się, by ją podnieść. Szkło nie pękło tylko dlatego, że przed wanną leży gruby, miękki dywanik, jednak to mnie w tej chwili nie interesuje. Wyłączam światło i plaskając bosymi stopami po zimnej podłodze, idę do sypialni i mokra wsuwam się pod kołdrę. Nie potrafię powstrzymać łez, nawet się nie staram.

To wszystko ze zmęczenia – tłumaczę sobie. Muszę tylko odpocząć.

Zwijam się w kulkę i szczelniej otulam kołdrą. Przez czas jakiś leżę, wpatrując się w sufit, ale w końcu przychodzi sen i wybawia od wszystkich problemów.

*

Budzi mnie natrętne brzęczenie domofonu. Gdy siadam, kołdra

ześlizguje się ze mnie i uświadamiam sobie, że jestem naga. No pięknie. Z trudem odnajduję szlafrok i zakładając go, zmierzam w stronę domofonu. Na dole oczywiście czeka Zoja.

– Daj mi pięć minut – proszę, naciskając przycisk.

Przyjaciółka wygląda jak milion dolarów. Musiała nakręcić na noc włosy na grube wałki, bo teraz opadają na ramiona w lekkich spiralach. Do tego dopasowana malinowa kiecka przed kolano, czarne szpilki i ulubiona torebka, którą wyhaczyła gdzieś w markowym outlecie. Jeśli chodzi o makijaż, ograniczyła się chyba jedynie do maskary i błyszczyka. Ma zasadę, że po całym tygodniu chodzenia w tapecie, w weekend pozwalała skórze odetchnąć. O ile oczywiście nie ma żadnego wyjścia.

– Potrzebujesz co najmniej pół godziny – rzuca, mierząc mnie krytycznym spojrzeniem. – Ogarnij się jakoś, zrobię nam kawę. Nie zdążyłam wypić, bo myślałam, że się spóźnię.

Zostawiam Zojkę w przedpokoju, wierząc, że sama odnajdzie się w kuchni, i wracam do sypialni. Sięgam do komody po bieliznę. Po chwili wahania wybieram czarny koronkowy komplet z Calzedonii. Jeśli mam coś przymierzać, to lepiej, żeby Zoja nie przyłapała mnie w porozciągany cyckonoszu. Tego chyba by mi nie wybaczyła.

Słyszę, że Zoja nalewa wodę do czajnika, a później brzęczą kładzione na stół kubki. Przypomina mi się ten, w którym piłam kawę u Igora, i od razu otrząsam się ze wspomnień. Po co ja w ogóle o tym myślę? Muszę ułożyć swoje życie od nowa i z pewnością nie będzie w nim miejsca dla żadnego mężczyzny. Przecież z facetami to tylko same kłopoty.

– Krycha, żyjesz tam? – słyszę głos dobiegający zza ściany.

No pięknie... Nawet nie zdążyłam jeszcze zapiąć stanika.

– Zaraz przyjdę – odpowiadam.

Nie ociągając się, wydaję z szafy ulubione jasne jeansy i kobaltową tunikę. Przyjaciółka pewnie nie będzie zachwycona, ale w końcu jedziemy na zakupy.

W kuchni na stole zastaje parujący kubek z kawą oraz talerz z kanapkami.

– Uznałam, że nie jadłaś śniadania – wyjaśnia Zoja, trzymając w splecionych dłoniach swój kubek.

Do butikiu docieramy dopiero przed jedenastą. Jak zwykle tłumów tu nie ma, po części zapewne z powodu witryn rodem z PRL-u. Przechodząc obok, myślałam, że w sklepie są jedynie ciuchy dla ekscentrycznych starszych pań, ale wtedy Zoja wynurzyła się z wnętrza butikiu i wciągnęła mnie do całkiem innego świata. Okazało się, że to raj tylko dla wtajemniczonych, że trzeba mieć specjalne względy, by zrobić tu zakupy. Jednak jeśli już zostało się dopuszczonym do tego tajemniczego świata, na klienta czeka miła obsługa na naprawdę wysokim poziomie.

Po godzinie zaczynam zastanawiać się, czy była jakaś podwyżka, o której nie mam pojęcia, bo Zoja wynajduje coraz to nowe ciuchy. Wzięła do przymierzenia tunikę, szyfonową bluzkę, modne jeansy i ze trzy sukienki.

– Nie grymasz – strofuje mnie. – Bo zaraz sama ci coś znajdzie.

Ale ja przesuwam kolejne wieszaki i nie potrafię się zdecydować. Może to przez tego szampana wczoraj? – zastanawiam się.

Ubrania wiszą na wieszakach, podzielone na kolorystyczne sektory. Przejrzałam już zielenie i błękity. Omijam róż i zatrzymuję się przy fioletach. Wpada mi w oko liliowa tunika, ale po chwili zastanowienia uznaję, że kolor jest trochę za blady. Dalej znajduję identyczną, ale w bardziej intensywnym odcieniu. Jest piękna, z dekoltem zdobionym lamówką i delikatną koronką w kwiatowy wzór. Sprawdzam materiał. Jest miękki i rozciągliwy, pewnie się dopasuje, ale przecież i tak muszę przymierzyć.

Idę do przymierzalni. Słyszę, że obok Zoja kotłuje się ze swoimi ciuchami. Gdy przeciągam tunikę przez głowę, zagłąda ubrana w czarną sukienkę za kolano, w sam raz do pracy.

– Bosko! Nigdy bym nie pomyślała, że to taki twarzowy kolor – stwierdza, poprawiając zawinięty materiał na ramionach. – Do

tego czarne legginsy, szpilki i możesz ruszać na podbój świata.

– Zwolnij, szalona – próbuję przystopować przyjaciółkę. – Dopiero się rozwiodłam.

Zoja opiera dłoń na biodrze, robiąc przy tym minę w stylu: „tak, pogadaj sobie”.

– Bla bla bla – komentuje. – Jesteś oficjalnie wolna, więc nic nie stoi na przeszkodzie. Przecież nie każę ci od razu wychodzić za mąż. Bycie singlem też jest fajne – zapewnia, uśmiechając się szeroko. – Złamiemy kilka męskich serc.

Przymykam oczy, bo na usta ciśnie mi się komentarz. Zoja nie związała się z nikim, odkąd trzy lata temu, na miesiąc przed ślubem, rozstała się z narzeczonym. Nie wiem, o co poszło, nie chciała o tym rozmawiać. Od tego czasu była w kilku nieformalnych związkach, ale chyba boi się zaufać kolejnemu facetowi. Więc dlaczego nakłania mnie, bym sama to zrobiła?

– Dzień dobry, może w czymś pomóc? – pyta znajoma ekspedientka.

Potrząsam głową i wtedy zwraca uwagę na moją fryzurę.

– A więc to pani ścięła włosy w salonie u Sygniewskiego – mówi rozgorączkowana. – Mogłam się domyślić. Nie żał pani było? Takie włosy są warte majątek. Ile za nie zaproponował? Pewnie nie wziął za ścięcie ani grosza, ale powinien oddać różnicę. Ciekawa jestem, na ile je wycenił.

– Tajemnica handlowa – śmieję się, by ukryć zakłopotanie.

Nie mam ochoty drażnić tematu. Zoja to zauważyła i prosi kobietę o pomoc w zlokalizowaniu pasujących na mnie spodni. Zostaje sama i chce mi się płakać. Przecież chyba nie mógł mnie tak oszukać? Zaznaczyłam wyraźnie, że chcę oddać włosy na perukę dla dziecka chorego na raka.

W podłym nastroju przymierzam dwie pary spodni, a później zabieram wszystko i idę do kasy. Zoja wpycha mi jeszcze zgrabną torebkę i płacimy za zakupy. Mam ochotę wrócić do domu, ale przyjaciółka nalega jeszcze na kawę i ciastko. W sumie, dlaczego nie? I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Jedziemy w okolice Starego Rynku, na Młyńską. Zoja mówi, że otworzyli tu nowy lokal i warto go sprawdzić. Podchodzę do tego sceptycznie, zwłaszcza widząc szyld z napisem *Buduar*.

Wnętrze kawiarni jest ciężkie, urządzone z barokowym przepychem. Widzę tapicerowane krzesła z miękkimi podłokietnikami i dwuosobowe sofy imitujące szezlongi. Obicia mebli utrzymane są w ciemnej tonacji. Stylizowane na antyki stoły również wyglądają na starsze, niż są w rzeczywistości. Obleczone tapetą w złote wzory ściany potęgują ponury, w moim odczuciu, nastrój. Chyba miało być szykownie, ale te wielkie lustra w masywnych, złotych ramach, powielające moje odbicia, sprawiają, że mam ochotę stąd wyjść, bo czuję się osaczona. Przytłacza mnie to miejsce. Nie jestem pewna, czy będę umiała się tu zrelaksować, ale Zoja zmierza wprost do jednego ze stolików, więc podążam za nią.

Zojka zamawia cappuccino i sernik, ja zaś decyduję się na latte macchiato i kawałek tortu czekoladowego. W końcu muszę jakoś uczcić zmianę stanu cywilnego. Na weselu był tort, więc po rozwodzie też powinien się pojawić, by zamknąć etap życia o imieniu Hubert.

Gdy kelnerka stawia na blacie zamówienie, od razu sięgam po moją kawę. Muszę czymś zająć ręce, bo inaczej pewnie zaczęłabym wykręcać palce ze zdenerwowania.

– Krysiu, masz to już za sobą. – Zoja sięga po moją dłoń i przytrzymuje przez chwilę w swojej. Ten nieoczekiwany przejaw bliskości wprawia mnie w konsternację. Jest w nim coś dziwnego. Coś, co budzi we mnie niepokój. A może po prostu zwariowałam? Zoja przecież zna niemal z autopsji traumę, którą przeszłam. Ja facet zostawił przed ślubem, mnie po ślubie. Może sama oczekiwała tego typu wsparcia, dlatego teraz okazuje je mnie?

– Mam ochotę na jakiś kryminał – bąkam, starając się, by mój głos brzmiał naturalnie. – Polecisz coś?

Na szczęście Zoja podejmuje temat i zaczyna opowiadać o książce, którą ostatnio czytała. Ale ledwie jej słucham, błędząc wzrokiem gdzieś za oknem.

Wstrzymuję oddech. Z kamienicy naprzeciwko wychodzi Igor. Dzieli nas spora odległość, ale rozpoznaję go bez trudu. Ma na sobie jeansy i czarną wiosenną kurtkę. Nie może mnie zobaczyć, ale odruchowo się kulę. Tuż za nim wychodzi dziewczynka. Trudno mi określić jej wiek, ale może mieć około dziesięciu lat. Jasne włosy ma związane w dwa kucyki. Igor bierze od niej niewielki plecak, a później wsiadają do granatowego forda.

– Muszę iść do łazienki – rzucam nagle, zrywając się z miejsca.

Zamykam się w kabinie i ukrywam twarz w dłoniach, próbując uspokoić rwący się oddech. Co ja sobie myślałam? Że taki facet jest wolny? Było mu mnie żal, dlatego przyniósł kolację. Skoro ma córkę, musi też mieć i żonę, to jasne jak słońce. Nic przecież nie deklarował, sama sobie coś wkręciłam.

Wszystko brzmi logicznie, więc dlaczego łyżę pieką mnie pod zaciśniętymi powiekami? Trzepoczę rzęsami w nadziei, że je powstrzymam, ale nie wytrzymuję i zaczynam szlochać nad swoim spapranym życiem. Naprawdę nigdy nie przypuszczałam, że rozwiędę się jeszcze przed trzydziestką, że mężczyzna, któremu ślubowałam miłość i wierność, zamieni przysięgę małżeńską w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością.

Nie był ciebie wart – powtarzam bezgłośnie. Nie potrzebujesz żadnego faceta. Z nimi są tylko same problemy.

Trwa to chwilę, ale w końcu się uspokajam. Nurtuje mnie, jak usunę smugi po tuszu, skoro torebkę zostawiłam koło Zoi, i chyba to ostatecznie pomaga mi się wziąć się w garść. Wychodzę z kabiny i zerkam w lustro, by ocenić rozmiar tragedii. Nawet nie próbuję sama tego ścierać.

– Co się stało? – pyta przyjaciółka, unosząc się z miejsca, gdy wracam do stolika.

– Mydło prysnęło mi do oczu – kłamię. – Jakoś krzywo nacisnęłam ten guzik.

Zoja nie zadaje więcej pytań, tylko sięga do torebki po chusteczki do demakijażu i po kilku chwilach ponownie zaczynam przypominać człowieka. Ale kawa już mi nie smakuje,

a ciasto też wydaje się jakieś za słodkie. Marudzę tak bardzo, że w końcu Zoja decyduje się odwiedzić mnie do domu.

Dla zabicia czasu od razu nastawiam pranie. Przypominam sobie o kontrakcie z włoskim odbiorcą. Wszystko w zasadzie zostało już dopięte drogą mailową, ale Włosi mieli chyba ochotę na wycieczkę, bo zapowiedzieli się z wizytą na przyszły tydzień. Prezes postanowił zorganizować bankiet, ale problemem jest bariera językowa, więc potrzebowaliśmy tłumacza. Zaproponowałam Roberta Tomczyka z „Lingua Franca”. To właśnie z nim współpracowałam podczas tych negocjacji, więc siedzi w temacie. Podczas korespondencji emailowej i rozmów telefonicznych sprawiał wrażenie profesjonalisty, nie mam więc wątpliwości, że na żywo również podoła zadaniu. Termin został już zaklepany. Mam nadzieję, że Klaudia, sekretarka prezesa, stanie na wysokości zadania i wszystko ogarnie. Jednak w poniedziałek, dla formalności, zapytam, jak się sprawy mają. Nie chcę mieć później wyrzutów sumienia.

Zastanawiam się, co mogę zrobić na obiad, i wtedy przypominam sobie o pojemnikach do *bentō* leżących w reklamówce w samochodzie. Na śmierć o nich zapomniałam, a przecież powinnam je porządnie umyć i oddać.

Wyprawa do samochodu i z powrotem trwa prawie dwadzieścia minut, bo spotykam po drodze sąsiadkę z piętra wyżej, która wciąga mnie w rozmowę o remoncie elewacji. Prawdę mówiąc, nic mnie nie obchodzi, czy budynek będzie pomalowany na zielono, czy na pomarańczowo, jednak z jakiegoś względu ją to bardzo interesuje. Zaraz też okazuje się, co jest głównym powodem tej kuriozalnej rozmowy, bo Zośnicka pyta mnie o małżonka. Tak niby od niechcienia, informuje mianowicie, że pożyczyła mu jakąś książkę. Jakbym nie wiedziała, że od czasów wczesnostudenckich Hubcio czytywał jedynie nagłówki w gazetach. Wiem, że kiedyś, zanim wyszła za męża, Hubert jej się podobał, więc nie bez odrobiny złośliwości rzucam, że pszczołka przeskoczyła na kolejny kwiatek. Zostawiam ją z rozdziawioną ze zdziwienia buzią i wracam do siebie.

Gdy kończę wycierać pojemniki, pralka sygnalizuje koniec

cyklu. Znakomicie, wszystko się zgrało. Przez roztargnienie zapomniałam, na jaki program nastawiłam ciuchy, a później bałam się sprawdzić, czy aby nie wcisnęłam jakichś guzików z dodatkowym płukaniem, czy czegoś innego wydłużającego cykl prania. Zaraz po kupnie pralki chciałam wypróbować kilka reklamowanych opcji i głupie prześcieradła prały się sześć godzin. Postanowiłam wtedy więcej nie ryzykować, ale przecież myśląc o pracy, oparłam się o automat i coś pstryknęło.

Wieszam bluzki i tunikę od razu na wieszakach, żeby łatwiej je było później wyprasować, a cała reszta ładuje na sznurkach. Spogładam za zegarek. Dochodzi szesnasta.

W „Oishii” jest więcej klientów niż ostatnio, ale po chwili znajduje się miejsce i dla mnie. To niewielki stolik przylegający do baru, przy którym pan Yamada przygotowuje sushi bądź dokańcza potrawy. Normalnie stoją tu dekoracje, ale jeśli przychodzi ktoś z rodziny, w mig pojawia się nakrycie.

– Jak miło cię widzieć, Krysia – wita mnie, nalewając od razu czarbkę herbaty i przesuwając ją w moim kierunku.

– *Tadaima.* – Przypomina mi się dawno niewypowiadany japoński zwrot, oznaczający „już jestem z powrotem”, używany, by obwieścić powrót do domu. Kiedyś państwo Yamada twierdzili, że jestem członkiem rodziny, więc po wejściu do ich domu powinnam anonsować się w ten sposób.

Zauważam, że pan Yamada przygląda mi się z niepokojem. Czyżby odczytał to dwuznacznie? Chyba tak, bo zaraz pyta:

– *Daijōbu desu ka?*^[4]

Powinnam odpowiedzieć, że tak, oczywiście, i również zapytać o samopoczucie, ale zamiast tego tylko kręcę głową.

– Mój mąż znalazł sobie inną – mówię cicho. – Jestem już po rozwodzie. Czuję się samotna.

– *Sō desu ne...*^[5] – Pan Yamada kiwa głową, jakby takiej odpowiedzi właśnie się spodziewał. – Żona martwi się o Krysę – dopowiada. – Mówi, że musi się dziać coś bardzo złego, skoro Krysia tak dawno nas nie odwiedzała.

Odwracam wzrok, ogarnięta wyrzutami sumienia. Ani ojciec, ani mama nie mieli rodzeństwa, więc gdy zmarli, zostałam zupełnie sama. Wtedy też państwo Yamada zapewnili, że są moją rodziną. Zresztą Yan, ich syn, zawsze nazywał mnie *onēsan*, czyli starszą siostrą. To było bardzo miłe, ale po śmierci mamy czułam, że nie powinnam żerować na ich dobroci. Tymczasem oni chyba naprawdę oczekiwali, że będę na nich polegać.

– Krysia strasznie wychudła – zauważa z wyrzutem pan Yamada. – Mama Yuki zaprasza jutro na obiad. Nie wolno odmawiać – dodaje, gdy widzi, że chcę zaprotestować. – Mamy dzisiaj sporo gości, Yan i Taro-kun uwijają się w kuchni, ale daj tacie chwilę, zaraz przygotuje coś dobrego.

Nie mam szansy zaprotestować, bo zanosi do jednego ze stolików gotowy zestaw sushi, a później mija mnie bez słowa i znika w kuchni. Siedzę skonsternowana, ale nie mam czasu, by pozbierać myśli, bo z kuchni wyłania się ubrany w kuchenny fartuch Yan. Nic się nie zmienił od czterech lat, kiedy to widziałam go po raz ostatni. Japończycy są chyba uprzywilejowanym narodem, bo czas ich oszczędza.

– Krysia, *onēsan*, całe wieki cię nie widziałem – mówi z wyrzutem. – Myślałem już, że nie lubisz japońskiej kuchni – dodaje czystą polszczyzną.

– Jak nie lubię? Przecież jestem stałą klientką. Gdy składam zamówienia, nie potrzebuję podawać adresu. Pytasz tylko, czy do pracy, czy do domu – zauważam.

Yan ściąga usta, by powstrzymać uśmiech.

– Masz rację, ale to nie to samo. Tata mówił, że przyjdiesz jutro. Już dzwoni do mamy i planuje ucztę.

Kulę się zakłopotana. Nie zasłużyłam na takie traktowanie. Przecież odsunęłam się, nie interesowało mnie, co u nich słychać. Po części było to spowodowane niechęcią Huberta, jednak nie powinnam do tego dopuścić.

– Yan, wracaj! Pilnuj ryżu! – woła pan Yamada, wyłaniając się z kuchni z parującą miseczką. Gdy stawia ją przede mną,

zauważam, że to miso z tofu i sezamem. Pamiętam ten smak jeszcze z dzieciństwa, gdy po szkole szłam do domu państwa Yamada, bo rodzice siedzieli zazwyczaj do późna w pracy. Pani Yamada codziennie gotowała jakieś pyszności i w ten oto sposób stałam się wielbicielem japońskiej kuchni. – Jedz, Krysia – zachęca pan Yamada. – Trzeba jeść, żeby być silnym.

Zaraz po miso lądują przede mną przygotowane naprędce domowe dania w postaci makaronu z warzywami w sosie sezamowym, ryżu *gohan* i kawałków smażonej ryby. Jest też sałatka z surowych warzyw. Wszystko wygląda cudownie, a smakuje jeszcze lepiej.

– *Dōmo arigatō*[\[6\]](#). – Czuję się szczęśliwa. Wszystkie moje zmartwienia gdzieś umykają, nie mają szans w starciu z tą kulinarną uczcą.

Wychodzę z „Oishii” syta i zadowolona. Plany na jutro też cieszą. Już w samochodzie uświadamiam sobie, że idąc po tak długiej przerwie w odwiedzinach do państwa Yamada, powinnam zabrać jakieś drobne upominki. Zerkam na zegarek. Świetnie, mam sporo czasu, by coś kupić.

Chodzę po galerii, coraz głębiej pogrążając się we wspomnieniach. Kenji i Yuki Yamada są w moim życiu od zawsze. Miałam przecież zaledwie rok, gdy zamieszkali w Polsce, więc odkąd sięgam pamięcią, oni już tu byli. Od kiedy tata Kenji zaczął pracować w restauracji, większość dnia spędzał poza domem, więc ja i mama dotrzymywałyśmy towarzystwa mamie Yuki. To Yuki uczyła mnie pierwszych słów po japońsku. Śmiała się później, że zamiast prostego *neko* oznaczającego kota, opanowałam *okāsan*, mama.

Uwielbiałam patrzeć, jak gotuje. Część produktów zamawiała z Japonii, ale potrafiła przygotować świetny *ramen* z tego, co można kupić na miejskim targowisku. Mama zrezygnowała z przygotowywania śniadania do szkoły, bo Yan zawsze miał dla mnie *bentō*. W klasie na początku wszyscy się dziwili, że siadałam na przerwie z moim japońskim bratem i razem jedliśmy dziwnie wyglądające potrawy, jednak później przywykli i co odważniejsi zaczęli pytać, czy mogą spróbować.

Przystaję przed wystawą sklepu z akcesoriami do domu. Można tu kupić wszystko: począwszy od sztucców, na pościeli kończąc. Zauważam filiżanki z kwiatowym motywem. Pamiętam, jak *okāsan* rozplakała się ze wzruszenia, gdy w japoński Dzień Matki podarowałam jej bukiet skomponowany z róż i goździków. Wydałam na niego całe kieszonkowe.

Bez wahania wchodzę i sięgam po jedną z filiżanek. Z bliska jest jeszcze ładniejsza: w kolorze écru, ze złotym paskiem i motywem drobnych róż i złotych listków. Uznaję, że będzie idealna, zwłaszcza że egzemplarze przeznaczone na sprzedaż są zapakowane w ozdobne pudełka.

Przechadzam się wśród półek i regałów, oglądając przeróżne bibeloty, ale nic nie zwraca mojej uwagi. Przecież nie kupię słonika ani tym bardziej świecznika na tealighty!

Już mam iść w stronę kasy, gdy zauważam wyeksponowane na stoliku kubki. Przypomina mi się, że *otōsan* potrafił w nieskończoność wyliczać zalety picia zielonej herbaty, jednak w domu, przed pracą, zwykle pił kawę. Wybieram biały kubek z czarnym kotem i napisem „Dajcie mi kawę, a nikomu nic się nie stanie”.

Decyduję, że skoro kupuję już kubek i filiżankę, to dla Yana i jego żony również powinnam kupić coś podobnego. Biorę filiżankę w chabry, podobną do tej, którą wzięłam dla *okāsan*, i zaczynam wybierać kubek dla Yana. Tu muszę uważać, nie chcę przecież, by jego żona myślała, że zagrażam ich rodzinie. Szczęśliwie zauważam taki z napisem Jasiak i wiem, że to jest strzał w dziesiątkę. Przecież tak na niego w dzieciństwie wołałam. Zresztą nie tylko ja, lecz także jego koledzy i koleżanki w szkole.

W nocy nie mogę zasnąć. Kręcę się z boku na bok, ale sen nie nadchodzi. Zapakowałam prezenty, później prawie do pierwszej czytałam książkę, ale dałam sobie spokój, gdy przestałam nadażać za fabułą. Wszystko na nic. Leżę okryta kołdrą i wpatruję się w sufit. Gdzieś za oknem mruga lampa.

Pewnie żarówka się przepala – przebiega mi przez myśl. To drżenie światła drażni mnie, już wołałabym, żeby w ogóle

zgasło. Znużona odwracam się na bok i naciągam okrycie na głowę. W sypialni jest ciepło, a mimo to trzęsę się z zimna. W końcu nie mogę wytrzymać, zrywam się z posłania i naciągam na piżamę gruby dres. Czuję się chora i wiem, że to wszystko wina Huberta. Kochałam go, a on w podły sposób zawiódł moje zaufanie. Nawet nie próbował się tłumaczyć. Nie wypierał się związku z Honoratką. Nie przeproszał, nie mówił, że to tylko głupia pomyłka, po prostu zabrał swoje rzeczy i wyprowadził się do niej.

Co zrobiłam źle? Naprawdę to taki wielki problem, że zarabiam więcej niż on? Przecież spełniałam wszystkie jego zachcianki!

Leżę zwinięta w kłębek pod kołdrą i szczękam zębami. Nie mogę się uspokoić. Tak dużo poświęciłam dla Huberta i ostatecznie zostałam z niczym. On będzie miał dziecko, rodzinę... A ja?

„Żona martwi się o Krysia-san”. – Jak bumerang powracają do mnie słowa pana Yamady. To nie to samo, ale przecież kogoś obchodzę. Mama Yuki po tylu latach przygotowała mi *bentō* i zaprosiła na obiad. Nawet Igor stanął po mojej stronie, udając przed Hubertem, że jest moim facetem.

Ta ostatnia myśl powoduje, że znów pochmurnieję. Igor mnie okłamał. Nie chce mi się wierzyć, że dziewczynka, z którą go widziałam, jest jego bratanicą lub na przykład córką kumpla. Igor nie wygląda na faceta, który ma kumpli. A skoro ma córkę, to pewnie żonę też ma. Przecież nie istnieje obowiązek noszenia obrączek. Zresztą w pracy byłoby mu niewygodnie z tą błyskotką.

Owijam się kołdrą jak naleśnik. Obiecuję sobie, że będę jeszcze szczęśliwa. Choćbym sobie miała, kurde, to szczęście sama narysować.

*

Budzę się, bo gdzieś na parterze ktoś trzaska drzwiami.

Sprawdzam, która godzina. No pięknie! Pół nocy przeleżałam z otwartymi oczami, a teraz dochodzi jedenasta! Jeśli się szybko nie ogarnę, będę spóźniona.

Szybki prysznic wcale nie ratuje sytuacji, bo ułożenie umytych włosów trwa wieczność. Kupiłam wczoraj suszarkę i próbuję wymodelować pasma tak, jak podpatrzyłam u Igora, ale nie wygląda to zbyt profesjonalnie, więc ostatecznie decyduję się podpiąć włosy do góry. Później zakładam wrzosową tunikę i dopasowane jeansy. Gdy jestem w końcu gotowa, jest za piętnaście druga, nie ma więc czasu na zjedzenie śniadania. Przegryzam tylko kromkę suchego chleba, by nie burczało mi w brzuchu, chwytam zapakowane wczoraj prezenty i wychodzę.

Pani Yamada czeka na progu.

– *Konnichiwa, okāsan*[\[7\]](#)– mówię wzruszona, gdy ściska mnie serdecznie.

– *Konnichiwa*, Krysia – odpowiada, z trudem panując nad drżącym głosem.

W salonie zastaję pana Yamadę, Yana, jego żonę. Dziecka nie ma, więc domyślam się, że to pora drzemki.

Wyciągam w stronę pani Yamady pierwszy z prezentów.

– *Okāsan, kore, hon no kimochi desu*[\[8\]](#)– recytuję tradycyjną formułkę i po chwili wręczam prezenty reszcie domowników.

Żona Yana spogląda na mnie zaskoczona. Pewnie nie spodziewała się, że całkiem nieźle radzę sobie z japońskim.

– *Sayaka desu*[\[9\]](#). Miło poznać – mówi łamaną polszczyzną. – Ja uczy mówić po polski.

Chwalę jej postępy, podkreślając, że nasz język musi być bardzo trudny dla cudzoziemców. Sayaka stoi przez chwilę zakłopotana, ale Yan szepce jej coś do ucha i po chwili jej oczy otwierają się szerzej w szczerym zdziwieniu, a uśmiech błądzi gdzieś w kącikach ust.

– Jasiek, coś ty jej powiedział? – pytam podejrzliwie.

Odpowiada, że nic strasznego, ale mu nie wierzę. Pewnie

napomknął, że notorycznie myliłam męża z więźniem[10]. No cóż, w nauce japońskiego też miałam swoje wzloty i upadki, a jeśli ta świadomość ma w jakikolwiek sposób pomóc Sayace odnaleźć się w polskiej rzeczywistości, nie mam nic przeciwko, żeby Yan napomknął jej o kilku moich spektakularnych błędach.

W czasie gdy rozmawiam z Jaśkiem i Sayaką, *okāsan* odpakowuje prezent i nawet nie próbuje ukryć wzruszenia. Niespodziewanie obejmuje mnie i dziękuje, mówi, że jest ze mnie dumna, a później wymyka się do kuchni.

Gdy siadamy przy stole, również pozostali domownicy, za przykładem *okāsan*, odpakowują podarunki. Cieszę się, że przypadły im do gustu. *Otōsan* zapowiada, że zabierze kubek do restauracji, a Sayaka zachwyca się subtelnym malunkiem kwiatów na filiżance.

– Krysia umie namalować dużo ładniejsze – stwierdza z przekąsem Yan. – Wszystkie obrazy wiszące u nas w domu to dzieła Krysi.

Czuję, że moje policzki oblewają się rumieńcem. W liceum rzeczywiście malowałam tuszem i akwarelami, trochę naśladowując styl japońskich drzeworytów, jednak na studiach nie miałam już na to za wiele czasu, a po podjęciu pracy nawet nie próbowałam do tego wrócić.

– *Hontō ni?*[11] – Sayaka nie może wyjść ze zdziwienia. – Krysia jest artysta.

Okāsan wybawia mnie z niezręcznej sytuacji, wnosząc na tacy miseczki z pyszną zupą. To ona jest prawdziwą artystką. Mnie zaledwie chce się pokroić warzywa w kostkę, podczas gdy ona wycina z nich różne kształty jak kwiaty czy liście. To jest prawdziwe dzieło sztuki.

Kiedy posiłek dobiega końca, Yan pomaga mamie pozbierać naczynia i po chwili wracają, przynosząc świeżo zaparzoną zieloną herbatę oraz *kasuterę*. Nie mogę się powstrzymać i sięgam po pierwszy kawałek. Kiedyś nawet próbowałam upiec to ciasto, ale chyba dałam za dużo miodu, bo nie wyszło takie

pulchne jak to od *okāsan*.

– Pyszne, mamó – mówię, a twarz kobiety rozpromienia uśmiech.

– Zapakuję ci trochę do domu – obiecuje.

Po chwili z drzemki budzi się najmłodszy członek rodziny Yamada i Sayaka wstaje, by zająć się dzieckiem. Kwilenie ucicha i nie dalej niż po kilku minutach Sayaka wraca, prowadząc za rękę stającą niepewnie córeczkę.

– To jest Haru. – Przedstawia berbecia.

– *Kawaii!*[\[12\]](#) – Nie mogę powstrzymać okrzyku zachwytu. Mała ubrana jest w słodką niebieską sukieneczkę z motywem chmurek. Lśniące czarne włosy stoją dumnie, związane na czubku głowy w dwie kiteczki. Pulchną, okrągłą buzię rozpromienia szeroki uśmiech.

Okāsan uśmiecha się w ten sam sposób – myślę z rozrzewnieniem. Mała jest do niej bardzo podobna.

Nie dziwię się, że Yan i Sayaka wybrali dla córki takie imię. *Haru* w języku japońskim oznacza wiosnę. To symboliczny wybór, bo przecież imię jej babci – *Yuki* – oznacza śnieg. Koło życia.

Rozmawiamy jeszcze prawie dwie godziny, a później wracam do domu. Czuję się szczęśliwa, odmieniona. Już wiem, że nie jestem sama. Hubert już mi nie spędza w nocy snu z powiek. Czort z nim, najważniejsze, że dzięki jego odejściu odzyskałam rodzinę.

*

Unoszę głowę znad papierów, gdy słyszę, że ktoś wchodzi do biura. Jasiek. Już mam zapytać, co tutaj robi, gdy zauważam, że przyniósł dla mnie jedzenie.

– Od mamy – wyjaśnia, stawiając pudełko na biurku. – Uważa, że jesteś stanowczo za chuda, a ja wolę zaryzykować

klótnię z tobą niż z nią – dodaje, wyraźnie próbując mnie sprowokować.

Puszczam jego uwagę mimo uszu i każę podziękować matce w moim imieniu. Nic przecież tak nie dodaje energii jak porządny japoński posiłek.

– Sayaka jest tobą zachwycona – dodaje Yan. – Cały wieczór mówiła tylko o tobie. Dziwi się, że nie wystawiasz nigdzie obrazów.

Czuję, że płonę rumieńcem. Nie uważam się za wielką malarzkę i nie potrafię przyjmować komplementów. Malowałam, bo sprawiało mi to przyjemność, a nie z myślą o sprzedaży.

– Jasiek, daj spokój – proszę zakłopotana. – Taki ze mnie malarz jak z koziej dupy trąba.

– Serio mówię – zarzeka się. – Masz fajne biurko, pewnie nawet całkiem nieźle zarabiasz, ale marnujesz się tutaj. Powinnaś malować. To do tego zostałaś stworzona.

Nie chcę drażyć tematu, bo zdaję sobie sprawę, że Aurela podsłuchuje pod drzwiami. To sympatyczna dziewczyna, naprawdę ją lubię, ale czasami mogłaby pilnować własnego nosa. Pewnie nie wie, że przez szparę pod drzwiami widać, że ktoś tam stoi.

– Pogadamy kiedy indziej – obiecuję, ostatecznie ucinając rozmowę.

Jasiek, wychodząc, rzeczywiście mija się w progu z Aurelą, która udaje, że jej obecność jest najzupełniej przypadkowa.

– Twoja kawa, szefowo – stwierdza, z namaszczeniem stawiając filiżankę na biurku. – A ten przystojniak to kto? – pyta z pozoru niewinnie. – Jeszcze go tutaj nie widziałam.

Nie dziwię się, że Jasiek wpadł Aurelci w oko. Jak na Japończyka jest bardzo wysoki, ma około metr osiemdziesiąt wzrostu. Do tego szczupły, zadbany.

– To mój młodszy brat – wyjaśniam. – Żonaty i dzieciaty – dodaję po chwili, a uśmiech na twarzy asystentki ustępuje miejsca grymasowi zawodu. Znów nie trafiła.

– No trudno – mówi, siląc się na uśmiech. – Z facetami i tak są tylko same problemy. Będę teraz kopertować faktury. Jakby co, wiesz, gdzie mnie szukać.

Po drugim śniadaniu poświęcam godzinę na raport przygotowany przez Zoję i gdy kończę, przypominam sobie o tym nieszczęsnym bankiecie dla Włochów. Dzwonię do Klaudii, by upewnić się, że dograła kwestię obecności Tomczyka. Twierdzi, że tak. Mam nadzieję, że to prawda, bo znam jedynie kilka podstawowych zwrotów po włosku, a Mauricio Toscani i jego współpracownicy nie są zbyt skorzy do rozmawiania po angielsku. Japońskiego też na bank nie znają.

Po pracy podrzucam na Chabrową pojemnik po *bentō*. *Okāsan* prosi, bym została na herbatę, ale wymawiam się bólem głowy. Nie lubię kłamać, ale akurat dzisiaj nie nadaję się jako towarzystwo na miły podwieczorek. Już od południa nosi mnie i nie mogę znaleźć sobie miejsca.

– Zakupy – powtarzam pod nosem, wracając do samochodu żegnana przez pełne zawodu spojrzenie *okāsan*.

Ale przecież jestem dorosła, muszę sama o siebie zadbać. A zawartość mojej lodówki niechlubnie świadczy o tym, że moje życie się rozsypało. Przecież gdy Hubert mieszkał jeszcze ze mną, dbałam, żeby było co jeść, jednak po odkryciu zdrady przestało mi na wszystkim zależeć. To Zoja, wpadając w odwiedziny, powyrzucała przeterminowane rzeczy. Zrobiła awanturę, obiecałam poprawę, ale słowa nie dotrzymałam. To dlatego tak dużo schudłam. Zawsze byłam szczupła, ale teraz żebra wystają mi spod skóry. Pora to zmienić.

Oprócz jedzenia kupuję również szkicownik, kilka ołówków i gumkę do mazania. Nie malowałam już od tak dawna, że najlepiej będzie zacząć od ołówka.

Kiedyś od razu pociągałam kreski tuszem, używając do tego cienkiego pędzla do kaligrafii, ale teraz, po tylu latach przerwy, nie odważyłabym się. Moja dawna pewność siebie gdzieś się ulotniła i zapewne minie trochę czasu, zanim usłyszę jej nieśmiałe kroki oznajmiające, że wraca.

– Dzień dobry. – Wyrywam się z zamyślenia, słysząc za plecami damski głos.

Odwracam się, by zobaczyć, do kogo należy, i rozpoznaję sprzedawczynię z ulubionego butiku. Tę samą, która sugerowała, że Igor nieźle zarobił na moich włosach. W gardle rośnie mi gęła. Odwzajemniam uprzejmość z wymuszonym uśmiechem, modląc się w duchu, żeby kasjerka szybciej obsłużyła nastolatka stojącego przede mną. Na wszelki wypadek udaję też, że jestem bardzo zajęta szukaniem czegoś w torebce. Nie mam przecież ochoty rozmawiać z tą kobietą.

Zakupy zostawiam w korytarzu, zaraz za drzwiami. Nie chcę tracić czasu na wchodzenie do kuchni. Dobrze wiem, co muszę teraz zrobić. Zbyt długo żyłam, tłumiąc emocje. Mam już dosyć bycia wyrozumiałą i usprawiedliwiania wszystkich. Chcę wiedzieć, co jest grane.

Igor nie jest sam. Kończy modelować jedną klientkę, a druga, krępa blondynka, czeka na swoją kolej, grzecznie siedząc przy stoliku. Jej filiżanka jest pełna, więc pewnie przed chwilą przyszła.

– Zrobię sobie kawę – mówię, a on nie protestuje.

W zlewku znajduję brudne filiżanki. Sądząc po ich ilości, Igor miał już dziś sporo klientek. Pewnie jest zmęczony. Dziwne, ale ta myśl w jakiś sposób studzi moje emocje. Przecież nie mogę go tak z tym wszystkim zostawić. Nastawiam ekspres i biorę się za mycie naczyń.

Gdy chowam do szafki ostatnią filiżankę, zauważam pod oknem torbę z laptopem. Zakładam, że to właśnie z niego korzysta, umieszczając zdjęcia na swojej stronie, ale przecież nie mogę próbować się włamać, by to sprawdzić. Zresztą, co bym tam znalazła? Umowę kupna-sprzedaży moich włosów?

Pociągam nosem, bo czuję, że moje oczy wilgotnieją. Nie, nie chcę w to wierzyć. Igor nie mógłby zrobić czegoś tak podłego...

A może by mógł? Jakiś chochlik podsuwa natrętną myśl. Przecież w ogóle go nie znam. Nie wiem, jakim jest człowiekiem. Właściwie nic o nim nie wiem.

Odgłos suszarki cichnie i po chwili słyhać zamieszanie związane z podziwianiem efektu i płaceniem za usługę. Zachwycona klientka rozplywa się w superlatywach, wychwalając Igora pod niebiosa, a później wychodzi. Jeśli tak jest zawsze, to szczerze mu współczuję. Nie tego, że ma zadowolone klientki, ale że są tak zenująco wylewne.

Igor miga mi gdzieś w polu widzenia. Blondynka przenosi się na fotel przed lustrem. Igor jest miły i uprzejmy. Nawet jeśli się z nią nie zgadza w kwestii konieczności zwilżenia włosów, nie daje tego po sobie poznać. Pełen profesjonalizm.

Więc dlaczego myśl o tych moich nieszczęsnych, obciętych włosach nie daje mi spokoju? Dlaczego jest mi przykro? Przecież nie mam prawa wymagać od fryzjera, by był wobec mnie uczciwy. Skoro Hubert nie mógł być, dlaczego oczekiwałam, że Igor jest inny? Naprawdę aż tak bardzo potrzebuję kogoś, komu mogłabym zaufać?

Rozkojarzona, nie słyszę, że odgłosy dochodzące z salonu milkną. Nie słyszę, kiedy blondyna wychodzi, jednak unoszę głowę, czując na sobie wzrok Igora. Odruchowo wycieram mokre policzki i widzę na grzbiecie dłoni czarne smugi. No pięknie, tusz się rozmazał. Wyglądam jak panda.

– Dlaczego płaczesz? Posoliłaś kawę? – próbuje żartować, a ja mimo wszystko doceniam jego wysiłek. Przecież mógłby po prostu mnie stąd wyrzucić. Jestem kimś obcym, nie ma w stosunku do mnie żadnych zobowiązań.

– Znajoma... Znajoma zasugerowała, że mogłeś dostać majątek za moje włosy – jękam się, wyjawiając powód swego najścia.

Twarz Igora tężeje i wygląda teraz jak chmura gradowa. Co to jest? Zdenerwowanie? Gniew? To na mnie jest zły?

Bez słowa wyciąga z torby zalaminowaną kartkę formatu A4. To dyplom. Dla mnie. Serdeczne podziękowania za przekazanie włosów dla fundacji. Walczę ze łzami, uświadamiając sobie, jak źle go oceniłam. Podejrzenia o nieuczciwość były bezpodstawne. Otwieram usta, by przeprosić, ale zamiast tego słowa grzęzną

mi w gardle. Zaciskam mocno powieki, ale nie powstrzymam łez, nie tym razem. Słyszę, że płaczę. Zasłaniam dłonią usta, ale nie mogę przestać.

Igor próbuje mnie uspokoić, ale nie daje rady. W końcu przykłęka, obejmując moje kolana.

– Dlaczego jesteś tak podejrzliwa? – pyta zrezygnowany. – Dlaczego myślisz, że mógłbym cię okłamać? Co ten drań ci zrobił? Dlaczego pozwoliłaś tak się skrzywdzić?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Szloch raz po raz wstrząsa moimi ramionami. Jestem zła, że w ogóle tu przyszłam, przecież tylko się ośmieszyłam. Mam ochotę przestać istnieć.

Wstaję tak nagle, że Igor traci równowagę i leci do tyłu, ładując na tyłku.

– Muszę iść – rzucam, wybiegając na korytarz.

Chcę wykorzystać efekt zaskoczenia i nie dać mu możliwości dogonienia mnie, więc gnam co sił i przystaję tylko na chwilę, by wstukać kod w domofonie. Ale bezpiecznie czuję się dopiero za drzwiami mieszkania. Wymieniłam zamki, więc Hubert nie może tu już wejść nieproszony. Nikomu nie pozwolę się zranić. Nigdy więcej.

*

W nocy nie mogę zmrużyć oka. Gapię się na cienie na ścianie. Gdybym zasłoniła żaluzje, nie byłoby ich, ale dzięki nim mogę sobie wyobrazić, że nie jestem sama. Naciągam na głowę kołdrę, uznając, że moje przemyślenia brzmią naprawdę żałośnie. Nie mam nawet pluszowego misia, do którego mogłabym się przytulić.

Nad ranem wiem już, że za nic w świecie nie pójdę do pracy, więc wysyłam wiadomość Zoi, że źle się czuję. Na szczęście przyjaciółka nie zadaje pytań, radzi jedynie, żebym wzięła kilka dni urlopu. Mam przecież jeszcze zaległy i kadry zaczęły naciskać, żebym go w końcu wykorzystała. Wyłączam telefon,

by nikt mnie więcej nie niepokoił.

Nie chcę widzieć, jak wyglądam. W łazience nie spoglądam nawet w kierunku lustra, a później wracam do łóżka i naciągam na głowę kołdrę. Nigdzie dzisiaj nie wychodzę, bo przecież, do diabła, nie muszę. Nie muszę wszystkim wkoło udowodniać, że jestem twardą babą i nic mnie nie rusza.

Uświadamiam sobie, że powinnam powynosić wszystko z kuchni, bo przecież zaplanowałam ten głupi remont, ale nawet to nie mobilizuje mnie, by wstać. Podnoszę się dopiero, gdy ktoś uporczywie dzwoni domofonem.

– *Onēsan* – słyszę głos Yana.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – pytam podejrzliwie.

– Przecież byłem u ciebie w pracy. Powiedzieli, że jesteś chora – odpowiada zmartwiony.

– Idź sobie – burczę, bo naprawdę nie mam ochoty z nikim rozmawiać. Nawet z nim.

– Kryśka, otwieraj.

– Idź sobie – powtarzam z uporem, jakby to miało go zmusić do spełnienia polecenia.

– Otwieraj, mówię! – grzmi. – Jeśli mnie nie wpuścisz, zaraz sprowadzę tu matkę, ojca, Yubabę, Czarnoksiężnika z Krainy Oz i Lorda Voldemorta. Tak łatwo się brata nie pozbędziesz.

Wobec takich argumentów kapituluję i naciskam guzik domofonu. Po odryglowaniu zamka wycofuję się w głąb przedpokoju z nadzieją, że załatwię tę wizytę w progę. Ale Jasiek ma inne plany. Bez ceregieli ładuje się do środka z jakimś pakunkiem pod ręką.

– Wyglądasz jak Xiang Xiang, panda z tokijskiego zoo – stwierdza, nie owijając w bawełnę.

Jego komentarz mnie nie dziwi. Nie zmyłam przecież wczoraj makijażu. Nawet ciuchów nie zmieniłam.

– Lubię pandy – odpowiadam wojowniczo. – Jak ci się nie podoba, to nie patrz. Wcale cię tu nie zapraszałam.

– Nie gniewaj się – prosi pojednawczo Jasiek. – Przywiozłem śniadanie. Obiad też podrzucę – zapewnia. – Ktoś musi o ciebie zadbać.

Mam ochotę się roześmiać. Cała ta tyrada dziwnie brzmi z ust przybranego młodszego brata, bo Japończycy nie są skorzy do mieszania się w sprawy innych ludzi. Świadczy o tym chociażby *hikkimori*, o którym co jakiś czas słyhać. U nas, gdy nastolatek nie chce iść do szkoły czy wyjść z pokoju, rodzic wyciąga go za fraki, tam zaś przynosi żarcie pod drzwi i pozwala żyć w izolacji.

Gdy Jasiek zdał maturę, poleciliśmy na miesiąc do Tokio. Mieszka tam z rodziną siostra pana Yamady, pani Mizuki. Wielkiej bariery językowej w zasadzie nie było, ale nie tylko ja przeżyłam szok kulturowy. Bądź co bądź Jasiek wychował się na polskim podwórku i trudno mu się było odnaleźć w skrepowanym konwenansami japońskim społeczeństwie. Mnie poszło łatwiej. Jestem *gaijin*, czyli obcą, ale Yamada Yan wyglądem przypomina tysiące innych *Nihonjinów*, czyli oczekiwano, że zna zasady, i wszelkie faux-pas były niemile widziane.

Wracając do Polski, naprawdę się o niego bałam. Był bliski załamania nerwowego, ale postanowił wytrwać. Znalazł pracę, a potem zaczął chodzić na kursy dokształcające, by nadrobić zaległości w *kanji*, bo od kogoś spoza Japonii wymagano zdania egzaminu ze znajomości tego pisma. Poradził sobie, ale po zakończeniu nauki i odbyciu obowiązkowych praktyk i tak do nas wrócił. Powiedział, że czuje się Polakiem i tu chce mieszkać.

Koło południa odbieram telefon od Aurelii.

– Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej. – Słyszę troskę w jej głosie. – Szef chciał zadzwonić, ale ma urwanie głowy, więc zlecił to mnie. Odpocznij, masz urlop do końca tygodnia, ale nie zapomnij o piątkowym bankiecie. Ta umowa to przecież twoje dziecko i szef chce, żebyś była obecna. Nie wiem, jak to planowałaś, ale powiedziałam, że będziesz z osobą towarzyszącą.

Wzdycham ciężko. Niby kto ma być tą osobą towarzyszącą? Czy Aurelia już zapomniała, że właśnie się rozwiodłam?

– No wiesz, ostatecznie zawsze możesz przyjść z bratem. – Aurelka zauważa swój nietakt. – A zresztą to wcale nie jest najważniejsze.

Obiecuję, że będę na bankiecie, i się rozłączam, nie dając Aurelii szansy na próbę namówienia mnie na jakieś plotki. Przecież przez głupie babskie gadanie ośmieszyłam się przed Igorem.

Upewniam się, która godzina. Igor powinien być w pracy, więc marna szansa, że spotkam go gdzieś przypadkiem. Robię szybki przegląd zapasów w lodówce, a później listę zakupów. Jasiek obiecał wprowadzić, że będzie mnie żywił, jednak nie powinnam zdawać się wyłącznie na niego. Postanawiam też skoczyć na Marszałkowską. Kiedyś był tam dobrze zaopatrzonej papirniczy i liczę, że nigdzie się nie przeniósł.

Mam szczęście, asortyment w *Malowance* jest jeszcze szerszy, niż pamiętam. Papier w wielu kolorach i formatach. Wybieram kilka dużych arkuszy o wysokiej gramaturze i fakturze papieru czerpanego, do tego pędzle, akryle, paletę, tusze. Zastanawiam się, czy mam już wszystko, i biorę jeszcze sztalugę. Nigdy nie lubiłam malować na siedząco, wolę stać, kręcić się, więc to w sam raz dla mnie.

Jasiek dostarcza prowiant trzy razy dziennie, patrząc na mnie z coraz większą zgrozą. Ale nic mnie to nie obchodzi, bo przecież tworzę. Jestem cała umazana farbą, włosy wiszą w strąkach, gdzieś na jeansach mam resztki sosu sojowego, ale to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia. Sypiam w ulubionym fotelu, cały salon i sypialnię zamieniłam w pracownię. Dobrze, że jeszcze w przyływie zdrowego rozsądku przesunęłam ten nieszczęsny remont, bo wiem, że to by się dobrze nie skończyło. Już i tak brak mi miejsca. Kolejna osoba w tym mieszkaniu teraz się nie zmieści.

Mam już przygotowane kolejne tło. Wygląda świetnie. Zaryzykowałam, poeksperymentowałam z gąbką i wyszły zielonkavo-niebieskie mazaje przypominające wodę. Powyżej tą samą techniką zaznaczyłam niebo. Jestem zadowolona z efektu. Wszystko już dokładnie wyszło, więc teraz pora na tusz.

Wiem, że nie wolno mi niczego zepsuć. Boję się, że jakiś przypadkowy hałas rozproszy mnie i cała praca pójdzie na marne. Ale i na hałas znajdzie się sposób. Nad ranem udało mi się znaleźć stary odtwarzacz mp3 i umieściłam na nim kilka kawałków. Żadnego tekstu, sama muzyka: symfoniczne wersje piosenek grupy X-Japan. Włączam *Crucify my love*, przymykam na chwilę oczy i zabieram się do pracy. Maksymalne skupienie.

Ciągnę kreskę miękko jak przy *hiraganie*. Pierwotnie ten sylabariusz nazywał się *onnade*, czyli kobieca ręka, dla odróżnienia od *katakany*, kanciastego pisma używanego przed wiekami głównie przez mężczyzn. Zawsze uważałam, że *hiragana* jest ładniejsza, więc to na niej bazuję. Te same zasady. Od góry do dołu. Od lewej do prawej. Gdy zawijas zaczyna się na górze, kończę na dole.

Dostosowuję nacisk pędzla z końskiego włosa, by oddać skomplikowaną strukturę liści i kłosów tataraku. Żadnych gwałtownych ruchów. Pośpiech jest złym doradcą. Tylko spokój pomoże stworzyć harmonijną całość. To cierpliwość jest drogą do perfekcji.

Na koniec podpisuję się pseudonimem, który ukształtował się jeszcze w czasach podstawówki. Jasiek lubił udawać, że jestem jego prawdziwą siostrą, więc nazwał mnie Hikaru. Po japońsku można zapisać to znakiem *kanji* oznaczającym światło. Jaškowi bardzo podobał się ten znak, stąd to imię.

Maczam delikatnie pędzel w tuszu i sprawnie kaligrafuję. Yamada Hikaru. Trzy znaki. Góra. Pole ryżowe. Światło. Za każdym razem, gdy to kreślę, wypełnia mnie przyjemne ciepło. Grzeje jak wiosenne słońce. Metaforycznie i metafizycznie budzę się do życia po długiej, ciężkiej zimie. Po kompletnie nieudanym małżeństwie. Wiem, że teraz już wszystko będzie dobrze.

W słuchawkach milkną ostatnie takty *Say anything* i wtedy słyszę, że dzwoni dzwonek. Właściwie ryczy, jakby ktoś naciskał go nerwowo, by mnie ponaglić. Odkładam pędzel, zastanawiając się, czego ten Jasiek znowu chce.

– Czego zapomniałeś, trąbo? – rzucam, otwierając drzwi na oścież.

Czuję, że zaraz dostanę zawału. To nie Jasiek. Przede mną stoi Igor. Minę ma nietęgą.

– Tak to jeszcze nikt mnie nie nazwał – stwierdza naburmuszony.

– Myślałam, że to brat po coś wraca – wyjaśniam speszona. Co on tutaj robi?

Nie zapraszam go do środka, ale i tak wchodzi. Widzę spojrzenie, którym obrzuca wszystkie kąty, i zaczynam się wstydzić całego tego syfu. Ja w sumie nie wyglądam o wiele lepiej. Ale gości się nie spodziewałam. Każdy, kto odwiedza mnie bez zaproszenia, robi to na własne ryzyko.

– Trochę malowałam – bąkam, zamykając pośpiesznie drzwi do salonu. – Co tu robisz? Jak mnie znalazłeś? – zadaje pospiesznie pytania, które cisną mi się na usta.

Igor mruży oczy, prawdopodobnie zastanawiając się, dlaczego pytam o oczywistą oczywistość.

– Martwiłem się, że coś się stało – stwierdza urażony. – Przecież nie widziałem cię od kilku dni. Wybiegłaś jak poparzona, bałem się, że coś się stało. Stanałem na głowie, by ustalić twój adres. Musiałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Chcę powiedzieć, że zupełnie zwariował, ale nie daje mi szansy. Czuję na ustach jego wargi. Mocne. Zaborcze. Brakuje mi tchu. Gdzieś w środku kołacze obawa, że Igor się wybrudzi, jestem przecież upačkana farbą, ale radzi sobie i z tym: nie pytając o pozwolenie, zaczyna zdejmować ze mnie ciuchy, a potem wpycha do łazienki. Wciąż mnie całuje, chyba dlatego, żebym nie mogła zaprotestować, ale przecież wcale nie chcę tego zrobić. Pomagam mu rozpiąć pasek i pozbyć się spodni. Przywiera do mnie w samych bokserkach, gdy stoję przyparta do drzwi kabiny prysznicowej. Wstrzymuję oddech. Czuję na udzie pulsującą męskość. Wiem, że jest gotowy, i myślę, że chyba zupełnie oszalałam.

– Zaczarowałaś mnie – słyszę jego szept. – Nie mogę przestać o tobie myśleć – wyznaje, delikatnie przygryzając płatek mojego

ucha.

Chłód szkła kontrastuje z jego rozpalonym pożądaniem ciałem. Zaczyna ssać jedną z obkurczonych z podniecenia brodawek, a jego dłoń sprawnie odnajduje wilgotny wznósek łonowy. Wciągając gwałtownie powietrze, gdy go drażni. Moje mięśnie napinają się wokół kciuka, który zanurza wewnątrz mnie.

Nagle przystaje, zawiedziony, napomykając, że nie pomyślał o gumkach, ale mówię, że jest bezpiecznie, że to nie ten czas, i widzę na jego twarzy wyraz ulgi. Zamykam jego usta w głębokim pocałunku, a wtedy Igor bez ostrzeżenia wchodzi we mnie i wypełnia całym sobą.

Kochamy się mocno, gwałtownie. Jakby od tego zależała przyszłość świata. Po wszystkim przywieram do niego, wdychając zapach naszej miłości zmieszany z nutą perfum, których używa.

Wchodzimy razem pod prysznic, a Igor delikatnie myje moje włosy, a później mnie cała. To znów budzi podniecenie i kochamy się jeszcze raz, w strugach przyjemnie ciepłej wody.

Narzucam szlafrok i wymykam się z łazienki, by ogarnąć z grubsza mieszkanie i pozwolić mu się w spokoju ubrać. Gdy wychodzi, czeka na niego kubek gorącej kawy. Ugotowałam ją w tygielku. Boję się tylko, że będzie dla niego za słodka. Jednak nawet jeśli tak jest, Igor nic nie mówi, tylko przez cały czas przygląda mi się badawczo. Powoli zaczynam czuć się nieswojo. Poprawiam nerwowo połę szlafroka.

– Często odwiedzasz w domach swoje klientki? – próbuję żartować, dziwiąc się równocześnie, skąd wzięła się moja śmiałość. Krystyna, żona Huberta, nigdy nie pozwoliłaby sobie na tego typu uwagi. Hubert wyleczył mnie ze spontaniczności. Miałam zachowywać się z elegancją i kulturą, jaka przystoi kobiecie na kierowniczym stanowisku. Yamadów nie tolerował w ogóle, kręcił nosem również na moje koleżanki z pracy, ale w końcu zaakceptował je jako zło konieczne. Hubert tak bardzo mnie zmieniał, że pod jego wpływem z kochającej życie dziewczyny zmieniłam się... właściwie w kogo? Zgorzkniałą

babę? Może to i lepiej, że rodzice tego nie widzieli. Pękłoby im serce.

Czego oczekuje ode mnie Igor? Teraz, gdy seks mamy już za sobą, czuję dziwne zakłopotanie. Nie chcę, by myślał, że puszczam się z byle kim. Właściwie aż do dzisiaj miałam jedynie doświadczenia z Hubertem, ale rumieniąc się, dochodzę do wniosku, że Igor pobił go na głowę. Hubcio lubił porządek i zacisze sypialni. Zawsze po bożemu. Dlatego Igor tak mnie zaskoczył i poszłam na całość.

Zauważam, że Igor kręci głową.

– Jesteś pierwszą kobietą, na którą zwróciłem uwagę – zapewnia, nie spuszczać ze mnie wzroku. Śmiem w to wątpić. Pewnie niejedna klientka chętnie weszłaby do jego łóżka, ale doceniam, że próbuje mi schlebiać. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło – kontynuuje. – Nie mogę przestać o tobie myśleć.

Postanawiam zaryzykować. Raz kozie śmierć.

– W piątek wieczorem będzie bankiet – zaczynam ostrożnie. – Czy... – milknę. Nie, jestem durna. Przecież nie mogę o to prosić. Co ja sobie wyobrażam?

– O której? – pyta, kompletnie mnie zaskakując. – Spróbuję to jakoś załatwić.

Umawiamy się wcześniej. W salonie fryzjerskim. Igor mówi, że koniecznie musi mnie uczesać na tak wielkie wyjście, a ja chichoczę jak nastolatka, bo przecież rzeczywiście zna się na tym. Nie będzie marudził, że za długo siedzę przed lustrem. Facet doskonały.

Pół godziny później Igor wychodzi. Żegnam go niechętnie. Wiem, że już nic nie będzie takie samo, ale chyba mi z tym dobrze. Nie chcę żyć tak, jak wcześniej.

Przychodzi wieczorem, po pracy, a gdy mówię, że mam wolne do końca tygodnia, również nazajutrz, przed otwarciem zakładu. Jemy śniadanie, które podrzucił Jasiek, a potem kochamy się na stole w kuchni, robiąc przy okazji straszny bałagan. Gdy pomaga mi sprzątać, nie mogę się powstrzymać i podziwiam jego smukłe, giętkie ciało.

– Dlaczego zostałeś fryzjerem? – pytam, bo jakoś mimo wszystko nie uważam, żeby to był zawód odpowiedni dla mężczyzny.

Igor tężeje na chwilę, jakby to było dla niego bardzo krępujące, zaraz jednak się rozluźnia. Siada przede mną na taborecie.

– Tak po prostu wyszło – mówi, niczego nie wyjaśniając. – Ludzie często podejmują decyzje pod wpływem chwili. Lub zmusza ich do tego rozsądek. Ale nie żałuję.

Sadowię się mu na kolanach i zastanawiam, czy ja byłam rozsądna. Przez cały okres nauki w liceum marzyłam, by dostać się na ASP. Wiedziałam, jakie trzeba spełnić warunki, kompletowałam portfolio.

Maturę zdałam śpiewająco. W niedzielę rano włożyłam do dużej koperty wszystkie niezbędne dokumenty: podanie, świadectwo, zdjęcia, moje rysunki... Miałam wysłać nazajutrz. Po południu tata wyszedł na spacer. Robił tak co tydzień, nieważne, czy padał deszcz, czy świeciło słońce. Wychodził, by przez godzinę czy dwie pospacerować po mieście. To go odprężało i pozwalało zebrać myśli.

Już nie wrócił. Jakiś pijany dwudziestolatek wjechał w tłum ludzi na przystanku, który mijał tata. Po ponad tygodniu walki o życie i dwóch operacjach tata zmarł. Sam. Nad ranem. Przyszliśmy z mamą zaraz po śniadaniu, ale zastałyśmy puste łóżko. Nikt nas nie uprzedził. Nikt nie zadzwonił. Matka zemdliała i wtedy podjęłam decyzję, że nie mogę wyjechać i zostawić jej samej.

Wybrałam rachunkowość. Z czasem ją nawet polubiłam, bo tu wszystko jest logiczne i poukładane, jedno wynikało z drugiego, nie ma miejsca na fanaberie.

Po powrocie z Tokio czułam się bardzo samotna. Wiedziałam, że drogi moje i Jaśka się rozeszły. Owszem, istnieje internet, ale ośmiogodzinna różnica czasu robi swoje. Uznałam, że pora dorosnąć, więc poprosiłam mamę, żeby pozbyła się moich obrazów i wszystkiego, co było z nimi związane. To byłam stara

„ja”, a musiałam zrobić miejsce dla nowej. Strasznie tęskniłam za Jaśkiem, ale przecież byliśmy już dorośli. Każde musiało żyć własnym życiem.

Wkrótce pojawił się Hubert, początkowo tylko kolega z grupy ćwiczeniowej, który przeniósł się na naszą uczelnię, a niewiele później ktoś więcej. Był miły, zabawnie niezdarny, adorował mnie na każdym kroku. Mieliśmy żyć długo i szczęśliwie w tym jego poukładanym świecie... Tylko to ja byłam w nim elementem, który nie pasuje. Wymienił mnie na Honoratkę i wszystko zaczęło działać idealnie jak w szwajcarskim zegarku.

– Krysia? – Czuję na ramieniu dotyk dłoni Igora. Spoglądam mu w oczy i dopiero teraz zauważam, że płaczę, bo wzrok mam zamglony. Nie mogę się powstrzymać i łkam bezgłośnie. Widzę, że Igorem targają emocje, że pytania same cisną się na usta.

– To nie twoja wina – zapewniam, zdecydowanie wycierając policzki wierzchem dłoni. – Chodź, coś ci pokażę.

Prowadzę Igora do salonu. Jeszcze tu nie był. Zaliczyliśmy już łazienkę, sypialnię i kuchnię, ale salon zamknęłam, by ukryć panujący w środku bałagan. Teraz otwieram drzwi na oścież i obserwuję wyraz jego twarzy. Nic dziwnego, że jest skonsternowany, gdy odnajduje wzrokiem walające się po podłodze puste tubki po farbie. Dalej zauważa sztalugę i obraz, który obecnie na niej schnie. Coś, co malowałam przez pół nocy, gdy wczoraj wieczorem zostawił mnie już i poszedł do domu.

Uważam, że obraz wyszedł koncertowo. Lubię papier o strukturze płótna. Jest dość gruby i dobrze trzyma się na sztaludze. Nie zwija się ani nie marszczy.

Najpierw przygotowałam podmalówkę. Akryl wymaga cierpliwości. Warstwy, którym nie pozwoli się porządnie wyschnąć, mogą się przenikać i łączyć, psując cały efekt, więc pośpiech nie jest wskazany. Ale lubię eksperymentować. Cały arkusz pokryłam pastelowymi odcieniami różu. Kolor na górze wyszedł bardzo jasny, niemal biały, jednak stopniowo się zmieniał, więc u dołu jest już o trzy tony ciemniejszy.

Nie wiedziałam, co namalować. Temat sam przyszedł, gdy mieszając farby na palecie, uzyskałam srebrzystą szarość. To z niej powstały łodygi i większe fragmenty liści. Dalej przyszła kolej na fiolety, którymi namalowałam dzwonki. Gdy jedna warstwa wyschła, nakładałam kolejną, dzięki czemu powstały piękne, delikatne kwiaty. Nawet ja muszę przyznać, że obraz jest niczego sobie, a po minie Igora widzę, że też tak sądzi.

– Pasuje do twojego salonu, co? – pytam kokieteryjnie.

– Ty to namalowałaś? – Igor chce się upewnić. Widać, że nie może w to uwierzyć. Chyba miał mnie za kompletną nudziarę.

– Mhm – mruczę w odpowiedzi, trochę dumna, że udało mi się go zaskoczyć.

Obraz wymaga jeszcze drobnych poprawek, porządnej ramy i oczywiście podpisu, ale obiecuję, że jak skończę, Igor dostanie go ode mnie. Trochę się bocy, mówi, że wolałby kupić, ale przypominam, że też nie pozwolił mi zapłacić za zmianę fryzury, więc po prostu będziemy kwita. Dopiero wtedy kapituluje.

*

Zostaję sama. W mieszkaniu bez Igora jest dziwnie cicho i pusto. By rozgonić smutne myśli, sprzątam salon, a później wykańczam obraz, ale to daje tylko chwilowe ukojenie. Nastawiam ulubioną stację w radiu. Jakiś skoczny kawałek wypełnia przestrzeń, ale ja nadal jestem przygnębiona. I wiem dlaczego! To wszystko przez to, że powiedział, że dzisiaj już nie przyjdzie.

Słyszę jakieś kotłowanie przy drzwiach, ale nie ruszam się z kanapy. Jasiek wczoraj zabrał drugi komplet kluczy, więc sam może się obsłużyć. Zamiast wstać i go przywitać, szczerzej owijam się kocem.

– Krysia, żyjesz? – słyszę od progu.

– Ano jeszcze tak – odpowiadam niemrawo.

Jasiek zanosí jedzenie do kuchni, a póŹniej wraca do mnie, do salonu. Od razu zauwaŹa obraz z dzwónkami.

– Jest zarezerwowany – uprzedzam, Źeby nie było niedomówień.

– Czuję – odpowiada, pociągając wymownie nosem. – Męskie perfumy. Jakiś Hugo Boss. Nie znam dokładnej nazwy.

Wybałuszam oczy. Skąd u niego taki dobry węch?

– Myślałam, Źe faceci odróżniają tylko trzy zapachy: fajny, niefajny i pedalski – kpię.

Braciszek nie może się powstrzymać i ryczy ze śmiechu.

– Po Nowym Roku odwiedzili nas rodzice Sayaki i jej brat Tomoaki. Młody tak tym pachniał, Źe myślałem, Źe kąpie się w perfumach. Chłopak jest bardzo popularny w swoim liceum. Teściowa powiedziała, Źe dostał te pachnidła od jakiejś dziewczyny i nie może się z nimi rozstać.

Próbuję zachować powagę, ale po chwili również zaczynam się śmiać. Młodzi ludzie zazwyczaj nie potrafią dobrze ocenić sytuacji. Umiar przychodzi wraz z wiekiem.

– Skąd wiedziałeś, Źe Sayaka to ta jedna, jedyna? – zagaduję, gdy siada koło mnie na kanapie. Pytanie jest dość osobiste, jednak wiem, Źe się nie obrazi.

Jasiek waŹy odpowiedź. Nie jest głupi. Musi wiedzieć, Źe przyrównuję jego sytuację do własnej. Prawie nie zna Huberta, widzieli się zaledwie kilka razy, ale wiem, Źe Jasiek za moim byłym juŹ mężem nie przepadał. Jak będzie z Igorem?

– Nie wiedziałem – przyznaje szczerze. – Ale wiesz co? Dobrze nam się rozmawiało. I tylko w jej towarzystwie nie bałem się, Źe zrobię coś głupiego. To znaczy głupiego według japońskich standardów. Tam się Źyje zupełnie inaczej, a ja poza wyglądem i nazwiskiem nie mam w sobie chyba nic z Japończyka. Nie potrafiłem się wtopić w tłum i dostosować. Brakowało mi swobody, samotności, więc często wsiadałem do pociągu i lądowałem na jakiejś stacji na odludziu. Saya teŹ uciekała przed wielkomiejskim tłókiem. Pochodzi z Okinawy, więc

w Tokio też czuła się obco. Spotkaliśmy się właśnie w pociągu. Nie bawiła się smartfonem, nie miała w uszach słuchawek, nic nie czytała. Wydawała się jeszcze bardziej zagubiona niż ja. Odważyłem się zagadać i okazało się, że mamy podobne zainteresowania. I nie bała się wyjechać na drugi koniec świata. Od razu powiedziałem, że nie zostanę długo w Japonii, że moje serce zostało w Polsce.

W zamyśleniu kiwam głową. To wielka odwaga zostawić rodzinę, przyjaciół, praktycznie całe swoje życie, i wyjechać za ukochaną osobą do nieznanego kraju. Bardzo mi tym zaimponowała, bo pewnie bym tak nie potrafiła. Chociaż, czy aby na pewno? Przecież dla Huberta się zmieniłam, ograniczyłam do absolutnego minimum kontakty z dawnymi przyjaciółmi i koniec końców zostałam z niczym. Orzeczenie o winie Huberta jest małym pocieszeniem.

Jasiek podnosi się z kanapy.

– Wpadnij w sobotę – zaprasza jeszcze. – To pojutrze. Zapamiętasz?

*

Po kolacji nalewam wody do wanny, uznając, że odpoczynek po prostu należy mi się jak psu miska. Na szczęście nie muszę golić nóg ani innych strategicznych miejsc. Zafundowałam sobie serię laserowego usuwania zbędnego owłosienia i od tego czasu mam spokój. Kosztowało mnie to majątek, ale wygoda przecież jest bezcenna. Za kilka lat pewnie będę musiała powtórzyć, ale na razie, odpukać, włoski nie odrastają.

Leżę wśród bąbelków, próbując jeszcze wyczuć ślad perfum Igora, i już wiem, o czym zapomniałam. Szlag by to trafił! Zrywam się gwałtownie, rozlewając wodę na dywaniku i kafelkach. Rzucam na to wszystko ręcznik, by nie zalać sąsiadów, i sięgam po szlafrok.

Jak mogłam zapomnieć, że piątek jest już jutro?! Przecież to dlatego Igor zapowiedział, że wieczorem nie przyjdzie. Musi

pewnie przygotować coś do ubrania. A ja? Kwitnę sobie spokojnie w wannie, a tymczasem nie mam w szafie niczego odpowiedniego na tę okazję.

Suknia wieczorowa, w której byłam z Hubertem na sylwestrowym balu, nie nadaje się, bo przecież *dress code* przewiduje sukienkę koktajlową. Mam ochotę walnąć głową w ścianę. Totalna kompromitacja.

W odruchu desperacji chwytam telefon, żeby zadzwonić do Zoi, ale zaraz przychodzi olśnienie, że przecież ostatnio sporo schudłam. Mimo iż Zoja jest szczupłą, noszę teraz przynajmniej rozmiar mniej, a nie chcę wyglądać jak w worku. Nie chcę, żeby Igor musiał się mnie wstydzić.

Szykując się do spania, paćkam twarz drogim kremem, żeby cera wyglądała jutro czysto i promiennie. W głowie kłębi się tysiąc myśli, ale nie mogę przecież zarwać kolejnej nocy. Nie przed tak ważnym wyjściem.

Powtarzam kategorycznie, że muszę zasnąć, i po którymś z kolei razie sen rzeczywiście nadchodzi. Spokojny i głęboki. Nic mi się nie śni.

*

Słyszę zgrzyt zamka w drzwiach. Wpadam w panikę, myśląc, że zasnęłam, ale Yan twierdzi, że to on przyszedł trochę wcześniej, bo musi jeszcze coś załatwić na mieście. Każe mi się ubrać, a sam w tym czasie nastawia wodę na kawę.

– Mam wieczorem firmowy bankiet – mówię, siadając na taborecie. Zauważam, że Jasiek przyniósł więcej jedzenia i rozstawia teraz wszystko na stole.

– Dzisiaj zjem z tobą, *onēsan* – wyjaśnia. – Co to za impreza?

Zastanawiam się, skąd to nagłe zainteresowanie moją pracą. Może chce nadrobić stracony czas? A może coś kombinuje i zbiera dane?

– Świętujemy pozyskanie nowego klienta – mówię ostrożnie. – Naprawdę gruba ryba.

Yan z niedowierzaniem kręci głową.

– Na serio kręcą cię te wasze kształtniki aluminiowe?

– Kształtowniki – poprawiam go. – Wcale nie kręcą, ale przecież w ogóle się tym nie zajmuję. Siedzę w biurze wśród tabelek i cyferek. Zapomniałeś?

W zamyśleniu kiwa głową.

– A dzisiaj idziesz na bankiet? – upewnia się, wsadzając do buzi kawałek omletu *tamago*.

Potwierdzam.

– I nie mam się w co ubrać – marudzę, przeżuwając kawałek wędzonej ryby. Po smaku zgaduję, że to węgorz. Dawno go nie jadłam. Zbyt dawno.

Jasiek proponuje, że podrzuci mnie do galerii. Dziękuję za zaangażowanie, ale przecież będę musiała jakoś wrócić. Pojadę własnym samochodem.

– Zabierasz ze sobą tego faceta od Hugo Bossa? – pyta z pozoru niewinnie.

– Ma na imię Igor – odpowiadam, czując, że się rumienię. – Tak, idę właśnie z nim.

Myślałam, że Jasiek rzuci jakiś zgryźliwy komentarz, ale nie podejmuje tematu. Pewnie myśli, że znów pakuję się w nieodpowiedni związek, stąd ten ostentacyjny brak zainteresowania. Już mógłby powiedzieć cokolwiek, ale nie, wstaje i chce sprzątnąć ze stołu. Wściekła, każę mu wszystko zostawić.

– Wpadnijcie kiedyś do nas albo chociaż na początek do „Oishii” – zaprasza, całkowicie zbijając mnie z tropu.

Nie okazuję tego, ale jestem wzruszona.

– Jesteś najlepszym bratem na świecie – stwierdzam, gdy żegnamy się w drzwiach.

*

Słońce grzeje dość mocno, więc nie biorę płaszcza. Ma być wygodnie, więc do jeansów i malinowej tuniki wkładam conwersy. Wiedziałam, że łatwo nie będzie, ale jednak takiego tłoku się nie spodziewałam. Mam spory problem ze znalezieniem wolnego miejsca na parkingu przed galerią, a nie minęło nawet południe. W końcu wciskam się, gdy ktoś wyjeżdża, i wzdycham z ulgą. Misja: znalezienie wolnego miejsca – zakończona powodzeniem.

Jednak szybko się przekonuję, że kupno sukienki będzie większym wyzwaniem, niż początkowo sądziłam. Przechodzę z jednego sklepu do drugiego, ale nie mogę znaleźć nic, co pasowałoby na tę okazję. A czas ucieka.

Tuż przed czternastą chce mi się już płakać. Wszystkie kiecki są jakieś workowate i mało eleganckie, w tych znośnych zaś wyglądam jak panienka lekkich obyczajów. Cała moja nadzieja w magicznym butikiu. Robi się przecież późno, a nie mam sukienki, nie mówiąc już o butach czy torebce. Boję się, że ten bankiet będzie jedną wielką katastrofą.

Gdy docieram do butikiu, jestem już wykończona. Ekspedientka, widząc moją kwaśną minę, od razu proponuje kawę, ale mówię, że nie mam czasu. Muszę przecież znaleźć jakąś kieckę. Chce mi się krzyczeć, gdy głucha baba prosi, bym spokojnie usiadła, i po chwili przynosi tę nieszczęsną kawę.

Dłonie mi się trzęsą ze zdenerwowania, ale nie mogę się oprzeć. Kawa jest jak narkotyk. Gdy tylko poczułam jej zapach, przepadłam.

– Pani Krysiu, na jaką okazję ma być sukienka? – pyta spokojnie kobieta, która przedstawiła się wcześniej jako Marzena. Wspomniała też, że z reguły nie spoufala się z klientkami, jednak dla mnie postanowiła zrobić wyjątek. Nie wiem, czy kpi sobie ze mnie, ale na wszelki wypadek postanawiam nie pytać. Zamiast tego szybko opowiadam

o bankiecie i mglistych oczekiwaniach, jakie mam co do swojego stroju. Mówię też, co już widziałam i co absolutnie do mnie nie pasowało.

Kobieta w zamyśleniu kiwa głową, a później zaczyna chodzić wśród wieszaków. Co chwilę wyciąga coś, przygląda się z bliska, ale zaraz chowa. Trwa to tak długo, że zaczynam pochlipywać z żalu, że tu w ogóle przyszłam.

– Nie mam jeszcze butów – rzucam, by ją pospieszyć.

W końcu Marzena przynosi koronkową sukienkę długości trochę przed kolano. Nie jestem jednak pewna, czy to właściwy wybór, więc marszczę czoło.

– Biała, ale wcale nie znaczy, że jest ślubna – przekonuje Marzena. – To ciepły odcień, pasuje do twojej cery. Po prostu załóż.

Przymiarka wymaga odrobiny zachodu, bo sukienka ma dekolt w łódkę i ramiączka od stanika źle wyglądają. W ogóle tradycyjny stanik odpada, bo kiecka ma częściowo odkryte plecy.

Rzeczywiście jest piękna: z delikatnej koronki, na dole lekko rozkloszowana, przewiązana w talii wąskim paskiem. Na wieszaku nie wyglądała tak dobrze.

– Jak gwiazda filmowa – chwali Marzena, gdy wychodzę, żeby się pokazać. Spoglądam na cenę i wcale się nie dziwię. Za tyle kasy sukienka powinna się jeszcze sama wyprać i powiesić w szafie. Ale przecież nie co dzień zdarzają się takie wyjścia, więc chyba raz mogę zaszaleć.

Marzena podpowiada, gdzie można kupić ładne buty i biustonosz samonośny. Nie mogę się oprzeć i kupuję wysokie, wrzosowe szpilki i torebkę pod kolor. Uważam, że takie dodatki świetnie przełamiają biel sukienki i dodadzą jej charakteru.

Igor wita mnie miną „wiedziałem, że się nie wyrobisz”. Chcę się od razu przebrać, ale mówi, że najpierw fryzura. Gdy siadam z mokrą głową w fotelu, okazuje się, że zmysł organizacyjny ma niezawodny, bo dostaję własnoręcznie przygotowaną kanapkę.

– Nie martw się, nie głodowałem – zapewnia. – Zrobiłem rano więcej. Zjedz, bo burczy ci w brzuchu.

Nie jest to może takie śniadanie, jak przygotowuje *okāsan* czy Jasiek, ale przecież trzeba docenić dobre chęci. Hubert nigdy nie pomyślał, że mogłabym być głodna.

– Wyprostuj się. – Igor mnie strofuje, bo kręcę się i wiercę.

Zerkam na niego spod oka, przelýkając ostatni kęs kanapki. Jego jasnobrazowe włosy lśnią jak jedwab, układając się przy tym miękko. To nie żadna skorupa, jaka często zostaje po żelu czy lakierze. Zastanawiam się, jakie kosmetyki stosuje.

Zdażył już rozczesać wszystkie, a teraz sięga po jakieś mazidło. Igor wygląda niesamowicie seksownie, gdy ogrzewa je przez chwilę w dłoni, a potem wmasowuje we włosy. Mruczę jak zadowolona kotka, czym wywołuję wesołość na jego twarzy.

Suszenie nie trwa zbyt długo, o wiele więcej czasu zajmuje podpięcie koka. Zresztą trudno to nazwać klasycznym kokiem: Igor fantazyjnie przeplata pasma, utrwalając każde jakimś cudownym lakierem, który nie daje efektu skorupy.

– Nie rusz! – warczy, gdy zauważa, że mam ochotę sprawdzić, czy włosy po czymś takim rzeczywiście będą się trzymać.

Przeglądam się w lustrach. Fryzura wygląda super, ale co tu się dziwić, skoro wyszła spod rąk Igora. Dziewczyny pękają z zazdrości.

Igor uwiął się szybciej, niż myślałam. To dobrze, bo i tak chciałam być na miejscu trochę wcześniej. Boję się przyznać, ale nie ufam do końca Klaudii. Jest ostatnio jakaś rozkojarzona i nie może się na niczym skupić.

Igor idzie się przebrać do pokoju obok, więc zostaję sama. Już w sukience, krytycznie przeglądam się w lustrze. Kiecka na cielistym, samonośnym biustonoszu leży wprost idealnie. Lekko

odslania ramiona, podkreślając wypukłość piersi, eksponuje talię i szczupłe nogi.

Tak, jednak warto było wydać tyle kasy. W żadnej innej, które przymierzałam, nie wyglądałam tak dobrze. Jedyne, co mi nie pasuje, to biały pasek, ale po chwili zamieniam go na ten od tuniki. Też gładki, w tym samym odcieniu co szpilki i torebka, do której już w samochodzie przełożyłam klucze, portfel i najpotrzebniejsze rzeczy.

– Przepraszam, nie mam białej koszuli. – Najpierw słyszę głos Igora, a później mężczyzna pojawia się w moim polu widzenia. Wygląda zjawiskowo, jak model żywcem wyciągnięty z eleganckiego katalogu. Wrzosowa koszula, fioletowy krawat, ciemny grafitowy garnitur. Po prostu boski.

– Chyba czytamy sobie w myślach – żartuję, bo kolorystycznie zgraliśmy się idealnie.

Igor w zamyśleniu kiwa głową.

– Nie wiedziałem, że się dzisiaj żenię. – Nie może się powstrzymać. – Nawet jeśli to nieprawda, i tak będę musiał cię pilnować, bo faceci zezrą cię wzrokiem.

Nie muszę spoglądać w lustro, by wiedzieć, że się rumienię. Jednak odruchowo zerkam i już widzę, że dałam ciała. Sukienka, owszem, jest piękna, torebka i buty pasują, ale zupełnie nie pomyślałam o makijażu ani tym bardziej o jakiegokolwiek biżuterii. Przypomina mi się, że mam maskarę, i tuszuję przed lustrem rzęsy. To musi wystarczyć.

Widzę, jak Igor obserwuje mnie z rosnącym rozbawieniem, i sama mam ochotę się roześmiać, ale boję się, że mokry tusz się rozmaże. Nie miałabym czym tego zmyć, a nie chcę znowu wyglądać jak panda Xiang Xiang.

– Poczekaj, mam coś dla ciebie – stwierdza litościwie Igor, wracając na zaplecze. – Przewidziałem, że możesz zapomnieć o całym świecie, i pożyczyłem od mamy.

Przynosi perły. Potrójny sznur zwieńczony ametystem i bajeczne kolczyki. Misterna robota, bo perła osadzona jest w fantazyjnej koronie ozdobionej drobinkami ametystu.

– U nas fiolet jest rodzinny. – Igor śmieje się, pomagając zapiąć kolbę. – To komplet jeszcze po praprababci, szlachciance. Dostała go w prezencie od ojca, gdy szła na swój pierwszy bal. Pokaż mi się – prosi, odsuwając na długość ramion. – Teraz wyglądasz idealnie.

Ametyst budzi wspomnienia. Po tym, jak Jasiek został w Japonii, przysłał mi na urodziny wyjątkowy prezent: naszyjnik z *magatamą*, prastarym japońskim amuletem, który kupił w Sefa Utaki na Okinawie. *Magatama* ma kształt przecinka z dziurką w środku. Legenda głosi, że Izanagi, jeden ze stwórców świata, oddał całą swoją siłę i władzę nad światem swojej córce, bogini słońca, Amaterasu, w momencie, gdy włożył swoją duszę do *magatamy* i podarował jej klejnot. Ziemscy bogowie uznali zwierzchność Amaterasu i poprosili o pomoc w zaprowadzeniu porządku na Archipelagu Wysp Japońskich. Amaterasu powierzyła tę misję wnukowi o imieniu Ninigi. By pokazać, że Ninigi jest pomazańcem, przekazała mu *magatamę*, a także miecz i zwierciadło, trzy przedmioty uważane odtąd za regalia. Ninigi po latach przekazał je swojemu wnukowi, Jimmu, który uważany jest za pierwszego Cesarza Japonii. Chramy shinto sprzedają amulety w kształcie *magatamy*, które zwyczajowo mają chronić przed wszelkim złem i otaczać szczęściem.

Niestety, ja gdzieś swoją *magatamę* zgubiłam już dawno temu.

Czuję na ramieniu dotyk dłoni Igora. Ma rację, to nie jest odpowiednia pora na wspominki.

Zanim wychodzimy, wręcza mi jeszcze klucze.

– Zapasówki. Zamykam na górny zamek – wyjaśnia. – Ten jest od domofonu. Jutro nie będzie mnie tutaj, mam coś do załatwienia, więc będziesz mogła wpaść po rzeczy, kiedy będzie ci pasować.

Docieramy na miejsce dobre pół godziny przed czasem. W sam raz, żebym zdążyła się zdenerwować.

Klaudia, ubrana w małą czarną, miota się, gestykułując żywo z kierownikiem sali, bo przecież te wszystkie balony są tu

zbędne. Poza tym ustalone było, że stoły zostaną ustawione inaczej, jeden koło drugiego, tymczasem są porozstawiane na połowie sali, największy z miejscem dla zaledwie sześciu osób. Nie było też mowy, by krzesła przybrano na biało i ozdobiono kwiatami. To chyba jakiś żart.

Wydaje mi się, że śnię, a wtedy Igor zaczyna się śmiać jak opętany. Podążam za jego wzrokiem i zauważam napis: „Serdecznie witamy Państwa Młodych i Gości Weselnych”.

Tego już za wiele!

– Jakież kłopoty? – słyszę nagle gdzieś za plecami.

Rozpoznaję ten charakterystyczny, miękki głos. Nie było nigdy czasu, by się spotkać twarzą w twarz, jednak wielokrotnie rozmawialiśmy przez telefon.

– Pan Tomczyk? – upewniam się jedynie dla formalności.

Wygląda bardzo elegancko w ciemnym, granatowym garniturze i białej koszuli w niebieskie prążki. Strój adekwatny do pracy w tych warunkach. Chyba właśnie tak go sobie wyobrażałam.

Uśmiecha się łagodnie.

– Zgadza się, Robert Tomczyk. Rozumiem, że mam przyjemność poznać osobiście panią Krystynę Hrynkiewicz?

Wymieniamy uściski dłoni, a później przedstawiam Igora. Proszę też tłumacza, by mówił do mnie po imieniu. Tak będzie o wiele łatwiej. Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku, nie lubię stwarzać sztucznego dystansu.

Robert obrzuca szybkim spojrzeniem salę, potem nas i pyta, czy aby nie pomylił imprez.

– Klaudia, osoba odpowiedzialna za organizację bankietu, chyba zapomniała doprecyzować szczegóły – wyjaśniam, wskazując bliską już omdlenia asystentkę prezesa. – Nie żenimy się. Nasze stroje to czysty przypadek – zapewniam trochę zmieszana.

Obserwując ukradkiem Igora, odnoszę wrażenie, że ma już

jakiś plan.

– Trzeba jakoś uratować ten bankiet – zauważa, a Robert potakuje, mimo wszystko chyba rozbawiony zaistniałą sytuacją.

– Ilu mamy dokładnie gości z Włoch? – dopytuje.

– Troje. Powinni siedzieć razem z prezesem i jego małżonką. I oczywiście ty. Nikt więcej się nie zmieści. Usiądziemy w pobliżu – decyduje. – Ale te ślubne dekoracje muszą zniknąć. Bezwzględnie.

Na szczęście panowie szybko się dogadują i biorą do roboty. Igor posadził Klaudię na krzesło, a następnie wymienił kilka słów z kierownikiem sali. Na całkowitą zmianę aranżacji wnętrza nie ma już czasu, ale dekoracja ze złotymi obręczkami wiszącymi za głównym stołem oraz powitalny napis zostają zdjęte.

W tym czasie przejmuję rolę gospodarza, zagadując w holu przybyłych gości. Pozwalam im wejść na salę, dopiero gdy Igor daje znać, że już jest okej. No trudno, obecność białych i różowych balonów jakoś się wytłumaczy. W końcu w każdym z nas drzemie dziecko.

Włosi komplementują mój wygląd. Robert skrupulatnie tłumaczy, ale w zasadzie nie musi, bo tak żywo gestykują, wykrzykując te swoje *bellissima*, że boję się, że Igor za chwilę strzeli focha z zazdrości. Na szczęście wkrótce zjawia się szef, przejmując tym samym pałeczkę wodzireja. Jego żona, Alicja, wita się ze mną dyskretnym skinieniem głowy. Oficjalnie się nie znamy. Tak było ustalone i tej zasady bezwzględnie przestrzegamy.

Odnajduję Igora i zajmuję miejsce. Przy naszym stoliku siedzą również Aurelia i Zoja. Obie odstawione jak stróż w Boże Ciało, jakby przyszły tu z zamiarem znalezienia męża. Przedstawiam oficjalnie Igora, a one przekonująco udają zaskoczenie, i solidarnie, jakby się zmówiły, wygadują takie głupoty, że mam ochotę zapaść się pod ziemię.

Na szczęście prezes Ziemiański zaczyna dziękować wszystkim za przybycie, Robert tłumaczy, więc dziewczyny milkną.

Słucham jednym uchem, bo mimo zjedzenia kanapki wciąż jestem głodna.

Ziemiański dziękuje mi za pomoc w sfinalizowaniu kontraktu, więc wstaję i odwzajemniam uprzejmość. Atmosfera jest drętwa i źle się czuję. Wszyscy się na mnie gapią. Nie lubię być w centrum uwagi.

Sytuacja poprawia się, dopiero gdy po rosole i pieczeni z dzika kelnerki przynoszą ciasto i alkohol. Nie piję, ale dziewczyny sobie nie żałują. Igor pełni honory, pilnując, by miały czym spełnić toast, a one chichoczą jak nastolatki. Na szczęście to tylko wino. Gdyby piły coś mocniejszego, pewnie już ululane leżałyby pod stołem.

Zoja wyciąga mnie do toalety pod pretekstem przypudrowania noska. Uznaję, że chwila przerwy jej się przyda, więc nie protestuję.

– Niezły ten Igor – stwierdza przyjaciółka, sprawnie poprawiając makijaż. – Dlaczego się nie pochwaliłaś?

Nie lubię plotkować w łazience. Zawsze mam wrażenie, że ktoś podsłuchuje.

– Jakoś nie było okazji – odpowiadam wymijająco. No bo przecież nie było. Miałam specjalnie dzwonić do niej i mówić, że się z kimś spotykam? Nie, to nie w moim stylu.

Zoja przypatruje mi się bardzo uważnie, a później nagle doznaje olśnienia.

– Ty się zakochałaś – stwierdza, a ja mimowolnie się rumienię.

Zauważam, że pomimo szerokiego uśmiechu nie jest tym szczególnie zachwycona i przez myśl mi przemyka, że być może jest zazdrosna. Przecież prawie wszystkie jej związki kończyły się równie szybko, jak zaczynały. Kilka dni sielanki, a później znów smutek na twarzy i gruba warstwa korektora pod oczami. Nie dziwię się, że nie potrafi zaufać żadnemu facetowi. Gdyby mnie narzeczony zostawił tuż przed ślubem, pewnie nigdy bym się z tego nie otrząsnęła. Może dlatego tak dobrze potrafiła mnie zrozumieć, gdy moje małżeństwo się rozpadło.

Po kilku minutach wychodzimy z łazienki. Spostrzegam, że Igor czeka w holu.

– Byłem się trochę przewietrzyć – mówi, gdy Zoja zostawia nas samych i wraca na salę bankietową.

Oj, narozrabiałam – myślę skwaszona. Zostawiłam go na pastwę Aurelki. Nic dziwnego, że dał nogę.

– Przepraszam, nudne to wszystko – zagaduję.

Łapię go pod ramię, ale nadal błądzi gdzieś myślami. Czuję wyrzuty sumienia, że dziewczyny nie potrafią się zachować. Nie upiekło się nawet tłumaczowi, który musiał stanowczo zaznaczyć, że jest w pracy i żadnego drinka nie wypije. Odniosłam wrażenie, że Tomczyk jest już do tego przyzwyczajony, ale Igor jest tym wszystkim bardziej zakłopotany.

– Kłopoty na dwunastej – mówi nagle, przygarniając mnie bardziej do siebie. – Nie, nie odwracaj się – prosi. – Twój były mąż.

Zastanawiam się, co Hubert może tu robić, i wtedy przypomina mi się, że Dorota z działu projektów to jakaś jego daleka rodzina. Pewnie wykorzystał ją, by się tu wkręcić.

– Jak miło cię widzieć, Krysieńko – słyszę i już nie mam wątpliwości, że oboje postanowili się przywitać. Zmuszam się, by posłać im czarujący uśmiech, słodki aż do zemdlenia. Nie wiem, co Igor o tym wszystkim myśli, ale boję się sprawdzić, jaką ma minę.

– Wy chłopaki już się znacie, ale pozwól, Dorotko, że ci przedstawię. To jest Igor, mój...

– Narzeczony. – Igor wchodzi mi w słowo. – Kochanie, nie ma co ukrywać faktów. Przecież prędzej czy później i tak się wyda.

Twarz Huberta tężeje. Nie rozumiem, dlaczego aż tak się zapowietrzył. Przecież to on mnie zostawił, a nie ja jego. Czyżby obudził się w nim pies ogrodnika?

– Gratuluje – odpowiada z mocno wymuszoną uprzejmością. Znam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że najchętniej uciekłby

daleko stąd, ale Dorota niczego nie rozumie, bo wdaje się w dyskusję.

– Krysiu, a wiesz, że Hubert złożył do nas podanie o pracę? – zagaduje. – Czy nie fajnie byłoby pracować z kimś, kogo się zna i na kim można polegać?

Igor zaczyna kasłać, udając, że coś zaczęło drapać go w gardle. Hubert robi się purpurowy na twarzy. Chyba nie do końca ustalił wszystko z Dorotą.

– Jeszcze nie złożyłem – prostuje. – Rozważam taką możliwość. Firma, w której pracuję, cienko przedzie, a ja potrzebuję teraz stabilizacji finansowej. Rozglądam się za ofertami pracy. Może znajdę coś odpowiedniego.

Bawi mnie jego zakłopotanie. Przecież kilka lat temu sama proponowałam mu, żeby składał papiery, bo pani Jadwiga szła na emeryturę i zwalniało się miejsce, ale wtedy twardo obstawał przy tym, że lubi pracę w biurze firmy kurierskiej. Tylko że wydawanie zleceń spedycyjnych bardzo różni się od księgowości, z którą nie miał kontaktu od czasu zakończenia studiów. Jak on sobie to teraz wyobraża? Że tak po prostu poprę jego kandydaturę? Nie może przecież ode mnie tego wymagać!

– Jeśli chcesz wrócić do wyuczonego zawodu, musisz sobie sporo przypomnieć – napomykam.

Dorota uśmiechnęła się słodko.

– Myślę, Krysiu, że znalazłabyś trochę czasu, by odpowiednio Huberta przygotować – zagaja. – Przecież kiedyś byliście ze sobą bardzo blisko. Chłopakowi trzeba trochę pomóc – subtelnie naciska. – Znalazł się w potrzebie.

Spoglądam na Igora i wiem, że zaraz wybuchnie. Przecież nawet święty straciłby cierpliwość.

– Niestety, mamy z Krystyną plany na resztę życia i Huberta one nie uwzględniają – cedzi. – A teraz wybaczcie, wracamy na salę.

Nie czekając na reakcję, ciągnie mnie w kierunku naszego

stolika, przy którym na szczęście nikt w tej chwili nie siedzi. Widzę, że Igor aż się gotuje. Boję się cokolwiek powiedzieć, by nie pogarszać sytuacji.

Hubert, przy pomocy Doroty, zbłądził się dokumentnie. Zdradził mnie i zawiódł zaufanie, a teraz uważa, że powinnam mu wyświadczać przysługi? Nie wiedziałam, że jest aż takim hipokrytą. A może to wpływ Honoraty? Czy tak bardzo zależy mu na dziecku, że pozwala się ośmieszać? Mimo wszystko jest mi przykro, bo przecież kiedyś, jeszcze nie tak dawno temu, kochałam go i był dla mnie całym światem. A teraz na myśl o Hubercie czuję jedynie niesmak.

– Wybacz. – Igor łapie mnie za dłoń i przyciska ją do ust w geście przeprosin. – Po prostu nie mogę znieść tego gościa. Działa mi na nerwy.

Nie możemy porozmawiać, bo rozgrzany alkoholem Ziemiański dołącza do nas, by przez chwilę odsapnąć.

– Ten twój tłumacz nieźle sobie radzi – mówi, wskazując towarzyszącego Włochom Roberta. – Nasze koleżanki obsiadły go, udając, że rozmawiają z naszymi gośćmi, a tak naprawdę próbują się z nim umówić. Już nie mogę tego słuchać. Moją żonę rozboleła głowa. Wzięła taksówkę i wróciła do domu, więc zostałam bez wsparcia.

Szczerze mówiąc, wcale się nie dziwię, dlaczego Alicja postanowiła się ewakuować. Ten kącik adoracji jest naprawdę żaloszny. W pobliżu Tomczyka widzę Kaśkę, Olkę i Patrycję. Na szczęście nie ma ani Zoi, ani Aurelki, bo chyba zapadłabym się ze wstydu pod ziemię.

Prezes pyta, czy pójdziemy pomóc jakoś rozgonić to towarzystwo. Zerkam na Igora, a ten zgadza się bez wahania, twierdząc, że będzie miał okazję przypomnieć sobie włoski. Jestem zaskoczona, ale staram się nie wyglądać głupio. Nie miałam pojęcia, że potrafi mówić po włosku. Nagle ze smutkiem uzmysławiam sobie, że przecież tak mało o nim wiem.

Igor włącza się do rozmowy, swiergocząc, jakby urodził się w Mediolanie, a ja korzystam z chwili zamieszania wywołanego

ulotnieniem się dziewczyn i zagaduję Roberta.

– Zmęczony?

Spogląda na mnie zakłopotany, jakby zrozumiał pytanie niejednoznacznie. I przez ułamek sekundy widzę, że coś go dręczy, coś nie daje spokoju, ale przecież nie może się otworzyć przed obcą babą.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska – reflektuję się. – Po prostu widziałam, że ich towarzystwo niekoniecznie ci odpowiada.

Robert zagryza mocno wargi. Ta jego powściągliwość bardzo mnie intryguje.

– Staram się nie mieszać spraw prywatnych z zawodowymi – mówi w końcu. – Ale ostatnio chyba rzeczywiście dzieje się zbyt dużo i trudno mi zachować odpowiedni dystans. Przepraszam.

Nie mogę się na niego gniewać, przecież mnie rozmowa z Hubertem również wyprowadziła z równowagi. Jeśli Robert ma kogoś i przeżywa obecnie kłopoty w raju, nic dziwnego, że towarzystwo adorujących go kobiet jest mu nie na rękę.

– Nasi przyjaciele są już bardzo zmęczeni. Chcieliby się pożegnać – wyjaśnia Igor.

Spoglądam na zegarek. Już dawno minęła północ. Sala jest zakontraktowana w zasadzie do rana, ale Robert został wynajęty na cztery godziny, które już minęły.

– Przepraszam, straciłam poczucie czasu.

Tomczyk widzi moje zmieszanie i stwierdza, że jest przyzwyczajony, że praca się zwykle przeciąga. Pośredniczy mi jeszcze w rozmowie, bo muszę się upewnić, że Włosi naprawdę chcą spać i wypada zapytać, czy trzeba pomóc im dotrzeć do wynajętych na górze pokoi. Chwalą jedzenie i piękne kobiety, zasypując mnie przy okazji komplementami, a Igor ledwie potrafi ukryć irytację. Wtrąca się do rozmowy i proponuje, że sam ich odprowadzi. Nie, to nie będzie żaden problem. Wyjaśnia, że mam jeszcze kilka spraw do omówienia z szefem, i nie mogę im towarzyszyć.

Wiem, że to ściema, ale przecież nie mogę zaprotestować. Widzę, że Tomczyk jest rozbawiony tym napadem zazdrości, i zastanawiam się, czy on jest zaangażowany w swój związek równie mocno.

Igor i Włosi wychodzą, dziękując głośno za przyjęcie. Przymykam oczy i dziękuję w duchu, że nie jestem częścią tego cyrku. Są trochę podpici, wyjście z nimi rzeczywiście mogłoby być ryzykowne.

– Nie mój typ – słyszę znudzony głos Aurelii. – Dlaczego dla odmiany nie mógł przyjechać ktoś przystojny, a nie trzy stare rozdeptane parmezany?

Z trudem zachowuję powagę. Aurelia Chmielnicka marzy o panu Darcym, a odpowiedni kandydat nie pojawia się na horyzoncie.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę, po czym Robert się żegna i wychodzi, odprowadzony pełnym zawodu wzrokiem Aurelki.

– On kogoś ma – pozbawiam ją złudzeń. – Bądź cierpliwa, jeszcze znajdziesz swojego księcia.

Aurelia ostentacyjnie pociąga nosem, by podkreślić, jak jej źle.

– Zojka już się zmyła, więc pora i na mnie – zagaduje. – Na dziesiątą mam aerobik. Ciekawe, jak zwlokę się z łóżka.

Proponuję podwózkę, bo przecież my też będziemy się już zbierać, ale mówi, że przed chwilą zamówiła taksówkę. Nie nalegam, tylko odprowadzam ją do holu, gdzie po chwili dołącza do mnie Igor.

– Wychodzimy – mówi autorytatywnie.

Nie protestuję. Jestem już zmęczona, więc bez sensu byłoby prosić, żebyśmy jeszcze zostali.

Na zewnątrz wita mnie nocny chłód. Igor zauważa, że jest mi zimno, i bez słowa podaje swoją marynarkę. Otulam się nią i od razu czuję przyjemną woń męskich perfum. Jasiek powiedział, że to jakiś Hugo Boss. Postanawiam przy okazji przejść się do perfumerii i sprawdzić który. Z czystej ciekawości.

Igor parkuje przed blokiem i odprowadza mnie na górę. Jest naburmuszony, nic nie mówi, więc nie wiem, jak się zachować. Wygrzebuję z torebki klucz i zapraszam, żeby wszedł na chwilę, ale stwierdza, że jest zmęczony i chce się położyć. Nie nalegam. Dostaję jeszcze buziaka na „dobranoc” i Igor znika, zostawiając mi swoją marynarkę.

Tuż za progiem zmęczenie i mnie dopada. Zdejmuję szpilki i idąc do łazienki, potykając się na obolałych stopach. Odkładam do szafy biżuterię i niechętnie zdejmuję pachnące Igorem okrycie.

Pomimo incydentu z Hubertem i początkowych problemów z wystrojem sali wieczór chyba mogę uważać za udany. Duża w tym zasługa Igora, który stanął na wysokości zadania i starał się dobrze bawić. Oprócz mnie nikogo tak nie znał. Ale po tylu godzinach ma prawo czuć się zmęczony. Zresztą ja też jestem. Pora przygotować się do snu.

Sięgam do suwaka sukienki, gdy słyszę pukanie.

Igor.

– Nie mogę bez ciebie żyć – słyszę. – Nie mogę znieść myśli, że

ten fagas cię skrzywdził, a teraz łąsi się i udaje ofiarę. Powinienem był mu przyłożyć. Nie może oczekiwać, że załatwisz mu pracę – wyrzuca z siebie.

Jestem zaskoczona jego wybuchem. Od czasu spotkania z Hubertem był milkliwy, ale nie przypuszczałam, że tak to wszystko przeżywa.

– Hubert chyba nigdy do końca mnie nie akceptował – stwierdzam, uzmysławiając sobie bolesną prawdę. – Ani mnie, ani mojej rodziny. Tej biologicznej ani tej, którą również noszę w sercu. Musiałam się dla niego zmienić, żeby był zadowolony. A w końcu i tak znalazł sobie inną. Nie było warto poświęcać się dla niego, ale za późno to zrozumiałam.

Igor przypiera mnie do ściany. Trochę za mocno. Jednak mimo fizycznego dyskomfortu czuję przyjemne napięcie. Jest wzburzony, ale nie robi mi krzywdy. Widzę to w jego oczach.

– Nie chcę, żebyś się zmieniła – akcentuje mocno. – Nie chcę, żebyś udawała. Chcę prawdziwą Krysie. Taką, która wrzeszczy, gdy się wkurza. Która chce mieć wszystko pod kontrolą i strasznie bałagani, gdy maluje. Która robi nieprzemyślane zakupy...

Nie pozwalam mu kontynuować. Mam ochotę pocałować go i robię to. Najpierw raz, delikatnie, potem drugi i kolejny. Przymyka oczy, próbując zachować panowanie nad sobą, jednak nie daje rady. Jesteśmy tak blisko, że czuję jego rosnące podniecenie. Całuje moją szyję i dekolt, sięgając jednocześnie dłonią pod sukienkę.

Obejmuję udami jego biodra i pozwalam się zanieść do sypialni, gdzie Igor udowadnia, że to o mnie myślał przez cały wieczór. Jego usta są głodne, rozpalają we mnie żar, o który nigdy bym się nie posadzała. Gdy się kochamy, nie liczy się nic innego, zapominam o wszystkim i jedyne, czego chcę, to więcej.

– Nigdy nie będę miał cię dość – odgraża się, gdy wyczerpany przygniata mnie swoim ciężarem.

Przymykam oczy, upajając się ostatnimi spazmami przeżytego orgazmu. Wplątam palce w jego włosy i gładzę delikatnie.

Oddech Igora pogłębia się i wyrównuje. Wiem, że zasnął. Nic dziwnego, przecież już bardzo późno. Ostrożnie wysuwam się spod niego i na palcach idę do łazienki, gdzie dokończam zdejmowanie ubrania. Wcześniej nie było czasu, by szarpać się z zamkiem. Spoglądam w lustro. Fryzurę mam w nieładzie, ale postanawiam zająć się tym później. Już w koszuli nocnej wracam do łóżka. Igor pachnie tak przyjemnie. Przymykam oczy i układam się obok niego. Nareszcie czuję się bezpiecznie.

*

Budzi mnie odgłos dzwonka w telefonie. Jakiś obcy. Igor też się zrywa.

– To mój – mówi przeprasząco. – Zaspałem.

Szukamy smartfona wśród jego ciuchów rozrzuconych na podłodze w przedpokoju. W końcu odbiera.

– Przepraszam, straciłem poczucie czasu – rzuca. – Niedługo będę w domu. Nie martw się, na pewno zdamy. Też cię kocham, promyczku.

Zbiera wszystkie ubrania i idzie do łazienki. Nie mówi, kto dzwonił, a ja nie pytam. W obecnej sytuacji to pytanie nie przeszłoby mi przez usta. Przetykam łzy i uśmiecham się, jakbym nic nie słyszała. Jakby w ogóle mnie to nie obeszło.

– Kiedyś wszystko ci wyjaśnię – mówi jeszcze i znika, zamykając za sobą drzwi.

Wlokę się do kuchni i nastawiam wodę na kawę. Powinnam iść pod prysznic i umyć włosy, ale jestem za bardzo rozżalona. Do kogo wrócił? Do żony? Do córki? Kogoś na pewno ma, przecież powiedział, że ją kocha, i nazwał promyczkiem. Że też ja zawsze muszę mieć takiego pecha!

Obiecałam Jaškowi, że dzisiaj przyjdę, ale nie mam na to ochoty. Wysłałam wiadomość, że jestem chora, i wyłączam telefon. Niech nie dzwoni. Kawa mi jakoś nie smakuje, więc wylewam zawartość kubka do zlewu. Śniadania też nie jem, bo

mi się nie chce. Z poczuciem osamotnienia zagrzebuję się w pościeli. Co jest ze mną nie tak? Uśmiecham się gorzko. I pomyśleć, że jeszcze niedawno czułam się szczęśliwa. Przecież mogłam się domyślić, że Igor tylko mnie wykorzystuje. Jest fryzjerem, zna wiele kobiet, a do tego ma u nich olbrzymie powodzenie. Mogę być jedną z wielu. Co ja sobie wyobrażałam? Że mnie kocha? Po prostu dostał, co chciał, i wrócił do domu.

Dochodzi południe, gdy zamek w drzwiach szczęka. Nie mam wątpliwości, że to Jasiek. Po co on przylazł? Naciągam na głowę kołdrę w nadziei, że mnie nie odnajdzie.

Słyszę, że mnie woła. Zagląda pewnie do kuchni, salonu i łazienki, aż w końcu naciska klamkę drzwi prowadzących do sypialni. Spocona od braku powietrza wstrzymuję oddech.

– Kryśka, twoja stopa wystaje – mówi wkurzony, ściągając ze mnie kołdrę. – Zwariowałaś? – fuka. – Ja się martwię, że coś ci się stało, a ty się przede mną chowasz? Siora, tak się nie robi!

Warczę coś, próbując wyartykułować niezadowolenie, ale Jasiek nie zwraca na to uwagi.

– Ubieraj się, wychodzimy – rzuca nieznoszącym sprzeciwu głosem. – *Wakaru, onēsan?![13]*

Wybałuszam oczy ze zdziwienia. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby mój młodszy brat był tak wzburzony. To do niego niepodobne.

– *Wakatta, wakatta[14]* – odpowiadam pojednawczo.

Proszę, żeby dał mi pół godziny, ale mówi, że mam co najwyżej pięć minut. W sam raz, żeby spakować do torby jakieś ciuchy i wyjść. Próbuję się kłócić, że przecież nie wyjdę z domu w koszuli nocnej i do tego rozczochrana, ale Jasiek, marszcząc groźnie brwi, stwierdza, że czas mija, a później wyniesie mnie siłą.

– Nie zostawię cię tutaj samej – grzmi. – Mamy w domu łazienkę, będziesz miała czas, żeby się ogarnąć. Załóż ten szlafrok frotte, który widziałem tutaj gdzieś wczoraj. On chyba ma kaptur.

Nie zamierza ustąpić, więc w końcu kapituluję. Zastanawiam się tylko, jak zareaguje *okāsan*, widząc mnie w takim stanie, jednak mina Jaśka dobitnie świadczy o tym, że moje wątpliwości mało go obchodzą.

Godzinę później siedzę w salonie u Yamadów. Jestem wykąpana, moje włosy schną, późne śniadanie też zdążyłam już zjeść.

Okāsan przynosi zieloną herbatę.

– To *bancha* – mówi tym swoim ciepłym, kojącym głosem. – O wiele lepsza niż ta twoja kawa. Wspomaga trawienie, uspokaja i rozluźnia.

Jasiek wzdycha teatralnie.

– *Okāsan*, Krysia ma niestrawność przez faceta, nie przez jedzenie – prostuje, nic sobie nie robiąc z tego, że piorunuję go wzrokiem. – Nie kopniesz mnie pod stołem, siostra – przechwala się. – Raz pozwoliłem ci wybrać nieodpowiedniego męża, ale drugi raz nie popełnię tego błędu. Zapomnij.

Okāsan patrzy to na mnie, to na Jaśka i kręci głową z niedowierzaniem. Ma prawie sześćdziesiąt lat, ale nadal wygląda najwyżej na czterdzieści parę. W długich, spiętych na karku czarnych włosach nie błyszczą jeszcze żadna srebrna nitka, twarz jest jędrna, bez zmarszczek. Przypominam sobie, że niedawno widziałam w internecie reklamę książki „Japonki nie tyją i się nie starzeją”, i oto przed sobą mam namacalny dowód, że to prawda.

– Yan, Krysia jest już dorosła – zaczyna łagodnie. – Nie wolno się wtrącać.

– Ależ mamol! Przecież sama widziałaś, jak ona wyglądała przez tego Hugo Bossa! – Jasiek protestuje, unosząc się z miejsca.

Wywracam oczami. Zapomniałam, że Jasiek potrafi być tak nadopiekuńczy. W szkole przecież pilnował, żeby nie kręcił się wokół mnie żaden chłopak.

– Yan, idź sprawdzić, czy Haru się nie obudziła przez te twoje

wrzaski – prosi *okāsan*. Sayaka ma dzisiaj zajęcia ze studentami zaocznymi w szkole, w której pracuje jako lektor, więc dziewczynka została pod opieką Yana i babci.

Jasiek wie, że został skarcony, więc wychodzi z kwaśną miną, pokazując mi jeszcze na odchodnym wyciągnięty język. Dobrze, że zdążyłam przełknąć łyk herbaty, bo inaczej chyba bym go opluła ze śmiechu. Zachowujemy się jak para szczeniaków.

– To jak było z tym Hugo Bossem? – pyta od niechcienia *okāsan*. Dobrze wiem, że doskonale zdaje sobie sprawę, że nie tak się nazywa, bo jest przyzwyczajona do luksusowych marek kosmetyków. W łazience przecież widziałam drogie perfumy, a także japońskie kremy Kanebo Sensai. Kiedyś sprezentowała mi jeden. Działa cuda, ale za to ceną powala na kolana.

– Ma na imię Igor – odpowiadam, ponaglona kolejnymi pytaniami. – Poznaliśmy się przypadkiem, gdy chciałam zmienić fryzurę. Spotkaliśmy się później kilka razy, a wczoraj był ze mną na bankiecie.

– *Sō desu ne...* – *Okāsan* w zamyśleniu przykłada szczupłą dłoń do brody. Zawsze tak robi, gdy się nad czymś zastanawia. – Wydaje mi się, że ledwo się znacie – stwierdza w końcu. – Jeśli ci na nim zależy, trzeba wszystko sobie wyjaśnić. W Japonii dziewczęta dają chłopcom prezenty, by okazać zainteresowanie, ale tu jest inny kraj, tu trzeba działać inaczej. Chyba najlepiej będzie spokojnie porozmawiać. Yan jest, jak wy to mówicie, w gorącej wodzie kąpany. On chce działać szybko, a z uczuciami tak się nie da. Krysia najlepiej wie, co czuje jej serce.

Kiwam głową, przyznając jej rację, ale tak naprawdę nie wiem, co czuję. To wszystko dzieje się bardzo szybko. Za szybko. Dopiero co skończyłam jeden związek, a już wpakowałam się w kolejny. I znów to nie są moje zasady. Owszem, mam większą swobodę niż z Hubertem, wróciłam do malowania i na łono rodziny, jednak nadal nic o Igorze nie wiem. Nie wiem, kto do niego dzwonił ani z kim go widziałam, siedząc z Zoją w kawiarni. Boję się, że odpowiedź na to pytanie mogłaby mi się nie spodobać. Nie chcę się znowu zawieść.

Pomagam *okāsan* przygotować obiad. Yan początkowo protestował, ale *okāsan* mu przypomniała, że w tygodniu nie ma zbyt wiele czasu, żeby pobawić się z Haru, więc brat towarzyszy nam w kuchni, po dziecinnemu tłumacząc córce, co robimy. Mówi, że ustalili z Saya, że on będzie rozmawiał z Haru po polsku, a ona po japońsku, w ten sposób mała nauczy się obu języków, tak samo, jak było w przypadku jego i później mnie.

Uśmiecham się z rozrzewnieniem. Nie pamiętam dokładnie, jak sama nauczyłam się japońskiego. *Okāsan* opiekowała się mną, gdy byłam mała, i to chyba samo przyszło. Wiem, że był czas, kiedy myliłam oba języki, ale o tym to już opowiadała mi mama. Podobno mówiłam, że japoński jest śmieszny. Pewnie chodziło o intonację i długie samogłoski, ale i to z czasem opanowałam metodą prób i błędów. Fajnie mieć taką mieszaną, wielokulturową rodzinę.

Gdy jestem już gotowa do wyjścia, *okāsan* ściska mnie mocno i zaprasza, żebym niedługo znów przyszła.

– Dom obok jest na sprzedaż – mówi, bezskutecznie próbując ukryć entuzjazm. – Piotrek przeprowadził się do Gdańska, a Renata z mężem wybudowali willę pod miastem. Na co Nowakom taki duży dom, gdy zostali sami? Szukają dwupokojowego mieszkania.

Nie wiem, co to może mnie obchodzić, ale nie zważając na protesty, *okāsan* wciska mi w dłoń karteczkę z numerem telefonu.

– To do Dagmary – wyjaśnia. – Ona cię lubi. Na pewno się dogadacie.

Rzeczywiście, znam panią Dagmarę od zawsze. Przecież jako dziecko bawiłam się z jej dziećmi, byłam nawet w jednej klasie z Renatą. Ale po co mi dom? Owszem, moje mieszkanie jest trochę ciasne, ale myślałam raczej o kupnie trypokojowego, a nie domu.

– Trzeba zrobić remont, ale będę spokojniejsza, jeśli będziesz mieszkać tuż obok – stwierdza Yuki Yamada, nie owijając

w bawełnę. – Yan przechowuje na strychu wszystkie twoje sztalugi i pędzle, chociaż pewnie te dawno już do niczego się nie nadają. Będiesz mogła zrobić sobie pracownię na piętrze. Yan mówił, że teraz nie masz się gdzie z tym wszystkim pomieścić.

Chcąc nie chcąc, muszę przyznać jej rację. Przydałoby się więcej miejsca. Z uzyskaniem kredytu też nie powinno być kłopotu, poza tym mam jeszcze spore oszczędności. Obiecuję więc, że zadzwonię.

– Przeprowadź kiedyś tego swojego Igora – prosi i nie dając mi szansy na powiedzenie choć słowa, znika we wnętrzu domu.

Przyszłam na piechotę, więc i wracam w ten sam sposób. Zamykając furtkę, rzucam okiem na dom Nowaków. Dach wygląda na nowy, ale elewację trzeba by za jakiś czas odświeżyć. Próbuję przypomnieć sobie rozkład pomieszczeń wewnątrz budynku. Na parterze obok salonu, kuchni i łazienki jest jeszcze sypialnia. Na piętrze trzy pokoje i łazienka. W piwnicy znajduje się osobna pralnia. W okolicy domu nie ma wysokich drzew, więc pokoje są słoneczne. Dobre światło do malowania. Za budynkiem jest taras otwierający się na ogród, który przy odrobinie chęci można fajnie zagospodarować. Pytanie tylko, czy Nowakom spodoba się moje mieszkanie.

Zauważam, że w oknie „Fryzjerni” pali się światło. Przystaje zaskoczona. Igor wspominał, że go dzisiaj nie będzie, więc pewnie zapomnieliśmy wczoraj zgasić. Sięgam do kieszeni po klucze, które mi dał. I tak przecież miałam zabrać swoje rzeczy, więc przy okazji wyłączę to światło.

Przed włożeniem klucza w zamek odruchowo naciskam klamkę i dziwię się, że drzwi są otwarte. Przecież nie mogliśmy się tak zapomnieć!

A jeśli ktoś tu się włamał, a ja go nakryję? – Strach wypełnia moje myśli. Jednak jest już za późno, drzwi są otwarte na oścież, więc wchodzę.

Wychodzi z łazienki i spogląda na mnie okrągłymi ze zdziwienia, zielonymi oczami, w których jednak po chwili pojawia się cień uśmiechu. Szacuję, że może mieć około

dziesięciu lat. Długie do pasa włosy w odcieniu pszenicy otaczają gęstym płaszczem jej drobne ramiona.

– Pani musi być Krysią – konstatuje. – Tata mówił, że może pani przyjść. Proszę, niech pani nie mówi, że zapomniałam zamknąć drzwi. Powinien zaraz wrócić. Poczekaj pani? Mam na imię Weronika.

Próbuję się uśmiechnąć, chociaż tak naprawdę chce mi się wyć, bo moje przypuszczenia co do tego, że Igor ma rodzinę i mnie oszukuje, okazały się prawdziwe. Dlaczego to ukrywa? Czy jestem tylko jego kolejną zdobyczą? Czy wykorzystuje córkę do spławiania dziewczyn, które już mu się znudziły?

– Miło mi cię poznać – odpowiadam, siląc się na beztroski ton. – Niestety, nie mogę zostać. Zabieram swoje rzeczy i uciekam. Umówiłam się z rodziną – kłamię. Wiem, że nie muszę się tłumaczyć, jednak czuję taką potrzebę, widząc, jak entuzjazm na twarzy Weroniki znika.

– Szkoda – odpowiada przygaszona. – Może następnym razem.

Zostawiam jej klucze i proszę, by tym razem zamknęła drzwi. Zbiegając po schodach, zaciskam mocno powieki, ale i tak czuję zbierające się pod nimi łzy. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Jak w tak krótkim czasie mogłam tak zdurnieć dla faceta, którego, jak się okazało, w ogóle nie znam?

W mieszkaniu nie włączam światła, tak na wszelki wypadek, gdyby Igor postanowił mnie szukać. Po niecałej godzinie rzeczywiście dzwoni domofon, ale nie otwieram. Nie mam ochoty z nim rozmawiać.

Układam plan. Jutro z samego rana zadzwonię do sąsiadki Yamadów i zapytam, czy chcą zobaczyć moje mieszkanie. Jedyne, co mnie powstrzymuje, żeby nie zadzwonić teraz, to panujący tu bałagan. Przez noc powinnam zdażyć wszystko posprzątać. Nie jest przecież na tyle ciemno, żebym nie zdażyła poskładać farb czy chociażby pozmywać naczyń. No i w łazience mogę zapalić światło i moja obecność w mieszkaniu nie zostanie odkryta. Na szczęście Igor nie może zadzwonić, nie ma przecież mojego numeru telefonu. Tylko ja mam numer z jego wizytówki.

O czwartej nad ranem mieszkanie lśni czystością. Przed północą uznałam, że jest już bezpiecznie, i zapaliłam wszystkie światła, by żaden pyłek nie umknął mojej uwadze. Jestem zadowolona z efektu, ale padam z nóg, więc biorę szybki prysznic.

Obiecuję sobie, że nie będę płakać, ale nie daję rady, bo poduszka nadal pachnie Igorem. W pierwszym odruchu mam ochotę zmienić poszewkę, by pachniała po prostu proszkiem do prania, ale ostatecznie rezygnuję, przytulając się do niej, by choć na chwilę zagłuszyć kielkujące w sercu uczucie samotności. Gdy w końcu udaje mi się zasnąć, na dworze już świta. Jeszcze nie wiem, jakie niespodzianki szykuje dla mnie ten dzień.

Około południa jem przygotowane naprędce śniadanie. Spałabym dłużej, ale obudził mnie hałas na klatce schodowej, a konkretniej stękania osób wnoszących na górę jakieś pakunki. Pewnie ktoś w końcu zamieszka na czwartym piętrze pod dziewiętnastką. Mieszkanie od lat stoi przecież puste.

Wykręcam już numer pani Nowak, kiedy słyszę pukanie do drzwi. Spoglądam przez wizjer i czuję ulgę, widząc kobietę w średnim wieku. Bałam się, że to może Igor, ale na szczęście nie wszystko na świecie ma związek z tym mężczyzną.

– Bardzo przepraszam za najście – zaczyna nieznajoma, gdy uchylam drzwi. – Elżbieta Drzewiecka, będę pani sąsiadką. Wprowadzamy się z mężem do mieszkania na czwartym piętrze. Otworzyłam skrzynkę na listy, żeby wyrzucić stare ulotki, ale wśród nich znalazłam list do pani. Listonosz musiał się pomylić.

Dziękuję, odbieram list i niemal natychmiast o nim zapominam. Został wysłany z przychodni, do której kiedyś należałam. Minęły trzy lata, więc o cokolwiek mogło chodzić, jest już nieaktualne. Mam ważniejsze sprawy na głowie niż jakaś zagubiona korespondencja.

Umawiam się na szesnastą na oglądanie domu i natychmiast informuję o tym Jaśka. Brat każe mi przyjść na obiad.

– Po co masz sama gotować, skoro twój brat jest kucharzem?
– nalega, sięgając po racjonalny argument. – Zjemy wszyscy razem, a później pójdziemy obejrzyć twoje nowe gniazdko. Mama już rano rozmawiała z sąsiadką.

Rzeczywiście, musiała z nią rozmawiać, bo przecież pani Nowak wcale nie była zaskoczona, że dzwonię. Kochana *okāsan* wcale nie żartowała, że chce mnie mieć na oku.

– Dobra, zaraz będę – obiecuję. – Nie marudź już.

Równo o szesnastej pani Dagmara Nowak otwiera nam drzwi.

– Męża nie ma, pomaga przyjacielom przy przeprowadzce – informuje, proponując nam równocześnie coś do picia. *Okāsan* chce zrobić sąsiadce przyjemność i prosi o herbatę. Ja wybieram kawę.

Przechodzimy do salonu. Wszyscy się zachowują tak, jakby sprawa była już dogadana. Tylko ja dyskretnie rozglądam się po kątach.

– Mam umówioną ekipę, która robiła remont w „Oishii”. – Yan szepcze mi do ucha. – Trzeba zamówić nowe okna, ale to dopiero w poniedziałek.

Spoglądam na niego zaskoczona. Przecież nie powiedziałam, że kupię ten dom!

– Muszę załatwić elektryka i hydraulika przed remontem łazienki, bo inaczej ciężko będzie zamontować wannę – kontynuuje Jasiek. – W ogóle całą łazienkę trzeba zrobić od nowa, ale mam to już dogadane. Wannę zamówiłem wczoraj, bo trochę to potrwa.

Nie wiem, czy mam bardziej ochotę go uściskać, czy udusić za tę samowolkę.

– Przecież ja jeszcze słowa z panią Nowak nie zamieniłam – strofuję go szeptem.

– Ja zamieniłem. – Szczerzy zęby, dumny z siebie jak paw. – Opisałem wczoraj twoje mieszkanie, powiedziałem, gdzie się znajduje, i okazało się, że na górę wprowadzają się ich dobrzy znajomi. Wspaniały zbieg okoliczności, prawda? Dlatego są

chętni, żeby się dogadać. To przecież bardzo dobra lokalizacja.

Z kuchni wracają pani Dagmara i *okāsan*. Obie w doskonałych humorach. Widać, że ucięły sobie przyjemną pogawędkę. Sączę kawę, a właścicielka opowiada, które instalacje zostały wymienione, oraz co jeszcze wymaga naprawy.

Yan nawet nie udaje, że słucha. Wydaje mi się, że wie o wszystkim i ta rozmowa jest czystą formalnością, jeśli ja nie kupię tego domu, to on kupi go dla krnąbrnej starszej siostry, bo wie lepiej, co jest dla mnie dobre.

Mimo początkowej niechęci opuszczam dom na Chabrowej z głową pełną planów. Jeden z pokoi na górze, ten z oknem wychodzącym na południe, rzeczywiście może posłużyć za pracownię. Jest wystarczająco przestronny, by pomieścić wszystkie moje szpargały.

Ustalamy, że w łazience na piętrze będzie prysznic. To na dole Yan zaplanował pokój kąpielowy. Okazało się, że źle zapamiętałam rozkład pomieszczeń. Obok łazienki znajduje się dodatkowy pokój, który Jasiek chce zlikwidować. Wydzielili osobne pomieszczenie z wc, a łazienkę połączy z tamtym pomieszczeniem, by bez problemu zmieścił się natrysk i duża wanna, którą już tu widzi oczami wyobraźni.

Obawiam się, że remont, który zaplanowałam, przewyższy znacząco kwotę, którą mam dopłacić do zdawanego mieszkania, ale Jasiek w ogóle się tym nie przejmuje. Trochę mnie to niepokoi.

Obejrzenie mojego mieszkania jest w zasadzie formalnością, ale Nowakowie odwiedzają mnie wieczorem. Pan Jeremiasz jest zmęczony po niemal całym dniu biegania po schodach, więc z ogromną ulgą siada w fotelu i z wielkim apetytem zajada zapiekanekę na cieście francuskim z rybą, serem i brokułami, którą na tę okazję przygotowałam.

– Umówiłam się z fachowcem, który miał odmalować ściany, ale w obecnej sytuacji chyba już nie będę w nic ingerować – mówię, gdy Nowakowie powiedzieli, że właśnie o takim przytulnym gniazdku marzyli. Mieszkanie jest przecież ustawne

i mimo jedynie dwóch pokoi dość spore, bo ma prawie pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Toaleta i łazienka są osobno, co stanowi duży atut, jeśli chodzi o mieszkanie w bloku.

– Daj nam do niego numer – prosi pan Jeremiasz. – Ustalimy kolory już po naszymu.

Wychodzą po godzinie, obiecując, że jutro spróbują umówić się z notariuszem. Kredytu nie muszę brać, dom jest do remontu, więc moje oszczędności w zupełności wystarczą. Remont, jak twierdzi Jasiek, sam się robi.

Od poniedziałku przytłacza mnie przyziemność. Dostaję okres i już samo to wyprowadza mnie z równowagi. Zoja poszła na L4, Aurelia jest jakaś zamyślona, a Dorota nawet się do mnie nie zbliża. Pewnie wciąż ma mi za złe, że nie zapalałam dzikim entuzjazmem, gdy zaproponowała, bym pomogła Hubertowi zatrudnić się w firmie. No trudno, jakoś to przeżyję. Nie potrafię po prostu udawać, że nic się nie stało.

Koło południa ktoś dzwoni do mnie z nieznanego numeru.

– Pani Krysiu, Jeremiasz Nowak się kłania – zaczyna, odrobinę skrępowany. – Czy aby nie przeszkadzam? Bo chodzi o to, że potrzebna jest wycena pani mieszkania. My sami już dzwoniliśmy do rzeczoznawcy. Trzeba, jak to się mądrze mówi, oszacować wartości obu nieruchomości, żebyśmy później nie mieli problemu z urzędem skarbowym.

Przyznaję mu rację. Ganię się, że sama o tym nie pomyślałam. Obiecuję, że zajmę się sprawą, ale niestety, jak na złość muszę dzisiaj zostać dłużej w pracy, więc proszę Yana, by pomógł. Przecież sam się odgrażał, że ma wolne.

Wychodzę z pracy po osiemnastej. Jasiek zdążył już trzy razy zadzwonić z pretensjami, że nie ma mnie jeszcze na Chabrowej, więc jadę prosto do Yamadów.

– Nic dziwnego, że jesteś taka chuda, skoro nie masz czasu zjeść – zrzędzi, gdy zostawiam buty w korytarzu.

– Nie truj – proszę, bo głowa mi pęka. Zresztą pewnie dlatego, że od rana nic nie jadłam, ale do tego się przecież nie przyznam.

Przez resztę wieczoru bezskutecznie usiłuję odwieść Jaśka od pomysłu pomalowania pokoju, gdzie Nowakowie od dawna nie mają już żadnych mebli. Notariusz jest umówiony na czwartek, w weekend planujemy zamianę i Jasiek uznał, że fajnie będzie mieć gotowy chociaż jeden pokój, gdzie będę mogła poskładać wszystkie swoje graty. Trzy razy podkreśla, że chodzi jedynie o poskładanie i możliwość spania, bo oczywiście żywić się będę u nich.

Nie chce mnie słuchać, nie przemawiają do niego żadne racjonalne argumenty, więc w końcu daję upartemu jak osioł bratu wolną rękę.

Wanna już podobno leci, ale przecież nikt nie przeprowadzi generalnego remontu, jaki Jasiek zaplanował, w ciągu kilku godzin. Nawet ekipa Ty'a Penningtona z amerykańskiej edycji „Domu nie do poznania”.

Jasiek dostał klucze i mówi, że już jutro zacznie grzebać na piętrze. W ostatnim akcie desperacji próbuję jeszcze poskarżyć się *okāsan*, ale ta tylko rozkłada bezradnie ręce, stwierdzając, że Jasiek zwariował i ona na to nic nie poradzi.

Kolejny dzień jest równie intensywny. Zarząd ma posiedzenie i muszę w nim uczestniczyć, choć tak naprawdę omawiane sprawy nie dotyczą mojej działki. Jestem głodna, a nie wypada wyjść wcześniej. Jasiek pewnie wścieka się, że jeszcze nie ma mnie na Chabrowej, ale to przecież nie moja wina.

Wracam po dwudziestej, nakarmiona, ale wcale nie spokojniejsza. Mam złe przeczucia, dlatego wlokę się nogą za nogą. Wychylam się zza murowanego śmietnika i natychmiast odwracam na pięcie, tak by nie miał szansy mnie zauważyć.

Pod klatką stoi Igor. Na bank do mnie dzwoni.

Zalewa mnie fala sprzecznych uczuć. Tęsknię za nim, ale równocześnie nie chcę się z nim spotkać. Nie potrafię udawać, że nic się nie stało. Nie zniosłabym myśli, że jestem tą trzecią, więc pora skończyć tę znajomość. Nawet jeśli przez to boli serce, a pod powiekami pieką łzy. Nie mam mu nic do powiedzenia. Poza tym, jeśli mam się w sobotę wyprowadzić, muszę zacząć

się pakować.

Czekam, aż Igor zrezygnuje, i dopiero wtedy ruszam w stronę klatki.

W mieszkaniu już nie czuję się jak u siebie. Zauważam, że Jasiek przywiózł kartony, żebym mogła spakować rzeczy. Po obrazach i sztalugach nie ma już śladu, musiał je zabrać, gdy byłam w pracy. W pierwszej chwili ogarnia mnie złość, ale gdy wchodzę do kuchni i zauważam stertę kubków, które w ubiegłym tygodniu próbowałam spakować, odczuwam coś na kształt wdzięczności. Przecież nie ma mowy, żebym sobie z tym sama poradziła. Będę musiała jutro Jaškowi podziękować. Najchętniej wzięłabym urlop, ale Zoja ma zwolnienie do połowy przyszłego tygodnia, więc nie ma mowy, żeby szef w tej sytuacji dał mi wolne.

Dzwonię do Jaška i mówię, że spakuję dzisiaj trochę ciuchów i jakieś drobiazgi z łazienki. Chwali mnie i cieszy się, że nareszcie zmadrzałam.

Tuż przed północą już padam z nóg. Mam cztery kartony przygotowane do wyniesienia. W piątym jest jeszcze trochę miejsca, więc otwieram szafkę w łazience, by sprawdzić, co jeszcze mogę dopakować.

I wtedy je zauważam, czując jednocześnie, jak piekący ból w sercu wyciska mi łzy z oczu. Perły po praprababci Igora. Nic dziwnego, że Igor chce się ze mną skontaktować – przecież stara się je odzyskać!

Próbuję zebrać myśli, by znaleźć najlepsze wyjście z niezręcznej sytuacji. Klucz oddałam, więc nie mogę już niepostrzeżenie podrzucić pereł do „Fryzjerni”. Na pocztę również nie zaniosę. Najlepiej będzie zamówić kuriera i wysłać ubezpieczoną paczką. Albo poprosić kogoś zaufanego. Na przykład Yana. Przeraża mnie ta perspektywa, ale jeśli nie chcę widzieć Igora, nie mam wyjścia. Zawsze jest jakiś koszt alternatywny.

Jak na złość nie mogę znaleźć żadnej koperty ochronnej, więc przygotowuję sakiewkę z granatowej, haftowanej w jasne prążki

chusty *furoshiki* i wkładam do niej biżuterię. Całość zabezpieczam szeroką tasiemką. Tuż obok pakunku zostawiam krótki list adresowany do Jaśka. Jak tu jutro przyjdzie, z pewnością go znajdzie. Nie będę musiała nic wyjaśniać.

Po chwili wahania dopisuję jeszcze, by traktował pakunek bardzo ostrożnie. Mimo wszystko te perły mają wielką wartość zarówno pieniężną, jak i sentymentalną. Igor zranił mnie, ale perły należą przecież do jego mamy, a ja nie mam powodów, żeby mścić się na niej za grzechy Igora.

*

Po powrocie z pracy od razu zauważam zniknięcie pakunku. Yan nie skomentował faktu, że wykorzystałam go jako gońca, i bardzo mnie to cieszy. Nie miałabym ochoty niczego tłumaczyć. Już i tak nie cierpi Igora, nie ma sensu dolewać oliwy do ognia.

Odgrzewam pozostawiony przez Jaśka obiad, a później wracam do opróżniania szaf. Część ubrań pakuję do kartonów, a inne odkładam do wyniesienia do kontenera. Nie miałam ich na sobie od tak dawna, że nie ma sensu ich trzymać. W nowym domu będę miała wprawdzie więcej miejsca, ale nie chcę już na wstępie go zagrabić.

Od pracy odrywa mnie brzęczenie domofonu. Spoglądam na zegarek. Dziewiętnasta. Cholera, zapomniałam, że mam nie włączać światła.

Ignorowanie na nic się chyba nie zda. Igor dzwoni, jakby się wściekł.

– Czego chcesz? – warczę w końcu, łapiąc za słuchawkę.

– Musimy pogadać – mówi stanowczo.

Nie, no tego już za wiele... Co on sobie wyobraża?

– Ani mi się śni!

Trzaskam słuchawką, odkładając ją na miejsce, ale znów

zaczyna dzwonić. Jakby się paliło. Psiakrew!

– Słuchaj, idź sobie! – W końcu nie wytrzymuję i znów chwytam tę przekłętą słuchawkę.

– Wpuść mnie – nalega. Jego głos brzmi tak przekonująco, że prawie wierzę, że ma dobre intencje, że nie chce mnie skrzywdzić. Zaczynam pochlipywać, pociągając nosem. – Krysia? – słyszę. – Kryśka, wpuść mnie, bo przysięgam, że narobię takiego hałasu, że dwa sąsiednie bloki się tu zbiegną – grozi.

Kapituluję. Nie mam siły się kłócić. Poza tym boję się, że któryś z sąsiadów może z nudów podsłuchiwać naszą rozmowę, a nie chcę się stać ofiarą plotek. Niektórzy i tak do tej pory dziwnie na mnie patrzą, bo zrobiłam niezłą awanturę, wyrzucając z domu Huberta w samych gaciach i skarpetkach.

Nie czekam, aż Igor wejdzie. Otwieram zamek i wycofuję się do salonu.

– Kryśka, co się tutaj dzieje? – woła od progu. Pewnie zauważył ustawione pod ścianą kartony.

Wzruszam ramionami, udając, że jego zainteresowanie mało mnie obchodzi. Ale gdzieś w głębi czuję satysfakcję, że udało mi się go zaskoczyć.

– Mówiłeś, że to mieszkanie do mnie nie pasuje, nie pamiętasz? – kpię. – Już je właściwie sprzedałam. W sobotę się wynoszę ze wszystkimi gratami.

Próbuję na niego nie zerkać, ale nie mogę się powstrzymać. Jest jeszcze przystojniejszy, niż zapamiętałam. Wygląda niezwykle seksownie w niebieskiej bluzce z siwym nadrukiem i luźnych, jasnych jeansach. Dobrze, że w salonie nosi ten swój wprowadzający dystans mundurek, bo gdyby pracował w tych ciuchach, klientki zjadłyby go na surowo.

Widzę po jego minie, że próbuje zrozumieć, skąd pomysł z przeprowadzką tak naprawdę przyszedł mi do głowy, i nagle wprawia mnie w osłupienie. Zaczyna się śmiać. Tak bardzo, że musi przytrzymać się futryny.

– Co w tym śmiesznego? – rzucam wściekła. Przecież moje zranione ego nie może znieść takiego traktowania.

– Pamiętasz, jak kupowałaś farbę, a ja zapytałem, czy ty tak na serio z tym remontem? – dopytuje po chwili. – Wtedy też podjęłaś decyzję pod wpływem impulsu?

Uderza mnie trafność jego spostrzeżenia. Przecież jeśli już na coś się zdecyduję, muszę to zrobić zaraz, natychmiast. Taka już jestem.

– Brat dostarczył ci kolię i kolczyki? – pytam tylko po to, by odwrócić uwagę od siebie.

– Tak, dziękuję. Całkowicie o tym zapomniałem. Matka pewnie upomniałaby się za jakiś czas. Ale to był twój brat? Serio?

Nie rozumiem, co w tym dziwnego. To znaczy, wiem, że wyglądem różnimy się diametralnie, ale jestem do Jaśka tak przyzwyczajona, że nie zwracam na to uwagi i ciężko przyjąć mi do wiadomości, że ktoś mógłby mieć z tym problem.

– Przecież mówiłam, że mam drugą rodzinę – ganie Igora.

– Ale jak ty z nim rozmawiasz? – Nie daje za wygraną. – Ile on tu mieszka, że nie umie mówić po polsku? Angielskiego również nie rozumie. Rozmawiacie telepatycznie?

Nie, tego już za wiele! Nawet nie próbuję powstrzymać śmiechu, gdy wyobrażam sobie, że Jasiek znów zrobił to swoje przedstawienie. Pomylił profesję, powinien być zostać aktorem, nie kucharzem.

Igor patrzy na mnie jak na wariatkę, nic nie rozumiejąc.

– Jak on to powiedział? „Kryśka oddawać to”? – dopytuje, starając się naśladować akcent Jaśka.

Igor potwierdza, a ja modlę się o spokój, bo jak dorwę brata, to rozerwę go na kawałki. Pokrótce opowiadam o moich relacjach z rodziną Yamadów oraz ich udziale w akcji zakupu domu.

– *Okāsan*, mama Jaśka, kazała przyprowadzić cię na obiad – kończę. – Ale to było zanim... – urywam, bo dalsza część zdania

nie chce mi przejść przez gardło.

Igor spogląda na mnie badawczo.

– Zanim co? – rzuca w końcu poirytowany

– Zanim dowiedziałam się, że nie byłeś wobec mnie całkiem szczerzy – podejmuję, wracając do pakowania. Nie chcę na niego patrzeć, nie mogę. Już wystarczająco się na nim zawiodłam.

– Nie chciałem cię zranić – zaczyna po chwili. Brzmi szczerze, ale nie wierzę mu. Już nie.

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć, że masz żonę? Że jestem tą drugą?

Łapie mnie pod łokcie i zmusza, bym na niego spojrzała.

– Nie mam żony i nigdy nie miałem – mówi z naciskiem. – Wychowuję Weronikę samotnie.

Nalega, żebyśmy usiedli, i przez następną godzinę opowiada całą historię.

– Na początku ostatniej klasy technikum kumpel urządził imprezę – zaczyna. – Był alkohol, ktoś przyniósł prochy. Możliwe, że ktoś mi czegoś dosypał, bo wspomnienia mam dość mgliste. Obudziłem się z potwornym bólem głowy. Nie miałem na sobie ubrania, a obok mnie spała jakaś dziewczyna. Nie wiedziałem nawet, jak miała na imię, ale nie było wątpliwości, że uprawialiśmy seks – mówi zakłopotany. – Nie, nie jestem z siebie dumny, i wtedy też nie byłem. Bałem się, że zrobiłem jej krzywdę, ale wtedy się przeciągnęła i uśmiechnęła, mówiąc, że od dawna miała ochotę na seks z nieznanym. Nie była zainteresowana kontynuowaniem znajomości, więc po kilku dniach zapomniałem o całej sprawie.

Nie wiem, co o tym myśleć. Z reguły to faceci podają dziewczynom pigułkę gwałtu, ale tu chyba było na odwrót. To dziewczyna wykorzystała Igora, by spełnić swoją fantazję.

– Miałem dużo nauki i imprezy nie były mi w głowie. Po maturze złożyłem papiery na politechnikę, ale wtedy okazało się, że przygoda sprzed kilku miesięcy ma swoje konsekwencje. Myślałem, że matka dostanie zawału, gdy ta przygoda pewnego

dnia stanęła pod naszymi drzwiami. Okazało się, że ma na imię Aneta. Mój adres dostała od wspólnych znajomych. Powiedziała, że od dwóch dni mam córkę, którą postanowiła zostawić pod moją wyłączną opieką. W każdej chwili mogłem odebrać małą ze szpitala.

Nie, nie mogę tego słuchać. Niektóre kobiety, jak ja, nie mogą zająć w ciąży, a inne po prostu zostawiają dziecko w szpitalu. I gdzie tu sprawiedliwość?

– Mama próbowała interweniować, wytłumaczyć, że dziecko potrzebuje matki – ciągnie Igor. – Aneta nie chciała tego słuchać. Powiedziała, że teraz musi myśleć o sobie, że i tak dużo poświęciła, że przecież mogła ciążę po prostu usunąć, że namawiały ją do tego koleżanki, bo nie wierzyły, że uznam córkę. – Igor się gorączkuje. – Musiałem porzucić myśl o studiach. Nie miałem żadnych dochodów, a matki nie byłoby stać na utrzymanie nas, więc musiałem szybko nauczyć się zawodu i podjąć pracę. Znajoma miała zakład fryzjerski, więc padło na ten kierunek. Musieliśmy z mamą ściśle planować każdy dzień: naukę, pracę i opiekę nad Weroniką. Opiekunka przychodziła na cztery godziny. W tym czasie zamiatałem włosy, odbierałem telefony i konserwowałem sprzęt. To wszystko nauczyło mnie pokory. Nie o takiej przyszłości marzyłem, ale Weronika stała się całym moim światem.

Jest mi głupio, że tak źle go oceniłam. Myślałam, że jest po prostu dupkiem, który zdradza ze mną żonę, tymczasem też nie miał życia usłanego różami. Wpadł wprawdzie przez totalną głupotę, jednak koniec końców zachował się odpowiedzialnie.

– A Aneta? – pytam, bo nie mogę zrozumieć, jak kobieta mogła, ot tak, zostawić własne dziecko i nie interesować się jego przyszłością.

– Staralem się utrzymywać z nią kontakt, ale nie chciała widzieć małej. Zrzekła się praw rodzicielskich. Wychowała się w domu dziecka, twierdziła, że w ogóle nie ma instynktu macierzyńskiego.

Dziwi mnie ten czas przeszły. Czyżby...?

– Umarła, gdy Weronika miała półtora roku – podejmuje Igor, potwierdzając moje przypuszczenia. – Nie poradziła sobie z dorosłością.

– Popęłniła samobójstwo? – Chcę się upewnić, bo wydaje mi się, że źle go zrozumiałam. Przecież dziewczyna jeszcze mogła ułożyć sobie życie. Była taka młoda.

Głos Igora jest przepełniony bólem, gdy opowiada, jak pewnej nocy Aneta zaskoczyła go telefonem. Myślał, że potrzebuje pomocy, ale powiedziała tylko, że zmarnowała sobie życie, że tak będzie lepiej i że już nigdy nikogo nie skrzywdzi. Od razu zadzwonił na policję i po pogotowie, ale gdy dotarli na miejsce, było już za późno. Lekarz na podstawie walających się po pokoju fiolek po lekach stwierdził, że prawdopodobnie od dawna cierpiała na depresję.

Igor wyjaśnia jeszcze, że Aneta nie miała żadnych bliskich, więc to on z matką zajął się jej pogrzebem. Z prawami rodzicielskimi czy bez, była przecież mamą Weroniki.

Nie mogę powstrzymać łez. Tyle czasu walczyłam o dziecko, że nie mogę zrozumieć, dlaczego ta kobieta nie potrafiła kochać swojej córki. Może gdyby przyznała się do depresji i pozwoliła sobie pomóc, wszystko miałoby inne zakończenie? Może widząc rosnącą Weronikę, pokochałaby ją i mieliby z Igorem szansę stworzyć dziecku pełną rodzinę?

– Przepraszam – mówię, próbując się uspokoić, jednak łzy nie chcą przestać płynąć. Igor przytula mnie i ogrzewa swoim ciepłem. Słowa, które wypowiada, są kojące. Zaczynam już wierzyć, że to się może udać, gdy nagle przychodzi brutalne otrzeźwienie. – Weronika nie jest już małym dzieckiem – zauważam. – Przecież ona mnie nie zaakceptuje.

Igor nazywa mnie głuptasem, zupełnie nie dzielając moich obaw.

– Opowiadałem jej o tobie – wyjaśnia. – Bardzo chciała cię poznać. Nawet włosy uparła się obciąć tak jak ty.

Przypominam sobie piękne włosy Weroniki i obrzucam Igora przerażonym spojrzeniem. Nie mógł przecież...

– Chyba jej na to nie pozwoliłeś, co? – wybucham ostrzej, niż planowałam.

Bezradnie rozkłada ręce.

– Gdy przyszedłeś, akurat skoczyłem po pizzę. Miałem zamiar przekupić nią Weronikę, ale poległem. Z babami nie wygrasz – uśmiecha się rozbrajająco.

Widzę ten błysk w jego oczach, gdy opowiada o córce, i nie mam wątpliwości, że bardzo ją kocha. Jest wspaniałym ojcem.

– Gdzie ona teraz jest? – pytam. – To znaczy Weronika?

– U babci – odpowiada. – Mieszkamy w jednej kamienicy. Gdy nadarzyła się okazja, kupiłem mieszkanie na tym samym piętrze.

Chcę zapytać o coś jeszcze, ale nie mogę, bo Igor mnie rozprasza. Zupełnie niespodziewanie zaczyna całować moje ucho i szyję.

– Dzisiaj nie mogę – mówię, czując, że zaraz dojdzie do jakiejś katastrofy. Mam okres, nie wyobrażam sobie kochania się w takich warunkach.

Igor niechętnie rezygnuje.

– Faktycznie, nie masz zbyt wiele czasu na tę przeprowadzkę.
– Igor wyciąga błędny wniosek, ale nie prostuję go. To jest nawet lepsze niż tłumaczenie, że są dni w miesiącu, kiedy kobieta czuje się niekomfortowo.

Igor zostaje jeszcze godzinę i przez ten czas praca idzie nam całkiem sprawnie. Konstatuję, że Jasiak będzie miał sporo do wywiezienia, ale salon, prócz mebli, mam właściwie z głowy.

– A co z tym? – Wskazuje stojący na parapecie badyl z dwoma liśćmi, który wielbiciele zwań storczykiem.

Nie lubię go, bo to prezent z okazji ślubu od byłej już teściowej. Kwitł tylko raz, a później, mimo moich starań, już nie zakwitł, więc w końcu zostawiłam go bez opieki, podlewając jedynie od czasu do czasu. Denerwowały mnie te korzenie widoczne przez przezroczystą doniczkę, więc włożyłam go do

większej, zielonej.

– Postaw pod śmietnikiem. – Nie ukrywam awersji do nieszczęsnej rośliny.

Igor kręci głową.

– Matka by mnie wykleła. Ma całą kolekcję – wyjaśnia. – Z tym też pewnie sobie jakoś poradzi.

Wzruszam ramionami. Niech sobie bierze tego storczyka. Nie będę za nim tęsknić.

Żegnając Igora, daję mu swój numer telefonu. Tak ładnie poskładał do kartonów rzeczy z szafy, że sobie po prostu na to uczciwie zasłużył.

Nazajutrz urywam się na godzinę około południa i podpisuję z Nowakami umowę u notariusza. Rozmawiamy jeszcze przez chwilę. Pani Dagmara mówi, że też już się pakują, że zamówili ekipę z samochodem i że na sobotę będą gotowi.

Wypadałoby uczcić tę naszą zamianę. Ale muszę wracać, a i oni się śpieszą, więc obiecujemy sobie, że spotkamy się na spokojnie w innym terminie.

Gdy siedzę już w biurze i przeglądam jakieś sprawozdanie, przychodzi SMS od Jaśka. „Przyszła wanna”. Z początku ta wiadomość nie robi na mnie większego wrażenia, jednak po chwili uznaję, że zamówienie zostało zrealizowane wyjątkowo szybko. Za szybko.

Wszystko było ukartowane! Od dawna! Tylko ja o niczym nie wiedziałam! Uduszę Jaśka, po prostu uduszę!

Dzwoni do mnie, gdy wychodzę z pracy, ale nie odbieram. Niech wie, że jestem na niego wkurzona. Nie można aż tak bardzo ingerować w cudze życie.

Jasiek czeka na ławce przed wejściem do klatki. Po jego nietęgiej minie odgaduję, że wie, że źle zrobił. Jednak tak łatwo mu nie wybaczę. Tym razem mocno przeholował.

– Nie gniewaj się, *onēsan* – przeprasza. – Nowakowie już dawno wspominali o swoich planach, a ja po prostu wiedziałem,

że kupisz ten dom. Kumpel ze studiów zamówił wannę, ale jego żonie nie podobało się drewno. Woląta modne, gładkie, a to jest z sękami. Jest trwalsze – zapewnia solennie. – Wytrzyma czterdzieści lat. Postanowiłem, że muszę mieć dla ciebie tę wannę.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Gdy byłaś ostatnio w „Oishii”, z premedytacją nie wyściubiałem nosa z kuchni – ciągnie Jasiek. – Cieszyłem się, że schowałaś się za parawanem. Byłaś tak nieszczęśliwa i zestresowana, że nie mogłem na ciebie patrzeć. Wtedy zrozumiałem, że jeśli szybko czegoś nie zrobię, będę w przyszłości tego żałował. Myślisz, że wtedy nie wiedziałem, że twoje małżeństwo legło w gruzach? Wiedziałem, że cierpisz, ale nawet wtedy nie przyszedł do matki. Zupełnie się od nas odcięłaś.

Doceniam, że się o mnie martwi, ale uważam, że to nie upoważnia go do organizowania mi życia.

– Jasiek, tak się nie robi! – Wołam zdenerwowana. – Jestem dorosła. Mogę robić, co chcę, i popełniać błędy, jakie chcę. Nie wtrącaj się.

Yan traci cierpliwość.

– Nie wtrącałem się przez ostatnie kilka lat i jak na tym wyszłaś? Myślisz, że nie wiem, że ten twój cały Hubert nas nie lubił? A ty byłaś w niego wpatrzona jak wół w malowane wrota. Zapomniałaś o rodzinie. Zapomniałaś, że czasami wypada wpaść na herbatę i pogadać. I co ci strzeliło do głowy z tą rachunkowością? Powinnaś malować. Do tego masz talent. Nie możesz zajmować się głupimi cyferkami. One nie mają duszy.

Uderza mnie determinacja w jego głosie, ale i tak uważam, że stanowczo przesadza. No, może nie stanowczo, ale jednak. Nie lubię, jak wytyka mi się głupotę. Przecież doskonale wiem, czego żałuję.

– Siostra, przepraszam. – Tym razem jego głos brzmi dużo łagodniej. – Chcę dla ciebie jak najlepiej. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

Wiem, że ma dobre intencje, więc złość mi mija. Zapraszam go na kawę, ale z góry uprzedzam, że niedługo wpadnie Igor. Nie chcę stawiać Jaśka w niezręcznej sytuacji.

– Chyba trochę narozrabiałem – przyznaje. – Trzeba posprzątać.

Nastawiając wodę, wysyłam wiadomość do Igora, żeby nie był zaskoczony obecnością Jaśka. Zależy mi, by stosunki między nimi były przynajmniej poprawne, ale koniec końców wszystko i tak wygląda sztucznie, gdy Igor podaje Jaškowi rękę na powitanie, a później całuje mnie w policzek. Na więcej się nie odważa, bo niezadowolony Jasiek taksuje go wzrokiem od stóp do głów.

Tracę cierpliwość.

– Nie wiem, jak to zrobicie, ale macie się polubić – żądam. – Muszę coś załatwić. Zostawiam was samych.

Nie czekając na reakcję, chwytam torebkę, wsuwam stopy w baleriny i po prostu wychodzę. Albo się dogadają, albo zabijają. Sami muszą zdecydować, co chcą zrobić.

Nogi same niosą mnie w kierunku Chabrowej, do domu kobiety, którą kocham jak matkę. Nie pyta, co się stało, po prostu częstuje herbatą i ryżowymi ciasteczkami. Jesteśmy same, więc nie muszę się obawiać, że ktoś nas może podsłuchać.

Zaczynam dość nieśmiało, ale stopniowo się rozkręcam i wyrzucam z siebie wszystko, co mi leży na wątrobie. Yuki Yamada nie przerywa. Słucha rzeczywiście z troską, gdy opowiadam o relacjach z Hubertem, o Igorze, o moich ostatnich spięciach z Jaśkiem. Ukrywam tylko, że Igor ma córkę, uznając, że na jeden raz byłoby tego za dużo. Nie liczę na żadną pomoc, chcę po prostu z kimś porozmawiać.

– Muszę pomówić z Yanem – stwierdza w końcu *okāsan*. – Nie wiedziałam, że on to sobie wcześniej zaplanował – zapewnia. – Ale to, że wprowadzasz się tuż obok, to naprawdę świetny pomysł. Dużo przeszłaś i musisz ułożyć swoje życie od nowa. Z Igorem czy bez, lepiej zacząć w miejscu, z którym nie łączą się

przykre wspomnienia.

Ma rację. Jak zawsze.

Dokańczam herbatę i wracam do mieszkania, gdzie chłopaki, jak się okazało, świetnie sobie radzą. Nie wiem, czy rozmawiają ze sobą, czy nie, ale wita mnie góra gotowych do wyniesienia pakunków.

– Muszę skoczyć po Weronikę – informuje Igor, ignorując całkowicie Jaśka. No to teraz wiem, jak pracowali. Każdy osobno. Wkurza mnie to, ale cóż zrobić? Może potrzebują więcej czasu.

Dziękuję za pomoc. Wprawdzie nie chcę, żeby już wychodził, ale rozumiem, że mieszkanie, w którym panuje taki harmider, nie jest odpowiednim miejscem dla dziecka.

– Jutro spakuję kuchnię, więc obiad i kolację zjesz u nas – informuje Yan, tak żeby Igor zdążył go jeszcze usłyszeć.

Ciężko wzdycham. Będę musiała ich jakoś oswoić ze sobą, bo ta rywalizacja staje się męcząca i na dłuższą metę doprowadzi mnie do szału.

Po pół godziny Jasiek znosi ostatnie kartony. Zamykam drzwi i siadam przy kuchennym oknie. Zostały już niemal same graty. Cała drobnica została wywieziona. W szafie wisi ubranie na jutro oraz dres na sobotę. Igor odgrażał się, że też przyjdzie pomóc, ale kiedy przypominę sobie, jak wyglądają jego relacje z Jaśkiem, nie wiem, czy bardziej cieszy mnie to, czy martwi. A może jednak to będzie okazja, by w końcu się pogodzili?

Przywołuję z pamięci dzień, kiedy się tu wprowadziłam. Wcześniej mieszkanie zajmował jakiś pijaczek, którego w końcu eksmitowano i lokal wystawiono na licytację. Sama malowałam ściany, a pierwsze meble były zbieraniną tego, czego akurat chcieli się pozbyć znajomi rodziców. Jedynie pralkę, lodówkę i kuchenkę kupiłam nową.

Poznałam Huberta, gdy w zasadzie wszystko już miałam. Wprowadzając się, nie przyniósł własnych kłopotów, jedynie ciuchy i szpargały. Ale miał przecież wkład podczas kolejnego remontu. To on wybrał te drobne kafelki do kuchni. Za ich

położenie zapłaciłam majątek, bo tyle było z tym roboty, że dwóch płytkarzy od razu odmówiło, a trzeci zgodził się, dopiero gdy zaproponowałam podwójną stawkę.

Oczywiście Hubert nie widział w tym problemu. Zarabiałam już wtedy lepiej niż on, więc uznał, że naturalną kolejną rzeczą moim obowiązkiem jest płacić fachowcom za usługi. Poza tym to przecież moje mieszkanie, on był tu tylko lokatorem.

Otrząsam się ze wspomnień. Tak, dobrze robię, że się stąd wyprowadzam. Nic mnie tu nie trzyma.

Piątek mija szybko. W pracy wszystko leci mi z rąk, nawet ulubiony kubek. Na szczęście rozlana kawa nie spowodowała większych szkód.

Jednak Ziemiański zauważył moje rozkojarzenie i pyta o powód.

– Kupiłam dom – mówię, trochę zawstydzona, że być może dowiedział się od Aurelki o katastrofie na biurku. – Kończę się pakować, jutro ekipa zabiera meble. Mój brat robi jakiś remont już od kilku dni i boję się, co zastanę na miejscu – uzewnętrzniam swoje największe obawy.

Ziemiański pokazuje ludzkie oblicze i pozwala mi wyjść wcześniej. Mówi, że i tak nie byłoby ze mnie pożytku, a przez te kilka godzin firma się chyba nie zawali. Dziękuję i od razu zbieram swoje rzeczy, w obawie że jeszcze zmieni zdanie. Informuję Jaśka, że wychodzę wcześniej. Mówi, że jest zajęty, i każe mi jechać do „Oishii”. Już stamtąd dzwonię do Igora.

– Zabiorę cię na noc do siebie – proponuje, rozumiejąc, że w pozbawionym przedmiotów pierwszej potrzeby mieszkaniu mogę czuć się niekomfortowo.

Jednak nie jestem pewna, czy to dobre rozwiązanie. Może powinnam przenocować u Yamadów?

– No przestań – protestuje Igor, przewidując, że chcę się wymigać. – Już uprzedziłem Weronikę. Nie może się doczekać.

Nie wiem, czy Igor kłamie. Jeśli nie, to tym bardziej nie mogę odmówić, bo przecież już raz sprawiłam dziewczynce przykrość.

Pan Taro przynosi mój obiad, więc kończę rozmowę. Umawiamy się jeszcze, że Igor wpadnie po pracy. Na tę okazję zamawiam coś na wynos, bo przecież będzie głodny. Wczoraj dzielnie próbował ukryć, że burczy mu w brzuchu.

Wracam do mieszkania i zastaję tam uwijającego się skrzętnie Yana. Rozglądam się po kątach i zaczynam się cieszyć, że nie będę musiała tu spać. Pozbawione firanek okna wyglądają obco i wieją chłodem.

– Przyjdzie Igor – uprzedzam, żeby Jasiek znów nie strzelił focha. – Masz się zachowywać.

– Wiem, już matka mi nagadała. – Jasiek uśmiecha się kwaśno, wywracając przy tym oczami, a ja odwracam się, by nie ryknąć śmiechem. Nie wiedziałam, że *okāsan* będzie interweniować tak szybko. – Co tam masz? – pyta, widząc, że przyniosłam spory pakunek.

– To na później – wyjaśniam. – Wczoraj głód odebrał wam rozum. Może dzisiaj będzie lepiej.

Przed osiemnastą dzwoni domofon. Jasiek dopada go pierwszy i naciska guzik. Przypominam mu jeszcze, że ma być miły.

Drzwi nie są zamknięte na zamek, więc dziwię się, słysząc pukanie. Igor przecież wcześniej nigdy nie pukał.

– Dzień dobry – słyszę dziecięcy głos, gdy tylko naciskam kłamkę.

Od razu rozpoznaję Weronikę. Igor nie kłamał, rzeczywiście ma teraz krótkie włosy. Dumny tata stoi za nią i uśmiecha się do mnie szeroko.

– Możemy się wprosić? – pyta, choć to jest jedynie czystą formalnością.

– Tak, oczywiście, zapraszam – reflektuję się i presuwam, by weszli. – Jasiek, mamy gości! – wołam, by przypomnieć braciszкови zasady dobrego wychowania. – Nie, Weroniko, nie zdejmuj butów. Tu i tak jest bałagan.

Zaintrygowany Yan wygląda z pokoju. Nie spodziewałam się, że Igor przyjdzie z córką, ale przecież Jasiek nie wiedział w ogóle

o jej istnieniu.

– To jest Weronika, córka Igora – mówię, czując odrobinę satysfakcji, że udało mi się go zaskoczyć. – Weroniko, to mój brat, Yan.

Dziewczynka dyga nieznacznie i mówi, że jest jej bardzo miło. Jednak zdziwienie z jej twarzy nie znika. Widzi przecież, że bardzo się z Jaśkiem różnimy. Ale gdybym podczas przedstawienia nie zaznaczyła, że Jasiek jest moim bratem, ten by się przecież na mnie śmiertelnie obraził.

– Kiedyś ci to wszystko wytłumaczę – obiecuję. – Chodźcie wszyscy do pokoju – zapraszam. – Warunki są raczej spartańskie, ale mam coś do jedzenia. Igor, Jasiek, kawę? Czajnika jeszcze nie spakowałam, a i kubki się znajdują. Weroniko, dla ciebie herbatę?

– Poproszę – odpowiada odrobinę onieśmielona.

Podaję Jaśkowi pojemniki z jedzeniem. Niech czyni honory. Nie mam wątpliwości, że on najlepiej się tym zajmie. Przychodzi jeszcze do kuchni po talerze, a my z Igorem zajmujemy się przygotowaniem napojów.

– Myślisz, że to dobry pomysł, żeby zostawić Jaśka samego z Weroniką? – Igor szepcze mi do ucha.

Prawdę mówiąc, nie wiem. Mogę mieć taką nadzieję. Jednak po chwili oddycham z ulgą, słysząc, jak Jasiek tłumaczy dziecku, co takiego znajduje się w tych wszystkich pojemnikach.

– Yan jest kucharzem – wyjaśniam. – Najlepiej opowiada o jedzeniu. Gdybym wiedziała, że Weronika przyjdzie, zamówiłabym dla niej coś innego. Może nie chcieć jeść, bo przecież japońskie potrawy bardzo się różnią od naszych.

Woda zaczyna wesoło bulgotać. Igor chwyta czajnik i zalewa kubki, do których wsypałam wcześniej porcje kawy.

– Wybacz – podejmuje. – Weronika miała być u koleżanki, ale się poprztykały i szybciej mi było przywieźć ją tutaj niż odwozić do babci.

– Przecież nic się nie stało – zapewniam, bo nie chcę, żeby myślał, że jego córka w czymkolwiek mi przeszkadza. – I tak miałyśmy się dzisiaj zobaczyć, pamiętasz? – wypominam mu.

Igor podnosi się z taboretu, zauważając przy okazji stojące pod stołem pudło, do którego wpakowałam mój zapas siemienia lnianego. Dziesięć kartoników.

Ze zdziwienia wybałusza oczy.

– Żywisz się tą paszą? Nic dziwnego, że jesteś taka chuda.

– Żeby być Roszpunką z długim, grubym warkoczem, musiałam bardzo dbać o włosy – wyjaśniam rozbawiona. – Siemię lniane to tylko jedna z moich tajemnic.

Gdy wchodzimy do salonu, Weronika, instruowana przez Jaśka, walczy z pałeczkami. Mój brat mówi, że jak na pierwszy raz idzie jej całkiem nieźle, i buzia dziewczynki rozpromienia się w uśmiechu. Igor, by dodać córce otuchy, trochę przesadnie pokazuje, że i dla niego jedzenie pałeczkami jest trudne.

– Amator – prycha Yan i poprawia ich ułożenie, ale w jego głosie nie ma szyderstwa, tylko sympatia. Zaraz też zdradza sekret, że w dzieciństwie, gdy upewniliśmy się już, że nikt nas nie widzi, jedliśmy wszystko palcami. Tylko *okāsan* się dziwiła, że gdy jedliśmy razem z dorosłymi, wszystko nam spadało spomiędzy tych nieszczęsnych pałeczek.

– Mam córkę – kontynuuje. – Ma na imię Haru. Jest na razie bardzo mała i niewiele rozumie, ale niedługo pewnie będzie chciała się z tobą bawić. Musicie nas wkrótce odwiedzić.

Cieszy mnie ta Jaśkowa zmiana nastawienia. Przecież jeszcze niedawno chciał wysłać Igora do wszystkich diabłów. Czyżby jednak zmienił zdanie, widząc, z jakim uczuciem Igor patrzy na córkę? Ale co tu kłamać, mnie też to wzrusza. Jaki inny facet uwierzyłby na słowo honoru, że dziecko dziewczyny, z którą raz się kiedyś przespał, jest jego? Tyle się słyszy historii o kolesiach, których nawet prawomocny wyrok sądu i komornik na karku nie może zmusić do płacenia alimentów, gdy badania genetyczne ostatecznie potwierdzą ojcostwo.

Po posiłku zmywam naczynia i pakuję je od razu do kartonu.

Podeksycytowana Nika, jak prosiła, by ją nazywać, chce pomóc, więc wręczam jej znaleziony gdzieś w szafce plastikowy pojemnik z Ikei i proszę, by włożyła do niego resztę rzeczy z łazienki. W tym czasie Jasiek i Igor znoszą pakunki do samochodu. Nie ma ich tak długo, że myślę, że pojechali je rozpakować. Nie mylę się, bo gdy wracają, Igor mówi, że mam całkiem fajną chatę. Próbuję wywnioskować, czy Jasiek pochwalił się ekskluzywną wanną, ale milczy na ten temat, więc moje obawy, że coś razem będą kombinować, nie pozostają bezpodstawne.

– Ale tu dziwnie – stwierdza Nika, gdy mamy już wychodzić. Cała drobniaczka została już popakowana, pozostały jedynie meble. Pozwijane dywany stoją oparte o ścianę w przedpokoju. Witryna w salonie zieleje pustką, potęgując posępny nastrój. Mieszkanie jest jak martwe.

– Chodźmy już – proszę, dziękując w duchu, że Igor zaproponował mi nocleg. Teraz wiem, że nie mogłabym tu zostać.

Zamykam już drzwi, gdy Igor zauważa, że coś leży pod szafką w przedpokoju. Chcę to zostawić do jutra, ale każe mi wyciągnąć, twierdząc, że rano w ogóle nie będę miała do tego głowy. Może i ma rację. Schylam się, ale jest szybszy. Obraca kopertę w dłoni i ogląda uważnie.

– Co to? – pyta. – Sprzed kilku lat? I nadal zamknięta?

Wyczuwam konsternację w jego głosie. Nie dziwię się, poszlaki wskazują, że jestem roztargniona dokumentnie.

– Dostałam ze dwa dni temu od nowej sąsiadki. Mieszkanie całe lata stało puste. Listonosz pomylił skrzynki.

– I nie otworzyłaś? – dopytuje Igor, gdy wychodzimy z budynku.

Wzruszam ramionami.

– Już nie należę do tej przychodni. Cokolwiek to jest, pewnie mnie w tym momencie nie dotyczy. Po weekendzie wrzucę do niszczarki.

Nie ma sensu jechać dwoma autami, więc jedziemy samochodem Igora. I tak ma na rano umówione klientki, więc przy okazji mnie podrzuci.

– Będę wolny dopiero około czternastej – zapowiada, gdy pakujemy się do jego forda. – Może się trochę przeciągnąć.

Po kilku minutach parkuje przed kamienicą na Młyńskiej. W tym samym miejscu, z którego odjeżdżał, gdy go widziałam, siedząc z Zoją w „Buduarze”. Od tamtego czasu minęło zaledwie kilka dni, a mi się wydaje, że to była wieczność. Nie mogę uwierzyć, jakie zmiany zaszły w moim życiu, od kiedy poznałam Igora.

– Nie podziękowałam jeszcze, że nie pozwoliłeś mi wpaść pod samochód.

Igor spogląda na mnie rozbawiony, sięgając do kieszeni po pęk kluczy.

– Drobiazg.

Weronika wbiega po schodach, ale nam się nie śpieszy. Po paru godzinach schylania się i prostowania jestem już porządnie zmęczona i nie w głowie mi ściganie się z dziesięciolatką.

Słyszę uchylające się na górze drzwi i ciepły głos witający Weronikę.

– To mama – wyjaśnia Igor. – Zawsze na nas czeka, gdy wracamy.

Ze zdenerwowania robi mi się gorąco. Nie wiem, jak ta kobieta zareaguje, widząc obcą babę, która ma przenocować w mieszkaniu jej syna. Przecież może jej się to nie podobać. Mam wystarczająco złe doświadczenia z byłymi teściami. Drugi raz tego nie zniosę. Te składane przy każdej okazji życzenia szybkiego poczęcia dziecka i docinki, że oni w moim wieku to już dawno chowali Hubercika. Nie mam siły ponownie przez to przechodzić.

Igor zauważa, że zwolniłam. Łapie mnie pod ramię, przekładając do drugiej ręki niewielką torbę podróżną, do której

spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

Kiwam głową, niezdolna do wypowiedzenia choć słowa. Mijamy ostatnie półpiętro i zauważam najpierw odziane w błękitne kapcie stopy, a potem granatową podomkę.

– Mamo, to jest Krysia. – Igor nie daje mi czasu, bym mogła zebrać myśli.

Uśmiecham się, by dodać sobie otuchy, i wtedy zauważam pełne troski spojrzenie czekającej na nas kobiety. Może to wina sztucznego oświetlenia, ale z jej twarzy nie da się wyczytać wieku. Cerę ma gładką, jasną, oczy zielone. Szczupłą, pociągłą twarz otaczają krótkie, uniesione u nasady blond włosy. Weronika przytula się do niej i kiwa do mnie zachęcająco.

– Bardzo mi miło panią poznać – mówię stremowana. – Krystyna Hrynkiewicz.

– Teodora Sygniewska. – Kobieta przedstawia się, wyciągając w moją stronę szczupłą dłoń. – Dla przyjaciół mojego syna po prostu Dora. – Chyba zauważa, że się waham, więc szybko dodaje: – Krysiu, jestem już w takim wieku, że nie interesują mnie konwenanse. Mój syn żyje jak pustelnik, więc miło mi w końcu kogoś tu widzieć. Mam niewielu znajomych, na co dzień jestem tylko mamą i babcią, więc niedługo zapomnę, jak mam na imię.

Zauważam, że Igor spogląda na nią zakłopotany.

– Mamo, no proszę...

– Dobrze, już dobrze... – odpowiada dobrodusznie. – Starsza pani już wam nie będzie zrzędzić. Chodź, Weroniczko, zjemy kolację i zagramy partyjkę szachów. Wam też w kuchni zostawiłam coś do przegryzienia – zapowiada. – Tyle emocji za wami, że musicie odpocząć. Spokojnej nocy.

Dora zgarnia Weronikę do siebie i zostajemy na korytarzu sami.

Czuję dziwne onieśmienie, stojąc tuż przed progiem mieszkania Igora. Tak jakbym miała odkryć jakąś tajemnicę.

Przecież dom wiele mówi o człowieku.

– Zapraszam – mówi Igor, otwierając drzwi na oścież.

W przedpokoju pali się światło, więc Dora pewnie wyszła stąd zaledwie przed chwilą. Mieszkanie, jak to w kamienicy, jest wysokie. W korytarzu oprócz szafki na buty i wieszaka zauważam pięć par drzwi, wszystkie w kolorze sosny. Te z mleczną szybą prowadzą chyba do łazienki.

Wiem, że powinnam przynajmniej rozejrzeć się, by jakoś skomplementować wnętrze, ale do moich nozdrzy dociera przyjemny zapach i nie mogę już myśleć o niczym innym. Wyczuwam mozzarellę i bazylię.

– To ulubione danie mamy – zauważa Igor, zmieniając buty na wygodniejsze. Ja nie mam nic na zmianę, więc zostaje w lnianych balerinach.

Wiedzeni pobudzającym apetyt aromatem idziemy wprost do kuchni. Nie musimy włączać światła, bo na stole stoi stary, chyba srebrny świecznik. Igor wyjaśnia, że to też spadek po praprababci, którego Dora pilnuje jak oka w głowie. Igor mówi, że fakt, iż go użyczyła, należy traktować jak wielkie wyróżnienie.

Na stole zauważam deskę, na którą zsunięto z patelni okrągły jak pizza omlet. Nie pomyliłam się, są małe krążki mozzarelli, plasterki surowej szynki i pomidorki koktajlowe, całość zaś oprószono świeżą bazylią. Obok stoją talerze i kieliszki z białym winem.

Spoglądam na Igora, ale on też jest zaskoczony.

– Matka musiała ukartować to z Weroniką – odgaduje. – Mała pewnie doniosła, że już wyjeżdżamy.

Pytam, czy Dora zawsze w ten sposób traktuje jego gości, ale zaprzecza.

– Właściwie nie mam żadnych znajomych oprócz fryzjerek i fryzjerów – odpowiada zamyślony. – Większość dnia spędzam w pracy. Czasami na szkoleniach. Gdy mam wolny czas, wolę spędzić go z córą, by nie zapomniała, że ma ojca. Matka kilka razy próbowała zorganizować dla mnie jakąś randkę, ale nie

wspominam tego dobrze i w końcu zagroziłem, że jeszcze jeden taki numer i poszukam sobie mieszkania gdzie indziej.

Siadamy przy stole. Próbuję sobie wyobrazić Igora na randce w ciemno i ogarnia mnie wesołość. Ale przecież w takiej sytuacji również nie byłabym zachwycona.

Igor nakłada nam po solidnej porcji omletu, a zaraz potem unosi kieliszek, by wznieść toast.

– Za nowy początek.

Tak, za to z chęcią mogę wypić. Upijamy po łyku i koncentruję się na zawartości talerza. Ukradkiem obserwuję, jak Igor w skupieniu kroi omlet na zgrabne kawałki, a potem wkłada je do ust. Robi to w tak zmysłowy sposób, że zaczynam się rumienić. A może to tylko alkohol sprawił, że postrzegam wszystko inaczej?

– Nie smakuje ci? – Igor chyba czuje na sobie mój wzrok, bo unosi głowę, zainteresowany, dlaczego z mojego talerza prawie nic jeszcze nie zniknęło.

– Wręcz przeciwnie – zapewniam, wiedząc, że to jednak na niego miałabym większą ochotę i jedynie dobre wychowanie zabrania mi rzucić się na niego tu i teraz.

Kończymy posiłek w milczeniu, dopijając z wolna resztę wina. To obcy teren, więc czuję się niepewnie. Dyskretnie rozglądam się po kuchni. To modny ostatnio, chłodny skandynawski styl. Jedyne ciepleszy element stanowią rosnące w doniczkach na parapecie zioła. Odgaduję, że stąd właśnie wzięła się ta bazylia.

– Jak już coś pichcę, lubię mieć pod ręką świeże zielsko – wyjaśnia Igor. – Ale to Weronika je podlewa, na mnie w tej kwestii raczej nie można polegać.

Tyle mówi o tym żarciu, tymczasem to nie na jedzenie mam ochotę. Owszem, przyjemnie było nasycić głód, jednak teraz mam w głowie coś innego. Jednocześnie bawi, ale i onieśmiela mnie ta nowo odkryta zuchwałość. Chcę sprowokować Igora, ale nie wiem, czy mi się uda. Bingo! Widząc moje ukradkowe ziewanie, mówi, że pokaże mi, gdzie jest łazienka. Wolno podnoszę się z miejsca, czując, jak rozleniwiło mnie to wino. Ale

pierwsza część planu przebiegła dość gładko.

– Będę musiał cię przypilnować – Igor się śmieje. – Poza tym prysznic też dobrze mi zrobi.

Czuję ogromną ulgę, że mój okres wczoraj się skończył. Inaczej pewnie ze wstydu zapadłabym się pod ziemię.

W łazience nie ma wanny, jedynie natrysk. Nic dziwnego, pomieszczenie nie jest przestronne, a Igor zdołał tu jeszcze upchać pralkę, umywalkę, sedes i dwie szafki. Wyciąga z jednej z nich mięciutki, pachnący lawendą białutki ręcznik.

– Dla ciebie – mówi.

Dziwnie się czuję, zdejmując ubranie, podczas gdy Igor przez cały czas bacznie mnie obserwuje. A przecież już widział mnie naga. Mam ochotę poprosić, żeby się odwrócił, ale nie robię tego, bo jakaś część mnie protestuje. Chcę mu się podobać. Chcę, żeby na mnie patrzył. Chcę, żeby w jego oczach pojawiła się ta rozbijająca czułość.

Nie wiem, gdzie położył torbę, więc korzystam z jego kosmetyków. Płyn pod prysznic ma przyjemny, odprężający zapach. Po chwili wahania myję też włosy. W końcu jako fryzjer powinien mieć w domu jakąś suszarkę. Bingo, zauważam ją. Jest wsadzona w specjalny uchwyt przytwierdzony do ściany powyżej umywalki.

Zakręcam wodę, a Igor podaje ręcznik. Szczerze mówiąc, myślałam, że do mnie dołączy pod prysznicem, ale widocznie ma inne plany, bo dopiero teraz zdejmuje ubranie.

Owijam się szczelnie i staję przed lustrem. Udajac, że coś robię, obserwuję, jak Igor bierze prysznic. Nie zajmuje mu to dużo czasu. Już po chwili stoi przy mnie. Sięga do szuflady po szczotkę, by rozczesać moje włosy, a po chwili włącza suszarkę. Przymykam oczy, gdy ciepły strumień owiewa mi skronie.

– Rano ułożę – szepcze do ucha, gdy włosy są jeszcze lekko wilgotne.

Nie czekając na reakcję, porywa mnie wprost do sypialni. Na zewnątrz jest ciemno, światło ulicznych latarni nie dociera tak

wysoko. Zostaję sama, owinięta ręcznikiem. Igor wraca po chwili ze świecznikiem.

– Poczujmy się jak w pałacu, przed ponad stu laty. – Uśmiecha się zawadiacko, ustawiając kandelabr na komodzie. – Elektryczność jeszcze tu nie dotarła.

Rzeczywiście, nastrój jest niesamowity. Świece palą się ciepłym blaskiem, rozjaśniając nieznacznie przestrzeń wokół siebie, ale większość sypialni spowija mrok. Fioletowa pościel na łóżku ma satynowy połysk.

Jednak nie mam okazji dłużej bezkarnie przyglądać się otoczeniu, bo czuję na szyi ciepły oddech Igora. Ręcznik opada na podłogę, pozbawiając mnie resztek intymności. Uwielbiam to uczucie niepokoju, które ogarnia mnie, gdy Igor jest tak blisko.

Poddaję się jego pieścizotom, gdy opadamy razem na pościel. Jest chłodna, ale to dobrze, bo koi moje rozpalone ciało. Płonę pod dotykiem Igora. Próbuję się oswobodzić, ale na to nie pozwala.

Wchodzi we mnie gwałtownie, głęboko. Wstrzymuję oddech, przerażona intensywnością doznań. Czuję się jak nowicjuszka, która dopiero odkrywa radość płynącą ze zbliżeń. Obejmuję Igora za szyję, bo mam wrażenie, że się zapadam, pościel znika, jesteśmy tylko ja i on.

Orgazm przychodzi bez ostrzeżenia. Intensywny jak trzęsienie ziemi. Igor przygryza mój sutek, a ja mam ochotę krzyczeć. Widzę na jego twarzy rozbrajający uśmiech. Po chwili wstrzymuje oddech i zaczyna mrużyć oczy. Cichy dowód tego, że on też dochodzi.

Ciągle drży, gdy opada na mnie, przygniatając swym słodkim ciężarem. Wplatom dłonie w jego włosy i szepczę przepełnione uczuciami słowa. Igor mruczy jak zadowolony kocur.

– Chyba powinniśmy iść spać – zauważa, wyciągając spode mnie koldrę.

Pytam o torbę, do której przecież zapakowałam piżamę, ale stwierdza, że noc jeszcze długa i istnieje szansa, że piżama w ogóle nie będzie mi potrzebna.

Po chwili oboje zasypiamy, wtuleni w siebie niczym dwie zagubione istoty łaknące odrobiny ciepła.

*

Igor jeszcze leży, ale ja zrywam się do łazienki, by wziąć szybki prysznic, choć myślami jestem jeszcze gdzieś w okolicach przeżytego przed chwilą orgazmu. Ukochany obudził mnie gorącym pocałunkiem i szybko zabrał się do rzeczy, przeganiając w zapomnienie resztkę snu.

Dołącza do mnie, gdy próbuję się wytrzeć. Już wiem, że tak szybko się nie wywinę.

– Za długo żyłem w celibacie – szepcze, przygryzając płatek mojego ucha.

– A jeśli Weronika wróci? – uzewnętrzniam obawy, które nie dają mi spokoju.

– Zapomnij – prycha. – W weekend Nika nie otwiera oczu przed jedenastą. Gdybym nie musiał iść do pracy, też bym ci nie pozwolił wstać do jedenastej – rozmarza się, mrużąc oczy.

Gwałtownie wciągam powietrze, gdy dotyka miejsca, gdzie jeszcze niedawno był. Na nic zdają się kłamstwa, że nie ma na to czasu. Już wie, że mam ochotę i jestem gotowa. On zresztą też. Jego stwardniały od wzrodu członek wpycha się między moje uda, wzmagając podniecenie.

– Spóźnisz się do pracy – rzucam jeszcze pro forma.

Nie mogę powiedzieć nic więcej, bo zamyka moje usta namiętym pocałunkiem. Jedną dłonią miętosi pierś, drugą zaś zarzuca na biodro moje udo, by ułatwić sobie dostęp.

Zanurza się we mnie, wykonując delikatne ruchy, po czym wychodzi, by podrażnić jeszcze nabrzmiałą różyczkę lechtaczki. Błagam, żeby przestał, bo dłużej nie wytrzymam, ale on z lubością powtarza słodkie tortury. Mrowienie w dole brzucha wzmagają się, wypycham ku niemu biodra, by wszedł głębiej,

i już wiem, że nie ma odwrotu. Wyrzucam głowę do tyłu, tłumiąc jęk.

– Wytrzymaj – słyszę, ale nie potrafię spełnić tego życzenia. Przez moje ciało przebiega fala gorąca, która eksploduje, zaciskając się gwałtownie na jego męskości. Igor w tym samym momencie też dochodzi, przytrzymując mnie kurczowo. Jego członek wysuwa się, a sperma cieknie po moim udzie, ale potrzebuję chwili, by wrócić do rzeczywistości.

– Rozpieszczasz mnie – mówię, starając się uspokoić oddech. – Muszę przypilnować ludzi, a ty robisz wszystko, żebym myślała tylko o tobie – drażnię się z Igorem, który jak gdyby nigdy nic stwierdza, że nie ma nic przeciwko. W końcu pozwala mi doprowadzić się do porządku, informując, że przygotowuje w tym czasie śniadanie.

Sięgam po szczotkę. Igor wieczorem obiecał, że ułoży moje włosy, ale straciliśmy już tyle czasu, że uznaję, że lepiej jednak o tym nie wspominać. Na szczęście i bez specjalnej stylizacji dobrze się układają.

Kiedy pół godziny później wsiadamy do jego samochodu, wydaje mi się, że po drugiej stronie ulicy widzę Zoję. Ale gdy spoglądam po raz drugi, nikogo tam nie ma. Pewnie mi się przywidziało – uznaję.

Ekipa od przeprowadzek stawiała się na czas. Jasiek od razu przejmuje dowodzenie. Wszystko zabierze się na dwa kursy. Meble z kuchni i łazienki zostawiam, bo były robione na wymiar i są przytwierdzone do ścian, ale kanapa, łóżko z sypialni, szafy, komody i witryny zabierają sporo miejsca.

– Nowakowie mają o wiele więcej mebli – zauważa Jasiek. – Ale część z nich to zwykłe graty, więc wywożą to na śmietnisko. Jak wychodziłem z domu, mieli już zapakowane pół samochodu.

Uświadamiam sobie, że mam o wiele łatwiej, bo przecież Jasiek już od poniedziałku wywoził moje rzeczy, a Nowakowie mogą to zrobić dopiero dzisiaj. Proszę Jaśka, by zabrał się z ekipą, a sama chcę poczekać na transport od Nowaków.

Z meblami sobie nie poradzę, ale przecież będą jeszcze do noszenia inne rzeczy. Na pewno przyda się pomoc. Poza tym nie dałam im jeszcze kluczy, więc beze mnie nie dostaną się do środka.

W mieszkaniu nie ma już moich rzeczy. To, co nie zmieściło się w samochodzie, stoi na chodniku pod klatką. W oknach widzę tyłu ciekawskich sąsiadów, że się nie obawiam, że ktokolwiek mógłby coś stąd niepostrzeżenie zwędzić.

Dagmara Nowak ściska mnie serdecznie. Jest podekscytowana i wkrótce jej nastrój udziela się także mnie.

– Fajnie będzie mieszkać tuż obok przyjaciół – mówi, gdy z pierwszymi kartonami zmierzamy w stronę klatki. – Gdy człowiek jest na emeryturze, ma za dużo czasu, by spędzać go samotnie. A tak to i w kapciach na kawę będzie można iść.

Wygłoszona przez nią uwaga wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

– Faktycznie, to jest świetny argument. Myślę, że będzie wam się tu podobać. Mieszkanie jest ciepłe i słoneczne. Co roku mam spore zwroty za ogrzewanie. Spisałam liczniki – dodaję jeszcze. – W poniedziałek będzie można wszystko przerejestrować.

Pudła są opisane, więc od razu zanosimy je do konkretnych pomieszczeń, a później wracamy po kolejne. Pokonujemy tę trasę tyle razy, że wkrótce tracę poczucie czasu. O jego upływie przypomina jedynie rosnący ból łydek i pleców.

Jasiek i Igor pojawiają się niemal równocześnie.

– Wszystko zostało wniesione – wyjaśnia mój brat. – Na razie do jednego pokoju, później porozprowadza się po całym domu. Chodźcie na obiad – zaprasza.

Z tym obiadem to świetny pomysł, bo mój żołądek zaczął już groźnie pomrukiwać. Igor pyta, czy jego obecność nie będzie problemem, a Jasiek zapewnia, że *okāsan* każe go choćby i siłą przyprowadzić. Cieszę się, że zawarli rozejm. To naprawdę dużo ułatwia.

Moja japońska rodzina przyjmuje Igora bardzo ciepło. *Okāsan* sadza go na honorowym miejscu i próbuje wy badać, znosząc w międzyczasie z kuchni rozmaite potrawy.

– *Okāsan*, Igor samotnie wychowuje córkę z poprzedniego związku – uprzedzam, pomagając jej w kuchni.

Nic nie odpowiada, tylko w zamyśleniu kiwa głową. Nic nie wie o moich i Huberta bezowocnych staraniach o dziecko. Może gdyby wiedziała, nie czułabym się teraz tak głupio? Bo jak wytłumaczyć, że noszę w sobie tyle niespełnionej miłości, że wystarczy jej dla dziecka urodzonego przez inną kobietę? Przecież jeszcze będąc z Hubertem, poważnie rozważałam możliwość adopcji.

– Zaufaj mi – proszę.

Okāsan się uśmiecha, tak jak tylko ona potrafi, i kamień spada mi z serca. Ustalamy jeszcze, że sama powiem tacie i biorąc po tacy z jedzeniem, wracamy do jadalni, gdzie tata, chłopaki i Saya rozmawiają w najlepsze, zabawiając roześmianą Haru. Wspaniały widok.

Ryzykuję i zaczynam opowiadać o córce Igora. *Okāsan* świetnie udaje zdziwienie i tak kieruje rozmową, że temat rozwija się naturalnie. Tata ma nawet za złe Igorowi, że nie zabrał Weroniki ze sobą.

– Jeszcze będzie okazja – zapewnia mile zaskoczony Igor. – Możemy się umówić na jutro, ale dzisiaj trzeba ogarnąć bałagan u naszej Krysi.

Rumienię się, gdy słyszę ostatnie słowa. Tak, w pełni czuję się jego Krysią i jest mi z tym dobrze. Nie wiedziałam, że w tak krótkim czasie można do tego stopnia się do kogoś przywiązać.

Po obiedzie mogę w końcu przekroczyć próg mojego nowego domu. Czuję się jakoś dziwnie, ale nie mogę wszystkiego po kolei obejrzeć, bo Jasiak od razu ciągnie nas do łazienki. Mówi, że jest już gotowa do użycia.

– *Subarashī desu*[\[15\]](#) – słyszę zachwyt Sayaki.

Widzę umywalkę, natrysk i nowe meble, ale to wanna jest

najbardziej wyeksponowana. Drewniana. Z sękami – jak uprzedzał brat.

Jasiek wyjaśnia Igorowi, że gdy wannę napelni się gorącą wodą, w powietrzu będzie się roznosił imbirowo-cytrusowy zapach. W sękach są przecież zgromadzone olejki eteryczne. Taka kąpiel to uczta dla zmysłów.

– To drewno to *hinoki*, czyli po polsku cyprysik tępołuskowy – kontynuuje wykład. – Trzeba korzystać z wanny przynajmniej raz w tygodniu, bo się odkształci. I broń Boże kąpiel z bąbelkami lub jakiegokolwiek mydło! Umyć trzeba się pod prysznicem, przed wejściem do wanny. Kąpiel jest do odprężenia, kiedy ciało jest już czyste.

– Na kąpiel trzeba najpierw zasłużyć. – *Okāsan* sprowadza Jaśka na ziemię. – Przed nami dużo pracy.

Tata, Igor i Jasiek rozstawiają meble. W tym czasie ja i *okāsan* myjemy szafki w kuchni.

– Przydałoby się odmalować ściany – zauważa w końcu *okāsan*.

Przyznaję jej rację. Przecież ciągle wożę w bagażniku farby, które kupiłam, gdy chciałam remontować mieszkanie. Teraz się przydadzą.

Nie wiem, czy chowanie naczyń do poszczególnych szafek ma jakikolwiek sens. *Okāsan* chyba myśli tak samo, bo mówi, że upchniemy wszystko do jednej, a później się to jakoś porozkłada.

– Siostra, nie możesz tu dzisiaj jeszcze spać – decyduje Jasiek, wpadając do nas do kuchni. – Będziemy malować ściany. Lepiej, żebyś tego nie wdychała.

– Będziemy? – pytam, zaintrygowana, skąd ta liczba mnoga.

– No ja i Igor – precyzuje. – Chłop ma dobre chęci, więc trzeba skorzystać. Zapewnił, że z przyjemnością cię jeszcze przenocuje. Trzeba tylko skombinować wałki i jakieś kolory na ścianę i możemy remontować.

Nie jestem pewna, czy jest sens malować pokoje, skoro okna

są jeszcze niewymienione, ale może się nie znam. Podaję mu kluczyki do samochodu i proszę, żeby rozpakował bagażnik. Dziwi się, ale posłusznie wykonuje polecenie.

– Tego jest za mało! – wrzeszczy później już od progu.

Wywracam oczami, wołając o pomstę do nieba.

– Przecież sklepów jeszcze nie pozamykali – uświadamiam go.
– Możecie się wykazać. Budyń waniliowy jest do kuchni, a groszkowa zieleń do salonu. – Wprawdzie planowałam wcześniej ten kolor do sypialni, teraz jednak chcę, by to ona była we fiolecie. Żeby przypominała mi o Igorze. – Być może trzeba będzie najpierw pomalować wszystko na białą, bo kolory mogą nie chwycić.

– Tak jest, szefowo – komentuje Jasiek, a *okāsan* ściąga usta w wąską kreskę, by ukryć uśmiech. Ona także chyba dawno nie widziała Jaśka w tak dobrym humorze.

Kręcę się po domu, oglądając wszystkie kąty, a w tym czasie praca wre. Jasiek z takim zapałem macha wałkiem, jakby całe życie zajmował się tylko tym, a Igor nie wypada na jego tle dużo gorzej. Z kuchnią uwinęli się migiem, więc zastanawiam się, jak rozplanować wszystko w szafkach. Jednak już dzisiaj się tym nie zajmę, bo padam z nóg.

Igor zauważa, że szukam miejsca, żeby usiąść, i zaczyna nalegać, bym pojechała do jego mieszkania.

– Nie ma sensu, żebyś tu siedziała i wdychała farbę – przekonuje. – Jutro będziesz mogła układać rzeczy, ale dzisiaj już do niczego nam się tu nie przydasz. Tylko nie kłam, że nie jesteś zmęczona – dodaje, widząc moją kwaśną minę. – Nie mogę dać ci kluczy, bo sam się później nie dostanę. Dzwoniłem do mamy, otworzy ci drzwi. Już na ciebie czeka – zapewnia. – I Weronika też.

Nie mogę się przyznać, jak bardzo obawiam się tego spotkania. Widziałam Nikę zaledwie dwa razy. Nie wiem, co lubią małe dziewczynki. Nie wiem, czy będę dla niej odpowiednim towarzystwem. Jednak Igor nie podziela moich wątpliwości, więc w końcu daję za wygraną. Nie mam siły się

klócić.

Boję się, że nie będę miała gdzie zaparkować, więc Jasiek po drodze do marketu budowlanego podrzuca mnie na Młyńską. Dora musiała obserwować mnie z okna, bo gdy tylko zbliżam się do drzwi, słyszę charakterystyczne piknięcie domofonu, oznaczające, że mogę wejść.

– Krysiu, cały dzień na nogach... – Teodora Sygniewska wita mnie na schodach. – Pewnie jesteś wykończona. Wejdz, kochana, już zrobiłam dla was kolację. Igor sobie odgrzeje, jak wróci. Nie będę wam przeszkadzać. Zamknij drzwi na patent.

Teodora przystaje w progu swojego mieszkania. Wygląda, jakby chciała jeszcze o coś zapytać, ale się waha.

– Coś się stało? Jeśli uważasz, że nie powinnam tu spać, to...

– Nie, nie o to chodzi. – Nie pozwala mi dokończyć pytania, którego tak bardzo bałam się zadać. – Jesteście dorośli, nie mam zamiaru się mieszać w wasze sprawy. Chodzi tylko o to... Ten storczyk, który przyniósł Igor... On był od ciebie, prawda?

Czuję się niekomfortowo, bo kwiat naprawdę wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Nie zrobiłam na Teodorze najlepszego wrażenia.

– Niestety tak – przyznaję niechętnie. – Dostałam go od kogoś, kto nawet nie ukrywał, że mnie nie lubi. Może to dlatego nie miałam dla niego serca – dodaję przygaszona.

Zaskoczona unoszę głowę, bo czuję na ramieniu dłoń Dory.

– Czasami tak bywa. Rośliny potrafią wyczuć negatywne emocje. Ale wiesz co? Znalazłam coś w środku – kontynuuje, wzbudzając moje zainteresowanie.

Co to mogło być?

Prawie uginają się pode mną kolana, gdy Dora wyciąga z kieszeni wisiorek, którego nie widziałam od lat. Sama nie wrzuciłam go do doniczki. Hubert się wściekał, że obcy, według niego, facet podarował mi taki prezent, więc na bank postanowił się go pozbyć. Schował wisiorek w pierwsze miejsce, które miał pod ręką. Pewnie planował później wywalić do śmietnika, ale

zrezygnował, widząc, że omijam kwiat szerokim łukiem. Rzeczywiście, kryjówka doskonała.

– *Magatama* – mówię dziwnie drżącym głosem. – Dostałam ją od brata. Ktoś ją tu ukrył.

Teodora kładzie wisiołek w mojej dłoni i ją zamyka. Czuje ogarniające mnie ciepło. Ta kobieta naprawdę jest życzliwa i pozbawiona fałszu, nie tak jak moja była teściowa. Taka zmiana o sto osiemdziesiąt stopni jest dla mnie szokiem.

– Najważniejsze, że zguba się znalazła – podejmuje. – Nie siedźcie długo. Dobranoc.

Wchodząc do mieszkania, zakładam rzemyk na szyję. Jest twardy, będę musiała kupić nowy, ale na razie musi wystarczyć. Później schowam wisiołek do portfela, ale teraz, po tak długiej przerwie, chcę poczuć amulet na sobie.

Ametyst jest przyjemnie chłodny. Słyszałam, że kamienie mają swoje wibracje, ale trudno mi je wyczuć. Może jestem za bardzo wzruszona?

– Przepraszam – szepczę bezgłośnie, obracając koralik między palcami. – Drugi raz nie pozwolę, żeby ktoś mi cię zabrał.

Drzwi do kuchni są uchylone. Przyśpieszam kroku. Weronika rzeczywiście czeka na mnie przy stole. Wygląda tak słodko, wpatrując się zamyślona w okno.

– Cześć – mówię trochę onieśmielona.

Buzię Weroniki rozpromienia szeroki uśmiech.

– Fajnie, że już jesteś. To znaczy, fajnie, że pani jest – reflektuje się.

– Możesz mówić do mnie po imieniu – zapewniam, siadając naprzeciwko. – Będzie mi bardzo miło.

W powietrzu unosi się zapach makaronowej zapiekanki z pieczarkami i sosem na bazie pomidorów i bazylii. Dora nałożyłam nam ją na talerze. Wystarczy tylko sięgnąć po widelce.

Tymczasem zapada krępująca cisza. Nie wiem, co powinnam

zrobić. Mam ochotę zapaść się pod ziemię. Nie wiem, jak rozmawia się z dziećmi. Jaśkowi wychodzi to naturalnie, ale ja po prostu nie umiem. Żadna z moich koleżanek z pracy nie ma jeszcze potomstwa. Jeśli zaraz czegoś nie wymyślę, wszystko zakończy się katastrofą.

– Tata zawsze wraca późno – zagaduje mnie Weronika, wyczuwając chyba, jakie emocje mną targają. – Najwięcej czasu spędzam z babcią. I z koleżankami. Bo ja nie mam mamy – wyjaśnia z dziecięcą prostotą. – Mama umarła dawno temu. Wcale jej nie pamiętam.

Słyszę smutek w jej głosie i mam ochotę ją przytulić, ale rezygnuję, bo nie wiem przecież, czy to by się jej spodobało. Zapewniam więc tylko, że bardzo ją lubię i uważam za mądrą dziewczynkę. Boję się, że palnęłam coś głupiego, ale twarz Weroniki znów się rozpromienia. Komplement trafił na podatny grunt.

Jemy w milczeniu, ale córka Igora uważnie mnie obserwuje. Czuję to. O czym teraz myśli? Nagle uzmysławiam sobie, że to musi być dla niej niezwykle trudne. Na jej miejscu też pewnie nie wiedziałabym, jak się zachować.

– Jak w szkole? – pytam w końcu i od razu chcę walnąć się w łeb za wybranie chyba jednego z najgorszych tematów. Przecież sama, gdy byłam w wieku Weroniki, uwielbiałam taki brak taktu. – Przepraszam, Nika, po prostu dawno nie miałam kontaktu z dziećmi. Gdy chodziliśmy z Jaśkiem do szkoły, nie mogliśmy doczekać się dzwonka na przerwę – wyznaję mało pedagogicznie. – Potem szłam do niego do domu, jedliśmy obiad, odrabialiśmy lekcje, a później jego mama opowiadała nam bajki.

– Bajki? – Weronika z zainteresowaniem podejmuje temat. – Ale takie nie nasze? – upewnia się. – Bo ten twój brat, Jasiek, to ma takie inne oczy.

Przytykam palce do zewnętrznych kącików oczu i naciągam skórę, imitując skośność.

– O takie? – dopytuję.

Weronika próbuje zachować powagę, ale kiepsko jej to wychodzi, szczególnie że zaczynam robić głupie miny. Po chwili chichramy się obie.

Zaczynam sprzątać ze stołu, chowając przy okazji resztę pozostawionej w naczyniu żaroodpornym zapiekanki do lodówki, a Nika ochoczo pomaga. Pierwsze lody chyba przełamane.

– Opowiesz mi jakąś bajkę? – prosi po chwili. – No wiesz, taką japońską. Moja wychowawczyni jest nowa w szkole, bardzo się angażuje i teraz wymyśliła festiwal bajek. Każdy ma opowiedzieć jakąś bajkę z innego państwa. A tata nie pozwala mi korzystać z internetu, gdy nie ma go w domu, a ostatnio naprawdę rzadko tu bywa – żali się.

Ogarniają mnie wyrzuty sumienia, bo to przecież również przeze mnie. Muszę to jakoś naprawić, bo nie można budować swojego szczęścia kosztem szczęścia dziecka.

– Zaraz coś sobie przypomnę – obiecuję.

– Chodź do mojego pokoju – prosi Weronika, a ja chętnie korzystam z zaproszenia. Jestem ciekawa, jak mieszka.

Pokój Weroniki różni się bardzo od zimnej kuchni. Wprawdzie ściany są koloru beżowego, a meble jasne, jednak jest tu wiele kolorowych akcentów: od dywanu, poprzez kapę na łóżko, aż po zasłonki. Na regale stoją równiutko poukładane książki. Zauważam, że Weronika ma wiele książek z baśniami, ale są to klasyczne bajki, znane ogólnie w naszym kręgu kulturowym, a ona potrzebuje do szkoły czegoś niezwykłego i wyjątkowego.

Na parapecie dostrzegam wysoki wazon. Do środka włożono bambusowy pęd.

Więc i tego domu moda nie ominęła – śmieję się w duchu, ale nagle uświadamiam sobie, że właśnie historia związana z bambusem będzie odpowiednia.

– Opowiem ci o bambusowej panience – zaczynam, sadowiąc się na krześle.

– Bambusowa panienka? – powtarza po mnie, siadając na

łóżku. – Myślałam, że z Japonii to są tylko pokemony. – Weronika przyznaje się z rozbijającą szczerością.

– Pokemony są współczesne, a legenda o bambusowej panienci pochodzi z okresu zwanego Heian, który trwał pomiędzy 794 a 1185 rokiem naszej ery – precyzuję, nie bardzo wiedząc po co, bo czy dziewczynka coś z tego zrozumie? – Jednak istnieją dowody na to, że legenda powstała przed 905 rokiem.

– To bardzo dawno temu – zauważa zaciekawiona Nika. – Jeszcze długo przed bitwą pod Grunwaldem.

Dziwię się, skąd wie o tej bitwie, w szkole pewnie jeszcze tego nie miała, ale wyjaśnia, że babcia opowiadała jej o Krzyżakach, a później razem oglądały film. Data jakoś sama utkwiała jej w pamięci.

– Dawno, dawno temu – zaczynam – w górskiej wiosce żył człowiek, który zajmował się zbieraniem bambusa. Bambus to wysokie drzewo, które wygląda trochę jak ten kwiat, który masz na parapecie, tylko jest dużo wyższe – wyjaśniam. – Ale wróćmy do naszego drwala. Nazywano go Taketori no Okina. Mieszkał z żoną w chatce u podnóża góry, na którą codziennie wspinał się po bambus. Oboje byli już starzy, ale nie doczekali się upragnionego dziecka. Pewnego dnia, gdy Taketori wybrał się po łodygi bambusa, zobaczył światło wydobywające się z jednej z nich. Wśród pędów znalazł niemowlę wielkości palca. Zabrał dziecko do domu i pokazał żonie. Oboje postanowili, że wychowają dziewczynkę jak własną córkę. Nazwali ją Kaguya-hime, co znaczy świetlista księżniczka.

– Jak ładnie! – woła Weronika. – Czy ta Kaguya—hime jest jak Calineczka?

Cieszę się, że była w stanie zauważyć analogię, ale zaprzeczam.

– Kaguya zaczęła rosnać jak normalne dziecko – wyjaśniam. – Jej przybrani rodzice uznali, że jest wyjątkowa i została zesłana przez niebiosy. Japończycy w tym czasie wierzyli, że bóstwa otaczają ich na każdym kroku. Rzeki, góry, kamienie, drzewa...

wszystko miało swoje opiekuńcze duchy. Taketori i jego żona uważali, że Kaguya została zesłana na ziemię przez takie bóstwo i jest przez to lepsza niż dzieci sąsiadów, z którymi się bawiła.

– Nie pozwolili jej się bawić? – pyta zasmucona Nika.

– Na początku pozwolili. Jednak gdy Kaguya podrosła, zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Taketori, zbierając bambus, zaczął codziennie znajdować w pędach złoto. Przekonało go to, że Kaguya nie powinna mieszkać w nędznej chacie. Odkładał więc złoto i gdy miał go już naprawdę dużo, kupił dom w stolicy, zatrudnił służbę oraz nauczycielkę, która miała nauczyć Kaguyę, jak być prawdziwą damą. Wkrótce po kraju rozniosła się wiadomość o niezwyklej urodzie Świetlistej Księżniczki. Z całego kraju zaczęli przybywać zalotnicy, by prosić ją o rękę. Ale Kaguya nie chciała wyjść za mąż. Było jednak pięciu szczególnie wytrwałych, którzy nie mieli zamiaru się poddać. Taketori no Okina kazał córce wybrać jednego z nich, ale wtedy dziewczyna wpadła na pewien pomysł: poprosiła, żeby każdy z nich przyniósł jej konkretny prezent, o którym marzyła. Pierwszego wysłała do Indii po miskę żebraczą, która należała kiedyś do Buddy. Ale mężczyzna, zamiast ruszyć w drogę, kupił starą kamienną miskę i wręczył dziewczynie. Kaguya odkryła oszustwo, bo miska nie była otoczona blaskiem, który powinien towarzyszyć świętemu przedmiotowi, i odprawiła zalotnika.

– Chciał ją oszukać – gorączkuje się Weronika. – To nieładnie. Tak się nie robi.

Przyznaję jej rację i kontynuuję opowieść.

– Drugi z zalotników miał przynieść wysadzaną klejnotami gałąź z drzewa rosnącego na mitycznej górze Hōrai. Ale on również postanowił pójść na łatwiznę: zatrudnił wybitnych rzemieślników, by wykonali gałąź ze złota, srebra i drogocennych kamieni. Jednak gdy prezentował gałąź Świetlistej Księżniczce, do bramy jej rezydencji zaczęli pukać rzemieślnicy, których zatrudnił, żądając zapłaty. Skoro więc podstęp się wydał i on musiał zrezygnować z zamiaru poślubienia Świetlistej Księżniczki. Trzeci wielbiciel miał przynieść futro ognistego szczura. Pewien kupiec zapewnił go,

że jest w stanie zdobyć ów przedmiot. Wyruszył do Chin, skąd przywiózł futro odpowiadające opisowi. Zażądał za nie znacznej sumy pieniędzy, którą kandydat na męża Świetlistej Księżniczki wypłacił bez chwili wahania. Gdy Kaguya otrzymała podarek, natychmiast wrzuciła go do paleniska, gdzie futro strawił ogień. Okazało się, że zalotnik dał się oszukać kupcowi – prawdziwe futro ognistego szczura miało być bowiem odporne na ogień. Czwartemu Kaguya wyznaczyła zadanie zdobycia klejnotu ze [smoczego](#) naszyjnika. Zalotnik wypłynął statkiem na pełne morze, by osobiście upolować bestię. Powstrzymał go jednak gwałtowny sztorm, podczas którego niemal postradał życie. Przekonany, iż jest to efekt gniewu smoka, postanowił zrezygnować z dalszych prób i wrócić do swojej posiadłości. Od ostatniego konkurenta Kaguya chciała dostać skorupkę z gniazda jaskółki, która wtedy uważana była za amulet. Mężczyzna zaczął więc przeszukiwać gniazda ptaków. Spadł jednak z dużej wysokości i doznał ciężkich obrażeń. Skoro żaden z narzeczonych nie zdołał spełnić swego zadania, Kaguya nie musiała wychodzić za mąż.

– A co na to jej rodzice? – dopytuje Weronika. – Przecież ten Take... no, ojciec, znaczy się, tak bardzo chciał, żeby wyszła za mąż.

– No właśnie, to ojciec tego chciał, nie ona. Kaguya najbardziej chciała wrócić do chatki, w której kiedyś mieszkali, bo to tam była szczęśliwa. Gdy przeprowadziła się do pięknego domu w stolicy, wszystko się zmieniło. Nikt jej nie pytał, czego naprawdę pragnie. Nie miała czasu się bawić, bo uczyła się między innymi śpiewu i gry na koto, ponieważ tego oczekiwano od damy. Gdy było jej bardzo smutno, wychodziła wieczorem na taras i prosiła Księżyc, by ją zabrał. Wieść o pięknej dziewczynie dotarła wkrótce do samego cesarza, który kazał jej przyjechać do pałacu. Kaguya-hime jednak odmówiła.

– Ojej! – woła rozgorączkowana Weronika. – Cesarz to tak samo jak król? – upewnia się. – Królowi nie wolno odmawiać. Z tego są kłopoty.

Przytakuje, dziwiąc się jednocześnie, jak mądra jest ta dziewczynka.

– Cesarz rzeczywiście rozgniewał się i przybył, by siłą zabrać ją do pałacu, ale wtedy Kaguya miała wizję, która pomogła jej zrozumieć, kim naprawdę jest. Kaguya wyznała, że nie pochodzi z tego świata, że jest Księżniczką z Księżyca i że za kilka dni Księżycowy Orszak przybędzie, by zabrać ją z powrotem na Księżyc. Sama nieświadomie ich wezwała, gdy była smutna. Taketori zrozumiał, że wyrządził córce krzywdę, zmuszając ją do zaakceptowania życia, jakiego nie chciała. Taketori no Okina powiadomił o całej sytuacji cesarza. Ten wysłał swych żołnierzy, by dzień i noc pilnowali Kaguyi i powstrzymali jej krajan, gdy ci już przybędą. Dom księżniczki został otoczony kordonem wojska tak szczelnym, iż nawet nietoperz nie byłby w stanie się prześlizgnąć. Jednak zabiegi te okazały się daremne. Mieszkańcy Księżyca spowodowali, że wszyscy w domu Kaguyi zapadli w sen. Kaguya prosiła, żeby pozwolono jej zostać, ale gdy jeden z księżycowych ludzi założył jej na plecy księżycowe szaty, zapomniała o swoim życiu na Ziemi i wróciła na Księżyc.

Kończę, a Weronika w zamyśleniu miętosi kawałek kapy okrywającej tapczan.

– To bardzo smutna bajka – stwierdza po chwili.

Przyznaję jej rację.

– Też było mi przykro, gdy ją po raz pierwszy usłyszałam. Ale przecież każda bajka może nas czegoś nauczyć, prawda?

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę. Nika boi się, że wszystko zapomni, ale obiecuję, że jeśli będzie chciała jechać jutro ze mną, *okāsan* jeszcze raz opowie jej tę bajkę, a ja zapiszę wszystko, by imiona jej się nie pomyliły.

Dochodzi dwudziesta pierwsza. Nika już śpi, ale Igora jeszcze nie ma. Nie odbiera telefonu, więc zdenerwowana chodzę od okna do okna i wypatruję go.

Wchodzę do salonu, bo stąd musi być najlepszy widok na ulicę, ale nie zapalam światła. Po drugiej stronie dostrzegam dwie kobiety. Chyba przed chwilą wyszły z „Buduaru”, bo wyglądają, jakby się żegnały. W jednej rozpoznaję Zoję, ale druga stoi odwrócona tyłem, więc nie mam pojęcia, kto to taki.

Zresztą dzieli nas spora odległość, a ja przecież nie znam znajomych Zoi.

Z zamyślenia wyrывa mnie zgrzyt zamka. Bezszelestnie przemykam do przedpokoju.

– O której to się wraca? – pytam z wyrzutem. – Rozładowany telefon można naładować.

Igor uśmiecha się kwaśno.

– Przez przypadek utopiłem go w twoim budynku waniliowym i do niczego już się nie nadaje. Ale przynajmniej kuchnię masz pomalowaną. I przedpokój, bo zostało trochę farby. Jutro muszę kupić nowy smartfon, tymczasem trzeba się modlić, żeby karta to wszystko przeżyła. Nie wiem, w jakim stopniu moja lista kontaktów w chmurze jest aktualna.

Czuję wyrzuty sumienia, bo to przecież przeze mnie. Jednak Igor zauważa moją zafrasowaną minę i zapewnia, że i tak miał ochotę zmienić telefon. Że potrzebował tylko odpowiedniej motywacji. Nie wiem, czy to prawda, ale mówi tak przekonująco, że mu wierzę.

Już późno, więc każe Igorowi iść się umyć, a ja w tym czasie odgrzewam kolację. Przychodzi po chwili w samej koszulce i bokserkach, zapewne zwabiony wspaniałym zapachem.

– Jasiek zapraszał mnie na kolację, ale chciałem szybciej wrócić do domu – wyznaje, gdy ciszę panującą w kuchni przerywa burczenie wydobywające się z jego brzucha.

Nakładam danie na talerz i pytam, czy chce herbatę, ale kręci głową. Prosi o sok z lodówki.

– Widziałem kobietę tego twojego byłego – przypomina sobie między jednym kęsem a drugim. – Stała z twoją koleżanką po drugiej stronie ulicy.

Wzruszam ramionami, udając, że to mnie w ogóle nie obchodzi, ale gdzieś w sercu czuję głęboki zawód. Zoja wie, że nie cierpię tej baby, i tak po prostu sobie z nią stoi i plotkuje? I to ma być przyjaciółka?

– Może jedna pytała drugą o drogę? – Igor bagatelizuje całą

sytuację. – Wcale nie muszą się znać. Przecież przyjaciółka nie zrobiłaby ci czegoś takiego.

Tak, gdy to mówi, moje podejrzenia rzeczywiście wydają się niedorzeczne. Hubert był na bankiecie, więc Zoja od biedy mogłaby go poznać, ale przecież Honoratka pracuje w mięsny, a tego sklepu wegetarianka Zoja raczej nie odwiedza.

Igor jest wykończony, więc kładziemy się od razu spać. Za to już od rana zbiera mu się na amory. Protestuję, bo przecież tuż za ścianą śpi Weronika, ale ukochany obiecuje, że będzie delikatny. Obiecanki cacanki. Po zaledwie kilku minutach moje ciało płonie, rozpalone dotykiem jego dłoni i ust. Bardzo boję się, że Weronika nakryje nas, ale chyba właśnie to sprawia, że odczuwam wszystko z większą intensywnością. Nie chcę, żeby kończył. Chcę, żeby to trwało. Chcę zasypiać koło Igora wieczorem i budzić się rano.

– Kocham cię – wyznaję w spazmach orgazmu.

Twarz Igora kamienieje w szczerym zdziwieniu, a ja już żałuję, że nie ugryzłam się w język.

Może chodzi mu tylko o seks – uświadamiam sobie ze smutkiem. Przymykam oczy, bo gdzieś w kącikach zbierają się piekące łzy.

– Nie płacz, głuptasie – słyszę gdzieś koło ucha przepełniony czułością głos Igora. – Przecież ja też cię kocham. Wywróciłaś moje życie do góry nogami. Już nie pamiętam, jak było przed tobą, więc pewnie strasznie nudno – śmieje się, delikatnie odgarniając włosy z mojego czoła. – Aż boję się pomyśleć, że gdybym nie musiał zostawić samochodu u mechanika, pewnie byśmy się nie spotkali.

Przypominam sobie towarzyszący mi stres i frustrację, którą czułam tamtego dnia. To wszystko jakoś przybladło.

– Ja specjalnie nie brałam samochodu – przyznaję się. – Mieliśmy z Hubertem ostatnią rozprawę rozwodową. Wiedziałam, że nie będę w stanie prowadzić.

Igor kładzie się na boku i lekko unosi, opierając głowę na zgiętej dłoni.

– Żałujesz, że się rozwiedliście? – pyta ostrożnie.

– No co ty – odpowiadam impulsywnie. Naprawdę trudno mi uwierzyć, że Igor mógłby tak właśnie myśleć. – Po prostu, gdy kobieta stoi koło mężczyzny w białej sukni i ślubuje mu miłość, ma nadzieję, że szczęście, które czuje, będzie trwać wiecznie. A w tamten czwartek obudziłam się bladym świtem i wiedziałam, że moje życie się zmieni, że to już koniec, że obudzę się jako rozwódka. Moja mama chyba by tego nie przeżyła.

– Czyli jednak trochę żałujesz – stwierdza twardo, dziwnie obcym głosem.

Wszystko we mnie protestuje. Nie, przecież nie może w to wierzyć.

– Dopiero po naszym spotkaniu zaczęłam uświadamiać sobie, że nie byłam z Hubertem szczęśliwa. Dopiero przy tobie odważyłam się być sobą – wyznaję, próbując ubrać myśli w słowa.

Igor się uśmiecha, zadowolony. Znamy się dość krótko, za wiele o mnie nie wie, więc postanawiam w kilku słowach streścić moje dotychczasowe życie.

– Przez całe liceum planowałam, że pójdę na malarstwo, na ASP – zaczynam. – Ale gdy zdałam maturę, umarł mój tato. Wiedziałam, że z gryzmolenia trudno się utrzymać, a mama kokosów nie zarabiała, więc poszłam na rachunkowość. Jasiek się wściekał, że zamiast malować, postawiłam na cyferki, więc od czasu do czasu pokazywałam mu nowy obraz, ale gdy wyjechał na studia do Tokio, zupełnie dałam sobie z tym spokój. Huberta poznałam po trzecim semestrze. Przeniósł się na moją uczelnię i miał do zaliczenia różnice programowe, a ja, nie chwaląc się, robię świetne notatki. Trzymaliśmy się razem i tak właśnie już zostało.

– Hubert nie wie, że malowałaś? – W głosie Igora słyszę tak szczere zdziwienie, że wiem, iż nie obejdzie się bez szerszych wyjaśnień.

– Wstydziałam się przyznać – mówię przyciszonym głosem. –

Tuż po ślubie pojechaliśmy do Krakowa. W Centrum Sztuki Japońskiej była akurat wystawa malarstwa *sumi-e* i zaciągnęłam tam Huberta. Myślałam, że będzie miło... – zawieszam na chwilę głos. – W życiu nie było mi tak przykro – stwierdzam, przypominając sobie upokorzenie, które wtedy czułam. – Chciałam pooglądać obrazy i opowiedzieć przy okazji o swojej pasji, tymczasem dowiedziałam się od Huberta, że według niego te wszystkie bohomyzy nie mają żadnej wartości. Że tak zwani artyści to banda ćpunów i alkoholików, która uważa, że ludzie powinni stawiać im pomniki za dwa klekсы postawione na kartce lub kawałku płótna.

– Nie no, chyba żartujesz. – Igor nie może ukryć irytacji. – To co, według niego, jest sztuką?

Wzruszam ramionami.

– Dla niego świat jest prosty jak układ zero-jedynkowy. Albo coś jest czarne, albo białe. Jeśli coś nie działa, trzeba to naprawić. Jeśli nie da się naprawić, trzeba wyrzucić. Jak mnie – dopowiadam przyciszonym głosem. – Nie mogłam zająć w ciążę, to wymienił mnie na taką, która może.

Igor przeprasza, że w ogóle poruszył ten temat.

– Przecież to nie twoja wina – protestuję. Wiem, że Igor może nie chcieć rozmawiać o moim byłym, ale nie mogę się powstrzymać przed wygarnięciem wszystkiego, co od dawna zalega mi na wątrobie. – Gdy przez kilka miesięcy nam nie wychodziło, poszliśmy do kliniki, by zrobić badania, ale nawet ich nie odebraliśmy, bo Hubert po nocy spędzonej na przeglądaniu internetu znalazł odpowiadającą mu alternatywę. Poszliśmy do innego lekarza. Płaciłam krocie za konsultacje związane z czymś, co było dla mnie zwykłym kalendarzykiem małżeńskim. No wiesz, mierzenie temperatury, badanie śluzu i te sprawy... Nie, no możesz nie wiedzieć – śmieję się nerwowo. – Miałam książeczki z tabelkami, do których wklejałam naklejki. Później konsultanci stwierdzili, że na pewno mam polipy i lekarz skierował mnie na operację. Ale gdy wróciłam do domu, okazało się, że pszczołka już zapyliła inny kwiatek – kończę, kipiąc jadem.

– To już przeszłość – stwierdza łagodnie Igor, nie wypuszczając mnie z objęć. – On po prostu na ciebie nie zasługiwał. Nie doceniał skarbu, który miał. Nie znał twojej prawdziwej wartości. Nigdy nie poznał Krysi, którą ja pokochałem.

Gdy słyszę te słowa, robi mi się ciepło na sercu. Za chwilę wstaniemy, trzeba będzie się ubrać i przygotować śniadanie. Igor musi kupić smartfon, a później pewnie wszyscy pojedziemy na Chabrową, bo przecież rodzina chce poznać Weronikę. Ale teraz mamy jeszcze minutę lub dwie tylko dla siebie. Pozwalam szczerze otoczyć się ramionami i wdycham Igorowy zapach. Czuję się bezpieczna.

*

Jeśli myślałam, że w poniedziałek zamieszkać w moim nowym domu, musiałam szybko zweryfikować swoje założenia. Przyszła ekipa od okien, bo przecież nowe były wstawione jedynie na parterze oraz w pokoju, w którym miałam zorganizować pracownię, i zaczął się sajgon. Nie wiem, czego fachowcy używali jako poziomicy, ale dwa okna trzeba było osadzać na nowo, tak było krzywo. Wykończenie też pozostawiało dużo do życzenia i dopiero gdy zagroziłam, że nie zapłacę za robociznę, sam szef firmy przyjechał, by osobiście nadzorować usuwanie usterek. To wszystko spowodowało spore opóźnienia.

Jasiek dostawał białej gorączki, ale Igor był zadowolony z zaistniałej sytuacji. Przecież po pracy wracałam do niego i spędzałam czas z Weroniką. Nawet Jasiek mówił, żebym nie przychodziła na razie do tego syfu, bo to grubsza sprawa. Prawdę mówiąc, bałam się sama sprawdzić. Odrabianie lekcji z Weroniką czy pogaduszki z Dorą były o wiele przyjemniejsze.

W końcu, w pierwszy weekend maja, wracam już do siebie. Okna nie chcą już wylecieć, wszystkie ściany wyschły, a słodkawy zapach farb się ulotnił. Meble mam jedynie w salonie i w sypialni, którą postanowiłam urządzić na górze. Pozostałe pokoje stoją puste. Kiedyś je umebluję. Muszę odłożyć

trochę pieniędzy, bo wydałam na dom wszystkie oszczędności.

Jasiek sugeruje, żebym wystawiła na sprzedaż któryś z obrazów, ale odmawiam, bojąc się, że poniosę spektakularną klęskę. Tego moja duma by nie zniosła.

Po wejściu do kuchni od razu nastawiam wodę na kawę i siadam na krześle przy oknie. *Okāsan* przyniosła skądś nową firankę, bo moja okazała się za wąska i wyglądała dość kuriozalnie. Ta jest piękna, nowoczesna, w pastelowe piwonie. Na połowie okna zwisa luźno, ukazując kwiaty w całości, druga zaś część jest odsunięta za przytwierdzony do ściany kolek. Jestem pewna, że wcześniej nie było tu takiego karnisza, ale najwyraźniej *okāsan* chciała zrobić mi niespodziankę. I zrobiła, bo okno wygląda fenomenalnie i to, co jest za nim, nie rzuca się tak w oczy.

Lecz w tej chwili to widok na zaniedbany ogród i ścieżkę prowadzącą do domu zwraca moją uwagę. Ze środka wygląda to równie fatalnie, jak z zewnątrz. Ktoś w pracy już polecił mi „Centrum Ogrodnicze” na Niczyjej. Podobno mają świetny wybór roślin i za stosunkowo niewielką kasę sami zaaranżują rabatę, uwzględniając jej położenie, rodzaj gleby i masę innych rzeczy, na których się zupełnie nie znam. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że kupując dom, chyba porwałam się z motyką na słońce.

Aurelia codziennie się dopytuje, jak idzie remont i kiedy w końcu ją zaproszę, bo ma już upatrzony prezent, ale ostrzegam, że to może jeszcze potrwać. Muszę przecież kupić krzesła i duży stół, na który w mieszkaniu nie miałam miejsca. Tam musiała wystarczyć niewielka ława. Aurelka zapewnia, że nie jest wybredna i może siedzieć choćby na podłodze, ale w końcu obiecuje dać mi jeszcze trochę czasu.

Zoja, jak zwykle, wynajduje preteksty, by z samego rana wpaść do mojego biura na szybką kawę, ale już od kilku dni nie tryska humorem. Próbowałam podpytać, co ją gryzie, ale ucięła temat, mówiąc, że to świeży zawód miłosny i na razie nie chce o tym gadać. Zamiast tego pyta o Igora, ale tym razem to ja jestem powściągliwa. Nie wiem, czy to zainteresowanie jest bezinteresowne, czy jednak Zoja chce coś osiągnąć.

Napomykam dla podpuchy, że Igor siedzi ostatnio do późna w pracy, więc mamy dla siebie bardzo mało czasu, a Zoja nieudolnie ukrywa zadowolenie. Ale nie biorę jej tego za złe, jeśli znów przejechała się na jakimś facecie, może przekonanie, że i mi się nie układa, w jakiś sposób podnosi ją na duchu.

Nie pytam o Honoratkę.

Boję się, że odpowiedź mogłaby mi się nie spodobać, więc z premedytacją tchórzę.

*

Biorę kubek z kawą i wdrapuję się na piętro do pokoju, do którego Jasiek wtargał wszystkie moje farby i sztalugi. Rzeczywiście, światło jest tu doskonałe. Nowakowie zrezygnowali z okna z trzema skrzydłami, które kiedyś tu było, na rzecz pojedynczej tafli. Jest ciężkie, trudniej je zamknąć, ale dzięki niemu w pomieszczeniu jest o wiele jaśniej, niż to zapamiętałam z dzieciństwa.

Stawiam kubek na parapecie i zerkam na dół. Pod oknem znajduje się niewielki taras z zejściem do ogrodu. Miejsce grządek z marchewką i sałata przejęła trawa i w zasadzie chcę, żeby tak pozostało. Pod płotem planuję posadzić kolorową hortensję oraz kilka piwonii. W Japonii kwiaty te są symbolem szczęścia, nie może więc ich zabraknąć w moim ogrodzie. *Okāsan* pewnie by mi tego nie wybaczyła.

Jasiek obiecał zdobyć sadzonkę wiśni odmiany Somei Yoshino, więc za jakiś czas będziemy mieć tu *ohanami*[\[16\]](#). Myślę, że bratu zależy na tym szczególnie ze względu na małą Haru.

Z zamyślenia wyrywa mnie dzwonek telefonu. Zostawiłam go w kuchni, ale rozbrzmiewające gitarą elektryczną takty piosenki, którą ostatnio ustawiłam jako dzwonek, niosą się po całym domu. Nie ociągając się, wracam na dół.

– Cześć. Co słyhać? – pytam, widząc, że to dzwoni Igor.

– Mam awarię – zaczyna, nie owijając w bawełnę. – Matka siedzi w kolejce do lekarza, a Weronika skończyła wcześniej lekcje i nie ma jej kto odebrać.

Już mam na końcu języka, że w jej wieku to już sama wracałam ze szkoły, ale przypominam sobie, że Weronika chodzi do prywatnej szkoły na drugim krańcu miasta. Autobusem to będą ze dwie przesiadki. Nic dziwnego, że w dzisiejszych czasach Igor nie chce ryzykować.

– W porządku, nie ma sprawy – mówię. – Odbierzesz ją po pracy.

Pod szkołą nie ma miejsca, więc parkuję przy sąsiedniej przecznicy. Dzień jest piękny. Już od rana słońce grzeje niemiłosiernie, jakby zapomniało, że do astronomicznego lata został jeszcze ponad miesiąc. Nie pamiętam, kiedy ostatnio w maju było aż tak ciepło. Przed budynkiem przystaję, zastanawiając się, jak ja odnajdę tu Weronikę, ale dziewczynka chyba zobaczyła mnie przez okno, bo wybiega mi na spotkanie.

– Jak fajnie, że jesteś! – woła spontanicznie, a mnie robi się ciepłej na sercu. Igor naprawdę ma wspaniałą córkę. Cieszę się, że Weronika mnie zaakceptowała.

– Obiad u babci Yuki? – zagaduję. – Pytała, czy wpadniemy.

Buzię Weroniki rozjaśnia wielki uśmiech. Już wiem, że pomysł jej się podoba.

– A będzie ta zupa, co ostatnio? – Zerka na mnie pytająco.

Wczorajszy obiad bardzo smakował Weronice. *Okāsan* promieniała, podsuwając jej pod nos smaczne kaski, więc pewnie na dzisiaj też przygotowała coś pysznego.

– Tego nie wiem – odpowiadam. – Ale jak byłam w twoim wieku, lubiłam próbować nowe potrawy. Zawsze mnie zastanawiało, jak ona wycina z plasterków warzyw te wszystkie kwiatki i listki.

– I co? – dopytuje Nika, gdy zmierzamy w stronę samochodu.

– Znaleźliśmy z Jaśkiem małe foremki, którymi wyciska te cuda. Myślę, że odszukała je specjalnie dla ciebie i dzisiejsza zupa będzie pięknie wyglądać. *Shikashi, kore wa himitsu desu*[\[17\]](#) – śmieję się.

Ledwie zdażyłam zaparkować, *okāsan* wychodzi na ganek i woła, żebyśmy przyszły. Weronika próbuje ukryć podekscytowanie, ale nie bardzo jej to wychodzi. Nie dziwię się, sama uważam, że *okāsan* jest kimś naprawdę wyjątkowym.

– Babciu Yuki, dzisiaj w szkole była moja kolej na bajkę i opowiadałam legendę o Świetlistej Księżniczce – relacjonuje, gdy zostawiamy buty w przedsionku. – Wszystkim bardzo się podobała. Nawet pani była zadowolona. Kazała zapytać, czy znasz więcej takich bajek.

Odwracam głowę, by ukryć rozbawienie. Weronika trafiła na podatny grunt, *okāsan* uwielbia opowiadać japońskie legendy. To dzięki niej znam chyba całą mitologię oraz wierzę w przesady. To przez *okāsan* zawsze, gdy w nocy jest burza, przykrywam brzuch. Inaczej przecież Susanoo, bóstwo burzy, mogłoby ukraść mi pępek. Nie idę też spać bezpośrednio po posiłku, bo to z kolei może skutkować zamienieniem się w krowę. Nie ma litości. *Kami* i *yōkai* są wszędzie, również poza Japonią. Tak przynajmniej twierdzi *okāsan*. Przecież gdy w czasach liceum jechaliśmy z Jaśkiem na ferie do Zakopanego, przestrzegała nas przed *kappa*[\[18\]](#) i śnieżną kobietą. Niby tylko zabobony, a jednak w jakiś sposób ubarwiły moje życie. Śmieję się w duchu, wiedząc, że teraz z Weroniką będzie identycznie.

Zostawiam je w salonie, by mogły porozmawiać, i idę posprzątać po obiedzie. Muszę pozbierać myśli, chwila samotności dobrze mi robi. Wszystko układa się tak dobrze, że zaczynam się bać, że to tylko cisza przed burzą. Ganię się za pesymizm, ale taka już jestem lub, mówiąc bardziej precyzyjnie, taką się stałam.

W chwili, kiedy sędzia orzekł rozwód, myślałam, że moje życie się skończyło, że już na zawsze przylgnie do mnie łatka porzuconej żony, że wszyscy będą mnie omijać szerokim łukiem. Tymczasem pojawił się Igor i cały mój świat zatrzęsł się

w posadach, a życie nagle nabrało sensu.

Brzęczy telefon, więc odkładam szybko talerz do szafki. Myślałam, że to Igor, ale okazuje się, że dzwoni Zoja.

– Cześć, skoczmy na kawę? – proponuje, gdy tylko odbieram połączenie.

Przymykam oczy. Czuję się podle, że znów nie mam dla niej czasu.

– Zojka, dzisiaj jestem z Weroniką – wyjaśniam. – Odebrałam ją ze szkoły, bo Igor jest jeszcze w pracy, a jego mamie coś wypadło.

– No tak... – Zoja wzdycha teatralnie. – Zawsze, gdy pojawia się dziecko, przyjaciółki odchodzą na dalszy plan. Jak dobrze, że jest już odpieluchowana – sili się na żart, ale po tonie głosu wnioskuję, że jest jej przykro.

– Może wpadniesz do nas? – zapraszam, próbując zagłuszyć wyrzuty sumienia, ale Zoja odmawia, mówiąc, że kiepskie z niej towarzystwo dla matki z dzieckiem. Wolałaby pogadać na osobności i, jak kiedyś, umówić się na weekend na wino.

– Pewnie nie będziesz miała czasu – odgaduje.

– Jest jeszcze sporo roboty w domu i koło domu – usprawiedliwiam się, dręczona świadomością, że Zoja prawdopodobnie wie, że to tylko wymówka. – Czekam na weekend, bo po pracy w zasadzie niewiele mogę zrobić. Meble są tylko w kuchni, salonie, łazience i jednym z pokoi. Reszta pomieszczeń leży odłogiem. Nawet firankę w kuchni mam zdobyczną.

– Przecież możesz wziąć pożyczkę w pracy – przypomina mi.

Faktycznie, całkiem o tym zapomniałam. Maksymalna kwota to sześć patyków, ale dobre i tyle. Będę mogła zamówić dywany i jakieś meble. Uświadamiam sobie też, że powinnam bardziej entuzjastycznie podziękować Jaškowi za cudowną łazienkę. Wczoraj wieczorem wymoczyłam się w wannie i spałam potem jak dziecko.

Po powrocie do salonu od razu zauważam, że Weronika

odrabia lekcje. Nie wiem, czy wymyśliła to sama z siebie, czy zadziałała tu subtelna sugestia *okāsan*, ale dziewczynka jest tak skupiona, że nie zauważa, że wróciłam.

– To wspaniałe dziecko – mówi cicho *okāsan*, biorąc mnie pod ramię. – Mądra, wrażliwa... Przypomina cię, gdy byłaś w jej wieku.

Dziękuję za zawołany komplement. Jest mi bardzo miło.

Po godzinie przychodzi Igor. Jest zmęczony, chce zabrać Weronikę do domu, ale *okāsan* ani myśli wypuścić go bez obiadu, mimo że Igor upiera się, że zjadł kebab.

– To nie obiad – gani go *okāsan*. – Od jedzenia bierze się siła, więc musi być zdrowe. Od tych waszych kebabów to tylko się tłuszcz na boczku odkłada.

Igor kapituluje, widząc, że i tak nie wygra. Poza tym wydaje mi się, że kłamał z tym kebabem, bo gdy *okāsan* znika w kuchni, wyraźnie słyszę, że burczy mu w brzuchu.

– Ciężki dzień – wyznaje w końcu. – Już zdażyłem zapomnieć, że baby potrafią być tak upierdliwe. Chyba powinienem zaktualizować cennik, żeby ceny stały się zaporowe dla pani Bożenki – żartuje. – Usilnie próbuje umówić mnie z córką, która również czasami do mnie przychodzi. Tylko że Sandra ma inne zainteresowania.

Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam, że Sandra jest lesbijką. Prawdę mówiąc, gdy kiedyś w przymierzalni Zoja wsadziła mi łapę do stanika, bo kiepsko leżał, sama czułam lekki niepokój. Odetchnęłam z ulgą, dopiero gdy przyjaciółka zaczęła opowiadać o swoich facetach. Gdyby nie to, pewnie dalej czułabym się niepewnie w jej towarzystwie.

– Jak mama? – zagaduję, by zmienić krępujący mnie temat. Ale od razu zauważam, że nie powinnam była pytać, bo mina Igora kwaśnieje.

– Nie znam szczegółów, ale podobno ma kiepskie wyniki. Potrzebna będzie dalsza diagnostyka.

Obejmuję Igora, by dodać mu otuchy. Doskonale pamiętam,

jak się czułam, gdy mama zachorowała.

– Trzeba powtórzyć. Może to tylko błąd w laboratorium? – staram się go pocieszyć. – Pamiętasz Aurelię? Podczas rutynowych badań wyszło jej, że ma białaczkę. Omal nie dostała zawału. Zemdlała w pracy i zabrało ją pogotowie. A gdy powtórzono badania, okazało się, że jest okazem zdrowia, że to w laboratorium się pomylili.

Nie wiem, czy przekonałam Igora, ale wydaje się trochę spokojniejszy. Siadamy przy stole, a *okāsan* podsuwa mu pod nos smakołyki. Jestem dumna, bo Igor już całkiem nieźle radzi sobie z pałeczkami. Nawet *okāsan* go chwali.

– Będzie z ciebie dobry Japończyk – ocenia. – Tylko jeszcze muszę cię nauczyć mówić i pisać po ludzku – żartuje. – Z Weroniką będzie o wiele łatwiej.

Igorowi trudno jest zachować powagę.

– Kryśka już co nieco próbowała mi tłumaczyć, ale tępa ze mnie sztuka – wyznaje z rozbijającą szczerością. – Klasyfikatory używane z liczebnikami? Inaczej liczy się pietra, inaczej ludzi, a jeszcze inaczej przedmioty cienkie i płaskie? A jeśli książka jest na przykład gruba, to co? Poddaję się. – Bezradnie rozkłada ręce. – Ledwo angielski udało mi się ogarnąć.

– *Igor-kun, ganbatte kudasai*[\[19\]](#) – nalega *okāsan*. – Jeszcze będą z ciebie ludzie. Ucz się, ucz, żebyś znał chociaż podstawy, jak polecicie latem na Okinawę.

Spoglądamy z Igorem po sobie, nie rozumiejąc, do czego zmierza. Nigdzie się przecież nie wybieramy.

Zakłopotana *okāsan* zakrywa dłonią usta.

– Ups, chyba się wygadałam... Jasiek chciał wam zrobić niespodziankę.

Nie wiem, co powiedzieć, a Igor również zaniemówił. Zastanawiam się, czy powinnam wściekać się na Jaśka za to, że znowu wtrąca się w moje życie, czy raczej podziękować. Gdy poprzednio byłam z nim w Japonii, mieszkaliśmy w Tokio.

Byliśmy na krótkiej wycieczce w Kioto i w Yokohamie, ale na subtropikalną Okinawę nie dotarliśmy. Chyba do tej pory mam gdzieś zakupiony przed laty przewodnik turystyczny. Przeczytałam go już w samolocie. Rzeczywiście, Okinawa to wymarzone miejsce na wakacje.

– Nie piśniemy słówka – obiecuję, a Igor w zamyśleniu kiwa głową. Też chyba uznał, że ta wycieczka może być ciekawą przygodą.

– Najważniejsze pytanie już umiem zadać – oznajmia, zadowolony z siebie. – Zaraz... Jak to szło? *Doko wa Krysia desu ka?* – sylabizuje. – *Help me, kudasai.*

Próbuję zachować powagę, ale to, że *okāsan* zaczyna się śmiać, wcale nie pomaga.

Chyba żeby nas jeszcze dobić, Igor wyszukuje w pamięci słowa i zwroty, które przypominają brzmieniem nasze rodzime, więc zamiast *konnichiwa* mówi koniczyna, a zamiast *arigatō* – aligator. *Okāsan* komentuje, że w ten sposób daleko nie dojdzie i że niedługo zapewne zawstydzi go własna córka.

– Krysia jest moją tajną bronią. – Igor odkrywa karty. – Im lepiej ją znam, tym bardziej lubię.

Wiem, że się rumienię. Ale kobiety przecież bardzo potrzebują komplementów. Musimy czuć, że ktoś nas kocha i docenia. To ważniejsze niż kwiatek na dzień kobiet.

Robi się późno, więc Igor woła Weronikę. Mam ochotę zaproponować, żeby zostali u mnie, ale przecież mam tylko jedno łóżko, a sofa w salonie raczej nie nadaje się do spania. Obiecuję sobie, że po drodze z pracy wstąpię do Ikei i kupię, co trzeba. Stół z krzesłami może poczekać. Poza tym jutro pewnie już będzie wypłata.

Odprowadzam Igora i Weronikę do samochodu i niechętnie żegnam się z nimi. Dziewczynka obejmuje mnie i dziękuje za miło spędzony czas.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiadam wzruszona. – Do zobaczenia.

Gdy tylko przestępuję próg własnego domu, zaczynam zastanawiać się, po co właściwie go kupiłam, skoro chcę być z Igorem. Tak, wiem, Jasiek wmanewrował mnie w tę transakcję, mogłam się jednak nie zgodzić. Przecież nikt mnie nie zmuszał.

Przechadzam się po pustych pomieszczeniach i nie mogę znaleźć dla siebie miejsca. Może gdybym powiesiła na ścianach obrazy, nie byłoby tutaj tak łyso? Czuję chłód, więc idę do szafy po sweter. Jest długi i mięciutki, w odcieniu malachitowej zieleni. Znalazłam go kiedyś w outlecie i do tej pory świetnie mi służy. Materiał po tylu latach nie wypłówał ani się nie zmechacił. Ten zakup był strzałem w dziesiątkę.

Otwieram drzwi pracowni i od razu zauważam, że coś się tu zmieniło. Sztaluga stoi postawiona inaczej niż ostatnio. Rozglądam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu odpowiedzi skąd ta zmiana i odnajduję wzrokiem niewielki stolik, na którym leżą pozawijane w szary papier pakunki. Podchodzę bliżej tylko po to, by przekonać się, że to moje grafiki. Chyba wszystkie, jakie do tej pory namalowałam. Na samym wierzchu leży kartka. Rozpoznaję charakter pisma Jaśka. *One-chan, kore wa puresento desu*[\[20\]](#). *Mahō no gyararī*. Magiczna Galeria – tłumaczę automatycznie.

Co to wszystko znaczy? Co ten Jasiek znowu wykombinował?

Pod spodem, już alfabetem łacińskim, zapisany został adres strony internetowej. Wracam do przedpokoju po smartfona i wpisuję adres w wyszukiwarce.

Nie, to niemożliwe! Faktycznie ładuje się strona internetowa. Witryna domyślnie ustawiona jest na język angielski, ale można też wybrać wersję polską i japońską. Jasiek przedstawił mnie jako wielce utalentowaną artystkę, zamieścił galerię prac i napisał, że już wkrótce będzie można je kupić. Każdy z obrazów ma osobną stronę z danymi technicznymi.

Pod spodem widzę kilka komentarzy, ale w sumie nie powinno mnie to dziwić, bo umieszczony w prawym dolnym rogu licznik odwiedzin podaje też informację, że strona działa już ponad dwadzieścia cztery godziny i na razie odwiedziło ją około setki

osób.

I znowu mam ochotę równocześnie obedrzeć Jaśka ze skóry, jak i wycalować. Sama przecież nigdy nie zdecydowałabym się na publiczne pokazanie swoich prac. A tymczasem komentarze i dołączone do nich emotikony świadczą o bardzo dobrym przyjęciu przez potencjalnych nabywców. Nie mam pojęcia, czy udałoby mi się utrzymać z samego tylko malowania, ale jakiś grosz mógłby wpaść. Nie wiem wprawdzie, jak wygląda w praktyce eksport, chociażby do Japonii, ale zakładam, że Jasiek już się tym zainteresował. Przecież inaczej chyba nie pisałby, że prace będzie można wkrótce kupić.

Kiedy po godzinie kładę się spać, smartfon sygnalizuje nadejście wiadomości tekstowej. To Igor.

„Tęsknię za Tobą”.

Mrużę oczy, powstrzymując westchnienie. Przyzwyczaiałam się już, że kładziemy się spać razem, a teraz miejsce obok mnie jest puste. Pewnie Igor też teraz leży, wpatrując się w sufit, i nie może zasnąć. Z każdym mijającym dniem jest coraz gorzej. Widujemy się przelotnie, nie mamy czasu porozmawiać, nie mówiąc już o żadnych pieszczotach.

Ale to świadomość, że jest daleko, jest w tym wszystkim najgorsza. Nie chcę, żeby tak było. Chcę, żeby rano łazienka pachniała jego Hugo Bossem. Chcę znów widzieć Weronikę codziennie. Chcę, żeby było normalnie...

Choćbym miała stanąć na głowie, kupię jutro meble, by Weronika mogła tu przenocować. Przecież tak bardzo się do niej przywiązałam. Bo nawet jeśli nie mogę mieć własnych dzieci, mogę zadbać, by córka Igora była szczęśliwa. To wystarczy. Uśmiech, który widzę w jej oczach, sprawia, że czuję ciepło w sercu i wiem, że moje życie nabrało sensu. Kobiety przecież adoptują dzieci i nikt nie zaprzecza, że są matkami. Nie chcę jednak narzucać się z taką propozycją, zwłaszcza że znamy się z Igorem tak krótko. Wystarczy, że są.

Już od rana zapowiadało się na burzę, bo szef chodził naburmuszony niczym chmura gradowa.

– Coś nabroiła? – pyta konspiracyjnie Aurelia, przynosząc kawę, o którą poprosiłam.

Wzruszam ramionami. Nic mi na ten temat nie wiadomo. Finanse mam przecież pod kontrolą.

– Wczoraj zatrudnili twojego byłego – dodaje przejęta Aurelia.
– Na inny dział, do projektów, ale jednak.

Mimo wszystko czuję się dotknięta tym faktem. Niezręcznie będzie mijać Huberta na korytarzu i słuchać, jak chwali się, że wkrótce urodzi mu się córka. Wszyscy będą mu gratulować i w duchu uznają, że podjął doskonałą decyzję, rozwodząc się ze mną. To ja będę tą złą wiedźmą, która stała Hubertowi na drodze do szczęścia. Kto wie, może nawet usłyszę, że w ogóle nie powinien był się ze mną żenić? W końcu będzie współpracował głównie z facetami, a ci znani są z niewybrednych żartów.

Poza tym jakim cudem Hubert dostał się do działu projektów, skoro nie ma wykształcenia technicznego, nie mówiąc już o jakimkolwiek pojęciu o wytłoczkach z aluminium? Dorotka chyba codziennie deptała ścieżkę i obrabiała mi tyłek. Nic dziwnego, że szef patrzy na mnie spod byka. Jaka w tym jednak moja wina?

W drodze do łazienki zauważam dalej w korytarzu Zoję i Dorotę. Rozmawiają przyciszonymi głosami, żywo przy tym gestykulując. Mam ochotę zawrócić i zaszyć się w swoim biurze, ale Zoja odwraca głowę i natychmiast ucina rozmowę.

Przyśpieszam kroku i zamykam się w toalecie, ale po chwili słyszę pukanie do drzwi.

– Krysia, wszystko w porządku? – Głos Zoi jest miękki, pełen troski.

– Tak, przyszłam się wysikać – odpowiadam, chociaż z nerwów już mi się właściwie odechciało.

– To podłe, co ta suka zrobiła – kontynuuje Zoja, mimo że

wolałabym, żeby już skończyła ten temat. – Wiesz, że powiedziała Ziemiańskiemu, że Hubert rozwiódł się z tobą, bo przyłapał cię z kochankiem?

Czuję, jak nogi uginają się pode mną. Słyszę jeszcze krzyk Zoi, który z wolna cichnie w otaczającej mnie ciemności.

*

Otwieram oczy i od razu wiem, że zaraz będę wymiotować. Trzepie mną tak, jakby wszystkie wnętrzności chciały wyrwać się na zewnątrz.

– Nerka! – słyszę i ktoś podsuwa mi pod brodę metalowe naczynie.

Nie jestem już w pracy. Zauważam sine kafelki na ścianie. Leżę na jakimś łóżku. Gdzieś ponad głową majaczy mi statyw od kroplówki.

Gdy kończę zwracać, pielęgniarka wyciera mi buzię. Na salę wchodzi lekarz. Rozpoznaję to po fartuchu. Na niczym innym nie potrafię się skupić.

– Dzień dobry – słyszę. – Nazywam się Tomasz Miłkowski i jestem lekarzem. Czy wie pani, gdzie się znajduje?

– Chyba w szpitalu – odgaduję, dziwiąc się, jak cicho brzmi mój głos.

– Jak się pani nazywa?

– Krystyna Hrynkiewicz – mamroczę.

– Czy pamięta pani, jak się tu znalazła?

Nie pamiętam. Już próbowałam sobie przypomnieć, ale poniosłam sromotną klęskę.

– Pamiętam tylko, że byłam w pracy – przyznaję się z uczuciem porażki.

Lekarz w zamyśleniu kiwa głową. Chyba właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Pani Krystyno, uderzyła się pani w głowę i doznała wstrząśnienia mózgu. Stąd te wymioty i zanik pamięci krótkotrwałej.

Brzmi poważnie, ale nie potrafię do końca wszystkiego zrozumieć. Co to znaczy, że uderzyłam się w głowę? Jak?

– To minie? Znaczą się, czy pamięć wróci? – próbuje wyartykułować sensowne pytanie.

– Tego nie wiem – odpowiada z rozbrajającą szczerością. – W pani stanie nie chcę ryzykować z tomografem czy RTG głowy. Wolę zostawić panią na obserwacji.

Nie wiem, o co chodzi z tym „moim stanem”, ale czuję się tak skołowana, że nawet jeśli zapytam, pewnie i tak niczego nie zrozumieję. Może później. Jeśli nie zapomnę.

Powieki ciężą mi i nie mam już siły dłużej rozmawiać. Pytam jeszcze, czy mogę zadzwonić, ale lekarz twierdzi, że absolutnie nie, że moje rzeczy znajdują się w depozycie. Chcę jeszcze się dowiedzieć, czy ktoś powiadomił Igora, ale urywam w pół słowa, zapadając w niespokojny sen.

*

Ból głowy towarzyszy mi jeszcze przez dwa dni, stopniowo ustępując. Gdzieś w przerwie między drzemkami przychodzą Igor i Jasiak. Obaj się denerwują, że nikt nie chce im nic powiedzieć na temat mojego stanu.

– Formalnie nie jesteśmy spokrewnieni – wyjaśnia zdruzgotany Jasiak. – Igor to się jeszcze zawsze może z tobą ożenić, ale co ze mną?

Gdybym była zdrowa, rąbnęłabym Jaśka za tę ostatnią uwagę, ale teraz sił wystarcza mi tylko na posłanie mu piorunującego spojrzenia. Igor milczy, więc nawet nie odważam się na niego spojrzeć. Bo co, jeśli przyszedł tu jedynie z poczucia obowiązku? Odgadłabym to z wyrazu jego oczu.

Wkrótce do sali zagląda pielęgniarka, mówiąc, że koniec wizyty i żeby panowie dali mi odpocząć. Igor pochyła się i z wolna całuje mnie w czoło. Pocałunek jest delikatny jak dotyk motyla. Tyle że motyl nigdy nie zostaje nigdzie na dłużej.

– O nic się nie martw – Igor prosi przyciszonym głosem. – Przyjdę, jak tylko ta rzucająca zabójcze spojrzenia Gorgona pozwoli – obiecuje. Wyciąga jeszcze z wewnętrznej kieszeni marynarki białego, nieco sfatygowanego pluszowego królika i wsadza mi go pod ramię. – To ulubiona zabawka Weroniki – wyjaśnia. – Dostała Kicusia od babci na pierwsze urodziny i od tej pory zawsze spali razem. Ale dzisiaj córa uznała, że tobie bardziej się przyda.

Czuję łzy zbierające się w kąciakach oczu. A więc moje podejrzenia okazały się bezpodstawne. Igorowi naprawdę na mnie zależy. Gdy pociągam nosem, pielęgniarka ponownie zagląda do sali i Igor dostaje już kategorię nakaz eksmisji.

– Niech chłopak trochę potęskni – mówi kobieta, gdy zostajemy same. – Ty, kochana, musisz odpoczywać. Nie żyjesz przecież tylko dla siebie, prawda?

Ma rację, są jeszcze Igor i Weronika, oraz moja japońska rodzina. Naprawdę mam wielkie szczęście.

– Kiedy będę mogła wrócić do domu? – pytam.

Pielęgniarka wzrusza ramionami.

– O tym zdecyduje lekarz. Ale będziesz teraz musiała trochę zwolnić. Pozwól się wykazać temu swojemu mężczyźnie. Faceci lubią czuć, że są potrzebni.

Zostaję sama. Igor przyniósł książkę, ale nie mam ochoty czytać. Zresztą pewnie i tak nie mogłabym się skupić. Błędę dłonią w okolicach szyi, ale nie ma mojej *magatamy*. Nie było jej już, gdy odzyskałam przytomność, a przecież wtedy jeszcze miałam na sobie własne ciuchy.

Świadomość, że talizman zniknął, budzi przygnębienie. Nie pamiętam, co robiłam, zanim straciłam przytomność. Wiem, że byłam w pracy, ale resztę spowija mgła zapomnienia.

– Eh... – wzdycham ciężko, przytulając Kicusia. Mam nadzieję, że nie będą długo mnie tu trzymać.

*

Dwa dni później dostaję w końcu zgodę na opuszczenie szpitala. Całe szczęście, bo z nudów zaczynałam już dostawać szału. Zaletą jednoosobowej sali jest fakt, że nikt nie chrapie i nie opowiada całej historii swojego życia, a wadą to, że przez większość czasu człowiek może co najwyżej pogadać ze ścianą. Umęczyło mnie to okrutnie, ale na szczęście wypisali jeszcze dwa tygodnie zwolnienia, więc będę mogła w spokoju odpocząć.

Przyjeżdżają po mnie we dwóch. Jasiek przecież ma klucze do domu i musiał podrzucić mi świeże ubranie, a Igor boi się zostawić mnie samą. Już w drodze do samochodu zaczynają się spierać, gdzie powinnam mieszkać, ale się upieram, że mam własny kąt, a w razie czego *okāsan* jest przecież cały czas w domu obok. Napomykam, że planowałam kupić meble, by Weronika miała gdzie u mnie spać, ale panowie nie chcą w drodze do domu wstąpić do Ikei. Twierdzą, że to byłoby dla mnie zbyt męczące.

– Sam później kupię – zapewnia Igor, widząc, że zaczynam się dąsać. – Skoczę po Weronikę i wszystko skęcimy. Będziesz mogła dotrzymać nam towarzystwa.

– A ja zrobię zakupy i przygotuję wam coś do jedzenia – oznajmia Jasiek, nie do końca zadowolony, że ktoś inny jako pierwszy zaczął decydować, co jest dla mnie dobre. – Cokolwiek zostawiłaś w lodówce, już pewnie zaczęło żyć własnym życiem.

Ma rację. Spieranie się o to, że sama przecież mogę zrobić zakupy, nie miałyby sensu. Zaczynam powoli rozumieć, że zostałam uziemiona.

*

– *Okaerinasai*. – *Okāsan* wita mnie tradycyjnym zwrotem, gdy tylko wchodzimy do domu. Otwieram usta, by odpowiedzieć odpowiednią formułką, jednak nie zdążam, bo kobieta przytula mnie i mocno ściska. – Tak bardzo się bałam, Krysiu – mówi przez łzy. – Nie pozwolili mi cię odwiedzić.

Jeszcze nigdy nie widziałam jej we łzach. Nawet wtedy, gdy wyruszyliśmy z Jaśkiem do Japonii, żegnała nas na lotnisku z uśmiechem na ustach.

– Kocham cię, mamó. – Z piersi wyrywa się wyznanie, które określa dokładnie, co w tej chwili czuję... Co zawsze czułam do tej kobiety. Też mam łzy w oczach. Zaczynam przeproszać, że nie odzywałam się przez te wszystkie lata, ale każe mi przestać, mówi, że to nie jest ważne, że najważniejsze, że wróciłam do domu. – Upiekłam dla ciebie *kasuterę* – dodaje.

Uwielbiam *kasuterę*, czyli po naszymu miodownik japoński. Kiedyś próbowałam nawet sama upiec, ale *okāsan* ma chyba jakiś własny patent, bo moje ciasto opadło, podczas gdy jej zawsze wychodzi wysokie i pulchne.

– Igor obiecał, że przywiezie Weronikę, a Jasiek pojechał po zakupy – informuję, gdy w końcu siadamy w salonie.

Okāsan wstaje, by przynieść ciasto, którym pachnie już cały dom, ale proszę, by została ze mną. Nie wiem, co więcej powiedzieć, co powinnam zrobić, ale wtedy łagodnym głosem mówi, że jednak jestem jeszcze słaba, że powinnam odpocząć, że zadba, by niczego mi nie brakowało. Nie opieram się zbytnio, bo rzeczywiście moja słabość jeszcze nie minęła. Jestem tak senna, że jedynie siłą woli powstrzymuję ziewanie. Ale nie doceniam spostrzegawczości *okāsan*. Kobieta bez słowa prowadzi mnie na górę i kładzie do łóżka. Oczy same mi się zamykają.

Słyszę hałas. Coś chyba spadło za ścianą, bo Jasiek złorzeczy, że mieli przecież zachowywać się cicho. Mam dziwne przeczucie, że ktoś mnie obserwuje, więc otwieram oczy.

– Obudziłam cię? – pyta przestraszona Weronika. – Przepraszam, nie chciałam.

Jej głos przepelnia taka troska, że robi mi się ciepło na sercu. Leży obok, ale w takiej odległości, żeby mnie przypadkiem nie dotknąć.

– Chodź tu do mnie – mruczę, przysuwając się bliżej. Jej włosy pachną truskawkowym szamponem i chyba przez to zaczyna burczeć mi w brzuchu. No tak, przecież od rana nic nie jadłam.

Leżymy przez chwilę przytulone, a ja z całą powagą uświadamiam sobie, jak bardzo kocham to dziecko. Łzyzbierają mi się pod przymkniętymi powiekami, ale przecież nie mogę się tak po prostu rozryczeć.

– Moja mama umarła, wiesz? – podejmuje Nika. – Nie chcę, żeby coś ci się stało. Bardzo cię lubię. Ale tata nie chciał mnie wziąć do szpitala.

Odgarniam włosy z jej czoła i spontanicznie całuję.

– Dziękuję za królika – mówię. – Bardzo mi pomógł.

– Naprawdę? – Nika się rozpromienia jak słoneczko. – A myślałam, że powiesz, że zwariowałam!

– No co ty! Bardzo się wzruszyłam – zapewniam. – W szpitalu nie było przyjemnie, ale królik pomógł mi przetrwać.

Nika wciąż obejmuje mnie, leżąc z głową opartą o moją pierś, tak że bezwstydnie mogę rozkoszować się jej bliskością. Bardzo przyjemne uczucie. Bo skoro mam Nikę, świadomość, że nigdy nie zaplotę warkoczy biologicznej córce, nie jest już tak przykra.

– Nie chcę wracać do domu – stwierdza nagle. – Chcę zostać z tobą. Tata mówi, że czasami będę mogła tu spać, dlatego właśnie skręcają meble z wujkiem Jaśkiem, ale ja chcę zostać u ciebie na zawsze. To trochę tak, jakbym miała mamę – dodaje ciszej, a ja czuję, że moje serce kołacze jak szalone. Nie wytrzymam. Rozryczę się jak nic. Przecież gdybym tylko mogła, nie pozwoliłabym Weronice nigdzie iść!

Na szczęście *okāsan* otwiera drzwi, więc mój gest wytarcia mokrych od łez oczu umyka uwadze Weroniki.

– I jak tam, śpiochy? – pyta *okāsan*. – Głodne?

– Bardzo – przyznaje Weronika. – Ale nie chciałam zostawiać tu Krysi samej.

Okāsan kiwa głową, patrząc na nas pełnym czułości wzrokiem.

– Chodźcie, przygotowałam coś do jedzenia.

Nika od razu idzie na dół, ale ja muszę jeszcze skorzystać z łazienki. Brudna umywalka, na podłodze pęknięta butelka z rozlanym płynem pod prysznic... Nie przypominam sobie, żebym zostawiła taki bałagan. Widocznie któryś z chłopaków miał tu jakiś wypadek i zapomniał po sobie posprzątać. Ścieram papierem toaletowym mokrą plamę, a zwłoki butelki ładuję do pozostawionej gdzieś w kącie reklamówki.

– No nareszcie! – woła Weronika, gdy w końcu wchodzę do kuchni. – Zobacz, kto nas odwiedził.

Nie muszę się specjalnie rozglądać, bo przecież Haru siedzi na jej kolanach i ciągnie za włosy. Sayaka chce interweniować, ale Weronika stwierdza, że to wcale nie boli, że zawsze chciała mieć młodszą siostrę i że zamierza nauczyć Haru wszystkiego, co sama umie. Żona Jaśka wygląda na trochę zakłopotaną, jednak gdy widzi, że Nika naprawdę chce się bawić z jej córką, podpowiada łamaną polszczyzną, co mała lubi robić.

– Będę miała tu pokój – chwali się Weronika. – Przyniosę zabawki i moje stare bajki i będziemy się bawić, chcesz?

Haru gaworzy po swojemu, zachwycona nową towarzyszką. Znów ciągnie za włosy, a później wsadza jej palec do oka, ale Nika nie traci cierpliwości.

– Poopowiadasz mi coś? – pyta. – Albo ja opowiem ci bajkę. O Kopciuszku.

Okāsan woła, żebym w końcu usiadła i zaczęła jeść, więc mijam dziewczynki i zajmuję wskazane miejsce. Dopiero wtedy zauważam, że na stole jest więcej nakryć.

– Sayaka, zawołaj naszych chłopców – prosi *okāsan* i kobieta rusza w kierunku schodów.

Zerkam na zegarek. Dochodzi szesnasta. Rzeczywiście,

najwyższa pora na obiad. Proponuję, że pomogę, ale *okāsan* nie pozwala.

– Jesteś słaba, musisz nabrać sił.

Stawia przede mną talerz z apetyczną zawartością. Makaron, marchewka, grzyby, cebulka, kawałki grillowanej kaczki, wodorosty, marynowany imbir... Tak, to zupa *ramen*. Nie jadłam jej od wieków.

– Wspaniale pachnie – zauważa Igor, siadając na krześle obok.

Ogarnia mnie radość. Cieszę się, że polubił japońską kuchnię. Pewnie nie zawsze wszystko będzie mu smakować, ale przynajmniej nie boi się próbować nowych potraw i nie będzie kazał mi dzień w dzień tłuc tych nieszczęsnych schabowych.

Gdy wszyscy siedzą już przy stole, *okāsan* nalewa bulion.

– Aż szkoda to niszczyć – zauważa Weronika, a ja mam podobne odczucia. Dania przygotowane przez *okāsan* zawsze są dziełem sztuki.

Sięgam po pałeczki i pakuję do ust jeden z kawałków kaczki. Mięso rozpływa się w ustach, rozgrzewając mnie od środka. *Okāsan* proponuje, żeby Weronika wzięła widelec lub łyżkę i dziewczynka, po nierównej walce z pałeczkami, w końcu ulega. Boję się, czy bulion nie będzie dla niej za ostry, ale Nika daje radę. Twarz *okāsan* rozpływa się w czułym uśmiechu. Nic dziwnego, każdy przecież lubi widzieć, że dania, które przygotował, wpasowują się w gusta konsumujących je osób.

Po posiłku Jasiek sprząta ze stołu, a ja ryzykuję pytanie, jak idzie skręcanie mebli. Wymieniają z Igorem porozumiewawcze spojrzenia, więc zaczynam się obawiać, że coś sknocili.

– O co dokładnie chodzi?

– Chyba zapomnieliśmy kupić jednej z części łóżka – kapituluje Igor. – No nie patrz tak na mnie... Wszystko jest popakowane w osobne paczki i leży na magazynie w różnych miejscach. To cud, że udało nam się wziąć odpowiednie półki do szafy – próbuje zbagatelizować problem.

Wzdycham ciężko. Nie pomyśleli, że można poprosić o pomoc

kogoś z obsługi? Przecież mogli dostać wydruk z komputera z wyszczególnieniem, gdzie mogą znaleźć konkretne elementy danego mebla.

– Pościel i materac chociaż macie? – pytam, ogarnięta złymi przeczuciami.

I znowu te ukradkowe spojrzenia. Czyli o tym też zapomnieli. Mam ochotę ich zwyzywać.

– Krysia weźmie szybką kąpiel i wraca do łóżka – zarządza *okāsan*, chcąc opanować sytuację. – Tylko woda nie za gorąca – ostrzega jeszcze.

Gdy siedzę już w wannie, przyznaję, że miała doskonały pomysł. Pod wpływem ciepła olejki eteryczne zawarte w drewnie zaczynają się rozgrzewać, a w pomieszczeniu unosi się orzeźwiający, cytrynowo-imbirowy zapach. Nic dziwnego, że dla Japończyków *o-furo*, czyli kąpiel, jest czymś absolutnie niezbędnym do życia. Pozwala odzyskać równowagę po ciężkim dniu.

Robię się senna, więc najwyższa pora wyjść. Na stołku koło drzwi zauważam bawełniany dres. Nie położyłam go tam, w ogóle nie pomyślałam, by wziąć coś na przebranie, ale uznaję, że to pewnie *okāsan* go przyniosła, zanim zdążyłam wyjść z kuchni. Bo przecież nie mogła tego zrobić, gdy byłam w wannie. Nie słyszałam, żeby drzwi się otwierały. Nie mogę być przecież aż tak rozkojarzona!

Kończę suszyć włosy i wtedy słyszę dzwonek do drzwi. Chyba nie ma nikogo w domu, bo po chwili rozlega się jeszcze raz. Dres wygląda trochę jak piżama, więc zarzucam na niego białą *jukatę*, prezent od *okāsan*, i idę otworzyć.

Nie, to niemożliwe. Przed drzwiami stoi chyba ostatnia osoba, której mogłabym się spodziewać.

– Co tutaj robisz? – pytam lodowaty tonem, czując, jak cała krew odpływa mi z twarzy.

– Bałem się, że coś ci się stało – odpowiada niepewnie Hubert.

– Jak widzisz, nic mi nie jest – rzucam wściekła. – Ciekawe, dlaczego wcześniej tak się o mnie nie troszczyłeś...? Nie pomyślałeś, że mogę nakryć cię z tą twoją glistą?

Hubert robi się cały czerwony na twarzy.

– Ona ma na imię Honorata – prostuje.

– Gówno mnie to obchodzi, bo dla mnie i tak zawsze będzie dziwką – tracę cierpliwość. – Dał mi pierścionek po babci – naśladowuję piskliwy głos Honoratki. – A może powinnam jej powiedzieć, jak to było z tym babcinym pierścionkiem, co? – kpię.

Hubert, dotknięty do żywego, zaciska dłoń w pięści.

– Trzymaj się z daleka od Honoraty!

– To ty się trzymaj ode mnie z daleka! Wcale cię tu nie zapraszałam. Po prostu wynoś się i nigdy tu nie wracaj.

Nie czekając na odpowiedź, trzaskam drzwiami i zostawiam go samego. Jestem tak zdenerwowana, że kręci mi się w głowie. Przytrzymuję się ściany, ale to nie mija. Czuję narastające przerażenie, bo przecież w domu oprócz mnie nikogo nie ma.

– Co ty tu, do diabła, robisz?! – rozpoznaje dobiegający z dworu rozgniewany głos Aurelii.

– Nie twoja sprawa – rzuca opryskliwie Hubert. – Nie wtrącaj się.

Słyszę, jak się kłóca. Hubert przyszedł kiedyś do mnie do biura i potraktował Aurelię jak osobistą służącą. Od tego czasu Aurelia po prostu go nienawidzi.

Hubert rezygnuje, dopiero gdy moja asystentka grozi, że zadzwoni po policję.

– Krysia, wszystko w porządku? – słyszę. – Już sobie poszedł.

– Pomóż mi, proszę – staram się zawołać, ale mój głos brzmi cicho. – Drzwi są otwarte.

Nie wiem, czy Aurelia usłyszała, czy zdała się na intuicję, ale już po chwili szczęśliwie jest tuż obok. Dźwiga mnie z podłogi, na którą przed chwilą się osunęłam.

– Trzymaj się. Zaraz zadzwonię po pogotowie – gorączkuje się, podtrzymując mnie.

Mówię, że to niepotrzebne, że muszę się tylko na chwilę położyć.

– Tam, w salonie, jest sofa – wyjaśniam. – Nie dojdę na górę do sypialni.

Dopiero gdy siadam, zauważam, że Aurelia wygląda bardzo elegancko. Czarna sukienka długości trochę poniżej kolan, do tego bordowe bolerko i szpilki w tym samym kolorze. Tylko włosy, mimo iż starannie podpięte do góry, wyglądają jak siano.

– Zepsułam ci randkę? – pytam, ogarnięta wyrzutami

sumienia.

– No coś ty? Uratowałaś przed urodzinami ciotki Bernadetty. Teraz mam doskonałe alibi. – Aurelia puszcza do mnie oko.

No tak, zapomniałam, że to już druga połowa maja... Zawsze o tej porze roku Aurelka przeżywa katusze, modląc się, by coś uratowało ją przed rodzinnym spędem u seniorki. Bo przecież wszystkie kuzynki Aurelci już dawno powychodziły za mąż, a tylko ona, pomimo swoich dwudziestu dziewięciu lat, uparcie bawi się w bycie singielką, narażając się na gniew ciotek i wszystkich pociotków.

Dla formalności mówię, że ktoś niedługo wróci do domu, więc nie będę sama. Jednak wiem, że Aurelki dzisiaj tak łatwo nie wygonię. Będzie się zapierać rękami i nogami.

– Moim obowiązkiem jest chronić cię, kierowniczo – błaznuje, a ja nie mogę powstrzymać cisnącego się na usta uśmiechu.

– Rozgość się – proszę. – Jeśli chcesz, możesz zrobić sobie kawę. W kuchni jest też ciasto.

Słyszę, jak Aurelka nastawia wodę, a później buszuje po szafkach w poszukiwaniu kubka i kawy. Jednak wraca z dwoma kubkami. Ten drugi stawia na ławie z mojej strony.

– Zrobiłam ci zieloną herbatę – wyjaśnia.

– Jesteś aniołem – stwierdzam z całą stanowczością, a ona rumieni się jak speszona nastolatka.

– No przestań... To przecież drobiazg.

Chyba jednak nie. Bo przecież Zoja ani razu się do mnie nie odezwała, nie mówiąc już o odwiedzinach w szpitalu. A może ma jakieś problemy, o których nie chce powiedzieć?

– Co się dzieje z Zoją? – pytam, bo może Aurelia wie coś, o czym ja nie wiem. Od kiedy jestem z Igorem, Zoja traktuje mnie jakoś inaczej, z większą rezerwą. Może Aurelia zna powód.

– Zojka dawno z nikim się nie spotykała. Może jest zazdrosna? – rzuca lekko, a ja uznaję, że kompletnie zwariowała. Chociaż kto wie? Przecież Igor podoba się kobietom. Na własne oczy

widziałam, jak Zoja na bankiecie próbowała z nim flirtować. Może ma mi za złe, że się z nim związałam? Może według niej zdradziłam naszą przyjaźń? Przy najbliższej okazji zapytam ją o to, bo ta sytuacja mnie męczy i wolałabym wiedzieć, na czym stoję.

Aurelia pyta, gdzie kupiłam firanę do kuchni, a ja obiecuję, że zapytam *okāsan*. Rozmawiamy jeszcze o moich planach względem ogrodu, gdy słyszę zamieszanie przy drzwiach. Proszę Aurelię, żeby nie wspominała nikomu o incydencie z Hubertem, ale ta ani myśli mnie słuchać. Jak strzała wylatuje na korytarz i relacjonuje wszystko ze szczegółami. Noż kurde...

– Nic mi nie jest! – próbuję ją przekrzyczeć.

Jasiek z Igorem wpadają w butach do salonu, chyba po to, żeby sprawdzić, czy faktycznie żyję.

– Niepotrzebnie szłam otworzyć – mówię.

Widzę, że Jasiek ma zamiar drażnić temat, więc piorunuję go wzrokiem. Na szczęście sytuację ratuje Weronika, która dopiero teraz wchodzi z dworu i leci prosto do mnie, by powiedzieć, że tata pozwoli jej ze mną pomieszkać, jeśli tylko ja się zgodzę.

– Przez pół dnia jestem w szkole, więc nie będę ci przeszkadzać. Tylko proszę, zgódź się. – Dziewczynka składa nabożnie ręce.

Nie mogę, ale też i nie chcę odmówić, więc Weronika zaczyna skakać po pokoju niczym mała wesoła małpka. Igor patrzy na nią, z politowaniem kręcąc głową, ale również nie może zachować powagi. Jasiek prosi Weronikę, by wzięła swoją pościel, a ona w podskokach idzie za nim na górę.

Igor stoi w przejściu między korytarzem a salonem, opierając się dłonią o futrynę na wysokości głowy. Zauważam, że Aurelia chce przemknąć pod jego ramieniem, ale wtedy mój facet spogląda na nią i łapie za włosy!

– Co ty... – wyrywa się Aurelii, ale Igor nie daje jej dokończyć.

– Płyn do trwałej? – pyta, marszcząc groźnie czoło.

Patrzę to na niego, to na moją asystentkę. Aurelka wygląda,

jakby chciała ze wstydu zapaść się pod ziemię. Nie wiem, jaki eksperyment robiła, ale ewidentnie nie wyszedł.

– Ktoś w necie polecał jako sposób na puszystą fryzurę – zaczyna, a na twarzy Igora odmalowuje się coraz większa zgroza. – Zapleść kilka warkoczy, nasączyć płynem do trwałej i gotowe. Tylko nie wyszło tak, jak chciałam. – Aurelia kontynuuje jakby nigdy nic.

– I co? Może jeszcze umyłaś głowę, żeby ułożyć włosy po swojemu? – niewinnie prowokuje Igor, a gdy Aurelia nie zaprzecza, widzę, że ma ochotę ją udusić.

Nie mogę wytrzymać i zaczynam się śmiać.

– Aurelciu, trzeba było przyjąć dwa lata temu zaproszenie na babski wieczór do Zoi. Wino winem, ale obejrzałyśmy też wtedy *Legalną blondynkę*. Dowiedziałabyś się, że mycie włosów pali świeżą trwałą.

Igor zerka na zegarek.

– Masz w domu oliwę z oliwek?

Aurelia potwierdza skinieniem głowy.

– Kup aloes i przygotuj pastę z miąższu i oliwy. Połóż to wszystko na włosy – instruuje ją, zamyślony. – Jutro z samego rana zrób to samo. Wpadnij w niedzielę do salonu około południa.

Aurelia spogląda na niego jak na kretyna. Zaczyna tłumaczyć, że owszem, jest do niego umówiona, ale dopiero za jakieś pół miesiąca, jednak Igor nie chce o tym słyszeć. Stwierdza, że i tak jest na nią wkurzony, więc radzi więcej nie przeginać.

Aurelia szybko się żegna, przepraszając równocześnie Igora za nieprzemyślany wybryk. Nie każe się odprowadzać, mówi, że sama trafi do drzwi.

– No i widzisz, co ja mam z babami? – Igor bardziej oznajmia, niż pyta, nawet nie próbując ukryć irytacji. – Naczytają się jakichś głupot w internecie, a później ryczą, że trzeba drastycznie ciąć.

Spoglądam na niego z ukosa. Znam Aurelię od dawna, wiem, że włosy są dla niej atrybutem kobiecości. Nie zniosłaby krótkich.

– A trzeba? – pytam z nadzieją, że zaprzeczy, ale Igor twardo twierdzi, że innego wyjścia nie widzi. Tu nawet keratyna nie pomoże. Zrobi, co będzie mógł, ale przecież nie jest cudotwórcą. – Bądź dla niej miły – proszę jeszcze, a on obiecuje ugryźć się w język.

– Jak się czujesz? – pyta, siadając koło mnie. – Niewiele zostało do roboty. Ogarniemy się w godzinę i zrobię kolację.

Proponuję, że ja zrobię, ale nawet nie chce o tym słyszeć.

– Ty to się będziesz oszczędzać – stwierdza nieznoszącym sprzeciwu tonem. Mówi, że jego matka wpadnie jutro, by dogadać się z *okāsan* co do gotowania obiadów dla mnie. Bo przecież wszyscy już dawno uznali, że mi przy garach stać nie wolno. Dowiaduję się przy okazji, że gdy byłam w szpitalu, panie poznały się i opracowały taktykę na kolejne dni. Muszą jedynie dograć szczegóły.

– Ale ja nie jestem niepełnosprawna – protestuję. Nie rozumiem tego zamachu na moją niezależność.

Igor wplata palce we włosy i nerwowo je przeczesuje.

– Nawet nie wiesz, co przeżyłem, gdy Zoja wykrzyczała przez telefon, że pogotowie zabrało cię nieprzytomną do szpitala. Nie wiesz, jak bardzo się bałem... Gdyby coś ci się stało... – zawiesza głos.

Opieram głowę na jego ramieniu, czując, jak przyjemne ciepło rozchodzi się po moim ciele. Wiem, że go kocham. Nie umiałabym już chyba bez niego żyć, więc solennie obiecuję, że będę ostrożna. Jeszcze dwa tygodnie posiedzę w domu, więc spokojnie dojdę do siebie.

Drzemie na sofie. Co jakiś czas do mojej świadomości przenikają jakieś dźwięki, ale dopiero tupot małych stóp na schodach całkowicie wyrywa mnie ze snu.

Weronika.

– Krysiu, mogę herbatę? – pyta, zakłopotana tym, że mnie obudziła.

Spoglądam na zegarek, próbując przy okazji rozmasować bolący kark. Dochodzi dziewiętnasta.

– Tak właściwie to już chyba pora na kolację – uznaję. – Chodź, zobaczymy, czy chłopaki kupili coś do jedzenia.

– A może by tak pizzę? – delikatnie sugeruje Weronika.

W moim poprzednim związku to danie było elementem spornym, więc podchodzę do sprawy sceptycznie.

– Nie wiem, jaką lubicie – asekurowuję się.

Weronika pyta, czy może skorzystać z internetu w moim smartfonie, i gdy się zgadzam, już po chwili podsuwa mi pod nos stronę jakiejś pizzerii.

– Najczęściej bierzemy tę z ananasem, ale tata nie jest wybredny – wyjaśnia. – Byleby tylko nie było brokułów, bo za nimi to akurat nie przepadamy.

Idziemy do kuchni. Nika nastawia wodę. W tym czasie zamawiam dwie duże hawajskie, bo przecież Jasiek pewnie też z nami zje. Już i tak mam wyrzuty sumienia, że moja przeprowadzka i remont tak bardzo zaabsorbowały go zarówno pod względem czasowym, jak i finansowym. Zastanawiam się, skąd on na to wszystko wziął pieniądze, bo przecież nie poprosił o oddanie nawet złamanego grosza.

Mam tylko zieloną herbatę, ale Weronika nie protestuje. Pozwalam wodzie trochę przestygnąć i dopiero wtedy napełniam dzbanek, do którego wrzuciłam wcześniej odpowiednią porcję liści. To oczywiście *bancha* – ulubiona herbata *okāsan*.

Wiem, że przy Weronice nie powinnam raczej buszować po internecie, ale chcę sprawdzić, czy w serwisie miejskim ogłasza

się jakaś firma zajmująca się aranżacją ogrodów. Mam zamiar na tę z Niczyjej, ale przecież zawsze można porównać oferty. Jakie jest moje zdziwienie, gdy natrafiam na artykuł o Jaśku.

Moim Jaśku.

„Yan Yamada, urodzony w Polsce Japończyk, laureatem konkursu na najlepsze sushi w Europie”.

Robi mi się gorąco. Czyli to stąd miał kasę. I nic nikomu nie powiedział. Przecież gdyby *okāsan* wiedziała, na pewno by się pochwaliła.

Mam ochotę iść na górę i porządnie na niego nakrzyczeć, ale widzę, że pod furtkę podjeżdża samochód z pizzą. Weronika zaczyna skakać jak szalona. Chyba jest bardziej głodna, niż była skłonna przyznać, a ja czuję wyrzuty sumienia, że nie pomyślałam wcześniej, by przygotować coś do jedzenia.

Pamiętam, że zostawiłam torebkę w przedpokoju, więc nie mam problemu w zlokalizowaniu portfela.

– Chłopaki, jedzenie przyjechało! – krzyczę jeszcze w stronę wejścia na piętro.

Płacę za zamówienie, ale to Igor przejmuje kartony.

– Chciałaś to sama dźwigać? – gani mnie. – Przecież lekarz wyraźnie mówił, że ci nie wolno.

– Hej, ale to nie jest przecież tona węgla – bagatelizuję całą sytuację. – Kubka z herbatą też mi nie wolno podnieść?

Igor otwiera usta, by to skomentować, ale zostaje zagłuszony. To Nika krzyczy z kuchni, że umiera z głodu.

– Kiepska ze mnie kandydatka na matkę – wzdycham pod nosem.

– Wcale nie – Igor próbuje mnie pocieszyć. – Sam straciłem poczucie czasu.

Jemy prosto z kartonów. Tak jest mniej elegancko, ale bardziej swojsko.

– Mm, pycha – mlaska Weronika, z buzią umazaną sosem czosnkowym. Wygląda tak słodko, że uśmiech sam pojawia się

na moich ustach.

Pizza rzeczywiście jest dobra, ale przypuszczam, że po tylu dniach na szpitalnej kuchni nawet chleb ze smalcem smakowałby jak najlepsze danie na świecie.

Ale à propos najlepszego dania...

– Jasiek, czytałam, że wygrałeś jakiś konkurs – napomykam.

Braciszek jest tak zaskoczony, że kęs więźnie mu w gardle. Spogląda na mnie rozbieganym wzrokiem.

– Miało się nie wydać – mówi.

– Serio coś wygrałeś? – podejmuje Igor. – Gratuluję.

Trochę zakłopotany zainteresowaniem Jasiek opowiada, że poleciał na konkurs do Brukseli. Tak po prostu, żeby się sprawdzić.

– Nikomu nic nie mówiłem. Wyleciałem rano, wróciłem wieczorem – relacjonuje. – Nie nastawiałem się na wygraną, tym bardziej że rozgotowałem ryż. Ale sędziowie uznali, że się nie znam, więc zająłem pierwsze miejsce. Dostałem za to kupe siana, które teraz inwestuję. Między innymi w ciebie, siostra.

Igor nie wie, o co mu chodzi, więc Jasiek wyjaśnia, że wpadł na pomysł, że mogłabym rzucić pracę w tej – jego zdaniem – beznadziejnej księgowości i zająć się tylko malowaniem. Ponoć odbiera maile od ludzi chętnych na zakup moich prac, nawet gdyby miały być jedynie wydrukami.

– Takie pójście w serie jest dobre – przekonuje. – Nie musiałabyś pozbywać się oryginałów. Kupimy odpowiedni papier, wydruk zlecimy drukarni.

– W domu byłabyś bezpieczna – entuzjastycznie podejmuje Igor. – Okropnie męczy mnie świadomość, że coś może ci się stać w biurze. Przecież to tam z niewiadomego powodu straciłaś przytomność.

Tak, na wypisie było napisane, że zostałam hospitalizowana z powodu wstrząśnienia mózgu i utraty świadomości spowodowanego urazem głowy. Nie czytałam wszystkiego, nie

chciało mi się. Zastanowiło mnie tylko, dlaczego w zaleceniach odnośnie do dalszego postępowania sugerowano konsultację u ginekologa. Co ma piernik do wiatraka? Może sekretarka medyczna coś pomyliła podczas przepisywania odręcznych zapisów? Uznałam, że to mało ważne. I tak pewnie czeka mnie jeszcze wizyta u neurologa, bo ktoś musi stwierdzić, że jestem zdolna do pracy. Bez tego nie dostanę pieniędzy z ubezpieczenia.

Godzinę później Weronika jest już przebrana w piżamę i gramoli się w swoim nowym łóżku. Sama wybrała sobie pościel z Elzą z Krainy Lodu i teraz otula się nią, zadowolona.

– Opowiesz mi jakąś bajkę? – prosi. Igor spogląda na nią z politowaniem, jakby chciał powiedzieć, że nie jest już przecież małą dziewczynką, ale ja rozumiem, że pewnie czuje się trochę obco poza własnym domem.

– Nie ma sprawy – mówię. Gaszę lampę, ale zostawiam uchylone drzwi na korytarz, by do pokoju wpadało trochę światła. Siadam na odsuniętym od biurka krześle i opowiadam legendę o króliku mieszkającym na księżycu. Weronika pyta, jak to samo brzmiałoby po japońsku, więc opowiadam raz jeszcze, coraz ciszej i ciszej, bo widzę, że dziewczynce ciężą już powieki. Nie kończę, bo już smacznie śpi. Poprawiam kołdrę i mam ochotę pocałować Nikę w czoło, ale waham się, bo nie wiem, czy to wypada.

Nie, nie mogę. Czuję jakąś gulę w gardle i muszę szybko wyjść na korytarz. Dopiero tam pozwalam łzom płynąć. Nie rozumiem swoich uczuć. Nie wiem, jak mogłam tak szybko przywiązać się do tego dziecka. Łkam bezgłośnie, próbując opanować oddech, ale to nie pomaga.

– Krysia? Co się dzieje? – pyta Igor, wychodząc z łazienki. – Coś cię boli? Źle się czujesz?

Chcę powiedzieć, że po prostu za dużo wrażeń, ale mój mężczyzna, nie czekając na odpowiedź, bierze mnie na ręce i zanosz do sypialni.

– Powinienem był od razu zapakować cię do łóżka – mówi

łagodnie. – Przełożyłem na jutro dwie klientki, plus jedną na niedzielę i Aurelię w gratisie, żeby mieć dzisiaj wolne popołudnie, ale mama dotrzyma ci towarzystwa – obiecuje. – Nie będzie się narzucać. Już straciła nadzieję, że się z kimś zwiąże, więc kiedy się pojawiłaś, obiecała sobie, że nie będzie się wtrącać, bylebyś tylko nie uciekła – próbuje żartować.

– Powinnam się przebrać – mówię, ale Igor nawet nie chce o tym słyszeć.

– Świat się nie zawali, jeśli będziesz spać w dresie – przekonuje. – Skoczę po szklankę wody, na wypadek, gdyby chciało ci się pić.

Jestem wzruszona, że tak bardzo się o mnie martwi. Przytulam się do Igora, a on przygarnia mnie w opiekuńczym geście. I znów chce mi się płakać, ale tym razem dobrze to ukrywam, bo inaczej Igor uzna, że straszny ze mnie mazgaj.

Wchodzę pod kołdrę i od razu zaczynam odczuwać, jak bardzo bołą mnie stopy. Całe pulsują. Układam się na boku, bo plecy też zaczynają mnie rwać. Dopiero teraz zauważam, jak bardzo niewygodne było szpitalne łóżko. Mój materac jest idealny. Do tego stopnia, że oczy same mi się zamykają. Nawet nie zauważam, kiedy zapadam w sen.

*

Igor nie żartował, Dora zjawia się już z samego rana. Wietrzy salon, bo później ma być upał, przygotowuje śniadanie, a gdy zwabiona zapachem naleśników schodzę na dół, każe Igorowi otworzyć okno w sypialni.

– Nie macie jakiegoś małego stołu? – pyta. – Można by zjeść na tarasie. Przecież zbliża się lato, przyjemnie będzie jeść na dworze.

O meblach na taras rzeczywiście jeszcze nie pomyślałam, ale Igor obiecuje, że się tym zajmie, tak by jutro można już było zjeść na zewnątrz. Jeśli miesiące wakacyjne będą tak piękne

i ciepłe, jak kończący się maj, będziemy tam spędzać dużo czasu. Tylko ten ogród trzeba doprowadzić do porządku.

– Pięknie tu u was, Krysiu – zauważa Dora.

Czeka mnie dużo pracy, żeby wszystko wyglądało tak, jakbym tego chciała, ale jednak miło słyszeć, że moje starania są doceniane. Zwłaszcza że od byłej już teściowej nigdy nie usłyszałam dobrego słowa.

– Miałam zacząć aranżować ogród, ale zdaje się, że mój brat ma już względem niego jakieś plany – napomykam. – Nawet nie wiem, czy wolno mi wyciąć te chaszczki, tam z tyłu – śmieję się, wskazując rosnące pod płotem z prawej strony przerośnięte tuje.

Dora spogląda na nie krytycznie.

– Nie, no tego chyba trzeba się pozbyć – stwierdza ostrożnie. – Musisz usiąść z tym swoim bratem i pogadać, kto tu jest gospodarzem.

Kiwam głową, przyznając jej rację. Jasiek chyba naprawdę uważa, że sama nic nie potrafię zrobić. Będę musiała wprowadzić go z błędu.

Igor znika zaraz po śniadaniu i pojawia się tuż przed obiadem. Targa z bagażnika jakieś pakunki.

– To badziew – ostrzega. – Ale będziemy mogli zjeść na tarasie.

Rzeczywiście, zamiast wracać prosto do domu, wstąpił do sklepu i kupił podłużny stół z kompletem składanych, drewnianych krzeseł.

– Ordynarne – komentuje Dora, z politowaniem kręcąc głową.

– To tylko tak tymczasowo – staję w obronie Igora. – Później poszukamy w internecie czegoś ładnego. Pewnie trzeba będzie poczekać na realizację zamówienia, a do tego czasu ten będzie idealny.

Nika asystuje Igorowi na tarasie. Chcę w tym czasie pomóc Dorze w kuchni, ale zostaję odesłana na kanapę. Zupełnie nie rozumiem dlaczego. Przecież dzisiaj tylko raz poczułam się

słabo, a oni robią z tego wielkie halo. Nie lubię być zbędna, a w tej chwili wygląda właśnie, że jestem.

Powłócząc nogami, wracam do sypialni i moszczę się wygodnie pod kołdrą, która wciąż pachnie Igorem. Nie chcą mnie, to nie – dasam się ostentacyjnie. Tutaj też jest wygodnie. Popołudniowe słońce nie jest zbyt ostre, rozprasza się, wpadając przez uchylone okno przesłonięte żakardową firanką. Na parapecie stoi porcelanowy słonik z uniesioną ku górze trąbą – prezent od Weroniki. Dała mi go rano, tuż po śniadaniu, i uznałyśmy, że tu będzie dla niego najodpowiedniejsze miejsce.

Słyszę kroki na korytarzu, więc odruchowo udaję, że śpię. Ktoś uchyla drzwi, a mnie kusi, by podejrzeć kto, ale postanawiam wytrwać. Rozpoznaję miękki chód Igora. Czuję, że siada koło mnie i sprawdza, czy nie mam gorączki. Wzruszenie dławi mnie w gardle, bo przecież ja strzelam typowego focha, a tymczasem on się martwi, czy wszystko ze mną w porządku. Podła ze mnie jęcza.

– Chciałam tylko rozprostować nogi i chyba mi się przysnęło – mówię, przeciągając się leniwie.

Na twarzy Igora odmalowuje się ulga, a ja mam przez to jeszcze większe wyrzuty sumienia.

– Nie burmiesz się, księżniczko – strofuje mnie, robiąc przy tym groźną minę.

Nie mogę wytrzymać i zaczynam się śmiać. Napięcie spływa ze mnie, ustępując miejsca błogiemu spokojowi. I po co ja się denerwowałam? Przecież Igor na każdym kroku udowadnia, że mnie kocha.

To pewnie jakieś zawirowania hormonalne, bo przez tę całą utratę przytomności i stres z nią związany spóźnia mi się okres. Już kiedyś przyszedł tydzień później, ale teraz trwa to dłużej. Chyba jednak będę musiała zgłosić się do ginekologa, chociaż żeby sprawdzić, czy nie mam torbieli. Ale to zadzwonię dopiero w poniedziałek – odsuwam od siebie niezbyt przyjazną myśl. Przez lata starania się o dziecko na samą myśl o ginekologu odczuwam głęboką niechęć. Mam nadzieję, że okres jednak sam

przyjdzie.

*

Obiad jest pyszny. Igor położył na moim krześle koc, żeby było miękko i wygodnie, więc szczebelki nie wpijają mi się w zadek. Dla mamy i Weroniki przyniósł złożone w kostkę ręczniki, więc i one za bardzo nie mają na co narzekać.

– Trzeba tu będzie coś z tym zrobić – zauważa ponownie Dora, wskazując zaniedbany ogród. – Krysiu, teraz, skoro przez jakiś czas nie będziesz chodzić do pracy, może zastanowisz się, co chciałabyś tu mieć – sugeruje delikatnie.

Igor piorunuje ją wzrokiem.

– Zajmiemy się tym kiedyś – mówi, a ja czuję ulgę, bo naprawdę przekopywanie ogrodu nie jest teraz dla mnie najważniejsze. Zresztą sama przecież tego nie zrobię. Nigdy nie miałam w rękach łopaty.

– Koleżanka miała polecić firmę zajmującą się aranżacją ogrodów – odpowiadam wymijająco. – I do tego jeszcze Jasiek coś zamówił, tylko nie wiem, gdzie planuje posadzić te drzewa i ile tak właściwie ich będzie.

Weronika dopytuje, co zamówił Jasiek, a gdy odpowiadam, że *sakurę*, z zadowoleniem klaszcze w dłonie. Przyznaje się, że oglądała w internecie zdjęcia i zrobiły na niej duże wrażenie. Mówi, że jak zakwitną, urządzimy pod nimi piknik. Rozczula mnie jej dziecięcy entuzjazm. Opowiadam, że kiedyś za domem Yamadów rosła śliwa i gdy kwitła, udawaliśmy z Jaśkiem, że świętujemy *ohanami*. To pewnie dlatego zamarzyły mu się teraz prawdziwe drzewa *sakury*.

Igor zapowiada, że posprząta po obiedzie, więc się nie wtrącam. Czekam, aż w tygielku zagotuje się woda, którą zalałam drobno zmieloną kawę, cukier i kardamon. Ukochany podchodzi sceptycznie do mojego sposobu przygotowania kawy, jego matka również, jednak niewiele mnie to obchodzi. Uznaję,

że po prostu się nie znają.

– To ma się tak pieniść? – dopytuje Igor, gdy woda z kawą zaczyna się podnosić.

– Uhm – mruczę w odpowiedzi, zdejmując tygielek z ognia. Piana musi opaść, wtedy będę mogła ponownie zagrzać napój i później powtórzyć czynność raz jeszcze. Absolutnie nie wolno mieszać.

– Dasz trochę? – pyta w końcu, a ja uśmiecham się z satysfakcją. Wiedziałam, że prędzej czy później się złamię.

Jesteśmy w domu sami. Dora zabrała Weronikę na spacer, więc mamy chwilę dla siebie. Rozlewam kawę do filiżanek i wracamy do ogrodu.

– Tu jest naprawdę paskudnie – stwierdzam, rozglądając się po tych chaszczach chwastów i przerośniętych tuj, a Igor tylko kiwa głową.

– Najpierw trzeba by to chyba wszystko przekopać – zgaduje. – I pozbyć się jakoś tych badyłaków. – Wskazuje tuje. – Tylko to silnych chłopów do tego potrzeba.

Ta kwestia również spędza mi sen z powiek, postanawiam jednak teraz się tym nie przejmować. Wolę korzystać z pięknego dnia.

– Po prostu wyobraź sobie, że tego wszystkiego tu nie ma – radzę, przymykając oczy. – Zamiast tui są kolorowe krzaczaste piwonie, za nimi, na płocie, jakieś zielone pnącze. Zamiast tych wszystkich chwastów na resztkach warzywniaka rośnie po prostu trawa. – Maluję mu obraz ogrodu, który od dawna mi się marzy.

– No, to rozumiem – przyznaje, przysuwając bliżej swoje krzesło. – Ale nie masz nic przeciwko, że wolę jednak patrzeć na ciebie? – pyta przekornie.

Czuję, że się rumienię.

– Zapomniałam o tych kwiatach – uświadamiam sobie, ogarnięta wstydem.

Igor nie nadaża za moimi myślami i dopytuje, o co chodzi.

– Obiecałam, że dostaniesz, jak skończę, a przecież już dawno skończyłam.

– No fakt. Całkowicie wyleciało mi to z głowy – przyznaje zażenowany.

Dopijam kawę i idę na górę, do pracowni. To jedyny obraz, do którego kupiłam ramę. Oprószoną srebrnym pyłem, by pasowała do salonu. Całość zgrała się idealnie.

– Możemy zawiesić – proponuję, bo zauważam, że Igor przyszedł tu za mną.

W zamyśleniu kiwa głową.

– Napiszę mamie, że wychodzimy.

Idziemy na piechotę. To niedaleko, nie ma sensu brać samochodu, a później szukać pod jakimś blokiem miejsca do parkowania. Spacer dobrze mi robi, szczególnie po tyłu dniach leżenia i, ostatnio, przechodzenia z kąta w kąt.

Igor niesie pod pachą obraz owinięty w szary papier. Ja mam w torebce schowany młotek i gwóźdź. Sprawdziliśmy w domu, czy łepiek przejdzie przez doczepioną do ramy zawieszkę. Jestem podekscytowana. Bądź co bądź, to mój wkład we „Fryzjernię”, podziękowanie za wszystko, co Igor dla mnie zrobił.

Gdy docieramy na miejsce, Igorowi się nie śpieszy. Mówi, że potrzebuje trochę czasu, by się zastanowić, gdzie powiesić obraz.

– Chodź, pora zmodyfikować trochę fryzurę – decyduje. – Od ostatniego strzyżenia minęło kilka tygodni.

Mam ochotę zauważyć, że nigdy wcześniej nie chodziłam tak często do fryzjera, ale gryzę się w język. W końcu Igor wie, co robi, a ja nie chcę się kłócić.

Jest niesamowicie ostrożny, gdy myje moje włosy. Masuje delikatnie skórę głowy, a ja zaczynam być zazdrosna o te wszystkie kobiety, które tu przychodzą. Przecież im w takim momencie również musi być błogo.

Siadam przed lustrem z głową owiniętą ręcznikiem. Unikam patrzenia w lustro, bo wiem, że minę mam nietęgą.

– Coś się tak naburmuszyła? – pyta Igor, biorąc się do osuszania.

Wykrzywiam twarz w czymś, co ma wyglądać jak uśmiech. Mówię, że wszystko gra, ale Igor od razu zauważa, że blefuję.

– Chyba nie uważasz, że dotykanie włosów innych kobiet sprawia mi jakąkolwiek przyjemność? – Igor bez trudu odgaduje, o czym myślę.

– Przepraszam – bąkam, czym wywołuję tylko wesołość na jego twarzy.

– Dentystę też byś podejrzewała o odczuwanie przyjemności? – żartuje, a ja zaczynam się śmiać, słysząc, jak nedorzecznie to brzmi. Rzeczywiście grubo przesadziłam. Przecież Igor nie daje mi żadnych powodów do zazdrości.

Rozczesuje dokładnie włosy, a później łapię go w lustrze, jak w skupieniu miętosi między palcami pojedyncze pasmo.

– Wszystko w porządku? – pytam, sprowadzając go z powrotem na ziemię.

Nie odpowiada od razu. Zamiast tego sięga po szczotkę.

Powtarzam pytanie mocno już zestresowana.

– Tak, jasne – zapewnia wyrwany z zamyślenia. – Mam wrażenie, że zmieniła się struktura twoich włosów.

Nawet nie udaję, że wiem, o czym mówi, ale szybko wyjaśnia, że to nic złego, że tak się czasami zdarza. Odnoszę wrażenie, że nie jest ze mną do końca szczery, ale szybko zmienia temat, proponując konkretne cieniowanie i pazurki. Mówi, że włosy same się będą tak układać, bo zauważył już, w którą stronę się wywijają.

– Chcesz jeszcze skrócić? – pytam, bo na to właśnie się zanosi. Trochę to dla mnie dziwne, bo wcześniej, gdy miałam jeszcze długie włosy, nie kwapił się do zmiany fryzury. Nie rozumiem, skąd ta zamiana.

– Ładnie ci w tej długości – zauważa. – Jeśli chcesz znowu zapuścić warkocze, to proszę bardzo, ale nie musisz już być Roszpunką. Nie chcę cię zamknąć w wysokiej wieży.

Zaskakują mnie jego słowa. Z trudem ukrywam wzruszenie.

Igor wywija nożyczkami, podcinając przy okazji grzywkę, a ja prychnam, bo obcięte kosmki łaskoczą mnie w nos. Podaje mi pędzel, żebym mogła się omieść. Dopiero gdy suszy włosy na szczotce, dochodzę do wniosku, że to jednak był dobry pomysł z tą fryzurą.

– Wygląda bosko – stwierdzam.

Igor mruży oczy.

– To ty jesteś boska.

Przymykam oczy. Nie pamiętam, kiedy kochaliśmy się po raz ostatni, ale w tej chwili czuję takie napięcie, że nie mogę myśleć o niczym innym. Pragnę go tu i teraz.

– Zamknąłeś drzwi na patent? – dopytuję, chociaż wiem, że to zrobił.

Odpowiedź jest zbędna. Igor zresztą nie kłopotczy się, by cokolwiek odpowiedzieć, po prostu łapie mnie za piersi i mocno ściska.

– Nie mogłem się powstrzymać.

Widzę w lustrze, jak znów mruży oczy, i działa to na mnie jak afrodyzjak. Zarzucam mu ręce na szyję i przyciągam bliżej, by poczuć, jak pachnie. Rozgrzane pożądaniem ciało łaknie bliskości.

– Nie wiem, czy nam wolno – zaczyna, ale nie pozwalam mu dokończyć. Przytykam palec do ust, by w końcu zamilknął. Pragnę go, on mnie również, po co więc udawać, że jest inaczej?

Uśmiecham się kokieteryjnie, rozpinając suwak zwiewnej sukienki, i pozwalam opaść jej na podłogę. Za ścianą szczeka pies, ktoś zbiega klatką schodową, ale hałas w niczym nam nie przeszkadza. To wszystko jest gdzieś poza nami. Igor przypiera mnie do blatu, na który odłożył wcześniej suszarkę. Boję się, że

przez przypadek ją włączyć, ale schyla się i pstryka listwę, zahaczając przy tym, niby przypadkiem, o moje majtki.

Ale gdy już raz dotknął, nie może przestać. Wsuwa dłoń pod materiał, ściskając pośladek. Drzę, wciągając gwałtownie powietrze, gdy zanurza we mnie palec i następnie smakuje, hipnotyzując mnie wzrokiem. Jest w tym coś tak magicznie intymnego, że czuję wzbierającą na dole lepką wilgoć.

Nie wiem, kiedy Igor zdażył zdjąć spodnie i bieliznę, zauważam to dopiero w momencie, gdy zsuwa moje majtki i rozchyliwszy uda, wchodzi, napierając mocniej i mocniej. Obejmuję go, falując w szaleńczym rytmie.

Opieram głowę na ramieniu Igora. Zalewa mnie słodki zapach jego skóry, słyszę pulsowanie krwi w żyłach i wiem, że dłużej nie wytrzymam. Odrzucam głowę do tyłu, wyginając się w łuk. Zaciskam mocno usta, starając się nie krzyczeć, ale gdy Igor skręca między palcami mój sutek, z mojego gardła wydobywa się przeciągły jęk.

– Litości – wyrzucam z siebie, drżąc spazmatycznie.

– Zapomnij, maleńka. – Kontynuuje słodkie tortury.

Chcę uciec, ale nie mogę, bo trzyma mnie mocno. Prawdziwy facet. Wie, czego chce, i nie odpuści, ciągnąc mnie ze sobą na krawędź rozkosznego szaleństwa. Przygryzam wargi, bo boję się, że ten orgazm nie przejdzie po cichu. Tłumię jęk. Igor też dochodzi. Wplata palce w moje włosy i przyciąga do siebie, mrużąc niezrozumiałe słowa. Drży, przytulając mnie mocno, tak że wydaje mi się, że tworzymy ogarniętą spazmami całość, zacierają się między nami granice.

– Dziękuję – mówi w końcu, uspokoiwszy nieco oddech.

Pomaga mi pozbierać z podłogi ubranie, otrzepując je z włosów.

– Cholera, mogłem tu najpierw pozamiatać. – Igor się śmieje, widząc, że to syzyfowa praca.

– Jakoś dotrę do domu, a potem szybko się przebiorę – ustalam plan na następne kilka minut, bo kłaki przyczepiły się

gdzieś po wewnętrznej stronie materiału i teraz wszystko mnie swędzi. – Muszę wziąć prysznic.

Miałam nadzieję, że będzie mi towarzyszył, ale okazuje się, że Dora i Weronika już wróciły. Igor musi wejść w rolę przykładowego ojca i odesłać matkę na Młyńską.

– Nie martw się, mam, zaraz zrobimy kolację. – Po raz drugi odpowiada na to samo pytanie, podczas gdy Dora spogląda na mnie z niepokojem.

– Jesteś pewien, że Krysia dobrze się czuje? Rozumiem, że lubisz się bawić w tym swoim zakładzie, ale dobrze wysuszyłeś jej włosy? Nie przewiało jej? Jest jakaś zaróżowiona. Co wy tam tak długo robiliście?

Odwracam głowę, bo zaraz cała spałę się ze wstydu. Jak ona to zauważyła? Może coś podejrzewa? Na szczęście jutro nie przychodzi, więc nie będę czuła się jak na świeczniku. To miłe, że się o mnie martwi, ale, prawdę mówiąc, wolę odpoczywać, gdy nikt nie patrzy mi na ręce.

– Krysia czuje się świetnie – zapewnia Igor. – To chyba dobrze, że kolory jej wróciły?

Jednak nie udało mu się do końca przekonać matki, bo ta po chwili pyta:

– Na pewno poradzicie sobie jutro beze mnie? Mogę odwołać spotkanie z koleżankami.

– Mam, no przestań! Przecież tobie też należy się chwila wytchnienia. – Igor z trudem ukrywa prawdziwy powód irytacji.

Żegnając się z Dorą, a potem od razu wchodzę do kuchni, by wyciągnąć pieczywo na kanapki. Z wrażenia całkowicie zapominam, że miałam się przebrać, ale to przecież może poczekać. Wyciągam z lodówki jaja i nastawiam wodę w garnku.

Mam ochotę na kiszzone ogórki, ale to niespełnione marzenie, bo przecież od lat nie robiłam żadnych przetworów. Zastanawiam się, czy będą w pobliskim sklepie, ale nie mogę tak po prostu iść i sprawdzić, bo słyszę, że Dora kotłuje się jeszcze w korytarzu. Nie chcę, żeby mnie przyłapała na

samotnej wycieczce. Jasiek nieopatrznie powiedział jej, że pielęgniarka oddziałowa podkreślała, że wymagam jeszcze opieki, i Dora wzięła to sobie głęboko do serca.

Drzwi się zamykają. Słyszę, jak Igor przekręca klucz.

– Bezpieczni – śmieje się, wchodząc do kuchni. Sięga po pieczywo, by mi pomóc, ale ja nie mogę już skupić się na niczym.

– Ogórka – wyrzucam z siebie w końcu, pewna, że zaraz pomyśli, że zwariowałam.

Spogląda na mnie zdziwiony.

– Gruntowego?

– Kiszzonego – mówię, starając się na niego nie patrzeć.

– Mam chyba jeszcze w piwnicy kilka słoików – mówi po chwili zamyślenia. – Jutro i tak chciałem skoczyć po kilka rzeczy, więc przy okazji zabiorę i ogórki.

Ale ja nie mogę czekać. Szczególnie teraz, gdy wiem, że są niemal na wyciągnięcie ręki.

– Dzisiaj? – sugeruję, wymownie przelękając ślinę.

Nie mam pojęcia, co ukochany o mnie w tej chwili myśli, i szczerze mówiąc, mało mnie to interesuje, bo mój żołądek nie chce słuchać głosu rozsądku i poczekać. Na szczęście Igor nie próbuje się klócić, po prostu sprawdza, gdzie ma kluczyki, i mówi, że za pół godziny powinien być z powrotem. Dochodzę do wniosku, że taki facet to prawdziwy skarb, i postanawiam nagrodzić go solidną porcją kanapek.

Po pięciu minutach jajka są już gotowe, a ja smaruję masłem kolejne kromki. Jestem tak skupiona, że nawet nie zauważam, kiedy Weronika zaczyna zaglądać mi przez ramię.

– Kanapki? – Prosty pytaniem sprowadza mnie na ziemię.

– Nie lubisz? – Robi mi się przykro, bo może wolałaby, żeby kolację przygotowała Dora. Gdy u nich mieszkowałam, Dora nigdy nie pozwalała mi niczego ugotować bądź przygotować. Kiedy wracałam z pracy, zazwyczaj sporo po siedemnastej,

wszystko już na mnie czekało na stole bądź w lodówce, gotowe do zjedzenia lub odgrzania. Zero szans na jakąkolwiek spontaniczność i wykazanie się inicjatywą.

– Uwielbiam kanapki – Weronika stwierdza z egzaltacją. – Babcia uważa, że to jedzenie dla prostaków, ale gdy tylko gdzieś wyjeżdża, przerzucamy się z tatą na kanapki. To takie nasze święto. Babcia pochodzi z rodziny szlacheckiej, wiesz? Jeszcze jej mama była hrabianką, czy jakoś tak. Mieli służbę i organizowali bale, ale babcia już tego nie pamięta. Tylko czasami opowiada, co mówiła jej mama.

Dziewczynka zawiesza głos. Widzę po jej minie, że jest jej przykro, bo pewnie myśli o swojej mamie. Tym razem nie mogę się oprzeć pokusie przytulenia jej.

– Wiem, że to nie to samo, ale masz mnie – staram się ją pocieszyć. – Ja... Naprawdę jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym – miotam się, próbując zdefiniować własne uczucia.

Weronika nic nie odpowiada. Widzę, że bije się z myślami, ale nie wiem, jak jej pomóc.

W końcu zaczyna opowiadać o Agacie, koleżance z klasy. Jej mama zachorowała i umarła, gdy dziewczynka miała pięć lat, a tata niedawno ponownie się ożenił.

– No i ta pani, to znaczy żona taty Agaty, kazała jej do siebie mówić ciociu – relacjonuje zakłopotana. – Ale ta pani Karina niedługo urodzi dziecko i Agata się teraz boi, że tata nie będzie jej już kochał, bo nawet teraz oboje gadają tylko o małym Kaziku, że Agata będzie musiała być już dużą dziewczynką, że nie będzie mogła się głośno bawić i że będzie musiała się nim opiekować. – Weronika gorączkuje się, a ja zaczynam powoli rozumieć jej obawy. – Krysiu, czy ty byś wolała, żeby mnie nie było? – wypala w końcu, nie owijając w bawełnę.

Odbiera mi mowę. Spoglądam na nią, ale minę ma poważną. Zbyt poważną, moim zdaniem, jak na dziesięciolatkę.

– Nie chcę ci zabrać taty – zapewniam, czując łzy zbierające się pod powiekami. – Pokochałam was oboje. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, że mogłoby cię nie być.

– A jeśli naniosę błota do domu? – Weronika wciąż ma wątpliwości.

– Przecież mam i wiadro, i mopa, głuptasie.

– A jeśli poplamie sukienkę? – pyta, tym razem już z uśmiechem czającym się w kącikach ust.

– Myślę, że pralka da radę, a jeśli nie, to poprosimy twoją babcię o pomoc – podejmuję grę.

– I nie będziesz się na mnie gniewać?

Zapewniam, że by mnie rozgniewać, trzeba czegoś o wiele poważniejszego niż plama na ubraniu czy podłodze. Sama przecież byłam kiedyś dzieckiem. Moja mama pewnie nigdy nie dowiedziała się o połowie rzeczy, które wyprawiałam razem z Jaśkiem.

– Umówmy się, że zawsze damy sobie szansę na wyjaśnienia – proponuję. – Teraz tata pewnie będzie chciał wiedzieć, dlaczego jeszcze nie ma kolacji – żartuję.

– No właśnie – zauważa Igor, przechylając się ponad moim ramieniem. Wymownie stawia na stole słoik z ogórkami. – Neandertalczyk wyprawia się w dzicz po sałatkę, mając nadzieję, że w międzyczasie kobiety oporządzą mamuta, a tu mięso nadal surowe.

Weronika rzy, a i mi ciężko zachować powagę. Nie wiem, kiedy wrócił Igor i jak dużo słyszał, ale nie daje po sobie nic poznać. Od razu włącza czajnik, by sparzyć pomidory. Wsadzam jednego ogórka do buzi, a drugiego zaczynam kroić. Weronika też chce pomóc, więc już wkrótce zasiadamy do kolacji. Zamiast herbaty nalewam każdemu po szklance soku z pomarańczy. Nadal jest bardzo ciepło, więc orzeźwiający napój dobrze nam zrobi.

Szybko sprzątam ze stołu i idę w końcu wziąć ten prysznic. W tym czasie Igor chce zamienić słówko z Weroniką. Nie wiem o czym i nie mam zamiaru podsłuchiwać, ale zastanawia mnie, czy później puści farbę.

Wciąż ociekając wodą, przeglądam się w lustrze. Cycki rzeczywiście mam jędrne, ale to przez spóźniający się okres.

Okłapną, jak zwykle, na dzień przed. Fajne są takie, jak teraz, zresztą Igorowi też się podobają. W ogóle mam chyba niezłą figurę. Odkąd Jasiek zaczął mnie dokarmiać, żebra przestały prześwitywać przez skórę. Ale nadal mam smukłą talię. Tylko brzucha nie mogę wciągnąć, ale co w tym dziwnego? Przecież przed chwilą obżarłam się jak świnia. Trochę czasu minie, zanim to wszystko strawię.

Gdy wracam do sypialni, Igora jeszcze nie ma. Słyszę, jak w pokoju obok czyta Weronice książkę na dobranoc. Nie rozpoznaję bohaterów, to pewnie jakaś nowość. Kiedy ja byłam mała, mama czytała mi książki Astrid Lindgren, tu jednak słyszę coś o jakimś Miłku. Uświadamiam sobie, że mam sporo do nadrobienia, ale przecież chyba nie mogłam się spodziewać, że nauczę się wszystkiego w jeden dzień. Poza tym nie tylko ja się boję. Córka Igora obdarzyła mnie kredytem zaufania i nie wolno mi jej zawieść.

*

Budzi mnie zapach kawy i dziecięcy chichot. Weronika. Otwieram oczy i nie jestem zdziwiona, że widzę właśnie ją. Chociaż może właściwie jestem?

– Która godzina? – pytam, przecierając oczy.

– Za dwie dziewiąta – szczebiocze, odkładając mój ulubiony kubek na stolik obok łóżka. – Tata ugotował tę twoją kawę. Piana zalała pół kuchenki, ale próbował ratować sytuację i uzbierało się tego tak ponad pół kubka. Resztę dolał z czajnika – relacjonuje.

Próbuję pozbierać myśli. Rzeczywiście, Igor miał wyjść przed dziewiątą. To ja zasnęłam. Dlaczego mnie nie obudził?

– Nika, ale nie niosłaś tu na górę kubka z wrzątkiem, prawda?
– Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby dziewczynka przez przypadek potknęła się i wylała wszystko na siebie.

– No nie, już trochę wystygła – uspokaja mnie. – Ale nie

wiedziałam, kiedy wstaniesz, a do tego czasu byłaby już całkiem zimna. O mnie się nie martw, ja śniadanie już jadłam. Tata zostawił ci trzy kanapki.

No tak, Igor myśli o wszystkim. To tylko ja zapominam o całym świecie. Uświadamiam sobie, że kiepski ze mnie materiał na matkę. Już po raz kolejny.

W ramach planowanej rehabilitacji energicznie wstaję z łóżka. Muszę nadrobić stracony czas i udowodnić, chyba bardziej sobie, że mam wszystko pod kontrolą.

– Będę u siebie – zapowiada Weronika. – Babcia kupiła wczoraj puzzle. Zaczęłam układać, ale nie mam jeszcze nawet połowy.

Zapewne minę mam głupkowata, gdy tak kiwam głową, ale układałam już plan. Najpierw łazienka, następnie muszę się ubrać, potem zjeść kanapki, a później zająć się Weroniką. W międzyczasie oczywiście robię przerwy na kawę, więc gdy schodzę do kuchni, niosę pusty kubek.

Jedzenie jakoś ciężko mi idzie. Może niepotrzebnie wypiłam tę kawę? Nalewam do szklanki resztę soku pomarańczowego i jest trochę lepiej. Zastanawiam się, czy mam jeszcze jeden karton, ale nie mogę znaleźć. Zresztą to nie ja robiłam ostatnio zakupy, tylko Jasiek. Nie pomyślał o soku.

Spoglądam na przyczepiony do okna termometr. Jeśli o tej porze jest w cieniu już dwadzieścia pięć stopni, to ile będzie po południu?

– Nika, idziesz ze mną do sklepu? – pytam, zaglądając do pokoju. Drzwi były otwarte, więc nie pukałam. Dziewczynka siedzi na podłodze, układając chyba z tysiąc puzzli. – Chodź, pójdziemy teraz, bo później nie będzie jak – zachęcam. – Nie ma żadnego soku, a przydałyby się jeszcze jakieś lody.

Na lody Weronika reaguje bardzo entuzjastycznie, więc nie muszę jej dłużej namawiać. To super, bo mimo wszystko bałabym się zostawić ją samą w domu. Nawet na chwilę.

Osiedlowy sklepik „U Franka” nigdy nie zawodzi. W niedzielę jest otwarty jedynie do południa, ale przecież jeszcze nie ma

nawet jedenastej, więc możemy bez problemu zrobić zakupy.

– A dawnom tu szanownej pani nie widział! – woła Pan Franciszek. Staruszek otwiera sklepik na kilka godzin, by zejść żonie z oczu, gdy ta w niedzielę gotuje obiad.

– Tak się jakoś złożyło, panie Franciszku – odpowiadam, podchodząc do lady, by nie musiał krzyczeć przez pół sklepu. – Życie sobie musiałam poukładać.

– Ano ja widział któregoś dnia tego pani chłopca, jak się tu z tą babą z brzuchem prowadzał. Truskawki chcieli kupić. Tom im powiedział, że już ni mo, chociaż z tyłu sklepu pół skrzynki jeszcze zalegało. Ale ja coś pani powiem, szanowna pani: jak chłop swoją kobitę zdradzi, to nic dobrego z niego już ni będzie. Jak pies za suką poszedł raz, to już będzie łazić, a jeszcze jakiś syf do domu może przywlec. Dobrze, żeś go pani pogoniła.

Nie wierzę własnym uszom. A gdzie się podziała ta słynna męska solidarność? Poza tym skąd on to wszystko wie? No tak! Pan Franciszek mieszka przecież w bloku naprzeciwko mojego poprzedniego mieszkania. Może widział, jak wywaliłam ich oboje z domu?

– Dziękuję – bąkam niepewnie, zadowolona, że pochłonięta oglądaniem lodów Weronika nie zwraca na nas najmniejszej uwagi.

Biorę trzy kartony soku, kilka jabłek, banany, paczkę ciastek do kawy i oczywiście lody. Weronika upiera się, by mi pomóc, więc dzielimy się zakupami. Pozwalam jej nieść jedynie owoce, ale i tak jest mi dużo lżej. Przesadziłam z tymi sokami, mogłam wziąć jeden. Albo chociaż mogłam skorzystać z nieużywanego od dawna rozsądka i wziąć samochód. Przecież marnuje się w garażu.

Przyspieszam kroku, gdy widzę przy furtce znajomą sylwetkę. Zoja.

– Cześć. Co ty tutaj robisz? – Nie potrafię ukryć zaskoczenia.

Zojka spogląda zakłopotana to na mnie, to na Weronikę.

– Pomyślałam, że wpadnę i zobaczę, jak się czujesz.

Najwyraźniej kwitniesz, więc niepotrzebnie się zamartwiam.

– Wstałam godzinę temu – wyjaśniam zakłopotana. – A z tym samopoczuciem to różnie bywa, raz lepiej, raz gorzej. Wejdz, napijemy się kawy, pogadamy – zapraszam. – To jest Weronika, córka Igora.

Dziewczynka dyga, przedstawiając się grzecznie. Widzę, że ma ochotę zniknąć u siebie w pokoju, więc nie protestuję. Uprzedzam tylko, że zaraz przyniosę sok.

– Rozgość się – proszę Zoje.

W kuchni wyciągam trzy wysokie szklanki i opróżniam karton. Najpierw dziecko – strofuję się, by zachować odpowiednią kolejność.

– Dziękuję – bąka Weronika, gdy stawiam szklanke na biurku.

Znów jest pochłonięta puzzlami. Patrząc na obrazek, który układa, i ogarnia mnie przerażenie, bo to przecież gwiazdozbiory i galaktyka. Naprawdę dziwię się, jak ona może tu cokolwiek dopasować, ale sądząc po ułożonym już kawałku, idzie jej całkiem nieźle.

Zamyślona wracam na dół. Próbuję sobie przypomnieć, co mnie interesowało, gdy byłam w jej wieku.

Kaligrafia.

To chyba mniej więcej w tym czasie zaczęłam eksperymentować z tuszem i pędzlem. Uśmiecham się do swoich myśli. Może później, jeśli oczywiście Weronika będzie chciała, pójdziemy do pracowni i będzie mogła sobie bazgrolić. To świetnie wyrabia rękę.

Sądziłam, że Zoja usadowiła się na kanapie w salonie, ale czeka w kuchni. Siedzi przy stole, popijając sok. Dopiero teraz spostrzegam, że ma na sobie super kieckę z dość sporym dekoltem. W różu zawsze było jej do twarzy, ale ten głęboki odcień jest jakiś wyjątkowy, podkreśla ciemną karnację i stanowi doskonałe tło dla jej lśniących, czarnych włosów. Wygląda wspaniale.

Zauważam, że przyjaciółka również mi się przygląda.

Zakłopotana poprawiam włosy, które łaskoczą w policzek.

– No, no, co za fryzura... Niech zgadnę... Dzieło Igora?

Potwierdzam, czując wzbierającą irytację. Nie podoba mi się ton tej wypowiedzi. Może miało być miło, ale nie wyszło, bo wyczuwam ironię. Nie potrafię zrozumieć, skąd ta zmiana nastawienia. Nasza rozmowa jest wymuszona, w ogóle się nie klei.

Siadam naprzeciwko kobiety, którą uważałam za przyjaciółkę. Chcę zyskać na czasie, więc sięgam po swoją szklanę, z wolna sącząc sok.

– Co tam słyhać w pracy? – pytam w końcu jak ostatnia kretyńska.

Zoja, jakby nigdy nic, wzrusza ramionami.

– Zwykły zapierdziel, nic ciekawego. Wszyscy nadal żyją twoim wypadkiem – zapala się. – Ale co się dziwić? Niecodziennie ktoś traci przytomność, rąbnawszy łbem w porcelanę.

Wiem, że Zoja próbuje żartować, więc podejmuję grę i udaję, że mnie rozbawiła. Nadal nic nie pamiętam, ale mam wrażenie, że przyjaciółka była tam ze mną albo chociaż gdzieś blisko. Może się pokłóciłyśmy? Może przyszła teraz wybadać, ile z tego wszystkiego pamiętam? Na wszelki wypadek postanawiam zachować ostrożność.

– Aurelia często tu u ciebie bywa? – pyta nagle, całkowicie zbijając mnie z tropu.

– Aurelka? Wpadła na chwilę w piątek. Szła do ciotki Bernadetty, gdy zobaczyła, że Hubert postanowił mnie odwiedzić. Pomogła mi wywalić go na zbity pysk – relacjonuję, nie bardzo wiedząc po co. Przecież nie muszę się przed nią tłumaczyć. Jestem dużą dziewczynką. Robię, co chcę, i nikomu nic do tego.

– I tak przypadkowo wpadła na awanturę między wami? – ciągnie z niedowierzaniem Zoja.

Nie rozumiem, po co draży ten temat. Co sugeruje? Przecież ciotka Aurelii rzeczywiście mieszka przy tej samej ulicy, tylko

kilka domów dalej. Wiem, bo rok temu sama podrzuciłam Aurelkę na tę imprezę. Wiedziałam, że miała akurat samochód u mechanika, więc zaproponowałam pomoc.

– Nie ufaj jej, to cicha woda – ciągnie z uporem Zoja, pochylając się poufale w moją stronę. – Od bankietu ma oko na Igora i szuka pretekstu, by się z nim umówić. Wiem, co mówię.

Nie, nie mogę w to uwierzyć. Aurelia nie byłaby zdolna do czegoś takiego. Nie uwodziłaby przecież Igora tuż pod moim nosem! Nie poświęciłaby swoich włosów! A może...?

– Oj, widzę, że się zdenerwowałaś. – Zojka czyta w mojej twarzy jak w otwartej księdze. – Oni są teraz razem, tak? To dlatego Igora nie ma? Zostawił cię w domu z dzieckiem i umówił z nią w swoim studiu?

Słowa Zoi ranią jak sztylety. Nie przyszło mi do głowy, że Aurelia mogłaby zwabić Igora do „Fryzjerni” pod pretekstem ratowania spalonych włosów. Przecież nikt tam ich teraz nie kontroluje!

Nie, to jakiś absurd! Nie wierzę Zoi. Gdyby facet mnie nie kochał, to przecież nie leciałby przez pół miasta po słoik kiszonych ogórków!

– Ufam Igorowi – odpowiadam, siląc się na piękny, beztroski uśmiech. – Widziałaś go zaledwie raz, w ogóle go nie znasz, więc jak możesz sugerować, że zdradza mnie z Aurelią?

Zoja obrzuca mnie zde gustowanym spojrzeniem.

– Nie strosz się tak, ja tylko się o ciebie martwię. Dopiero co pozbyłaś się jednego balastu, a już wpakowałaś się po uszy w nowy związek. Jesteś jeszcze młoda, a zamiast cieszyć się życiem i trochę poszaleć, bawisz się w gosposię i opiekunkę do dziecka.

Wciągam głęboko powietrze, a Zoja odruchowo spogląda na zegarek. Dobrze wie, że przeholowała.

– Pójdę już – mówi, podnosząc się z krzesła. – Szef pyta, kiedy wrócisz. Wpadnij do biura, jeśli znajdziesz trochę czasu. Przynajmniej udawaj, że zależny ci jeszcze na czymkolwiek poza

Igorem.

Nie odprowadzam jej do wyjścia. Jestem zbyt zdenerwowana. Nie mogę uwierzyć, że to ta sama Zoja, z którą biegałam na zakupy, która wspierała mnie podczas oczekiwania na sprawy rozwodowe... To jakby dwie inne osoby. Może wcale jej nie znam? Jest mi potwornie przykro, że tak się na niej zawiodłam.

Rozżalona, sięgam do lodówki po słoik ogórków. Dwa ostatnie.

Nie sprawdzam, która godzina. Aurelia miała wpaść do Igora około południa, ale nie chcę wiedzieć, ile czasu mogą spędzić tam zupełnie sami. Ile zajęło Igorowi ostrzyżenie mnie? Nie pamiętam, wszak nie zajmowaliśmy się jedynie korektą fryzury.

Nie, muszę przestać o tym myśleć! Przecież nie mam podstaw, by posądzać Igora o niewierność. To niedorzeczne. Zoja kompletnie odleciała.

Zamiast myśleć o niej, powinnam raczej skupić się na obiedzie. Może spaghetti? Albo kluski śląskie z jakimś sosem? Nie, nie mam do tego głowy.

Na szczęście Igor wybawia mnie z opresji.

„Nic nie gotuj” – odczytuję wiadomość, którą mi przysłał. – „Postaram się uwinąć szybciej i sam zajmę się obiadem. Skoczę jeszcze po ogórki, bo już chyba wszystkie zjadłaś”.

Odkładam smartfon na stół i ukrywam twarz w dłoniach. Nie mam odwagi zaryzykować pytania, czy już obciął Aurelię, czy dopiero na nią czeka. Nie mam ochoty nic jeść. Te nieszczęsne ogórki kończę chyba tylko po to, by ukoić żal.

– Krysiu? – Z zamyślenia wyrывa mnie głos Weroniki.

Unoszę głowę, przestraszona, że być może córka Igora słyszała całą rozmowę z Zoją, ta jednak wyprowadza mnie z błędu, mówiąc, że tata przed chwilą do niej dzwonił, bo nie odpowiedziałam na SMS-a. Chce się upewnić, że wszystko ze mną w porządku.

– Przepraszam, musiałam coś przegryźć – wyjaśniam, czując jednocześnie wyrzuty sumienia, że nie pomyślałam, by odpisać. Czego ja się obawiam? Przecież Igor myśli o mnie, nawet gdy

jest poza domem. Stąd ten pomysł z przygotowaniem obiadu.
O co ja go podejrzewam?

– Wyślę eskę do taty, że żyjesz i że alarm odwołany – śmieje się Weronika.

Proponuję, że pomogę z puzzlami, a ona nie kryje radości.

– Tata mówi, że dostaje od tego oczopłasu – trajkocze. – A tu trzeba wypracować sobie jakąś zasadę. Możesz na przykład najpierw ułożyć ramkę.

Tak, to doskonały pomysł. Rzucam okiem na te wszystkie leżące na podłodze, identycznie dla mnie granatowe puzzle z jaśniejszymi punkcikami mającymi odzwierciedlać gwiazdy i ogarnia mnie coraz większe przerażenie. Tak, ramka to podstawa. Tam przynajmniej jedna z krawędzi jest płaska. Trzeba znaleźć cztery rogi i zacząć jakoś to składać, metodą prób i błędów.

Nie od razu orientuję się, że Igor wrócił. Zdradza go docierający na górę zapach. Dobrze przyprawione mięso, pomidory, jakiś żółty ser. Nie, nie mogę pozostać obojętna, mój żołądek sam podnosi się z podłogi i ciągnie w stronę kuchni resztę ciała.

– Cześć, kochanie – Igor wita mnie, stawiając już na stole gorące naczynie z zapiekanką. – Jesteś w samą porę.

Sięgam do szafki po talerze. Mam ochotę zapytać, jak było w pracy, ale tylko zagryzam wargi. Nie, nie odważę się. Za nic w świecie. Zamiast tego mówię, że też za nim tęskniłam oraz że Zoja była. Muszę powiedzieć, przecież Nika może coś wspomnieć, więc wolę to już mieć za sobą.

– To ta twoja przyjaciółka, tak? – Igor się upewnia, wyciągając z szuflady sztucce.

Uśmiecham się kwaśno.

– Chyba bardziej koleżanka z pracy – precyzuję. – Chciała sprawdzić, co tam u mnie słychać.

Igor przypatruje mi się bardzo uważnie, jakby wyczuwał, że coś w tej wizycie było nie w porządku.

– Niech zgadnę... Wcale mnie nie lubi. – Od razu trafia w sedno.

– Coś w tym stylu – niechętnie przyznaję mu rację. Ale nic mnie nie obchodzi, czy Zoja lubi Igora, czy nie lubi. Ważne, że ja go kocham. – Umieram z głodu – dodaję, by zmienić temat.

Igor woła Weronikę i po chwili we trójkę siadamy do obiadu. Jak normalna rodzina.

– *Itadakimasu*[\[21\]](#) – sylabizuje Weronika, składając ręce. – Tak to się mówi? – dopytuje. – Nic nie pomyliłam?

Uśmiecham się, spoglądając na nią czule.

– Babcia Yuki może być z ciebie dumna.

Zapiekanka jest pyszna, rozplywa się w ustach. Może to kwestia kompozycji przypraw, ale smakuje idealnie. Nie spodziewałam się, że z Igora taki dobry kucharz.

– To specjalność taty – konspiracyjnie zdradza Weronika. – Gotuje jeszcze świetną zupę ze szparagów, ale ogórkowa to mu wybitnie nie wychodzi. – Dziewczynka wymownie wykręca buzię, żeby zobrazować, jaki z tej zupy jest kwasior, a ja dostaję czkawki ze śmiechu.

Igor wstaje, by podać mi coś do picia, i od razu zauważa karton po soku. Ups, mogłam go wyrzucić.

– Przecież prosiłem, żebyś nie dźwigała – mówi z wyrzutem. – W domu naprawdę nie było nic innego do picia?

– Tatku, to ja niosłam. – Weronika próbuje uratować sytuację. – Byliśmy w sklepie u pana Franka. No wiesz, tam, gdzie zawsze kupujesz owoce. To przecież tylko kilka kroków stąd.

– Jutro zrobię większe zakupy – obiecuje Igor. – Nie możesz dźwigać. Nie chcę, by coś ci się stało. W salonie fryzjerskim muszę koncentrować się na klientce, nie mogę się ciągle zastanawiać, czy nic ci się nie stało.

Po takich argumentach obiecuję, że nie będę więcej chodzić po sklepach. Przynajmniej do momentu, aż uzna, że już nic mi nie grozi. Igor jest zadowolony z takiego postawienia sprawy. Gdy

kończymy jeść, mówi, że pozmywa, a ja się dziwię, że taki facet ostał się tyle lat bez żony. Ci wszyscy zalegający z pilotem na kanapie panowie nawet nie przypuszczają, jak bardzo wzrosłyby ich szanse na wieczorne figle, gdyby choć raz zakasali rękawy i umyli patelnię.

Weronika wraca do układania puzzli, a ja mam ochotę na jogurt, więc sprawdzam, czy coś się jeszcze ostało w lodówce. Jagodowy. Ostatecznie może być. Sięgam po łyżeczkę i z wielkim apetytem pochłaniam całą zawartość.

– Nie najadłaś się jeszcze? – Igor nie może ukryć zaskoczenia.

– Najadłam się, najadłam – odpowiadam zakłopotana, bo rzeczywiście jeszcze przed kilkoma minutami miałam wrażenie, że zaraz pęknę. Ale wszystko się uleżało i dodatkowa przekąska nie miała problemu, by się zmieścić. – Chyba zajadam stres – dodaję.

Igor chowa ostatni talerz do szafki. To, co powiedziałam, chyba zaskakuje go, bo momentalnie odwraca się w moją stronę.

– Jeśli jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać...

Nie wiem, dlaczego jest taki zmartwiony, ale nie mam dzisiaj ochoty na żadne poważne rozmowy. Nie po wizycie Zoi. Igor wygląda na zmęczonego, nie chcę mu przysparzać dodatkowych problemów. Wolę zachować swoje obawy dla siebie.

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku – zapewniam, starając się zabrzmieć szczerze. – Po prostu tęskniłam za tobą. Wolę, gdy jesteś na wyciągnięcie ręki.

Reszta popołudnia upływa na błogim lenistwie. Igor nie pozwala mi włączyć laptopa, nawet po to, by sprawdzić maile, bo przecież lekarz kazał unikać, więc nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić do układania puzzli.

– No nareszcie – Weronika wzdycha teatralnie. – Samo się nie ułoży. Zostałaś oficjalnie mianowana członkiem Puzzlowej Ligi. – Dziewczynka się śmieje. – Oj, ty przecież nie rozumiesz... To tak, jak u kucyków z Ponyville, tylko że tam była Znaczkowa Liga. Taka bajka dla dzieci – dopowiada, widząc, że nie mam

pojęcia, o czym mówi. – Kiedyś lubiłam to oglądać, ale teraz jestem za duża. Ale poszukamy, jeśli będziesz chciała. Musisz być na bieżąco, bo w twoim czasie to chyba wcale fajnych bajek nie było, co?

Chce mi się śmiać. Weronika chyba naprawdę uważa, że jestem równie stara, jak dinozaury, i że telewizor wynaleziono dopiero kilka lat temu. Ale w jednym ma rację: kiedyś nie było tak dużo bajek, jak teraz. Chociaż co ja tam mogę wiedzieć? Gdy byłam dzieckiem, zamiast beczynie gapić się w telewizor, wolałam czytać mangi, które *okāsan* zamawiała z Japonii. Nie dość, że nikt w klasie tego nie rozumiał, to jeszcze w prosty sposób utrwalłam wbijane do głowy przez *okāsan* znaki *kanji*.

– Postaram się nadrobić – obiecuję.

*

Kiedy późnym wieczorem kładziemy się spać, Igor zauważa, że jestem niespokojna.

– Wszystko w porządku? – pyta, siadając na łóżku.

Przekręcam się na drugi bok, tak by uniknąć jego spojrzenia. Nie chcę, żeby się martwił, ale paradoksalnie mój unik sprawia, że powtarza pytanie z coraz większą troską.

– Muszę jutro podrzucić L4 do firmy – odpowiadam w końcu. – Trochę się denerwuję.

Igor obejmuje mnie i przytula. Bijące od niego ciepło sprawia, że zalewa mnie fala czułości. Nigdy wcześniej nie czułam się tak kochana. Więc dlaczego nie potrafię być z nim do końca szczerą? Ze strachu, że bańka mydlana, zwana szczęściem, pryśnie?

– Pojadę, jeśli chcesz – proponuje Igor.

Powinnam się cieszyć, że chce mnie wyręczyć, ale tymczasem zasiane przez Zoję ziarenko podejrzeń zaczyna kiełkować. Bo może Igor chce zobaczyć Aurelię? Przecież po powrocie z pracy

nie wspomniał o niej ani słowem. To chyba trochę dziwne. Przecież mógł powiedzieć cokolwiek.

Rzucam od niechcienia, że muszę jeszcze przy okazji coś załatwić, więc Igor kapituluje. Czekam, czy teraz powie coś o Aurelii, ale w ogóle nie podejmuje tego tematu. Nie wiem, czy powinnam być za to wdzięczna, czy się złościć. Serce podpowiada, że powinnam ukochanemu zaufać, ale przecież to właśnie zaufanie już raz doprowadziło mnie najpierw do USC, a po kilku latach do sądu, na rozprawę rozwodową. Wzdycham ciężko i odwracam na lewy bok, jak zawsze śpię. Igor zarzuca rękę na mój brzuch, przytulając się do pleców. Czuję na szyi jego pogłębiony snem oddech i od razu robi mi się lżej na sercu. Po chwili sama zasypiam.

*

Docieram do firmy tuż przed jedenastą. Zostawiam zwolnienie w kadrach i chcę porozmawiać z szefem, ale akurat jest zajęty, więc idę do swojego biura.

– Wspaniale wyglądasz. – Aurelia wita mnie entuzjastycznie. Nie mogę się powstrzymać i rzucam spontaniczne „wow”. Igor rzeczywiście obciął ją na krótko, ale w tej fryzurze wygląda wspaniale. O wiele lepiej niż poprzednio. – Spisał się ten twój Igor, prawda? – podejmuje. – Okazuje się, że zmiany nie są jednak takie złe. Wiesz, bałam się, że Marcelowi się nie spodoba, ale on aż zaniemówił z wrażenia. Stwierdził, że teraz podobam mu się jeszcze bardziej.

Zaraz, jakiemu Marcelowi? Nic nie wiem o żadnym Marcelu. Aurelka chyba widzi moje zaskoczenie, bo zaraz dodaje:

– Oj, chyba zapomniałam ci powiedzieć, że spotykam się z kimś. – Policzki Aurelki paśowieją. – Jakoś nie było okazji. Poza tym bałam się, że nic z tego nie wyjdzie, bo moi faceci zawsze najwyżej po miesiącu dawali nogę. Ten się trzyma nieco dłużej.

Jak nieco dłużej? Próbuję odgadnąć, kiedy właściwie mogła go

poznać. Na bankiecie z Włochami jeszcze była sama, więc pewnie jakiś czas po. I przez cały ten czas nie puściła pary z ust.

– Cieszę się twoim szczęściem. Umówimy się kiedyś na kawę, to porozmawiamy na spokojnie – obiecuję. – A co tutaj słyhać?

Aurelia pochyła się konspiracyjnie w moją stronę.

– Zoja obrosła w piórka do tego stopnia, że nie da się z nią wytrzymać. Cały czas się mnie czepia. Czasami mam jej tak dość, że mam ochotę walnąć wypowiedzenie – dodaje ciszej, jakby się bała, że ktoś podsłucha.

Co mam jej powiedzieć? Że też nie mam ochoty wracać? Tylko że jeśli nie będę tu pracować, to właściwie gdzie?

– Przejdzie jej – rzucam, choć wiem, że brzmi to mało przekonująco.

Aurelka proponuje, że zrobi kawę, ale odmawiam. Nie mam tyle czasu, co zresztą zaraz się potwierdza, bo do biura zagląda Klaudia.

– Szeł już jest wolny. Pośpiesz się, za pół godziny ma następne spotkanie.

Na korytarzu od razu wpadam na Zoję ze stertą faktur do wysłania. Już mnie nie dziwi, dlaczego Aurelia tak się na nią wścieka. Przecież Zoja musiała je zbierać przez kilka dni, a teraz rzuci na biurko mojej asystentce i będzie oczekiwać, że wszystkie zostaną zakopertowane i wysłane jeszcze dzisiaj.

Wymieniamy standardowe uprzejmości: Zoja pyta, jak tam Igor, a ja odpowiadam, że świetnie. Nie potrafi ukryć zawodu.

– Przecież ty nic o nim nie wiesz – szepcze, tak by nikt nas nie podsłuchał. – Absolutnie nic.

Przymykam oczy i liczę w myślach do pięciu, bo mam ochotę zrobić jej dziką awanturę.

– To nie twoja sprawa – rzucam.

– Owszem, moja. – Zojka nie daje za wygraną. – Nie mogę patrzeć, jak moja przyjaciółka marnuje sobie życie z facetem,

który na nią nie zasługuje.

– Odpuść – proszę, bo nie mam ochoty kontynuować tematu.

– Nie zamierzam. – Zoja się upiera.

Czuje, że zaraz wybuchnę. Nawet święty straciłby cierpliwość, a mi przecież raczej bliżej do piekła niż do nieba.

– Nie wiem, czemu tak uczepiłaś się Igora, ale daruj sobie...

– Nie wiesz czemu? – Zoja przerywa, kipiąc złością. – Ciągłe tylko ten Igor i Igor... Już nie masz czasu dla przyjaciół. Nie masz czasu wyjść na kawę, bo pędzisz do domu ugotować kochasiowi obiadek. Kiedy ostatnio gdzieś razem wyszliśmy? Bo ja już nie pamiętam. A podobno się przyjaźnimy.

Niechętnie muszę przyznać, że ma trochę racji. Najpierw przeprowadzka, później przedłużający się remont... Zoja kilka razy próbowała mnie gdzieś wyciągnąć, ale zawsze miałam coś ważniejszego. Nic dziwnego, że czuje się odrzucona.

– Przepraszam – bąkam pod nosem.

– Chyba nie dosłyszałam. Mówiłaś coś? – Droczy się zemną.

Mam ochotę ją udusić. Nie mam czasu na takie gierki, więc ostentacyjnie wywracam oczami.

– Zeza od tego dostaniesz – rzuca Zoja, już w o wiele lepszym humorze. – Ktoś musi tobą potrząsnąć od czasu do czasu.

Spoglądam na zegarek. My tu gadu gadu, a czas ucieka.

– Lecę do szefa, bo zaraz ma jakieś spotkanie – mówię. – Zdzwoniemy się.

Pukam i gdy upewniam się, że w środku nie ma nikogo poza Ziemiańskim, wchodzę do gabinetu. Szef spogląda na mnie wymownie.

– Panie dyrektorze, nie zajmę panu dużo czasu – rzucam, ogarnięta niepokojem. – Dostarczyłam zwolnienie lekarskie. Nie będzie mnie jeszcze przez dwa tygodnie.

Ziemiański udaje, że jest bardzo zajęty przeglądaniem rozłożonych na biurku dokumentów. Już samo to źle wróży.

– Wiem – odpowiada w końcu. – Kadrowa już do mnie dzwoniła.

Uderza mnie chłód w jego głosie. Nie to, żebym się spodziewała, że zareaguje na wieść o L4 entuzjastycznie, jednak jakiś odruch sympatii chyba mi się należy po tych wszystkich latach, które poświęciłam firmie. Czuję się urażona.

– W zasadzie chciałam tylko przekazać to osobiście – przechodzę na formalny ton. – Zoja Leśniewska jest wprowadzona we wszystkie sprawy. W razie czego jestem dostępna pod telefonem.

– Pani Krystyno, proszę się o nic nie martwić. – Ziemiański wstaje, dając tym samym do zrozumienia, że audyencja dobiegła końca. – Jak już pani będzie w pełni sił, proszę przyjść do mnie na rozmowę. W firmie szykują się pewne zmiany, a chciałbym omówić je najpierw z panią. A teraz pani wybaczy, muszę się przygotować do spotkania.

Wychodzę i cicho zamykam za sobą drzwi. Liczę w myślach do pięciu, by się uspokoić i przybrać wesołą minę. Nie muszę spoglądać w kierunku Klaudii, żeby się domyślić, że patrzy na nie ze współczuciem. Ona coś wie. Te zmiany w firmie będą dotyczyć mnie i nie będą to zmiany na dobre. Mam ochotę sięgnąć po kartkę z drukarki i od razu napisać wypowiedzenie, powstrzymuje mnie przed tym jednak zdrowy rozsądek. Pośpiech jest przecież złym doradcą.

Po wyjściu z budynku ściągam z twarzy fałszywy uśmiech. Już wiem, że nie będę mogła prowadzić, ręce za bardzo mi się trzęsą. Szybko mijam zewnętrzny parking i kieruję się w stronę usytuowanego przecznicę dalej postoju taksówek.

Jednak nie docieram tam. Po drugiej stronie ulicy zalewa mnie fala mdłości wywołana lękiem o przyszłość. Nie rozumiem, dlaczego szef odwrócił się ode mnie jak od trędowatej. Nawet nie zapytał, jak się czuję. Nie próbował udawać, że interesuje go to choć trochę. Po prostu mnie spławił, sugerując, że czeka nas trudna rozmowa. A przecież nie zrobiłam nic złego. Niczego nie zawałam, nie ma więc zawodowego powodu, by się na mnie dąsać.

Moje nogi stają się coraz cięższe, aż w końcu nie jestem w stanie oderwać stopy od płyty chodnika. Nie wiem, czy stoję, czy się przewracam. Wszystko rozmywa mi się przed oczami, a serce łopocze jak szalone. Z trudem łapię powietrze.

Słyszę kroki na schodach i stukot ciężkich butów. To chyba z piekarni, w której czasami przed pracą kupowałam drożdżówki.

Ktoś się nade mną pochyla. Nie widzę twarzy.

– Proszę pani, wszystko w porządku?

Oczywiście słyszę, ale nie mogę odpowiedzieć. Otwieram usta, ale jestem jak ryba. Niema.

– Proszę oddychać spokojnie. Czy panią coś boli? Zaraz sprowadzę pomoc.

Mrugam kilkakrotnie i rysy nieznanego się wyostają. Szpakowaty mężczyzna, około sześćdziesiątki. Budzące zaufanie spojrzenie. Ubrany w zielonkawą koszulę. Zauważam gdzieś na wysokości mojej głowy kolana w czarnych, materiałowych spodniach, więc on najpewniej klęczy, a ja leżę.

– Drodzy państwo, proszę się rozejść. – Wydaje polecenie łagodnie, ale jednak stanowczo. – Pani już dochodzi do siebie.

Rzeczywiście w zasięgu wzroku znajduje się kilka osób, które nagle robią się bardzo zajęte swoimi sprawami i gdzieś znikają.

– Dziękuję – mówię słabo, wciąż czując suchość w ustach.

– Włodzimierz Tarnowski – przedstawia się, pomagając mi wstać. – Źle się pani poczuła? Bierze pani jakieś leki?

– Przestraszyłam się czegoś. – Nie kryję prawdziwego powodu ataku paniki, bo uważam, że to bez sensu kłamać komuś, kto przyklęknął, by mnie ratować. – Chyba muszę odpocząć – dodaję zakłopotana. – Trochę za dużo wrażeń.

Mężczyzna w zamyśleniu kiwa głową.

– Nie powinna pani prowadzić. Gdzieś panią podwieźć?

Waham się. W domu nikogo nie ma, bo przecież rano Igor odwiózł Weronikę do szkoły. Mam wprawdzie zaproszenie na

Młyńską, od Dory, ale nie mam siły udawać, że wszystko jest w porządku. W domu też nie chcę siedzieć sama, więc podaję adres „Fryzjerni”. Igor powinien mieć teraz przerwę na obiad.

O tej porze panuje już spory ruch, więc podróż zabiera kilkanaście minut. Starszy pan, którego nazwisko zdażyło mi już wylecieć z głowy, zadaje szereg pytań, a ja nie od razu zauważam, że w odpowiedziach zawarłam historię niemal całego swego życia. Mimo to nadal nic nie podejrzewam. Czuję nawet ulgę, że mogłam wyrzucić, co mi leży na wątrobie.

– Czy takie ataki paniki zdarzają się pani często, pani Krysiu?
– pyta, zjeżdżając na parking w okolicach bloku, w którym mieści się „Fryzjernia”. Trochę mnie to dziwi, bo przecież komuś z zewnątrz z reguły trudno odnaleźć się na tym osiedlu, ale tłumaczę sobie, że być może gdzieś tu mieszka. Nic przecież o nim nie wiem.

Powtarza pytanie, więc tym razem szybko zaprzeczam. Dziękuję za podwózkę i wysiadam z samochodu, jednak pan Włodzimierz upiera się, że mnie odprowadzi.

Ale udaje mi się zrobić zaledwie może ze trzy kroki, gdy tonę w ramionach Igora.

– Boże, Kryśka, myślałem, że zwariuję – wyrzuca z siebie, wplatając palce w moje włosy. – Dzwoniła Zoja. Widziała przez okno, jak się przewracasz, a potem odjeżdżasz z obcym mężczyzną. Nie odbierałaś telefonu. Tak bardzo się bałem.

Czuję lekką konsternację, bo wydaje mi się, że przesadza, ale zaraz uświadamiam sobie, że może faktycznie zbyt pochopnie zawierzyłam panu Włodzimierzowi. Przecież z miłego staruszka łatwo mógł się zmienić w jakiegoś zwyrodnialca. Skąd miałam pewność, że pan Włodzimierz zawiezie mnie tam, gdzie poproszę, a nie na przykład za miasto, żeby zrobić mi krzywdę?

– Igor, przepraszam – mówię pełna skruchy.

– No nic, pani Krysiu, zostawiam panią w dobrych rękach – podejmuje pan Włodzimierz. – Do widzenia państwu.

Igor unosi głowę, by pozdrowić mężczyznę, i zauważam jakąś niepewność w jego spojrzeniu. Mam wrażenie, że się znają.

Jednak nie zamieniają ze sobą nawet słowa.

– Chcą mnie zwolnić – mówię, by odwrócić jego uwagę.

Poskutkowało. Igor momentalnie skupia się wyłącznie na mnie.

– Jak to zwolnić? Dlaczego?

Odbiera mi torebkę i idziemy w kierunku „Fryzjerni”, gdzie ukochany od razu nastawia wodę na kawę. Na stole leżą styropianowe pudełka z obiadem z cateringu. Nieruszone.

Proszę, by coś zjadł, ale mówi, że jest zbyt zdenerwowany. Nie odpowiedziałam przecież jeszcze na jego pytania. Relacjonuję więc wszystko, co działo się w firmie, a także po tym, gdy wyszłam.

– A mówiłem, że sam zawiozę to cholerne zwolnienie – rzuca gniewnie, opierając się o ścianę. – Mogło ci się coś stać. Ten twój szef jest po prostu bezczelny. Wcale nie musisz tam pracować. Stać mnie, żeby utrzymać nas wszystkich – odgraża się.

Wiem, że cała ta sytuacja wyprowadziła go z równowagi. Mimo wszystkich nerwów, które mnie kosztowała, cieszę się, że mam na kim polegać. Nawet Zoja, pomimo całej swej niechęci do Igora, zrobiła to, co powinna.

Zamyślona, z kubkiem kawy w dłoni, za późno zauważam, że Igor dzwoni do Dory. Z właściwą sobie ekspresją relacjonuje, co mi się przydarzyło, pomijając całkowicie osobę pana Włodzimierza. Nie wiem, czy w jakiś sposób powinno mnie to niepokoić, czy jest po prostu zazdrosny. To drugie byłoby głupie, ale życie nauczyło mnie, że faceci posługują się pokręconą logiką.

No to teraz będę miała totalny szlaban.

Martwi mnie też zupełnie inna kwestia. Igor twierdzi, że do mnie dzwonił, ale ja nic nie słyszałam. Nie wyciszyłam dzwonek, czyli smartfon nie działa. A przecież dopiero pół roku temu brałam nowy abonament.

Wyciągam smartfon chyba tylko po to, by się upewnić, że

wyświetlacz pokrywa gęsta sieć pajęczyn. Kompletnie rozbity. Nic dziwnego, że Igor nie mógł się dodzwonić. Psioczę w myślach, że nie kupiłam pancерnej szybki, chociaż, prawdę mówiąc, uważałam, że to tylko chwyt marketingowy. Zawsze wsadzam telefon do kieszeni z przodu torebki, by mieć do niego szybki dostęp, ale torebka tą właśnie stroną gruchnęła o chodnik.

– Kupię nowy – mówi Igor, spoglądając mi przez ramię. – Nie oplaca się wymieniać wyświetlacza, zresztą nie wiadomo, czy coś innego się nie uszkodziło. Trzeba będzie tylko przełożyć kartę.

Wzdycham. Czyli jednak mam szlaban. Nie ruszę się z domu bez asysty kogoś, komu Igor ufa.

No pięknie... I pomyśleć, że wydawało mi się, że to Jasiek jest nadopiekuńczy.

Po piętnastu minutach wpada Dora. Zostawiam jeszcze Igorowi klucze, żeby mógł odebrać samochód z parkingu, i wracamy do domu.

Matka Igora wyciąga z bagażnika wiklinowy kosz. Sądząc po zawartości, planuje upiec kaczkę, a mnie aż skręca z tęsknoty za uramaki z czarnym sezamem, ale oczywiście nie mam z czego zadzwonić do „Oishii”. Szukam więc pretekstu, by skoczyć na chwilę do *okāsan*, bo ona przecież musi mieć kontakt z Jaśkiem.

– Yuki Yamada zostawiła coś u nas wczoraj. Miałam podrzucić, jak wrócę – mówię, modląc się, by Weronika, którą Dora odebrała ze szkoły, nie wyskoczyła z tekstem, że przecież wczoraj w ogóle jej u nas nie było. Ale mam szczęście. Dziewczynka, za plecami babki, porozumiewawczo puszcza do mnie oko. – Macie klucz, prawda? Zaraz będę z powrotem.

Nie czekam na odpowiedź, tylko wyrywam się w stronę sąsiedniej furtki. Dopiero tam zwalniam i już dostojnie krocę w kierunku stojącej w drzwiach *okāsan*. Musiała widzieć mnie z okna, dlatego wyszła.

– *Doushita no?*[\[22\]](#) – pyta zaniepokojona.

– *Okāsan*, muszę zadzwonić do Jaśka, a nie mam dostępu do telefonu. Dora chce upiec kaczkę na obiad, a ja w tej chwili mogłabym zabić za kilka sztuk uramaki. Pewnie nie pozwoli mi zjeść – markotnieję.

– Pomogę – obiecuje, spoglądając na mnie znacząco. – Przyniosę zamówienie, tak żeby nikt nie odkrył, co jest w środku. Zagadam Dora-san, a ty w tym czasie spokojnie zjesz.

Mam ochotę skakać ze szczęścia. Moja japońska matka nie byłaby chyba za bardzo zaskoczona, uznaję jednak, że mimo wszystko to nie wypada.

– *Okāsan*, *daisuki dayo*[\[23\]](#) – mówię, a ona się śmieje, ponagłając, żebym wracała już do siebie, bo inaczej Dora się zorientuje, że coś razem knujemy.

Dora i Nika krzątają się w kuchni, więc niezauważona przemykam na górę, do sypialni. By choć na chwilę zapomnieć o przejmującym głodzie, chcę skupić się na czymś innym. Intryguje mnie ten starszy pan, a raczej jego znajomość z Igorem, oraz to, jak starannie obaj próbowali ją ukryć. Ale tutaj z pomocą może przyjść dwudziesty pierwszy wiek, a dokładniej prawa, którymi się rządzi.

Google wie wszystko.

Trochę trwa, ale w końcu odnajduję od dawna nieużywany laptop. Siadam nie przy stoliku, a na łóżku, przodem do drzwi, by nikt niepostrzeżenie nie nakrył mnie na myszkowaniu po cudzym życiu.

Włączam wyszukiwarkę. Zaraz, jak on się nazywał? Nigdy nie miałam problemów z kojarzeniem nazwisk, ale teraz zabiera mi to kilka minut. Że Włodzimierz to pamiętam, ale co dalej? Karbowski? Nie. To z filmu. Coś bardziej jak Tarkowski... To z kolei z książki, ale już znacznie bliżej. A może Tarnowski? Wklepuję kombinację i robi mi się słabo, bo Google wyrzuca linki do portalu „ZnanyLekarz”.

Tarnowski Włodzimierz.

Lekarz psychiatra.

Ostatnie opinie, zresztą bardzo dobre, pochodzą sprzed kilku lat, więc pewnie jest już na emeryturze. Ale skoro Igor nie przywitał się z nim jak z niewidzianym od dawna znajomym, musiał chyba być jego pacjentem.

Robi mi się słabo. Co Igor robił u psychiatry? Dopiero teraz uświadamiam sobie, jak mało o nim wiem. Z matką, owszem, poznał mnie, ale o ojcu nie wspomniał nigdy. Co to za tajemnica?

Nie mam czasu dłużej się nad tym zastanawiać. Słyszę, że na dole *okāsan* wita się z Dorą i Weroniką, więc szybko odstawiam laptopa na stolik.

– Paczka do Krysi – mówi *okāsan*. – Zapomniałam dać. Zaniesiesz?

Zapytała Weronikę, bo już po chwili dziewczynka zjawia się w sypialni ze starannie zapakowanym pudełkiem mającym zapewne udawać pocztową przesyłkę. Po jej minie jednak odgaduję, że się domyśla, co może być w środku.

– Podzielisz się? – pyta konspiracyjnie.

Entuzjastycznie kiwam głową. W końcu to dzięki Weronice jedzenie pojawiło się w moim pokoju. Odwijam papier, siadamy na łóżku i zaczynamy dobierać się do pysznej zawartości.

– A jak tam na dole? – pytam, przeżuwając upragnione uramaki.

– Babcia zaprosiła *obāsan*, czyli babcię Yuki, na herbatę. Pewnie zaparzy *English Breakfast*, bo widziałam, że ma w koszyku.

Próbuję powstrzymać uśmiech. *Okāsan* nie uznaje czarnej herbaty. Zamoczy dwa razy usta, by udąć, że pije, a potem zagada, niepostrzeżenie zakręci się w okolicach zlewu i po kłopotcie. Dora nawet niczego nie zauważy.

Jemy w milczeniu, nasłuchując, czy aby nikt nie nadchodzi. Głupio by było, gdyby Dora nakryła nas na gorącym uczynku. Wiem, że bardzo się stara, ale ja po prostu nie przepadam za kuchnią staropolską. Weronika najwyraźniej też potrzebuje

zmiany albo lubi eksperymentować.

Kusi mnie, by zapytać ją o dziadka, ale coś mi mówi, że nic o nim nie wie. Nie, to musi poczekać – odkładam w myślach na bliżej nieokreśloną przyszłość nurtujący mnie temat.

Gdy Dora woła nas na obiad, dzióbiemy w talerzach jak ptaszki, wymieniając rozbawione spojrzenia. Kaczka jest miękka, mięso po prostu rozpływa się w ustach, ale nie zdażyłam jeszcze strawić sushi, więc po kilku kęsach i rozgrzebaniu wszystkiego na talerzu daję za wygraną.

– Krysiu, ależ ty nic nie jesz – gorączkuje się Dora. – Może ty się źle czujesz? Może ja ci jakichś ziółek zaparzę? Albo zadzwonię po pogotowie. Może jesteś w jakimś szoku?

Nie, tego już za wiele.

– Jestem zmęczona – protestuję, tylko trochę mijając się z prawdą. Bo przecież zmęczenie fizyczne to nie wszystko, w grę wchodzi również znużenie emocjonalne. Znów przypomina mi się ten psychiatra i czuję ciarki na plecach.

– Ty masz dreszcze – zauważa Dora. – Może rzeczywiście idź się położyć. Zostanę, dopóki Igor nie wróci.

Noga za nogą człapię na górę. Zamieniam elegancką garsonkę na wygodny dres i tak ubrana ładuję się pod kołdrę, przykrywając aż po same uszy. Nie chcę myśleć. Nie mogę. To za bardzo boli. Tyle lat poświęciłam tej pieprzonej firmie, a teraz chcą się mnie pozbyć jak byle śmiecia. Ze sztucznym uśmiechem na ustach i zapewnieniem o docenianiu wszystkiego, co zrobiłam. To po prostu wstrętne!

Zrywam się, ogarnięta złością. Przecież wcale ich nie potrzebuję. Nie muszę tam pracować. Siadam przed laptopem i próbuję sobie przypomnieć adres internetowy strony, którą założył Jasiek. *Mahō no gyararī*. Patrzę na licznik i przecieram oczy ze zdziwienia. Prawie dwa tysiące wejść. Tego się nie spodziewałam. Na dole odnajduję adres e-mail na serwerze Gmail. Wygląda jak firmowy, zawiera w sobie nazwę galerii, ale ja go nie założyłam.

Odruchowo szukam telefonu, by zadzwonić do Jaśka, ale

przecież został zniszczony i Igor wziął go ze sobą. Ciężko wzdycham. Znajac pomyslowosc Jaśka, nie uda mi się odgadnąć, jakie hasło wymyślił. No trudno, nie pozostaje nic innego jak poczekać, aż odzyskam kontakt ze światem.

Jednak już po samych komentarzach widzę, że chyba warto zainwestować w rozwój pomysłu, muszę tylko zgromadzić odpowiednie fundusze. Markotnieję. Przecież jako bezrobotna zbyt dużych dochodów mieć nie będę. Muszę omówić wszystko z Igorem. W końcu dzielimy teraz życie.

Uchylam okno, wpuszczając do sypialni świeże powietrze. Z ogrodu dochodzi śmiech Weroniki. Dziewczynka znalazła gdzieś przy płocie obwieszona owocami krzaki malin i stąd ta radość. Faktycznie, przypominam sobie, że poprzedni właściciele wspominali, że posadzili trzy gatunki. Będę musiała to uwzględnić w planach aranżacyjnych.

Mam ochotę dołączyć do zabawy w ogrodzie, ale jednak rezygnuję. Wykorzystam chwilę spokoju na myszkowanie w internecie. Może wpadnę na jakiś ślad powiązania Igora z tym Tarnowskim?

Jednak po godzinie bezowocnych poszukiwań mój entuzjazm stygnie. Personalia Igora pojawiają się jedynie w kontekście zawodu, który wykonuje. Mnóstwo pozytywnych opinii zadowolonych klientek, poświęcona mu dyskusja członków, a raczej członkiń forum na kafeterii, które wymieniają się spostrzeżeniami na temat jego osoby, informacje o uzyskanych nagrodach... Nic, co wskazywałoby na jakikolwiek związek ukochanego z psychiatrą.

I nagle doznaję olśnienia. Szukam dziury w całym. Ten Tarnowski mógł być kiedyś sąsiadem Igora i przyłapać go w dzieciństwie na paleniu petów za śmietnikiem. Jeśli doniósł o tym Dorze, z pewnością nie była zachwycona, więc i chłodny stosunek Igora do Tarnowskiego nabiera sensu.

Ktoś naciska cicho klawisz, więc unoszę odruchowo głowę. Dora.

– Chciałam sprawdzić, czy śpisz – tłumaczy najście. – Napijesz

się czegoś? Zrobiłam mrożoną herbatę.

Uznaję że to świetny pomysł, i obiecuję, że zaraz zejde. Przed wyłączeniem laptopa na wszelki wypadek usuwam całą dzisiejszą historię wyszukiwania.

*

Przez kilka kolejnych dni Igor jest nieobecny duchem. Gdy pytam, czy wszystko w porządku, uśmiecha się i zbywa mnie jakąś gadką o trudnej klientce. Nie trzeba być Sherlockiem, by zauważyć, że to tylko wymówka. Coś go gryzie i męczę się, nie mogąc pomóc. Nie pocieszają mnie nawet pełne entuzjazmu maile, które po uzyskaniu hasła od Jaśka mogę w końcu odczytać. Igor przecież nie ma humoru, to nie jest odpowiedni moment na dyskusję na temat drastycznej zmiany wykonywanego zawodu.

Zoja wpadła w środę po pracy. Dora, nie chcąc nam przeszkadzać, przeniosła się do skąpanego w słońcu ogrodu, więc nie ma obawy, że ktoś nas podsłucha. Weronika zrywa maliny, które Dora chce dodać do podwieczorku. Dba o to, co jemy, bardziej niż poprzednio, bo po szczerej rozmowie przyznała się w końcu, że ma problemy z cukrem i cholesterolem. Powiedziała, że to dolegliwości stosowne do wieku, ale musi teraz pilnować diety.

– Przytyłaś – zauważa Zoja, a ja uważam, że to nic dziwnego. W końcu Dora pilnuje, żebym jadła pięć zdrowych posiłków dziennie. Z takim dozorcą każdy by przytył.

Pytam, czy wypije ze mną kawę, ale Zojka odmawia, twierdząc, że chciała tylko sprawdzić, jak się czuję.

– Mam coś, co należy do ciebie – wyjaśnia, wyciągając z torebki moją *magatamę*. – Ściągnęłam ci z szyi po tym, jak zadzwoniłam po pogotowie. Bałam się, że zaginie gdzieś w szpitalu. Kilka lat temu w ten właśnie sposób pozbyłam się zegarka.

Odbieram wisiołek i z czułością gładzę ametyst. Czuję ulgę, że do mnie wrócił. Dziękuję i ponownie proponuję kawę, ale Zoja jest wyraźnie zakłopotana.

– Krażą plotki, że stary szuka pretekstu, by cię zwolnić – mówi w końcu, wyjawiając tym samym prawdziwy powód swej wizyty.
– Kryśka, przecież to wygląda na zemstę.

Wzruszam ramionami. Nie mam pojęcia, dlaczego Ziemiańskiemu nagle odbiło. Przecież jeszcze na bankiecie był miły i uprzejmy.

– Może nie powinnam była zaryć głową w kibel? – pytam retorycznie. – No wiesz, naraziłam na szwank dobrą reputację firmy. Bo kto to widział mdleć w pracy.

Zojka zaczyna rechotać.

– Ty go naprawdę kochasz – zauważa po chwili, zupełnie zmieniając temat. Czuję, że się rumienię, ale nie mogę nic powiedzieć, bo Zoja kontynuuje: – Widzę to w twoich oczach. Wypiękniałaś, po prostu promieniejesz szczęściem... Przepraszam, że ci nie wierzyłam, że nie potrafiłam zaufać Igorowi. Mam nadzieję, że nie potraktowałaś poważnie mojego maila. Chodziło mi tylko i wyłącznie o twoje dobro, ale chyba przekombinowałam fakty.

Nie mam pojęcia, o jakim mailu mówi, ale zapewniam, że wszystko jest w porządku. Jednak gdy tylko zamykam za nią drzwi, pędzę do sypialni sprawdzić pocztę.

W głównym folderze nie ma żadnego maila od Zoi. Odnajduję go dopiero po chwili, bo został przefiltrowany do spamu.

Pomyślałam, że chciałabyś coś wiedzieć, o tym swoim kolesiu. W weekend spotkałam się z koleżanką, zaczęłyśmy rozmawiać o Igorze i okazało się, że Oliwia zna go ze szkoły. Podobno nieźle szalał po śmierci starszego brata. Tak bardzo, że stara wysłała go do psychiatryka. Jego ojciec się powiesił. To rodzina czubków, na twoim miejscu trzymałabym się od niego z daleka.

Nie, to niemożliwe. Czytam mail raz jeszcze i literki zaczynają zlewać mi się przed oczami. A więc jednak był pacjentem. Miał brata, o którym nigdy nie wspomniał. O ojcu zresztą też.

Zaufałam Igorowi, a tymczasem on nie był ze mną szczery. Ciągłe ma jakieś tajemnice. Tak naprawdę nic o nim nie wiem.

Wiem, że zaraz zwymiotuję, więc pędzę do łazienki. Mam wrażenie, że wnętrzności wyrrywają się na zewnątrz, gdy tak oddaję wszystko, co od rana zjadłam.

Słyszę kroki na schodach.

Dora.

Obejmuje mnie, jakby w geście pocieszenia, ale ja nie czuję się wcale lepiej. Wręcz przeciwnie, chce mi się płakać.

– Może coś ci zaszkodziło. – Dora się zastanawia, zmartwiona. Próbuje dźwignąć mnie z podłogi, więc pomagam, jak mogę, ale nogi uginają się pode mną.

– Nie mam już siły – przyznaję. – Jestem strasznie zmęczona.

Dora pakuje mnie do łóżka. Nic więcej nie pamiętam.

*

Kiedy otwieram oczy, w pokoju panuje półmrok. Rozglądam się za źródłem światła i odkrywam, że wyświetlacz laptopa cały czas jest włączony. Chyba się zawiesił, bo przecież zabezpieczam dostęp hasłem. Nikt prócz mnie nie mógłby laptopa uruchomić.

Na krześle siedzi Igor. Zgarbiony. Przygaszony. Ale podrywa się z miejsca, widząc, że się poruszyłam.

– Matka wezwała pogotowie – mówi cicho, siadając obok mnie.
– Trafił się znajomy lekarz. Wykluczył zatrucie pokarmowe. Powiedział, że jesteś przemęczona i odwodniona. Dostałaś kroplówkę.

Tak, gdy ruszam ręką, zauważam plaster przyklejony do wewnętrznej strony przedramienia. Trochę ciągnie. Nie pamiętam żadnego lekarza. Spałam tak mocno, że nic nie czułam.

– Czytałeś? – pytam, bo nie ma sensu ukrywać, w którą stronę zmierza rozmowa.

W zamyśleniu kiwa głową.

– Powiniennem był sam ci powiedzieć, ale stchórzyłem. Ciężko do tego wracać. Minęło już ponad dziesięć lat, a to ciągle boli. Do dziś śnią mi się koszmary.

Odruchowo odnajduję jego dłoń i zamykam w swojej. Sama dobrze wiem, jak wspomnienia potrafią boleć.

– Sergiusz był ode mnie pięć lat starszy – podejmuje po chwili.
– Nasze imiona wzięły się stąd, że moja prababka ze strony ojca pochodziła z Rosji. Ojciec ją uwielbiał, więc chciał nas nazwać po jej ojcu i dziadku, o których tyle mu opowiadała. Ale urzędniczka nie zgodziła się na Siergieja, więc brat dostał, zdaniem ojca, imię na pocieszenie. I ojciec cały czas traktował go tak, jakby chciał mu to wynagrodzić. To Sergiusz był ukochanym synkiem, któremu poświęcał niemal cały wolny czas. Matka zajmowała się mną, czyli berbeciem, a tato wprowadzał Sergiusza w świat własnych zainteresowań. Między mną i ojcem nigdy nie było takiej więzi, uważał mnie za głupszego i przez to niewartego uwagi. Był filozofem, wykladał na kilku uczelniach, pisał doktorat. Przewidywał, że Sergiusz pójdzie w jego ślady. Tymczasem ja od filozofii wolałem piłkę nożną, a Pitagoras kojarzył mi się wyłącznie z trójkątem prostokątnym. Ale brat dał się wciągnąć po same uszy. Rzeczywiście dostał się na filozofię. Ojca rozpieierała duma, rozmawiali godzinami, a ja egzystowałem gdzieś na skraju tatkowego świata, jako element niepasujący do całości. Miałem wykonywać polecenia i nie wtrącać się w rozmowy dorosłych.

Głos Igora jest przepełniony smutkiem połączonym z czułością, gdy wspomina miłe chwile spędzone z bratem. Podczas gdy ojciec pochłonięty był przygotowaniem wykładów dla zagranicznych studentów, Sergiusz ukradkiem pomagał Igorowi w odrabianiu lekcji. Igor miał wynieść śmieci, bo to należało do jego obowiązków, ale wygrał jakiś zakład, więc to Sergiusz zabrał kubel i podreptał na dół.

– Znalazłem go tam, pod śmietnikiem – ciągnie, załamany. –

Z rozbitą głową, bez nowych adidasów. Natychmiast pobiegłem po pomoc, ale nie udało się go uratować. Matka była jeszcze w pracy, więc ojciec nie miał świadków, jak lał mnie na kwaśne jabłko. Wpadł w szal. – Igor się wzdryga na samo wspomnienie. – Wykrzyczał mi w twarz, że to ja powinienem był znaleźć się na miejscu Sergiusza, że brat zginął przeze mnie. Że to wszystko moja wina – gorączkuje się, mimowolnie zaciskając dłonie w pięści. – Nie obnosiłem się z siniakami, nie chciałem przysparzać matce dodatkowych zmartwień, więc minęło trochę czasu, zanim zauważyła, że coś jest nie tak. Zresztą ojciec zawsze miał spore wahania nastrojów. To się podobno nazywa osobowość cyklotymiczna. Tarnowski powiedział później, że takie osoby mają większą skłonność do zaburzeń maniakalno-depresyjnych. Ojciec nie chciał się leczyć. Wolał uprzykrzać mi życie. Wprowadzał w czyn swoją ulubioną wizję świata zaczerpniętą z Huxleya. To dlatego reaguję alergicznie na tego autora. Gdybyś cały czas słyszała, że jesteś stworzona tylko i wyłącznie do wykonywania poleceń, że nie masz prawa myśleć, też miałabyś dość.

Nie mogę się powstrzymać i obejmuję ukochanego. Igor poddaje się pieścizocie, łapczywie łaknąc ciepła, którego wtedy, przed laty, tak bardzo mu brakowało. Przecież kluczem do szczęśliwej przyszłości, naszej wspólnej, jest zrozumienie i zaakceptowanie przeszłości.

– Ufam ci – zapewniam. – Zoja się martwiła, żebym znów nie wpakowała się w jakieś bagno, stąd ten cały wywiad środowiskowy. Dużo jej zawdzięczam. Nie wiem, jak bez niej dałabym radę przetrwać cały ten rozwód. Gdy najbliższa osoba tak bardzo zawodzi, człowiek traci pewność siebie i chęć do życia.

Trwamy tak przez chwilę, przytuleni do siebie, a ja czuję, jak splywa na mnie błogi spokój.

– Jestem szczęśliwa, wiesz? – zagaduję. – Gdy cię poznałam, byłam w tak podłym nastroju, że miałam ochotę wydrapać ci oczy, ale to wszystko minęło. Sprawiliś, że zapomniałam o Hubercie. Ten człowiek już mnie nie obchodzi. Nic a nic.

Tej nocy kochamy się po raz pierwszy od ponad tygodnia. Jest jakoś inaczej niż poprzednio, z większą czułością. Nie mam żadnej wątpliwości, że Igor mnie pragnie, że mnie kocha... Zresztą ja też, ogarnięta narastającą rozkoszą, wyznaję mu miłość. Tak spontanicznie, bez żadnego przymusu. Leżymy potem wtuleni w siebie, delektując się bliskością. Uwielbiam zapach ukochanego. Flakonik Hugo Bossa stoi dumnie w łazience i przypomina, że ktoś tu mieszka, że nie jestem sama.

*

Poranne słońce rozjaśnia ciepłym blaskiem całą sypialnię, lecz to nie ono mnie budzi. Słyszę telefon. Gdy odbieram, roztrzęsiona Aurelia relacjonuje, że szef w asyście sekretarki, kadrowej i informatyka szukał czegoś w moim biurze. Ale wyszedł zawiedziony.

– Chcą znaleźć na ciebie haka – szepcze. – To jakaś paranoja.

Ciężko wzdycham. Jeszcze wczoraj może bym się tym przejęła, ale dzisiaj już nie. Przecież podjęłam już decyzję, że tak czy inaczej odejdę. Igorowi spodobał się pomysł otwarcia internetowej galerii i ustaliliśmy, że zorientuję się w szczegółach. Będę musiała przejrzeć oferty drukarni, te sprawy lepiej zlecić fachowcom. Ja chcę mieć ostatnie słowo jedynie w kwestii papieru.

– Nie martw się, mam już jakieś plany – zapewniam, ale nie chcę jeszcze niczego zdradzać. – To nie koniec świata. Coś się kończy, coś się zaczyna. Będę miała czas, by przekopać ogródek – żartuję.

W kuchni czeka na mnie śniadanie.

– Widzę, że wróciły ci kolory. – Cieszy się Dora, stawiając przede mną kubek z sokiem pomarańczowym. Zauważam, że tym razem przygotowała tosty, co już samo w sobie jest dziwne, bo do tej pory zawsze serwowała na śniadanie zacierkę na mleku. – Odrobina szaleństwa od czasu do czasu chyba nikomu

nie zaszkodzi – dodaje, podążając za moim spojrzeniem.

No mi na pewno nie, bo szczerze mówiąc, nie cierpię zacierki i tylko dobre wychowanie zmuszało mnie do przełknięcia jej. Za to tosty pochłaniam tak, jakbym nie jadła nic od tygodnia.

– Pyszne – seplenię z pełną buzią, bo nie mogę się powstrzymać. W środku jest szynka parmeńska, pomidory, ser i rukola, może coś jeszcze, ale całość jest tak skomponowana, że mój żołądek domaga się więcej. Dora jest zachwycona i szybciotko podgrzewa kolejne.

– Koleżanka dała mi przepis – wyjaśnia. – Chciałam wypróbować. Aha, zapomniałabym... – reflektuje się po chwili. – Igor prosił, żebyś wpadła do niego o siedemnastej.

Nie podejrzewam, że coś mogłoby się za tym kryć. Może planuje wspólne zakupy? W końcu przed nami weekend. Tym większe jest moje zdziwienie, gdy ni z gruszki, ni z pietruszki napomyka, że udało mu się wcisnąć mnie na wizytę u ginekologa.

– Było na wypisie, już nie pamiętasz? – przypomina, gdy gapię się na niego jak na wariata. – Trzeba to w końcu załatwić.

Dodaje jeszcze, że z samego rana była u niego dziewczyna, która pracuje jako sekretarka medyczna u znanego specjalisty.

– Po przyjeździe do pracy zadzwoniła z informacją, że profesor Kleszczyński ma dzisiaj czas o siedemnastej trzydzieści. Jeśli chcemy zdażyć, musimy już iść.

Przymykam na chwilę oczy, by się uspokoić. Przecież to od Kleszczyńskiego zaczęła się moja przygoda z leczeniem niepłodności. Zrobiłam kilka badań, zalecił kolejne, a później Hubert postanowił przenieść nas do jakichś szarlatanów od kalendarzyka małżeńskiego i lepkości śluzu.

Jakaś część mnie chce zaprotestować, a tymczasem posłusznie idę z Igorem do samochodu.

Profesor przyjmuje w tej samej przychodni, co kiedyś, tylko gabinet ma na piętrze, a nie tak jak poprzednio – na parterze. Ściany na korytarzu są pomalowane na kolor bladozielony,

choć kojarzę, że były chyba beżowe. Wokół same zmiany, ale ja też przecież się zmieniałam.

Gdy pacjentka wychodzi, Igor wpycha mnie do środka i zagraża drogę, bym nie mogła uciec. Czuję, jak policzki oblewa mi rumieniec. Nie przypuszczałam, że mam taką alergię na ginekologów, ale już na samą myśl, że będę musiała przechodzić przez to jeszcze raz, robi mi się niedobrze.

– Witam państwa. – Profesor Kleszczyński wstaje, by podać nam rękę. Kiedyś też był tak kulturalny, tylko włosów, zdaje się, miał trochę więcej. – W czym mogę pomóc? Pani już, zdaje się, kiedyś u mnie była. Pani Hrynkiewicz, prawda?

Potwierdzam. Pamięć profesora zadziwia mnie. Przez jego gabinet musiały przewinać się setki kobiet, a jednak bezbłędnie kojarzy nazwisko.

Nie wiem, co powiedzieć. Najchętniej bym wyszła, ale Igor mocno trzyma mnie za rękę.

Kleszczyński chyba widzi, że nie będę łatwym pacjentem, więc zaczyna ciągnąć mnie za język, zadając pojedyncze pytania. W tym samym czasie szuka czegoś w bazie danych na swoim komputerze.

Krystyna Hrynkiewicz, lat 29. Rozpoznanie: niepłodność pierwotna, idiopatyczna. W obrazie z HSG jajowody obustronnie drożne.

Monitor jest lekko przesunięty, więc nie mam problemu z odczytaniem rozpoznania.

– Nic się nie zmieniło – mówię cicho.

Profesor pyta o termin ostatniej miesiączki. Tyle miałam ostatnio na głowie, że nie pamiętam. Chyba jakoś tuż po bankiecie.

Muszę wejść do łazienki i rozebrać się od pasa w dół. Robię to mechanicznie, odruchowo odświeżając się w bidecie. Nie lubię, jak ktoś obcy dotyka mnie tam na dole, nie cierpię chłodu wziernika ani glutowatej lepkości mazidla do USG.

Słyszę charakterystyczny odgłos zakładania lateksowych

rękawiczek i wiem, że powinnam wyjść. Zakładam jeszcze jednorazową, papierową spódniczkę, by nie świecić tyłkiem, biorę trzy głębokie wdechy i wracam do gabinetu.

Lekarz bada mnie bez słowa, z iście enigmatyczną miną. Chyba coś mu nie pasuje, bo na chwilę wraca do komputera i odszukuje jakiś plik. Skan wyników badań, ale z tej odległości nie mogę nic dojrzeć.

– To niemożliwe – mruczy pod nosem, w zamyśleniu drapiąc się po gładko ogolonej brodzie. – Pan nie jest mężem pani Krysi, prawda? – zwraca się po chwili do Igora.

– Jesteśmy razem od niedawna – wyjaśnia krótko Igor. – Krystyna jest po rozwodzie.

Na twarzy profesora pojawia się promienny uśmiech, a ja czuję się coraz bardziej głupio, leżąc tak rozkraczona na fotelu ginekologicznym. Wraca do mnie, głowica od USG idzie w ruch, profesor pstryka coś przy aparacie i w gabinecie rozbrzmiewa przyspieszone tętno.

– To moje? – pytam, mając wrażenie, że robię z siebie kompletną idiotkę.

Profesor kręci głową.

– Tak, moi kochani, bije serduszko waszego dziecka. Serdecznie gratuluję, będziecie rodzicami. Według USG dziecko powinno urodzić się na początku stycznia.

Otwieram usta, by coś powiedzieć, ale jestem tak zaskoczona, że nie mogę wykrztusić słowa. Pomylił się. Przecież przez tyle lat nie mogłam zajść w ciążę, więc dlaczego akurat teraz? Na pewno się pomylił.

– Przecież jestem bezpłodna. Nie mogę być w ciąży – upieram się.

Profesor spogląda na mnie zza okularów.

– Kto pani takich głupot nagadał? Wina leżała po stronie pani byłego już męża. Jest pani zupełnie zdrowa, nic więc dziwnego, że po zmianie partnera bez problemu zaszła pani w ciążę.

Igor pomaga mi zejść z fotela, bo chyba widzi, że sama nie dam rady. Oczy rozjaśnia mu miłość. Prosi, bym ubrała się szybciotko.

Kleszczyński nie próżnował. Gdy wracam, ma już wypisane skierowania na badania.

– Dam pani od razu zwolnienie – mówi, przysuwając wszystko w moim kierunku. – Wprawdzie niektórzy się upierają, że ciąża to nie choroba, ale jako lekarz z wieloletnim doświadczeniem wiem, że potrafi nieźle dać w kość. A stres teraz szczególnie niewskazany. Proszę kupić witaminy. Nie chcę sugerować konkretnej firmy, w poczekalni są ulotki kilku specyfików, może pani sama zdecydować. I jeśli nie mają państwo żadnych pytań, do zobaczenia za miesiąc.

Nie wiem, jak znalazłam się na korytarzu. Nie zdążyłam jeszcze ochłonać. Igor nie zwraca uwagi, że w poczekalni jeszcze ktoś siedzi, tylko porywa mnie w ramiona, nie mogąc ukryć radości.

– Będziemy... Będziemy mieli dziecko. – Wzruszenie ściska mu gardło. – Nasze własne.

Nie mam odwagi cieszyć się tak otwarcie jak on. Pozwalam sobie jedynie na powściągliwy uśmiech, ale jakieś wewnętrzne ciepło wypełnia moje serce. O spóźniający się okres obwinałam stres, a wystarczyło zrobić test, żeby prawda wyszła na jaw. Ale o tym, oczywiście, nie pomyślałam.

W samochodzie się rozklejam jak głupia.

– I co ja teraz zrobię? Przecież zaraz wyleją mnie z pracy, a nie mam teraz głowy, by rozkręcać firmę. Potrzebuję trochę czasu.

Igor spogląda na mnie z politowaniem.

– Przecież ciężarnej nie można wylać. Do porodu masz zagwarantowane zatrudnienie, a później jakoś sobie poradzimy. W poniedziałek podrzucę twoje L4. Nie będziesz nawet musiała tam chodzić. Jezu, tak bardzo się cieszę – daje w końcu ujście emocjom.

Spoglądam na niego z czułością, gdy całuje moje dłonie. Tak

chyba wygląda prawdziwie szczęśliwy mężczyzna.

– Odwiozę cię do domu – mówi. – Muszę jeszcze coś załatwić, ale niedługo wrócę.

Nie wiem, co wykombinował, ale intuicja podpowiada, że lepiej nie pytać. Szampana chyba nie chce kupić? Powinien wiedzieć, że teraz nie wolno mi pić alkoholu. Kawę też pewnie powinnam ograniczyć.

Dom zastaję pusty. Ani śladu po Dorze czy Nice. Trochę się niepokoję, bo Dora przecież nie wspominała, że gdzieś wychodzą. Przychodzi mi na myśl, że być może ustaliły to z Igorem, i czuję ulgę, bo potrzebuję chwili, by coś przemyśleć. Profesor dał do zrozumienia, że to Hubert w naszym związku był tym słabym ogniwem, źródłem niepowodzeń. Ciężko mi w to uwierzyć, bo przecież Honoratka ma urodzić na początku września. Na pewno nie zmyśla, że jest w ciąży.

Grzebię w torebce w poszukiwaniu koperty, którą powinnam otworzyć przed kilku laty. Jest zaadresowana do mnie, ale w środku oprócz własnego profilu hormonalnego odnajduje również wynik analizy semiologicznej nasienia Huberta.

Azoospermia. Brak nasienia w ejakulacie. Obie próbki zgodne.

Przecieram oczy ze zdziwienia. Hubert nie może być ojcem dziecka Honoraty. Ktoś inny musiał strzelać do tej samej bramki. Ta mała beczelnie wrobiła go w ciążę.

Nie czuję ulgi, że moje przypuszczenia co do intencji tej baby okazały się prawdziwe, jest mi jedynie przykro, że mój były dał się tak łatwo zmanipulować. Ogarnia mnie słodko-gorzkie uczucie, gdy pomyślę, że to mnie wiecznie obwiniał o brak potomka, chociaż po prawdzie po zmianie lekarza już nikt nie proponował mu żadnych badań, na siłę doszukując się problemu właśnie we mnie. A tymczasem to właśnie we mnie rozwija się teraz nowe życie. Długość osiem milimetrów. Wygląda jeszcze jak ziarenko fasoli, ale profesor mówił, że dopiero teraz zacznie się rozwijać intensywnie. Do oczu napływają łzy szczęścia. Ta mała istotka nie ma jeszcze rąk ani nóg, a już ją kocham. Równie mocno, jak Igora i Weronikę.

Boję się, jak dziewczynka zareaguje na wieść o tym, że będzie miała brata lub siostrę, ale postanawiam, że nie dam jej odczuć, że jest przez to mniej ważna. W końcu będzie starszą siostrą. Sama zawsze chciałam mieć rodzeństwo, może właśnie dlatego jestem tak bardzo związana z Jaśkiem. Świadomość, że nie jest się na świecie całkiem samemu, jest przecież bardzo ważna.

Pochłonięta myślami, nie słyszę, że Igor wrócił. Zauważam go, dopiero gdy kładzie mi na kolanach bukiet białych róż.

– Dla najwspanialszej na świecie matki mojego dziecka – mówi.

Wzruszenie odbiera mi głos. Ale to jeszcze nie koniec niespodzianek: Igor wyciąga z małego pudełeczka złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie serca. Jest piękny: zawiera w sobie jeszcze jedno, mniejsze, jako symbol rozwijającego się, nowego życia.

Nie mogę wytrzymać i zaczynam płakać. Igor odkłada na bok kwiaty i przytula mnie z taką czułością, że nie mam żadnych wątpliwości, że jest szczęśliwy. Żadnego, że to za wcześnie, że nie jest gotowy na kolejne dziecko, że nie pytałam, czy w ogóle chce...

– No to zaliczyliśmy wpadkę – śmieję się przez łzy. I nagle uświadamiam sobie coś, na co wcześniej nie zwróciłam uwagi. – Ty się domyślałeś, prawda?

Nie zaprzecza.

– Ale jak? – Nie mogę zrozumieć.

Spogląda na mnie tak, jakby odpowiedź na pytanie była oczywista.

– Przecież ja cały czas siedzę z babami. Bywa, że któraś przyjdzie z przyjaciółką i wtedy trajkoczą jak najęte. Stąd właśnie wiem, że w ciąży rosną piersi, a twoje, nie da się ukryć, zwiększyły objętość.

No tak, mogłam się tego sama domyślić. Nie wiem, dlaczego uważałam, że to żaden dowód. Ale nie, przecież wiem. Przecież piersi powiększają mi się już od momentu owulacji i to do tego

stopnia, że muszę nosić o rozmiar większy stanik. W styczniu nie dostałam okresu. Już myślałam, że jestem w ciąży, a tu okazało się, że to tylko torbiel na jajniku spowodowała zawirowania hormonalne. Skończyło się to wszystko laparoskopią i w dalszej konsekwencji rozwodem. A cycki oczywiście zmały.

Weronika nocuje u Dory, a my wykorzystujemy fakt, że mamy wolną chatę. Kochamy się na stole w kuchni, pomiędzy przygotowaniem kolacji a zjedzeniem jej. Jest inaczej, jakoś tak z większą czułością. Igor nie może oderwać się od mojego podbrzusza, gładzi je i całuje. Na wizycie oczywiście zapytał o te sprawy i gdy usłyszał, że nie ma przeciwwskazań, ucieszył się i postanowił teraz wykorzystać.

– Nigdy nie będę miał cię dość – mówi, poruszając się posuwistymi ruchami, czym rozpala mnie do czerwoności.

– Nawet kiedy przytyję dwadzieścia kilo i będę mieć rozstępy? – drocę się.

– Słowo harcerza.

Przymyka oczy, przygryzając przy tym wargi. Widzę, że już dochodzi, i przytrzymuję go mocniej, podążając za nim. Pupę mam opartą na blacie, ale moje uda obejmują go w słodkim uścisku. Pachnie bazylią, którą kroił do pomidorów, i myślę, że ten zapach już zawsze będzie mi się kojarzył z tą cudowną chwilą. Trwamy jeszcze przez chwilę złączeni, dygocząc, wstrząsani spazmami orgazmu.

Idę do łazienki doprowadzić się do porządku, a gdy wracam, kolacja, jak gdyby nigdy nic, czeka na mnie na stole. Do niej Igor serwuje sok, bo profesor radził ograniczyć nieco picie kawy, tym bardziej że wieczór nie jest odpowiednią porą na tego typu trunki.

– Muszę teraz o was zadbać – mówi. – Matka zwariuje ze szczęścia.

Tak, nie mam raczej wątpliwości, że Dora się ucieszy. Jednak martwi mnie, jak zareaguje Weronika.

– Ona cię kocha – zapewnia Igor, gdy dzielę się

wątpliwościami. – Chciałaby zapytać, czy może do ciebie mówić „mamo”, ale powiedziałem, że to wasza sprawa. Ja się nie będę wtrącał.

Ogarnia mnie wzruszenie. Gdyby Weronika była w domu, to jeszcze teraz pobiegłabym ją wyściskać. Obiecuję sobie, że jeszcze jutro podejmę ten temat, tak by Nika wiedziała, że jest dla mnie bardzo ważna.

Tuż po śniadaniu Igor jedzie po zakupy, bo chcemy przygotować obiad. Ustaliliśmy, że to właśnie wtedy przełożymy rodzinie radosną wiadomość. Profesor powiedział, że teraz, gdy wykształciło się już serduszko, ryzyko poronienia jest mniejsze. Najwięcej ciąż traci się, zanim jeszcze kobieta dowie się, że jest w ciąży, czyli właściwie przegapiliśmy najbardziej stresujący okres.

Dora z Weroniką zjawiają się, gdy rolada z polędwiczek wieprzowych ze szpinakiem dochodzi w piekarniku, a bulion do zupy *ramen* ogrzewa się jeszcze na gazie. Jest z nami jeszcze tylko *okāsan*, bo Jasiak z ojcem dzisiaj pracują, a mała Haru złapała jakiś wirus i Sayaka musiała zostać z nią w domu.

– Nie martw się, mają co jeść – zapewnia *okāsan*, gdy proponuję, że zaniosę im obiad.

No tak, mogłam się przecież domyślić, że matka nie pozwoli synowej i wnuczce umrzeć z głodu. Co jak co, ale gotować to ona po prostu uwielbia. Staralam się ułożyć w bulionówkach makaron i resztę składników tak, jak ona to robi, ale nie jestem pewna, czy to dokładnie tak miało wyglądać.

Dora pyta, czy mamy jakąś okazję do świętowania, ale Igor prosi, żebyśmy najpierw zjedli. Jestem wdzięczna, bo kiszki grają mi marsza, a obawiam się, że po przekazaniu wieści już nie będę mogła spokojnie zająć się obiadem.

Okāsan chwali nasz *ramen*. Jest mi bardzo miło, bo naprawdę dawno go nie gotowałam i nie byłam pewna, czy wyszedł, jak należy. Dora jest z początku sceptyczna, bo przecież zupa nie przypomina wyglądem typowych polskich zup. Kawalki kurczaka, makaron, słupki marchewki, pieczony brokuł,

ćwiartki marynowanych jajek... Wszystko poukładane osobno i zalane bulionem, a nie zmieszane jak w polskich zupach. Te japońskie je się tradycyjnie pałeczkami, ale *okāsan*, widząc heroiczną walkę Dory i Weroniki, mówi, że mogą spokojnie wziąć widelce. Sam mięsny wywar pije się na końcu prosto z miseczki.

Przy drugim daniu wszyscy czują się już bardziej bezpiecznie i całe napięcie znika. Połędwica jest pyszna, mięso po prostu rozpływa się w ustach. Bałam się, że Weronika będzie kręcić nosem na szpinak. Nasłuchałam się przecież podczas przerwy na jednym z kursów z rachunkowości, że dzieciaki pasjami nie cierpią wszystkiego, co zielone, ale widocznie córka Igora należy do odsetka, który mieści się w błędzie statystycznym.

Talerze biesiadników powoli się opróżniają. Igor zjada szybciej i idzie do kuchni po kieliszki i szampana. Nie mogę na to patrzeć, ze wzruszenia wilgotnieją mi oczy. Weronika spogląda na mnie, nic nie rozumiejąc, a ja potwornie się boję, że zaraz złamiemy jej serce, że poczuje się odrzucona.

Nie wiem, czy Igor przygotował jakąś przemowę, ale torpeduje jego plany, pytając dziewczynkę, czy mogę być jej mamą. Nikt nie ma odwagi się odezwać. Wszyscy trwają w oczekiwaniu na reakcję Weroniki.

– Nie żartujesz? – pyta podejrzliwie, a gdy odpowiadam, że absolutnie nie, zarzuca mi ręce na szyi i mocno przytula. Wzruszenie ścisza gardło. Pozwalam łzom płynąć po policzkach.
– Dlaczego płaczesz? – słyszę.

– Bo... Bo bardzo cię kocham – udaje mi się wydukać. – Spełniłaś moje marzenie.

– Moi kochani – podejmuje Igor. – Jeszcze jedno nasze marzenie się spełniło. Weronika nie tylko będzie miała mamę, ale będzie też starszą siostrą.

Rozlegają się brawa, zagłuszone przez chwilę przez huk wystrzeliwującego szampana. Weronika nie przestaje przytulać się do mnie. Czuję ogromną ulgę, właściwie dopiero teraz rozumiem, jak bardzo się tym wszystkim denerwowałam.

Obie matki składają nam gratulacje, wypytując o szczegóły, a my możemy powiedzieć jedynie to, co sami wiemy, czyli że dziecko jest wielkości fasolki i że urodzi się w zimie.

– Jasiek zwariuje ze szczęścia, że Haru będzie miała się z kim bawić – zauważa *okāsan*. – Jak tylko się dowie, pewnie sam, gołymi rękami, rozbierze płot między naszymi posesjami – dodaje zakłopotana. – A dzieci będą miały wspaniałą starszą siostrę.

Weronika, rozumiejąc, że *okāsan* mówi właśnie o niej, unosi głowę.

– To się jakoś specjalnie nazywa, tak? – Próbuje sobie przypomnieć strukturę japońskiej rodziny, o której opowiadała jej *okāsan*. – *Obāsan* to babcia... Mam! *Onesan* to starsza siostra.

– *Onēsan* – poprawia ją *okāsan*, ale po minie odgaduję, że jest dumna z Weroniki. – Długa samogłoska – dodaje, by wyjaśnić, na czym polegał błąd.

– No tak, zapomniałam. – Nika się śmieje, zakłopotana drobną pomyłką.

– Ależ moi drodzy, to teraz trzeba się wziąć za te chaszczki na zewnątrz, bo później nie będzie czasu – przewiduje Dora. – Pranie, prasowanie, pieluchy... W ogóle nie będziecie mieć do tego głowy. Zorganizuję profesjonalną firmę. Powiecie, jakie macie oczekiwania, a oni zrobią projekt i można będzie zacząć działać.

Wzdycham. Nie da się ukryć, że na ogród to ja pomysłu za bardzo nie mam. Może rzeczywiście lepiej zdać się na fachowców? W końcu jest początek lata, przed nami jeszcze wiele ciepłych dni, miło będzie spędzać czas w ładnie zaaranżowanym ogrodzie. Może zrobimy grilla? Mam wrażenie, że Igor z Jaśkiem chętnie by się tym zajęli. Dzieciom też przyjemnie będzie pobawić się w bezpiecznym miejscu. Nie będę już się martwić, że dziewczynki wejdą w wysokie chwasty pełne pokrzyw i Bóg wie czego.

Rozmarzam się. Nie powinno być problemów. Podobno

trawnik sadi się teraz z rolki, więc już niedługo ogród zmieni się nie do poznania.

I rzeczywiście, mimo napiętych terminów, i pewnie dzięki sowitej zaliczce, już w następny poniedziałek pojawia się ekipa, która kosi i plewi pobożowisko z przodu i z tyłu domu. Nie spodziewałam się, że to będzie szło tak sprawnie. Bałam się, że ogrodnicy przestraszą się wysokich chwastów, ale oni mówią, że to dobry znak, że ziemia jest żyzna.

– Tylko zostawcie tam te maliny – proszę. Zawsze lubiłam te owoce, a z krzaka smakuja lepiej niż te ze sklepu. – Można odgrodzić je jakimś niewysokim płotem, by miały się na czym oprzeć.

Dora jest z siebie zadowolona. Siedzi na tarasie, popijając kawę, i zagaduje jednego z pracowników na temat kwiatów.

– Myślałam o drzewiastych piwoniach – wtrącam nieśmiało. – Poza tym brat zamówił sadzonki *sakury*. Powinny dojść w tym tygodniu. Zdemontujemy płot i posadzimy je na jego miejscu.

Bałam się, że będzie protestował, bo psujemy mu projekt, ale mężczyzna dziękuje za sugestie, stwierdzając, że umieści to wszystko na wizualizacji, którą przygotowuje. Odczuwam ulgę, bo przecież nie chciałam się kłócić. Jedynie Dora pyta, czy piwonie, podobnie jak chryzantemy, nie kojarzą mi się z cmentarzem. Cierpliwie wyjaśniam, że piwonia to boski kwiat, uprawiany na dalekim wschodzie już od tysięcy lat, oraz że kiedyś był cenniejszy niż złoto. Opowiadam o piwoniach, które widziałam w tokijskim parku, i mam wrażenie, że wewnętrzny opór Dory ustępuje.

– Ja się na tym nie znam – wyjaśnia zakłopotana. – Przez całe życie uczyłam matematyki. To mój mąż włączył się z wykładami po świecie.

Milknie, obawiając się, że powiedziała za dużo. Nie chcę, by robiła sobie jakieś wyrzuty, więc mówię, że Igor opowiedział mi pokrótce, co się stało.

– Nie miałam pojęcia, że Antoni znęcał się nad Igorem – podejmuje przygaszona. Jej wzrok błądzi gdzieś między tarasem

a uwijającymi się w ogrodzie pracownikami, twarz jest ściągnięta bólem. – Śmierć Sergiusza była dla nas szokiem. Nie chcę sobie nawet wyobrażać, jak cierpiał Igor. Wiem, że się obwiniął, ale nie sądziłam, że targnie się na swoje życie.

Dobrze, że Dora nie patrzy w moją stronę, bo od razu by odkryła, że o tym ukochany nie napomknął nawet słowem. Nietrudno to zrozumieć. Próba samobójcza nie jest powodem do dumy i człowiek normalnie nie chwali się tym na pierwszej randce. No dobra, na drugiej też raczej nie. Teraz już rozumiem, dlaczego Igor się przestraszył, widząc mnie w towarzystwie doktora Tarnowskiego.

– To już przeszłość – nieudolnie próbuję pocieszyć Dorę. Życie nie było dla niej łaskawe. Jednego syna już straciła, nic dziwnego, że tak bardzo martwi się o Igora.

– Krysiu, cieszę się, że Igor związał się z tobą – zapewnia, po przyjacielsku ściskając moją dłoń. – Miło widzieć, że jest wreszcie szczęśliwy.

Zawołowany komplement wprawia mnie z zakłopotaniem, ale uśmiecham się w odpowiedzi. To dobra, ciepła kobieta, tak samo jak *okāsan*. Może czasami trochę przesadza z opiekuńczością, ale lepsze to niż sztuczny uśmiech matki Huberta. Z nią na pewno nie siedziałabym beztrudnie na tarasie, tymczasem towarzystwo Teodory Sygniewskiej w niczym mi nie przeszkadza. Ba, zaczynam je nawet doceniać.

Wycieram z czoła stróżkę potu. Upał daje mi się we znaki, więc proponuję, że przyniosę wszystkim coś do picia.

– Świetny pomysł, szefowo – mówi jeden z ubrudzonych niemal po same pachy pracowników.

Towarzyszą nam ostatecznie prawie do osiemnastej, więc Dora nagina zasady i godzi się, żebym zamówiła pizzę dla nas wszystkich. Ale w końcu uczciwie pracują, najpierw przekopując ziemię, a potem wyrównując ją pod przyszły trawnik.

Malinowy zakątek został gruntownie wyplewiony. Mój pomysł, by odgrodzić go drewnianym, ażurowym płotkiem, a przed nim

postawić ławkę, trafił na podatny grunt.

Jutro mam otrzymać wizualizację projektu zagospodarowania ogrodu. Już się nie mogę doczekać. Chyba budzi się we mnie syndrom wicia gniazda.

*

Wstaję wcześnie, jeszcze przed Igorem, i przygotowuję śniadanie. Staram się, by kanapki były kolorowe i apetyczne. Gdy reszta domowników dołącza do mnie w kuchni, nalewam do kubków zbożową kawę z mlekiem.

– Mamo, jesteś pewna, że to da się pić? – W głosie Weroniki rozbrzmiewa nuta niepewności.

Uwielbiam, gdy nazywa mnie mamą. Zaczęła w sobotę, po obiedzie. Najpierw nieśmiało, badając moją reakcję, ale później stało się to bardziej naturalne. Po prostu muzyka dla moich uszu.

– Spróbuj – zachęcam z uśmiechem. – Jeśli nie polubisz, wymyślimy coś innego.

Spoglądam przelotnie na Igora i z zadowoleniem zauważam, że jest ze mnie dumny. Rozpiera mnie szczęście.

– Jasiek powiedział, że załatwił na dzisiaj kogoś do zdemontowania płotu – zagaduje Igor pomiędzy jednym kęsem na drugim.

Nie miałam pojęcia, że rozmawiali, ale staram się nie dać tego po sobie poznać. W końcu chyba powinnam się cieszyć, że po pierwszych, naznaczonych podejrzliwością kontaktach zdołali się porozumieć. To, że robią to za moimi plecami, jest przecież szczególnie bez większego znaczenia.

– Świetnie. – W mojej głowie zaczynają się krystalizować konkretne rozwiązania. – Będzie można zagospodarować granicę działek. I nie trzeba będzie latać dookoła.

Rozmawiam z Igorem, ale tak naprawdę przez cały czas

ukradkiem przyglądam się Weronice. Po jej minie widzę, że napój nie za bardzo przypadł jej do gustu, jednak nie mówi, że chciałaby coś innego. Ogarnia mnie rozczulające ciepło, gdy uświadamiam sobie, jak bardzo się stara, bym była z niej zadowolona. Postanawiam, że jakoś jej to wynagrodzę. Na przykład bitą śmietaną z malinami na podwieczorek. Z doświadczenia wiem, że chodzenie do szkoły w czerwcu, gdy myślami jest się już na wakacjach, nie należy do przyjemności, więc deser może osłodzić uczucie przygnębienia.

Obie ekipy pojawiają się przed dziewiątą. Po pierwszych spięciach dochodzą do wniosku, że osiągną więcej, nie przeszkadzając sobie nawzajem, więc po godzinie w ogrodzie panuje już spokój. Dostaję do zaakceptowania projekt i pochylamy się nad nim razem z *okāsan*. Dora dzisiaj nie przyjdzie. Ma wizytę u lekarza, więc jesteśmy same, jeśli nie liczyć tej bandy w ogrodzie.

Kacper Biernacki, który podpisał się pod aranżacją, wpadł na pomysł, by obsadzić jedynie obrzeża ogrodu, pozostawiając w środku wolną przestrzeń. W wizualizacji umieścił na dość sporym, bądź co bądź, tarasie stół z krzesłami. Na trawie postawił duży przenośny grill, dołączając adnotację, że może też być murowany. Z tej strony płot jest wysoki, z otynkowanej cegły, więc uznał, że tu można podnieść nieco poziom podłoża i zasadzić ozdobne trawy i kwitnące byliny. Znalazło się miejsce dla karłowatego klonu o czerwonych liściach. Dalej, w rogu, jest ogrodzony ażurowym płotem malinowy zakątek. Przy przejściu ustawiono kamienną latarnię, jaką można często spotkać w ogrodach japońskich.

Na wprost tarasu na projekcie stoi wysoka na metr kamienna misa, obsadzona krzaczkami poziomek. Muszę przyznać, że to pomysłowe rozwiązanie, nie trzeba będzie się schylać. Dalej znalazło się miejsce dla moich wymarzonych drzewiastych piwonii i chryzantem, a na skraju działki, w szpalerze, mają rosnać *sakury*. Mogę sobie wyobrazić, jak tu będzie pięknie za kilka lat, gdy wszystkie rośliny urosną.

– To wygląda pięknie – deklaruje *okāsan*, rozciągając usta w szeroki uśmiech. – Umiar i harmonia.

Potwierdzam. Mnie też projekt przypadł do gustu. Cena również jest akceptowalna, więc wychodzę na taras i mówię chłopakom, że zgadzam się na wszystko. Wiem, że nie wyrobiam się w ciągu jednego dnia, ale przecież nie od razu Rzym zbudowano.

Po południu odbieram Weronikę ze szkoły, a później *okāsan* woła nas na obiad. Mała Haru, asystowana przez Sayakę, nie odstępuje Weroniki na krok, zagadując po dziecinnemu, w sobie tylko znanym języku.

– Ni ka – sylabizuje Weronika, próbując nauczyć berbecia, jak może się do niej zwracać.

Dziecko chichocze, klaszcząc wesoło w dłonie, zadowolone, że jest w centrum uwagi, a mnie rozczuła ta scena. Wyobrażam sobie, że Weronika będzie się w ten sposób bawić ze swoją siostrą lub bratem, bo przecież na tym etapie ciąży nie można jeszcze stwierdzić, jakiej płci jest dziecko.

Kończę jarzynową z plasterkami warzyw tłoczonymi w kształt kwiatów i obiecuję sobie, że poszukam takich wyzimatek. Bo przecież Weronice bardzo podobają się pływające w zupie kwiaty. Jesienią można będzie przeciskać liście, a zimą płatki śniegu. To wszystko robiła *okāsan*, gdy byliśmy z Jaśkiem dziećmi. Wszystkie te formy i kolory chcę teraz przekazać swoim dzieciom. Chcę nauczyć je tego wszystkiego, co sama umiem.

– Mamo, nie płacz. – Dłoń Niki zaciska się na mojej. – Coś cię boli? Zadzwoń po tatę?

– Wszystko w porządku – odpowiadam, bo przecież doskonale wiem, że to hormony szarpiają tak moimi emocjami.

– Krysia po obiedzie pójdzie się położyć – zarządza *okāsan*. – Tak, pamiętam o przesadach – dodaje, widząc, że chcę zaprotestować. – Nie chcę, żebyś zamieniła się w krowę, więc okrążysz dom dwa razy. Uznamy, że to był spacer. To tyle, jeśli chodzi o zabobony. Krysia potrzebuje snu.

Okāsan, jak zawsze, ma rację. Rzeczywiście jestem zmęczona. Zasypiam natychmiast, gdy tylko kładę się we własnej sypialni. Na szczęście nie muszę się o nic martwić: *okāsan* przyszła

z nami i pewnie opowiada Weronice jakieś legendy albo zajmują się kaligrafią, bo przecież pytała, czy może wziąć tusz, pędzel i kartki. Nie mam nic przeciwko. Niech robią, co chcą.

Nie wiem, ile spałam, ale budzi mnie dzwonek telefonu. Aurelia.

– Afera jest z tym twoim zwolnieniem – zaczyna, nie owijając w bawełnę. – Twój były palnął gdzieś na korytarzu, że jesteś bezpłodna, ktoś to usłyszał i teraz chcą cię wysłać na badania lekarskie i zwolnić dyscyplinarnie pod zarzutem oszustwa.

Gdybym już nie siedziała, to właśnie ugięłyby się pode mną kolana. Nie mogę uwierzyć, że Hubert był tak bezczelny i nietaktowny.

– Oczywiście nie wierzę, że mogłabyś kłamać – kontynuuje przejęta Aurelia. – Nie chcę pracować w firmie, która w ten sposób traktuje swoich pracowników. Złożyłam wypowiedzenie. Idę na zaległy urlop.

Zaczynam szlochać, pociągając nosem, a asystentka próbuje mnie pocieszyć.

– Jestem z tobą, Krysiu – zapewnia. – Robią ci straszne świństwo, ale karma wraca. Zabrałam z biura twoje rzeczy. Nie będę tam więcej wracać i tobie też nie radzę. Jeśli jesteś w domu, zaraz ci wszystko podrzucę. Marcel mówi, że możesz ich pozwać o zniesławienie i starać się o wysokie odszkodowanie. Jego kuzyn jest prawnikiem. Marcel obiecał, że z nim porozmawia.

Gdy schodzę do salonu, *okāsan* od razu zauważa, że płakałam.

– Kłopoty w pracy – mówię z nadzieją, że nie będzie drażnić tematu.

Nie draży. Informuje jedynie, że pracownicy firmy ogrodniczej już sobie poszli. Przyjdą jutro o tej samej porze.

– Dziękuję, mamó. – Obejmuję ją czule. Może po części dlatego, że dręczy mnie nieutulona potrzeba bliskości. W pracy ktoś mnie nienawidzi, Hubert gada głupoty, a ja tak bardzo

potrzebuję czuć się kochana. Może to wina hormonów, ale jestem teraz bardziej wyczulona na opinie innych.

Podchodzę do kuchennego okna i widzę jakieś poruszenie tuż za furtką. Na ziemi coś leży. I ktoś. Jakiś mężczyzna żywo gestykuluje, rozmawiając przez telefon.

Nie czekam dłużej i wybiegam z domu. Tam ktoś naprawdę leży. Przyspieszam. Najpierw zauważam kałużę krwi, a później Aurelię. Powietrze przecina ostry sygnał nadjeżdżającej karetki.

– Aurelcia! – Wydaje mi się, że krzyczę, ale z gardła wydobywa się tylko głuchy jęk.

Tuż przed bramą wjazdową parkuje karetka, a zaraz za nią radiowóz. Klękam koło Aurelii, ale ktoś odsuwa mnie na bok. Jakiś policjant, którego stopnia nie mogę rozpoznać, zadaje pytania, a młode małżeństwo, które wezwało pomoc i spłoszyło bandziora, odpowiada wyczerpująco.

Aurelia zaparkowała przed domem sąsiadki, wyjęła pakunki z bagażnika i ruszyła w stronę mojej furtki. Tu jakieś dwie zakapturzone postacie zagroziły jej drogę. Ten wyższy walnął ją w głowę kijem, który zresztą leży porzucony opodal na chodniku.

Ratownicy medyczni zakładają Aurelce kołnierz i zabezpieczają na noszach. Dziewczyna jest tak blada, że boję się o jej życie. Strach ściska mi gardło.

– Ona się nazywa Aurelia Chmielnicka – mówię złapanemu za rękaw policjantowi, depcząc przy okazji rzeczy, które niosła Aurelka. – To moja asystentka i bliska koleżanka. Przyszła mnie odwiedzić. Zawiadomcie jej chłopaka. Musi mieć numer w telefonie. Ma na imię Marcel.

Schylam się, by podnieść jeden z moich kalendarzy, ale słyszę, że nie wolno, że to może być dowód w sprawie, więc rezygnuję.

Karetka odjeżdża, ale technicy uwijają się jeszcze, fotografując wszystko i skrupulatnie katalogując wszelkie ślady.

Czuje, że *okāsan* podtrzymuje mnie wpół i jestem wdzięczna,

bo ledwie trzymam się na nogach. Chce mi się płakać. Nie mogę zrozumieć, kto mógłby chcieć skrzywdzić Aurelcię. Przecież ona nie ma wrogów.

I nagle z całkowitą jasnością uświadamiam sobie, że mogło chodzić o mnie. Jesteśmy mniej więcej jednakowego wzrostu, a teraz, po tym, jak obie zmieniłyśmy fryzury, wyglądamy od tyłu bardzo podobnie. Przecież ci psychole mogli myśleć, że to ja! W końcu Aurelia szła w stronę mojego domu.

Nie mogę dłużej wytrzymać. Odwracam się i zaczynam wymiotować. Ledwie dociera do mnie, że ktoś pyta, co mi się stało.

– Córka jest bardzo wrażliwa – mówi spokojnie *okāsan*.

Właściwie nie mam nic do powiedzenia, ale i tak obiecuję, że zgłoszę się jutro na komisariat w celu złożenia zeznań. Policjanci spisują moje nazwisko oraz dane pozostałych świadków i zostajemy z *okāsan* same przed domem.

Igor wraca z przeciwnego kierunku niż zawsze. Na nasz widok parkuje pod furtką *okāsan* i szybko wysiada z samochodu.

– Wszystko w porządku? Co się stało? – pyta, spoglądając na plamę krwi i moje wymiociny.

– Przepraszam, posprzątam to – mogę tylko wydukać, bo czuję, że zaraz głos mi się załamie.

Okāsan jest silniejsza. Z właściwym sobie spokojem relacjonuje Igorowi, co tu się wydarzyło.

– Masz szczęście, że nic ci się nie stało. – Igor przytula mnie mocno, jakby chciał w ten sposób uchronić przed całym złym światem. – Poszukam firmy ochroniarskiej. Nie wyjdiesz z domu bez obstawy.

Jeszcze wczoraj powiedziałabym, że przesadza, ale dzisiaj sama się boję. Przecież to ja mogłabym być na miejscu Aurelki. Co by się wtedy stało z dzieckiem? Nie, nie chcę nawet o tym myśleć.

– Chodźmy do domu – proszę.

Już w środku Weronika przylega do mnie roztrzęsiona. Mówi, że chciała wyjść, ale babcia Yuki kazała jej zostać. Staram się ją uspokoić, ale nastawienie Igora w niczym nie pomaga. Chodzi po korytarzu i warczy pod nosem, że nie pozwoli nikomu nas skrzywdzić.

Okāsan przygotowuje kolację, ale nie jestem głodna. Dopiero Jasiek, który wpada na chwilę w drodze do domu, zmusza mnie do jedzenia.

– Będiesz matką – mówi. – Musisz jeść. Dziecko się rozwija cały czas, jego nie interesuje, czy jesteś głodna, czy nie.

Pytam, czy pojedzie ze mną jutro na komisariat. Odpowiada, że owszem. Ma w kuchni drugą zmianę, więc rano może pomóc.

Świetnie. Niestety Igor będzie w pracy aż do osiemnastej, więc na niego nie mogłabym liczyć.

Tego wieczoru Weronika nie może zasnąć. Stoję pod drzwiami jej sypialni i słyszę, jak się wierci, odwracając z boku na bok.

– Mogę? – pytam, zaglądając do środka.

Dziewczynka momentalnie siada, podciągając kolana pod brodę. W tej swojej różowej piżamce w białe misie wygląda tak bezradnie, że żal ściska mi serce.

– Ta pani... Ona wyzdrowieje, prawda? – Bez owijania w bawełnę wyjawia, co ją dręczy.

Siadam na skraju łóżka i przytulam Nikę, by dodać otuchy nam obu. Miękkie, jedwabiste włosy dziewczynki urosły już kilka centymetrów po tej szaleńczej decyzji naśladowania mnie. Z czułością zakładam kosmyk za jej ucho, tak by nie zasłaniał pola widzenia.

– Mam taką nadzieję, kochanie – mówię. – Jutro spróbuję się czegoś dowiedzieć. Babcia Dora przyjedzie rano, a później zabierze cię do szkoły. Bo zaczynasz dopiero od trzeciej lekcji, prawda?

Weronika kiwa głową, jakby już знаła plany na jutrzejszy dzień. Może zresztą Igor powiedział jej, gdy byłam w łazience? Spędziłam tam przecież sporo czasu.

– Zostaniesz ze mną, póki nie zasnę?

Nie mam nic przeciwko. Otulam ją kołdrą, bo po popołudniowym upale nie ma już śladu, zastąpił go chłód.

– Możesz się położyć koło mnie – słyszę.

Nie wiem, czy powinnam. Nika się przesuwają, robiąc mi miejsce, więc kapituluję. Z początku wydaje mi się, że będzie nam razem ciasno, ale nic bardziej mylnego. Dziewczynka układa się na boku, a ja obejmuję ją w pasie.

– Kocham cię, mamó – słyszę jeszcze.

– Ja też cię kocham, córeczko. – Te proste słowa tak łatwo przechodzą mi przez gardło, jakbym wypowiadała je codziennie. A przecież gdy na klatce schodowej ucichły kroki wyrzuconego przeze mnie Huberta, myślałam, że już nic dobrego w życiu

mnie nie spotka. Myślałam, że jestem przeklęta. Że już zawsze będę sama. Tymczasem spotkałam wspaniałego mężczyznę, jego córka nazywa mnie mamą i sama spodziewam się teraz dziecka. Czegóż mogłabym chcieć więcej?

Wzdrygam się, gdy ktoś dotyka mojego ramienia. Igor.

– Musiałam przysnąć – tłumaczę się szeptem.

Nie jest na mnie zły, z czułością pomaga mi wstać.

– Zdrętwiejesz.

Ma racje, już przecież czuję mrowienie w łydkach. Jeśli zaraz złapie mnie skurcz, będę wyła z bólu.

Idę wziąć szybki prysznic, a Igor czeka, żeby podać mi ręcznik. Myślałam, że może ma ochotę na seks, ale nie, jest chyba zbyt zdenerwowany. Teraz, gdy jesteśmy tylko we dwoje, nie musi ukrywać emocji i udawać, że wszystko jest w porządku.

– Jutro postaram się zorganizować ochronę – mówi twardo, nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Będę miał klientkę, która sama korzysta z usług firmy ochroniarskiej, więc przy okazji wypytam o szczegóły.

Nie pytam, czy to konieczne. Za bardzo się boję. Dzwoniłam do szpitala, by zapytać, co z Aurelką, ale nikt nie chciał mi nic powiedzieć, a numeru telefonu do tego jej Marcela oczywiście nie mam. Ta niepewność strasznie mnie denerwuje. Czuję się poniekąd winna, bo przecież ktoś ją zaatakował, gdy szła do mnie.

– Powiedz, że to tylko jakiś koszmar i zaraz się obudzę – błagam, czując, że zaraz wpadnę w panikę. Rodzice, zarówno biologiczni, jak i przybrani, wpoili mi ucziwość i poszanowanie dla drugiego człowieka. Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić, nawet Huberta, tymczasem ktoś postanowił zaatakować mnie grubym kijem. Nie potrafię tego zrozumieć.

W nocy budzę się kilka razy, oblana zimnym potem. Igor wstaje za każdym razem i próbuje mnie uspokoić, gładząc po plecach i szepcząc pełne miłości słowa. Cały czas powtarza, że wszystko będzie dobrze. Chcę mu wierzyć. Muszę. Inaczej

zwariuję.

Nie mogę nic przełknąć na śniadanie. Wiem, że moje zdenerwowanie udziela się również Weronice, ale nie potrafię się fałszywie uśmiechać. Jem, dopiero gdy Dora grozi, że zadzwoni po Igora. Ona sama, po odwiezieniu Weroniki do szkoły, wybiera się do *okāsan*. Przecież po zdemontowaniu płotu również stamtąd można doglądać prac w ogrodzie. Zresztą dzisiaj powinni już skończyć. Rośliny, łącznie z *sakurami*, są już posadzone. Pozostało jedynie wyściółkować klomby, by żaden chwast nie miał szansy wyrosnąć.

Nie chcę tego mówić, ale cieszę się, że dziewczyny wychodzą. Nie będę musiała się martwić, że ktoś na przykład podpali dom, gdy będą w środku.

Nie, no popadasz w paranoję – przywołuję się do porządku.

Na komendzie spędzam ponad godzinę. Najpierw czekam na spotkanego wczoraj, jak się okazało, komisarza Ślusarskiego, a później odpowiadam na szereg pytań dotyczących mojej znajomości z Aurelią. Wysuwam teorię, że być może napastnik pomylił mnie z nią, co skutkuje tuzinem dalszych pytań.

Korzystając z tego, że mężczyzna zrobił pauzę w celu zaczerpnięcia oddechu, ryzykuję pytanie, czy wie, jak czuje się Aurelia. Kręci, że nie może udzielać takich informacji, bo teoretycznie mogłam zlecić komuś pobicie Aurelii, ale zdradza, że chcą postawić bandytom zarzut pobicia, a nie morderstwa. To musi mi na razie wystarczyć.

– Jesteś zielona – bez ogródek stwierdza Jasiek, gdy wychodzę z budynku. Nie pozwolono mu czekać pod drzwiami, więc wyszedł na dwór, do samochodu. Ale gdy tylko mnie zobaczył, podszedł, by pomóc.

– Dzięki, braciszku, zawsze wiesz, jak człowieka pocieszyć. – Uśmiecham się kwaśno.

Jasiek się naburmusza.

– Jesteś moją jedyną siostrą. Nic dziwnego, że się martwię – prostuje mnie. – Rozmawiałaś wczoraj z Igorem?

Niewinne z pozoru pytanie zostało zadane takim tonem, że zaczynam się bać. Znów coś wykombinowali? Za moimi plecami? To ponad moje siły.

– Czyli nie rozmawiałaś – konstatuje Jasiek. – No w sumie nic dziwnego. Zresztą będzie jeszcze na to czas.

Zauważam, że próbuje wycofać się rakiem, ale nie mogę na to pozwolić. Jak już zaczął, musi skończyć.

– Gadaj po dobroci – żądam, zajmując miejsce pasażera.

Jasiek ostrożnie cofa i włączamy się w uliczny ruch. Na szczęście o tej godzinie jeszcze nie ma korków. Ponagliam, odgrając się, że wywołkę na światło dzienne jakieś stare brudy, więc kapituluje, tak na wszelki wypadek. Cieszę się, bo po prawdzie nie mogę sobie przypomnieć nic kompromitującego. Przecież na zwykłe wagary to każdy chyba kiedyś poszedł. Zresztą daliśmy nogę razem: on z matmy, ja z chemii.

– Znalazłem lokal na twoją galerię – podejmuje. – Bo przecież skoro rodzina się wam powiększy, ten pokój na piętrze trzeba będzie odzyskać. Poza tym lepiej, żeby w domu, w którym jest małe dziecko, nie było farb. Uwierz, Haru wygląda niepozornie, ale diabłu wejdzie wszędzie.

Nie mogę się powstrzymać i parskam śmiechem.

– Jak kiedyś my.

To rozluźnia trochę atmosferę, bo Jasiek też chichocze pod nosem.

– To dawny sklep obuwniczy – podejmuje po chwili. – Dość spory. Duże okna, dobre światło. Podwieszany sufit z oświetleniem ledowym. Właściciel wyjeżdża i chce się tego szybko pozbyć. Pewnie zejdzie trochę z ceny.

Doceniam zaangażowanie, jednak myślę, że to dzieje się za szybko. Sama zajmę się prowadzeniem firmy, jeśli będę na to gotowa.

– Jasiek, rozumiem, że chcesz pomóc, ale dopiero co kupiłam dom i nie cierpię na nadmiar gotówki. Poza tym w pracy źle się

dzieje. Właściwie nie wiem, czy mam tam jeszcze czego szukać.

Brat spogląda na mnie spod oka, jakbym powiedziała coś strasznie głupiego.

– Nie mogą cię teraz wylać. Tak działa prawo pracy. Pewnie znasz kogoś w banku, z kim mogłabyś porozmawiać o kredycie. Jakby co, to pomogę. Igor też ma taki plan. Przecież to jego mieszkanie jest sporo warte. Nie musi od razu sprzedawać, z wynajmu też może być niezła kasa. W sam raz na ratę.

Muszę przyznać, że całkiem dobrze to sobie wykombinowali. Gdybym jeszcze miała teraz do tego głowę...

Każę Jaškowi poczekać na parkingu. Obrusza się, że powinien mnie chronić, ale tłumaczę, że nikt z zewnątrz nie może sobie, ot tak, łązić po terenie firmy. Gdy miał ze sobą jedzenie i dostał na portierni plakietkę „gość”, sprawa wyglądała inaczej, ale teraz na pewno go nie wpuszczą.

Odbijam się na bramce. Znajomy pracownik ochrony wita mnie, więc odwzajemniam uśmiech, mimo iż z nerwów jest mi niedobrze. Ale jest już za późno, żeby zawrócić. Poza tym nie mogę uciekać, nie zrobiłam nic złego. Nie dam się zaszczyć jak zwierzyna łowna.

Po wejściu do budynku od razu skręcam korytarzem w lewo, w kierunku pokoju, w którym urzęduje Gołabek. W gmachu jest winda, ale Andrzej prosił o biuro na parterze, bo twierdzi, że tu korytarze są szersze i łatwiej mu poruszać się na wózku. Poza tym na tej kondygnacji łatwiej było dostosować toaletę do jego potrzeb. Firma dostała na to pieniądze z PFRON-u, sama skompletowałam wymagane dokumenty.

Uchylam drzwi. Andrzej unosi głowę znad gazety. Zgaduję, że jest to coś z naszej działki, bo na stronie zauważam wykresy i diagramy.

– Miło cię widzieć. Wybaczysz, że nie wstanę – żartuje jak zawsze, gestem zapraszając mnie do środka.

Czuję ulgę. Cieszę się, że chociaż on nie traktuje mnie jak trędowatą.

– Ślicznie wyglądasz – kontynuuje. – Miłość zawsze służy kobiecie.

– Ja właśnie w tej sprawie – wchodzę w słowo, nie pozwalając ciągnąć myśli. – Po urodzeniu dziecka nie wracam do pracy.

W zamyśleniu kiwa głową.

– No tak, urlop macierzyński – zgaduje, ale przecież nie trafia. Nie może wiedzieć.

– Powiedzmy, że zmodyfikowałam plany zawodowe. Nie będę mogła poświęcać firmie tyle czasu, co wcześniej. Chciałam, żebyś wiedział o tym jako pierwszy, bo może miałbyś ochotę wrócić do dawnego biura. Chodzi oczywiście o stanowisko dyrektora finansowego.

Andrzej spogląda na mnie, nie kryjąc zaskoczenia.

– Serio chcesz zrezygnować z pracy? Po tym, ile czasu poświęciłaś, by się we wszystko wdroyć?

Wzdycham ciężko, ale przecież wiedziałam, że to nie będzie łatwa rozmowa.

– Może właśnie dlatego – odpowiadam cicho. – Chyba się wypaliłam. Przychodzenie do pracy już nie cieszy. Jedynie stresuje. Nie mogę tak dłużej.

Widzę, że Andrzej ma ochotę coś powiedzieć, jednak się waha.

– Będę ciągnąć L4 przez całą ciążę – kontynuuje. – Ziemiański i tak dał mi do zrozumienia, że nie mam tu czego szukać. Pewnie się wściekł, gdy Igor przyniósł zwolnienie.

Mój mentor opiera łokcie na biurku, pochylając się w moją stronę.

– Wiesz, nie biegam po korytarzach, więc większość plotek mnie omija, ale chyba rzeczywiście ktoś ci robi czarny PR – wyznaje wreszcie. – Nie rozumiem, o co dokładnie chodzi, ale ptaszki ćwierkają, że szef zakumplował się z twoim byłym. Chciał nawet, żebym go uczył, ale ja do tego ręki nie przyłożę – zarzeka się. – Za dwa tygodnie jadę na turnus rehabilitacyjny do Kołobrzegu, później urlop i będę tylko odliczał, bo zostało mi

już tylko pół roku do emerytury. Więc nie, nie zamierzam już wracać do pełnionej wcześniej funkcji. Są inni, którym bardziej na tym zależy. Zostałem podwójnym dziadkiem, wiesz? Synowa urodziła bliźniaczki.

Gratuluje, bo przecież wiem, że jego jedyny syn jest już dwanaście lat po ślubie. Andrzej nigdy nie zdradził, że coś jest nie tak, ale sama mając podobne doświadczenia, mogłam się domyślić. Przecież, statystycznie rzecz biorąc, niewiele par świadomie decyduje się na brak potomstwa.

Idąc na górę, wpadam na kochankę mojego byłego. Odnotowuję z satysfakcją, że od naszego ostatniego spotkania przybyło jej z dziesięć kilogramów. Obiecuję sobie, że ja nie będę tak wyglądać.

– K-Kryśka? – Patrzy na mnie z niedowierzaniem. – A co ty tutaj robisz?

– Jak na razie jeszcze pracuję, ale już niedługo – odpowiadam beztrąsko.

Usta Honoraty zaciskają się w wąską linię.

– Ładnie załatwiłaś Huberta – cedzi w końcu. – Teraz wszyscy się z niego śmieją, że przyprawiłaś mu rogi.

Parskam śmiechem.

– Ja jemu? Ty tak na serio? Kto tu kogo z kim przyłapał?

Honorata robi się purpurowa na twarzy. Nadyma się tak bardzo, jakby zaraz miała pęknąć.

– Powiedział, że nigdy nie był z tobą szczęśliwy – wypala, sięgając, w swoim mniemaniu, po broń ostateczną.

– I vice versa – odpowiadam z podniesionym czołem. – Mama zawsze mi powtarzała, żeby oddawać zużyte zabawki tym, którym się mniej w życiu poszczęściło.

Nie wymyśliłam tego sama, raczej gdzieś przeczytałam, ale pasuje doskonale. Honorata jest wściekła. Zamierza się, by mnie uderzyć, ale łapię ją za nadgarstek.

– Trzymajcie się ode mnie z daleka albo pożałujesz –

zapewniam. – Wiesz, że Hubert nie lubi, jak się go okłamuje? Jest coś takiego, jak badanie na potwierdzenie ojcostwa, wiesz? I co wtedy?

Patrzę z satysfakcją, jak zaczerwieniona przed chwilą twarz Honoraty robi się kredowo-biała. Teraz już mam pewność, że wrobiła Huberta z premedytacją.

– Jesteś podła – wyrywa się z jej ust.

– Uprzejmość za uprzejmość – komentuję. Wiem, że dotknęłam ją do żywego, ale nic mnie to zresztą nie obchodzi. Jest zwykłą oszustką i złodziejką cudzych mężów. – Przepraszam, śpieszę się – dodaję, wymijając ją szerokim łukiem. Nie przestaje mnie jedynie zastawiać, dlaczego ona sobie, ot tak, chodzi po firmie. Ale widać wiele się tu ostatnio zmieniło.

W sekretariacie nikogo nie ma, ale stojący na biurku kubek sugeruje, że Klaudia jest w pracy. Pewnie wyszła do toalety. To lepiej, nie muszę angażować się w zdawkowe rozmowy, tylko od razu zaglądam do gabinetu prezesa.

Ziemiański siedzi rozparty w swoim skórzanym fotelu, ale na mój widok prostuje się, wciągając brzuch. To odruch zawsze mnie u niego śmieszy, bo przecież jest żonaty, ale może faceci już tak mają, że chcą podobać się wszystkim kobietom. Nawet tym, które niezbyt lubią.

– Miło panią widzieć, pani Krysiu. – Sili się na uśmiech, ale wiem, że kłamie, bo unika mojego wzroku. – Pani partner dostarczył zwolnienie lekarskie. Serdecznie gratuluję.

Grzecznie dziękuję, choć po minie Ziemiańskiego wnioskuję, że gratulacje nie są do końca szczere.

Zapada niezręczna cisza. W normalnych warunkach naturalną kolejną rzeczą mogłabym się spodziewać, że szef zapyta o zdrowie lub samopoczucie, ale to przecież nie są normalne warunki. Moja obecność w biurze wyraźnie mu przeszkadza.

– Panie prezesie, przyszłam, żeby osobiście uprzedzić, że po urodzeniu dziecka nie wrócę do pracy – wypalam.

Otwiera kalendarz, udaje, że coś przegląda, po czym mierzy mnie groźnym wzrokiem. Chyba nie zrozumiał, co powiedziałam.

– Planuje pani urlop wychowawczy, tak? – zagaduje.

Energicznie kręcę głową, sprawiając, że moje włosy falują na wszystkie strony. Ten prosty gest sprawia, że czuję się pewniej. Podjęłam słuszną decyzję.

– Po urodzeniu dziecka złożę wypowiedzenie – nie owijam w bawełnę.

– Słucham? – Ziemiański wlepia we mnie zaskoczone spojrzenie. Tego się chyba nie spodziewał. Może oczekiwał, że będę błagać, by wybaczył mi zmyślane winy? Nie rozumiem jego konsternacji. Przecież sam chciał mnie wylać.

– Czy nie o to właśnie panu chodziło? – dopytuję, pochylając się w jego kierunku. – Przecież ostatnio sugerował pan, że musimy poważnie porozmawiać. Na co miałam czekać? Nie wiem, jakie zarzuty ma pan wobec mojej pracy, ale najwidoczniej coś jest na rzeczy, skoro poszedł pan przeszukać moje biuro. Tak, wiem o tym, proszę nie zaprzeczać. – Nie daję mu dojść do głosu. – Sama się zwolnię, żeby nie musiał pan szukać na mnie żadnego paragrafu.

Spogląda na mnie zakłopotany. Chyba nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

– Przykro mi – mówi, ale to nie ma już dla mnie żadnego znaczenia.

Nie chcę, żeby się tłumaczył. Już i tak straciłam do niego szacunek. Odwracam się na pięcie i zostawiam go samego.

– Krysia? – Wychodzę od Ziemiańskiego i od razu słyszę trochę zaskoczony głos Klaudii. Gdziekolwiek była, zdażyła już wrócić i chyba się nie spodziewała, że w trakcie jej nieobecności ktoś odwiedzi szefa.

– Ano ja – odpowiadam. – A spodziewałaś się kogoś innego?

Odwraca wzrok, unikając patrzenia w moją stronę. Już zamierzam zapytać, o co jej chodzi, gdy przytyka palec do ust,

żebym była cicho, bo Ziemiański jest za ścianą i przecież może podsłuchiwać.

– Zadzwoń później – mówi szeptem.

Zaglądam do księgowości, bo chcę jeszcze zamienić słówko z Zoją, ale dowiaduję się od Anki, że poszła na jakieś spotkanie. Nie przeciągam wizyty w firmie. Zwłaszcza że jest już po dziesiątej, a Jasiek powinien być w „Oishii” o dwunastej.

Ale brat nie odwozi mnie do domu, tylko zabiera ze sobą do restauracji. Na pytanie dlaczego, najpierw kręci, szukając jakiejś sensownej odpowiedzi, po czym rzuca dumnie, że przecież burczy mi w brzuchu. Nie mogę zaprzeczyć, bo tak właśnie jest, jednak nie wierzę, że Jasiek jest ze mną całkowicie szczery.

Zakradam się na zaplecze, gdzie zakłada swój kucharski uniform i przez przypadek... no dobra, z premedytacją podsłuchuję, jak rozmawia z Igorem przez telefon.

– Zabrałem Krysie do „Oishii” – mówi. – Mama dzwoniła, że ktoś kręci się koło domu, więc wołałem nie ryzykować.

Wstrzymuję oddech, a serce zaczyna mi walić jak szalone. Mogłam się domyślić. Przecież to nie o Aurelię im chodził, ale o mnie. Tylko dlaczego?

Jasiek szybko kończy rozmowę, więc wycofuję się, żeby mnie nie przyłapał. Przy moim stoliku już czeka tata Kenji z miseczką zupy miso i pyta, na co jeszcze mam ochotę. Właściwie to straciłam apetyt, ale nie chcę sprawiać mu przykrości. Mówię, że zjem, cokolwiek dla mnie przygotuje.

Okrągła twarz Japończyka promienieje w szerokim uśmiechu.

– Tata nakarmi was obie – obiecuje.

Jem zupę, a gdy kończę, łąduje przede mną kolejne danie. Wkładam do ust hosomaki z łososiem, gdy ktoś leciutko puka w szybę obok stolika, przy którym siedzę. Unoszę głowę i zauważam Alicję, żonę Ziemiańskiego. Mam ochotę uciec, ale nie mam jak, bo właśnie zmierza w stronę wejścia do restauracji.

– Jak miło cię widzieć – mówi, ściskając mnie na powitanie. – Moja najlepsza uczennica. Mogę się przysiąc, prawda? Już dawno chciałam tu coś zjeść.

– Ależ oczywiście – zapraszam, starając się, żeby zabrzmiało to szczerze.

Alicja, oprócz tego, że jest żoną mojego prawie byłego już szefa, jest radcą prawnym. Była jednym z wykładowców na kursie, w którym uczestniczyłam, przygotowując się do pracy na stanowisku dyrektora finansowego. Wymagająca, ale uprzejma. Nie można jej nie lubić.

Po zakończeniu szkolenia zaproponowała, żebyśmy mówiły sobie po imieniu, i nie wypadało odmówić. Prosiłam jedynie, żeby nie obnosiła się z tą zażyłością przy mężu. Przecież nie chciałam, by ktokolwiek myślał, że dostałam pracę po znajomości. Tego moja duma by nie zniosła.

– Wyglądasz kwitnąco. – Alicja mnie komplementuje. – Już poprzednio to zauważyłam, ale głupio było zagadać podczas bankietu. Zwłaszcza że twój przystojniak nie odstępował cię na krok.

Czuję, że się rumienię.

– To Igor. Poznałam go tuż po rozwodzie.

Alicja ściska moją dłoń.

– Więc chyba nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Uznaję, że trafiła z komentarzem.

– Gdy nakryłam Huberta w domu z tą jego lafiryndą, byłam w szoku. Ale podświadomie chyba czułam, że to małżeństwo nie miało żadnej przyszłości. Utknęliśmy w martwym punkcie. Ale może lepiej się stało, bo teraz naprawdę jestem szczęśliwa.

– To widać – zauważa Alicja.

Taro, który po przyjsciu Jaśka przesunął się na obsługę, przynosi nam kartę z menu.

– *Tomodachi desu ka?*[\[24\]](#) – dopytuje.

– *Hai. Issho ni tabemasu*[\[25\]](#).

Taro kłania się i znika. Wiem, że wróci za kilka minut, by przyjąć zamówienie.

– Nie wspominałaś, że znasz japoński – zauważa Alicja z wyrzutem.

– Nie pytałaś – odruchowo się bronię, próbując obrócić to wszystko w żart. – Rodzice przyjaźnili się z rodziną, do której należy ta restauracja. Jestem dwujęzyczna, tak jak ich syn.

Taro przyjmuje zamówienie i Alicja z lubością przysłuchuje się prowadzonej po japońsku rozmowie.

– Mogę cię podkupić – wpada na wspaniały, jej zdaniem, pomysł.

– Aktualnie jestem na L4 – studzę jej entuzjazm, odprowadzając wzrokiem Taro.

– Ale przecież kiedyś urodzisz. – Alicja nie traci rezonu.

Moczę usta w resztkę zielonej herbaty, żeby ukryć uśmiech. Jej zapał jest naprawdę uroczy. Miło wiedzieć, że ktoś jednak mnie lubi.

Mimo iż nic nie zamawiałam, również dostaję porcję smakołyków. Spoglądam zdziwiona na Taro, a on rzuca jedynie, że tata kazał nakarmić swoje dziewczyny. Zaraz też przynosi kolejny dzbanuszek zielonej herbaty.

– Fajna ta twoja rodzina – podejmuje Alicja. – U nas wieje nudą. Syn poszedł w ślady matki i zaczął w Poznaniu aplikację radcowską.

Gratuluje, bo przecież rok temu chłopak przeżył zawód miłosny i chciał rzucić studia. Ziemiański nigdy w pracy nie rozmawiał o rodzinie, ale wtedy był tak przybity, że puścił farbę. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

Alicja nie zostaje długo, bo musi wracać do biura. Nie wiem, czy zbiry spod mojego domu zniknęły, ale gdy mówię, że idę do siebie, nikt nie oponuje.

Z początku chcę wziąć taksówkę, ale już na dworze zmieniam zdanie. Może rzucę okiem na lokal, w którym moje chłopaki

chcą otworzyć galerię? Chyba nie zaszkodzi.

W sklepie trwa jeszcze wyprzedaż, ale w oknie wisi informacja, że lokal jest na sprzedaż. Udaję, że szukam butów, ale w międzyczasie dyskretnie rozglądam się po kątach.

Światło rzeczywiście jest tu bardzo dobre. Obrazy będą odpowiednio wyeksponowane. Na posadzce są brązowe kafelki, nawet w niezłym stanie, ale ściany trzeba będzie przemalować. Szary może i wygląda nowocześnie, ale wcale do mnie nie przemawia. Potrzebuję energii. Zmiany są konieczne, ale tak, myślę, że będzie mi się tu dobrze pracować. Nie bez znaczenia również jest fakt, że do domu nie jest stąd aż tak daleko.

Jasiek powiedział, że zna właściciela, więc pewnie da mi numer telefonu. Dzisiaj za duży tu tłok, żeby kusić się na rozmowę. Przedzwonię i umówię się o jakiejś odpowiedniejszej porze.

Już mam wyjść, kiedy przed witryną zauważam Zoję. Rozmawia z Honoratką. Chowam się za regałem, żeby mnie nie zobaczyły.

Co jest grane? Moja najlepsza przyjaciółka z moim największym wrogiem? Znowu? Poprzednio to zbagatelizowałam, ale teraz chyba nie powinnam. Nie mogę.

Biorę dwa głębokie wdechy i podnoszę się z puffy. Wychodzę ze sklepu, ale Honoratki już nie ma. Tylko Zoja. Stoi, opierając się ciężko o maskę swojego samochodu.

– O czym rozmawiałyście?

Zoja aż podskakuje na dźwięk mojego głosu.

– Ale mnie przestraszyłaś – odpowiada, łapiąc się za serce, ale nie pozwalam jej zmienić tematu. – To niestety moja daleka kuzynka – podejmuje w końcu, widząc, że i tak nie dam jej spokoju. – Taka dziesiąta woda po kisielu. Uwiodła mojego Piotrka, tak że rozstaliśmy się na miesiąc przed ślubem. Długo razem nie byli, ale to marne pocieszenie. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego, ale nie pozwala się splawić.

Nie miałam pojęcia, że to chodziło o Honoratę. W tym czasie

jeszcze nie przyjaźniłam się z Zoją. Zbliżyłyśmy się do siebie, dopiero gdy wróciła z urlopu, który miał być jej miesiącem miodowym. Ale teraz nie dziwi mnie, dlaczego, gdy nakryłam Huberta z Honoratą, Zoja tak bardzo mnie wspierała. Też ma powody, by ją nienawidzić.

– Spotkałam Honoratę dzisiaj w firmie – zdradzam.

– Daj spokój, panoszy się tam jak kwoka. – Zoja nawet nie próbuje ukryć irytacji. – Nie wiem, co ten twój były w niej widzi, ale może jest po prostu głupi. Jeszcze pół roku temu Honorata się chwaliła, że ma bogatego kochanka, a tutaj proszę, widzę ją w ciąży i to z twoim byłym. Nie obraż się, ale nie wiem, czy jest się kim chwalić.

Kogoś Honorata musiała mieć, bo Zoja oczywiście nie wie, że Hubert ma azoospermie. Dziecko na sto procent nie jest jego. Ta podła baba wykorzystwała go w perfidny sposób.

– Mogłabyś przekazać coś mojemu byłemu? – pytam, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu koperty z wynikami badań. Po przeczytaniu zakleiałam ją z powrotem i miałam ochotę przesłać do Huberta, jednak nie znam jego aktualnego adresu i, prawdę mówiąc, nie chcę znać.

Przyjaciółka przygląda się dziwnie wymiętolonej kopercie, ale wtedy ze śmiechem wyjaśniam, że to jedyna, jaką udało mi się znaleźć, a na lepszą Hubcio przecież nie zasługuje, bo sam jest kawalerem z odzysku.

– Co racja, to racja – mówi, chowając kopertę do torebki.

Czuję ulgę. Problem z głowy. Nie widzę powodu, dla którego miałabym przed nim ukrywać prawdę. Przecież wielokrotnie to mnie oskarżał o bezpłodność. To mnie wpędził w poczucie winy. I ostatecznie porzucił jak niepełnowartościowy towar.

Zoja proponując podwózkę na Chabrową, a ja chętnie korzystam. Po pierwsze, zawsze to bezpieczniej, jeśli przed domem czają się te draby, a po drugie, spacer mnie zmęczył. Niby ciąża to nie choroba, ale jednak swoje prawa ma.

Pytam, czy wpadnie na kawę, ale mówi, że za pół godziny ma żel i pedicure. No tak, zapomniałam, że to jeden z jej rytuałów.

Nie wiem, jak może pracować na komputerze z takimi szponami, ale najwyraźniej w niczym jej nie przeszkadzają. Ja, dla kontrastu, muszę mieć krótko obcięte paznokcie, bo z dłuższymi odczuwam psychiczny i fizyczny dyskomfort.

– Zojka, nie wiesz, jak się nazywa ten chłopak Aurelki? – pytam, gdy parkuje już pod moim domem.

Spogląda na mnie zdziwiona.

– To ona kogoś ma? Nawet nie wiedziałam.

Przymykam oczy, by pozbierać myśli. No tak, ostatnio nie dogadywały się najlepiej, nic więc dziwnego, że Aurela nie zdradziła się z niczym przed Zoją. Może to jakiś rodzaj głupiej rywalizacji? Nie mam pojęcia, co mogło być katalizatorem. Przecież jeszcze kilka tygodni temu było zupełnie inaczej. Co przeoczyłam? Zajęta porządkowaniem swojego życia i układaniem wszystkiego na nowo, przegapiłam moment, w którym moje przyjaciółki zaczęły trzymać się na dystans. Aurelia złożyła wymówienie, pewnie wzięła zaległy urlop, więc nikt nie ma pojęcia, że stało się jej coś złego. To bardzo przygnębiające.

W domu nie zastaję nikogo, ale gdy otwieram drzwi na taras, by przywitać się z moją ekipą ogrodniczą, słyszę dochodzący z sąsiedniej posesji śmiech Weroniki, której wtóruje mała Haru. Pewnie *okāsan* zaprosiła Dorę na herbatę, więc dziewczynka jej towarzyszy.

Zostawiam drzwi rozszczelnione, upewniam się, że zamknęłam te wejściowe, i drepczę do sypialni. Bola mnie nogi i plecy, więc bez skrępowania pakuję się do łóżka. Chyba należy mi się chwila odpoczynku.

Budzę się, bo czuję, że ktoś na mnie patrzy. Ale nie otwieram oczu. Ktoś stara się po cichu zamknąć drzwi, a następnie na palcach skrada się w moją stronę. Wstrzymuję oddech i nieznacznie unoszę powiekę, by podejrzeć.

Z mojej piersi wydobywa się westchnienie ulgi. To Weronika. Tylko co ona tu robi?

Mija zaledwie kilka sekund i czuję na policzku delikatny dotyk

dziecięcych palców. Nadal udaję, że śpię, ale kiedy Weronika mnie całuje, lzy same zaczynają płynąć.

– Chodź tutaj – mówię, przyciągając ją bliżej.

Zaskoczona, ale chyba również szczęśliwa, łąduje na łóżku, dziko chichocząc. Zielone oczy patrzą na mnie z ufnością. Nie można nie kochać tego dziecka. Przypominam sobie te wszystkie obawy, które miałam, gdy ją zobaczyłam po raz pierwszy, i nie mogę uwierzyć, jak wiele się od tego czasu zmieniło. Jak bardzo sama się zmieniłam.

– Kocham cię – mówię, a twarz Weroniki rozpromienia się w uśmiechu. Przytula się do mnie, więc czuję delikatny zapach truskawkowego szamponu, którego używa. Cała jest do schrupania.

Myśl o jedzeniu wywołuje burczenie w brzuchu, więc wstaje popędzana przez Weronikę, która prosi, żebym nie głodziła jej siostry. Nie wiem jeszcze, jakiej płci jest dziecko, o wiele na to za wcześnie, jednak uznaję, że nie warto się o to teraz spierać. Będzie, co będzie – najważniejsze przecież, żeby dziecko było zdrowe.

W kuchni zastajemy Igora. Krząta się pomiędzy blatem i stołem, przygotowując makaronową zapiekankę.

– Cudownie – wzdycham. – Skąd wiedziałeś, że jesteśmy głodne?

Spogląda na mnie z politowaniem.

– Już pora na kolację. Najwyższy czas, żebyście byli głodne.

Nie mogę się powstrzymać i podjadam wprost z naczynia żaroodpornego kawałek grillowanego kurczaka. Widzę, że Igor ma ochotę dać mi po łapach, więc sięgam do koszyka z owocami po jabłko. Przecież Igor dopiero ścięra ser na tarce, zapieczenie wszystkiego zajmie chwilę, a ja nie chcę się kompromitować głośnym burczeniem w brzuchu.

– Tato, może zjemy na tarasie? – proponuje Weronika.

Igor kiwa głową, więc razem z Weroniką nakrywamy stół. Zauważam przy okazji, że rzeczy robotników zniknęły z ogrodu,

więc pewnie już skończyli.

– Jest super, nie? – zagaduje Nika i muszę przyznać jej rację. Mimo dość szczegółowych ustaleń z architektem miałam mgliste pojęcie, jak to wszystko wyjdzie, ale efekt jest spektakularny. – Posadzili poziomki – kontynuuje. – Będą owocować aż do jesieni. Tak powiedział ten pan.

Idziemy obejrzeć ogród z bliska. Sadzonki roślin są duże, zadbane, nie wyglądają jak jakieś badyle z dwoma listkami na krzyż, jak się tego obawiałam. Nie znam się na ogrodnictwie, nie wiem dokładnie, co tu posadzono, ale przecież będę mogła się dowiedzieć, bo firma zobowiązała się do dbania o ogród. Na razie mi wystarczy, że aranżacja cieszy oko, przyciągając uwagę różnymi odcieniami zieleni.

Maliny owocują, tak samo poziomki. Hortensje i piwonie są w fazie kwitnienia. Najbardziej wyglądają drzewka *sakury*, ale zakładam, że jeszcze pokażą, na co je stać.

Igor woła nas na kolację, więc wracamy na taras. Zdążył donieść szklanki i karton soku. Naczynie żaroodporne stoi na specjalnej tacce, żeby wysoka temperatura, którą wciąż jeszcze trzyma, nie zniszczyła stołu.

– Jesteś kochany – mówię.

Uśmiecha się zawadiacko.

– No pewnie, że jestem – odpowiada zaczepnie.

Zapiekanka jest pyszna. Igor przygotował do niej jeszcze delikatny sos, ale gdy pytam, co w nim jest, odmawia odpowiedzi.

– Jeśli zdradzę ci wszystkie moje sekrety, uznasz, że jestem zbędny – droczy się. – A ja zarezerwowałam sobie miejscówkę obok ciebie na dużo dłużej niż przygotowanie sosu do zapiekanki.

Niech mu będzie – myślę odprężona. Skoro facet sam chce gotować, nie będę zabraniać. Zwłaszcza że chyba naprawdę to lubi.

Spoglądam na Weronikę, która pochłania wszystko ze

smakiem, i ogarnia mnie błogie uczucie szczęścia. Właśnie o takiej rodzinie marzyłam. O tym, by ktoś o mnie zadbał. O wspólnych posiłkach. O paplającym z pełnymi ustami dziecku, które się odgraża, że oprócz kolacji zje jeszcze kilka owoców prosto z krzaczka.

Igor ściska moją dłoń i wiem, że on czuje to samo. Gdy patrzy na mnie i Weronikę, jego oczy przepełnia blask. Nie musi wcale mówić, że nas kocha. To widać we wszystkim, co dla nas robi.

Zostajemy sami, bo Weronika realizuje swój plan dopchania się owocami. Korzystam z okazji, by zrelacjonować pokrótce, co robiłam przez cały dzień, a przecież było tego niemało. Gdy wspominam o Alicji i propozycji, którą mi złożyła, Igor uśmiecha się zadowolony.

– A widzisz? Nie jesteś skazana na tę firmę. Możesz pracować, gdzie tylko zechcesz. A jeśli nie chcesz, to wcale nie musisz pracować.

Ale przecież ja chcę pracować. Nie wyobrażam sobie, co na dłuższą metę mogłabym robić, siedząc w domu. Mimo wszystko potrzeba przynależności, bycia potrzebnym jest dla mnie bardzo ważna. Tak samo jak niezależność finansowa.

– Cieszę się, że mam wybór – odpowiadam wymijająco, bo sama przecież jeszcze nie wiem, co zrobię. W tej chwili nie chcę o tym myśleć.

Siedzimy jeszcze jakiś czas na dworze, podjadając przynieszone przez Weronikę maliny. Bardzo obrodziły, może dlatego, że od kilku tygodni jest ciepło. Wpadam na pomysł, żeby jutro zebrać więcej owoców i zamrozić. Przecież zimą chętnie je zjemy.

Chcę posprzątać ze stołu, ale Igor jest szybszy. Nawet nie chce słyszeć, że mogłabym mu pomóc. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak zawołać Weronikę, żeby przygotowywała się do snu.

Sama mam ochotę na kąpiel, ale wiem już, że woda musi być chłodniejsza, niż lubię. Nie mogę zrezygnować z regularnych kąpieli. Drewniane wanny mają to do siebie, że muszą być co najmniej raz w tygodniu napełniane wodą, inaczej mogą się

odkształcić i rozszczelnić. Gdybym do tego dopuściła, Jasiek pewnie urwałby mi głowę.

Nie wiem, jak długo moczę się w wodzie, ale po pewnym czasie zauważam, że Igor zagląda do łazienki.

– Wszystko w porządku? – pyta zaniepokojony.

Kiwam głową.

– Zamyśliłam się. Już wychodzę.

Ukochany podaje mi rękę, żebym się nie przewróciła, wychodząc z wanny. Sięgam po ręcznik. Igor otula mnie nim szczelnie, by wchłonął wilgoć.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo cię kocham – szepcze mi do ucha. – Przysięgam, że nie pozwolę cię skrzywdzić. Zaangażowałem firmę ochroniarską, która będzie miała oko na nasz dom i ciebie, gdy będziesz gdzieś wychodzić.

Otwieram usta, by podziękować, lecz wzruszenie odbiera mi mowę. Nie wiem, czy to przez nadmiar emocji, czy ciążowe hormony, ale zaczynam cicho łkać. Igor otacza mnie ramionami, zapewniając, że wszystko będzie dobrze, że złapią tych bandziorów, że ułożymy sobie wspólną przyszłość. Wierzę w to, bo Igor brzmi przekonująco, jednak mimo wszystko nie mogę zapanować nad łzami.

Igor bierze mnie na ręce i zanoszą do sypialni.

– Wiem, że martwisz się wszystkim – zapewnia, podając wyciągniętą z komody świeżą koszulę nocną. – Spróbuję dowiedzieć się, co z Aurelią. Będę w pracy do późna, więc może zaproszę Zoję – proponuje. – Nie chcę, żebyś siedziała cały czas sama. Matka i *okāsan* starają się, jak mogą, ale potrzebujesz koleżanki.

Kiwam głową. Może faktycznie to dobry pomysł. Pozbieram maliny, przygotuję koktajl z *chia* i posiedzimy w ogrodzie. Będzie miło.

– Dziękuję, że jesteś – mówię, a twarz Igora rozpromienia uśmiechem.

– Zawsze będę – obiecuje głosem drżącym ze wzruszenia.

Tej nocy śpimy wtuleni w siebie, więc rano Igor wstaje cały zdrętwiały.

– Przypomnę ci, żebyś więcej tego nie robił – żartuję, gdy potyka się o własne nogi.

Zakładam szlafrok i schodzę do kuchni. Igor musi się ubrać, więc w tym czasie włączam ekspres i zaczynam przygotowywać śniadanie. Wyciągam trzy miseczki, a następnie sięgam do lodówki po mleko. Po chwili na stole lądują również pełnoziarniste płatki, siekane orzechy, rodzynki i suszona żurawina. Gdy Igor schodzi, właśnie wracam z ogrodu z kubeczkiem pełnym malin.

– Mmm, śniadanie królów – stwierdza, widząc bogactwo na stole.

Wsypujemy po garstce składników do misek. Jestem tak skupiona, że zauważam Weronikę, dopiero gdy prosi o więcej rodzynek.

– Dzień dobry – witam ją z uśmiechem. – Jak się spało?

– Super – odpowiada, sadowiąc się na stołku obok. – Zrobimy później piknik na trawie? *Obāsan*, to znaczy babcia Yuki powiedziała, że może nam pożyczyć koc. Mówiła, że w Japonii pikniki są bardzo popularne. Że ludzie chodzą do parków, by podziwiać kwitnące drzewa wiśni. Nasze nie kwitną, ale możemy poudawać – zachęca.

Spoglądam na nią z czułością. Dla niej jestem w stanie udawać, że nasze *sakury* naprawdę są obsypane śnieżnobiałym kwieciem. Mogę namalować taki obraz, by zawisł na ścianie w jej pokoju. Jeśli tylko poprosi, dam jej gwiazdkę z nieba.

– Zaraz, zaraz... A ty nie idziesz dzisiaj do szkoły? – przypomina mi się.

Igor zaczyna się śmiać. Mówi, że słyszał, że gdy kobieta zajdzie w ciążę, miejsce jej mózgu zajmuje mała żółta kaczuszka, która robi „kwa kwa”, ale nie sądził, że to tak na poważnie.

– Przecież wczoraj było zakończenie roku szkolnego –

dopowiada, widząc, że mam zamiar strzelić focha.

Rzeczywiście, odkąd nie chodzę do pracy, straciłam poczucie czasu. Nie muszę się nigdzie śpieszyć. Nie zauważyłam, że czerwiec zbliża się ku końcowi. Będę musiała zrobić zalecane przez profesora badania, bo się nie wyrobię przed kolejną wizytą.

Po pół godziny zostajemy same, bo Igor idzie do pracy. Zakładam legginsy do połowy łydki i luźną błękitną tunikę z dekoltem w łódkę. Brzuch delikatnie odznacza się pod materiałem, a ja nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze rok temu byłam na krawędzi depresji, a teraz noszę w torebce kartę ciąży. Przypomina mi się słyszane podczas USG szybkie tętno dziecka i cieszę się jak głupia. Noszę pod sercem drugie serce, bezbronne i całkowicie zdane na mnie. W tej chwili nie zastanawiam się nawet nad płcią maleństwa, modłę się jedynie, by było zdrowe.

Poza tym jest jeszcze Weronika. Jej też należy się moja uwaga. Choćby dlatego, że mnie bezwarunkowo zaakceptowała.

– Nika, namalujemy obraz?! – wołam, wychylając się z sypialni.

Dziewczynka wyłania się ze swojego pokoju, związując włosy gumką.

– My? Razem? – upewnia się, ale widzę po jej minie, że ma na to ochotę.

– No pewnie – podejmuję temat. – To zajęcie na cały dzień. Myślę, że damy radę.

Znoszę na taras farby, pędzle i paletę, ale gdy wracam po sztalugę, ogarniają mnie wątpliwości, czy powinnam ją dźwigać. Jest za ciężka dla Weroniki, poza tym bałabym się, że dziewczynka potknie się z nią na schodach i zrobi sobie krzywdę. Na szczęście Jasiek wybawia mnie z kłopotu, bo przed pójściem do pracy postanawia sprawdzić, co u nas słychać.

– *Onee-chan*[\[26\]](#), nawet mi nie mów, że chciałaś to sama targać – grzmi, gdy Nika wprowadza go do mojej pracowni.

– Wcale nie chciałam – zaprzeczam z rozbrajającym, w moim mniemaniu, uśmiechem. – Ściągnęłam cię tu telepatycznie, bo potrzebuję wielbłąda.

Weronika śmieje się tak bardzo, że dostaje czkawki, a jej wesoły nastrój udziela się również i nam.

– Nie gotuj dzisiaj. Mama już nastawiła *dashi* i ma zamiar was nakarmić. Znalazłem wczoraj w piwnicy nasz stary kosz piknikowy. Nawet niezłe się trzyma, zważywszy na to, co przeszedł.

Wspomnienia powodują, że zaczynam się chichrać. Przecież dobrze pamiętam, że Jasiek ładował do środka potrawy przygotowane z piachu i liści oraz zupę z błota. Myślałam, że wiklina nie wytrzymała tych wszystkich eksperymentów, jednak okazało się, że *okāsan* potrafi zakonserwować chyba wszystko.

Kończymy przygotowywać podmalówkę, gdy w ogrodzie przy sąsiedniej posesji rozbrzmiewa śmiech Haru.

– Mamo, mogę? – Weronika aż się rwie, żeby się przywitać, a ja mówię, że przecież nic nie stoi na przeszkodzie.

Dziewczynka w podskokach biegnie w stronę domu *okāsan*.

– Nika! Nika! – słyszę wesoły głosik Haru, więc nie mam wątpliwości, że Weronika jest mile widziana.

– Zapraszam na owoce prosto z krzaka! – wołam bezosobowo, bo stąd, gdzie stoję, nie widać, kto towarzyszy Haru.

– *Ohayō* Krysia-san[27] – odpowiada Sayaka. – Nie chcemy przeszkadzać.

Odkładam pędzel do kubka z wodą i schodzę z tarasu do ogrodu.

– Nigdy nie przeszkadzacie – zapewniam.

– *Yokatta ne...*[28] – odpowiada z wyraźną ulgą. – Wiem, że Haru bywa zaabsorbowana.

– Absorbująca – poprawiam, jednocześnie zdziwiona, że Sayaka zna tak trudne słowo. Nauka polskiego przynosi wyraźne rezultaty.

– Absorbująca – powtarza kilka razy, jakby przyzwyczajając się do brzmienia wyrazu. – U was wszystko się zawsze odmienia. *Pōrando go ga muzukashii desu.*[\[29\]](#)

Mimo iż Sayaka nie jest z siebie zadowolona, entuzjastycznie chwale jej postępy. Przecież nie każdy miałby odwagę przeprowadzić się na drugi koniec świata, nie znając ani słowa w języku, w którym tam się rozmawia. Saya naprawdę kocha Jaśka. Tym bardziej chce jej pomóc.

Przynoszę z kuchni szklanki i wodę mineralną. Sayaka odgarnia włosy za ucho, obserwując, jak Haru za rękę z Weroniką chodzi po moim ogrodzie, oglądając rośliny. Weronika pokazuje jej, że poziomki można zerwać. Haru rozgniatła owoce między palcami, brudząc rączki, a następnie pcha je do buzi.

Zerkam na Sayakę. Patrzy na to wszystko z błogim uśmiechem, trzymając dłoń na brzuchu. Sama niedawno przyłapałam się, że siedzę w ten sposób, rozmyślając o maleństwie, więc czy to możliwe, żeby Sayaka była w ciąży?

– Będziecie mieli dziecko? – pytam, klapiąc na krześle obok.

Sayaka spogląda na mnie z niepokojem, a ja ganię się za wścibstwo. Popelniłam faux-pas. Japończycy nie wtykają nosa w nie swoje sprawy.

– *Dōmo sumimasen deshita*[\[30\]](#) – kajam się.

– *Daijōbu*[\[31\]](#). – Sayaka z uśmiechem na ustach bagatelizuje mój brak taktu. – Yan nie wie. Chcę powiedzieć w urodziny.

A więc jednak miałam rację! Mam ochotę ją wyściskać, ale się powstrzymuję. Już raz się zbłądziłam. Sayaka to nie Jasiek, jest przyzwyczajona do japońskiej powściągliwości, moja emocjonalność może ją wprowadzić w zakłopotanie. Chociaż z drugiej strony jest żoną Jaśka, a Jasiek jest równie ekstrawertyczny jak ja.

– Bardzo się cieszę – zapewniam. – I nic nikomu nie zdradzę.

Siedzimy jeszcze godzinę, plotkując, a później Sayaka zabiera Haru na drzemkę. Weronika ostentacyjnie wzdycha,

niezadowolona, że pozbawiono ją towarzyski zabaw.

– Tło jest gotowe – informuję, by odwrócić jej uwagę. – Możemy malować.

Weronika w skupieniu trzyma pędzel, ale to ja prowadzę jej dłoń. Współgramy ze sobą idealnie. Najpierw gałązka, a później białe płatki kwiatów. Gdy jeden rozplywa się z powodu nadmiaru farby, czuję, że Nika napina się nerwowo, ale wtedy spokojnie wyjaśniam, że to się da poprawić na późniejszym etapie.

To miłe uczucie, gdy wiem, że córka odczuwa ulgę. Już kilka dni temu złapałam się na tym, że tak właśnie o niej myślę, ale do tej pory bałam się to zaakceptować. Już się nie boję. Weronika jest moją córką nie tylko dlatego, że jest dzieckiem mężczyzny, którego kocham, ale również dlatego, że pokochałam ją całym sercem. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby jej nie być.

W porze obiadu *okāsan* przynosi kosz pełen smakołyków. Nika prosi, żeby została z nami, ale ta odpowiada, że Haru śpi, a Sayaka musi wyjść na kilka godzin.

Rozkładamy koc na trawie, zabieram z kuchni sok i szklanki, a Weronika wpada na pomysł, by przynieść poduszki. Przyjemnie tak jeść na powietrzu, gdy słońko świeci, a trawa łaskocze w boscie stopy. Udajemy, że jesteśmy na łące pełnej kwiatów, a gdzieś w pobliżu płynie strumień.

Weronika pełni honory: odgrywa rolę elfiej księżniczki, która podejmuje mnie na podwieczorku. Podoba mi się ta zabawa, więc popołudnie upływa szybko, w przyjemnej atmosferze.

Wstaję, by rozprostować kości, i przypominam sobie, że miałam zadzwonić do Zoi. Zostawiłam telefon w kuchni. Odnajduję go akurat, gdy zaczyna dzwonić.

– Cześć – mówi Igor. – Pomyślałem, że sprawdzę, co tam u was słychać.

– Bawimy się – odpowiadam, opierając się o blat stołu. – Jest super.

Oczami wyobraźni widzę, że Igor się uśmiecha. Zawsze tak robi, gdy rozmawiamy o Weronice.

– Nie zamęcza cię za bardzo? – dopytuje.

– Nie, no skąd – zaprzeczam szybko, nie wiedząc, jak mogło mu to przyjść do głowy. – Naprawdę miło spędzamy czas.

– To w porządku – słyszę w jego głosie wyraźną ulgę.

Rozmawiamy przez kilka minut o jakichś błahostkach, po czym Igor sobie przypomina, po co tak naprawdę dzwoni.

– Udało mi się zlokalizować Aurelię – mówi. – Udawałem jej brata. Powiedziałem, że od kilku dni nie mam z nią kontaktu i w końcu trafiłem. Podobno odzyskała przytomność. Jest z nią narzeczony.

– Dziękuję – odpowiadam przyciszonym głosem. – Bałam się, że może... – Nie odważam się dokończyć. Chciałabym, żeby Igor był teraz przy mnie, żeby mnie przytulił, tymczasem minie jeszcze kilka godzin, zanim wróci.

– Wiem, kochanie – słyszę jego czuły głos. Pewnie zauważył, że w nocy nie mogłam spać. Staralam się za bardzo nie kręcić, ale widocznie go obudziłam. – Wszystko będzie dobrze – zapewnia.

Duszę szloch. Tak bardzo chciałabym mu wierzyć, ale boję się, że to tylko obietnica bez pokrycia.

– Kryśka? – Igor najwidoczniej wyczuwa, że mój dobry humor się ulotnił.

– Nic mi nie jest – rzucam, starając się, by głos mi nie drżał. – Po prostu nie mogę zrozumieć, dlaczego to się stało.

Słyszę w telefonie brzęczenie domofonu, więc domyślam się, że przerwa Igora dobiegła końca.

– Matka niedługo zabierze Nikę na pływalnię. Będziesz mogła odpocząć. Kocham cię.

Połączenie zostaje przerwane, a ja stoję jeszcze przez chwilę w tej samej pozycji, gapiąc się w okno. Na zewnątrz nic się nie dzieje. Po kilku minutach widzę jakieś dzieciaki idące chodnikiem od strony osiedla, ale wtedy rozprasza mnie

Weronika, wpadając do kuchni z nowiną, że zaraz babcia zabierze ją na basen.

Dziewczynka biegnie na górę po klapki i strój kąpielowy, a ja w tym czasie wyciągam z szafy duży, chłonny ręcznik. Nie wiem, czy Zoja jest w tej chwili zajęta, bo przecież zaraz kończy pracę, ale wysłałam SMS-a z pytaniem, czy nie wpadłaby do mnie. Telefon milczy, więc pewnie nic z tego nie będzie.

Dora przywozi kilka słoików konfitury z róży.

– Ekologiczna – zapewnia. – Samo zdrowie.

Odprawiam Nikę i Dorę do samej furtki. W samą porę, by zobaczyć samochód Zoi. Cieszę się, że jednak postanowiła przyjechać.

Czekając, aż zaparkuje na zwalniającym się miejscu koło bramy wjazdowej, zauważam leżącą tuż przy płocie złożoną na cztery kartkę w kratkę. Wygląda jak wyrwana z zeszytu. Sięgam po nią, zastanawiając się, kto podrzucił tego śmiecia, jednak, zamiast zanieść papier do kubła, automatycznie go rozwijam.

Cztery słowa. Niby mało, a jednak wystarczy, by ugięły się pode mną kolana.

– Kryśka, nie mdlej! – słyszę, jak Zoja wyskakuje z samochodu. Dopada mnie błyskawicznie i chwyta pod ramię. Równocześnie gdzieś z drugiej strony pojawia się szpakowaty mężczyzna ubrany w jeansy i granatową koszulkę polo.

– Pani Krystyno, Zbigniew Ziółko, firma ochroniarska. Dobrze się pani czuje? Wezwać pogotowie?

– Policję – proszę, czując dziwną suchość w ustach.

Oboje, i Zoja, i ten cały Ziółko, idą ze mną do domu. Przyjaciółka ciągnie mnie do kuchni, sadza na krześle i bez słowa podaje szklanekę wody.

– Pani Krystyno, muszę wiedzieć, co się stało – nalega Ziółko.

Chce mi się płakać z bezsilności. Komu aż tak się naraziłam? Kto tak bardzo mnie nienawidzi?

– Kilka dni temu... ktoś pobił Aurelkę tuż pod moim domem –

podejmuję łamiącym się głosem. – Ta kartka to dowód, że to nie o nią chodziło.

Zojka otacza mnie ramionami i powtarza kojące frazesy, a tymczasem Ziółko dzwoni na komisariat. Widać ma tam kogoś znajomego, bo po chwili informuje, że niedługo przyjedzie radiowóz.

Czuję, że kręci mi się w głowie. Kartka wypada z dłoni i osuwam się bezwładnie na podłogę. Słyszę jeszcze krzyk Zoi i ciemność otula mnie szczelnie jak mięciutka pierzynka.

*

Kroplówka schodzi bardzo powoli. Na foliowym worku zawieszonym wysoko nad głową dostrzegam napis NaCl. Nic więcej nie przeczytam. Literki są zbyt małe.

Jestem na sali sama. Sąsiednie łóżko stoi puste. Próbuję sobie przypomnieć, jak się tu znalazłam, ale nie mogę. Ogarnia mnie obezwładniająca uczucie bezradności.

Po chwili przychodzi lekarz. Przemyka mi przez myśl, że kiedyś musiał cieszyć się wielkim powodzeniem, bo pomimo włosów przyprószonych obficie siwizną i naznaczonych zmarszczkami twarzy nadal jest bardzo przystojny. Posturę ma iście posągową. Trudno mi ocenić z tej perspektywy, ale myślę, że ma około metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

– Nazywam się Witold Staniszewski i jestem lekarzem. Jak się pani czuje, pani Krystyno? – Mężczyzna odczytuje z kajetu moje imię. – Jest duszno, jest pani trochę odwodniona i pewnie stąd to omdlenie, ale chciałbym zostawić tu panią na kilka dni – wyjaśnia.

Wiem, że to nie przez odwodnienie. Ale przecież nie będę informować przypadkowo spotkanego mężczyzny, że ktoś dybie na moje życie.

– Już czuję się dobrze – mówię.

– Pielęgniarka niedługo przyjdzie odłączyć kroplówkę – informuje lekarz. – Skoro pani już tutaj jest, to później chciałbym zrobić kilka rutynowych badań.

Kiwam głową. W tej chwili byłabym skłonna zgodzić się na wszystko, byle tylko dał mi święty spokój. Nadal czuję się oszołomiona, a powinnam pozbierać myśli.

Po chwili słyszę na korytarzu szybkie kroki. Igor wpada zziębnięty na salę. Ma na sobie ten swój czarny mundurek, więc pewnie przyjechał prosto z pracy.

– Proszę pana, tu jest szpital. Tu się nie biega – strofuje go lekarz.

– Co z moją narzeczoną? Co z dzieckiem? – wypala Igor, całkowicie ignorując uwagi medyka.

Mężczyzna marszczy brwi, niezadowolony. Już wiem, że Igor podpadł i nie będzie miał z nim łatwo.

– No cóż, zostają na obserwacji. Proszę przywieźć rzeczy osobiste, na izbie przyjęć otrzyma pan wykaz. Odwiedziny są od szesnastej do osiemnastej, ale ponieważ dzisiaj jest już później, wyjątkowo pozwolę panu dostarczyć osobiście niezbędne rzeczy. Ale zaraz potem buziak na dobranoc i proszę wracać do domu.

Igor przygryza wargi. Dobrze wiem, że ma ochotę zwymyślać lekarza, ale pewnie boi się, że jeszcze pogorszy swoje notowania.

– Może poproś mamę, żeby zamieszkała z wami, dopóki nie wrócę – zagaduję przy lekarzu, bo mam wrażenie, że będzie tu stał, dopóki Igor nie wyjdzie.

– Zaraz do niej zadzwonię – obiecuje.

Zostaję sama. Przymykam oczy. Mam nadzieję, że Igor pomyśli, by wziąć mój smartfon i ładowarkę. Przecież nie mogę tu zostać tak całkiem odcięta od świata. Mam zresztą wrażenie, że ta cała „obserwacja”, o której wspominał lekarz, będzie się dla mnie wiązać jedynie z beczynnym leżeniem i badaniami w stylu morfologii czy mierzeniem ciśnienia. Jedynym pozytywem jest fakt, że w szpitalu nic mi chyba nie grozi.

Oprócz głodu.

Z zamyślenia wyrywa mnie przeciągłe burczenie dochodzące z głębi żołądka. No pięknie, zaraz zacznie się koncert. Nie wiem, o której podają tutaj kolację, ale znając moje szczęście, już ją przegapiłam. Kolejnym posiłkiem będzie dopiero śniadanie.

Na szpitalnym korytarzu jest cicho. Jedyne co jakiś czas słycać energiczne kroki odzianych w chodaki stóp. To pewnie personel. Pacjentki z reguły mają miękkie kapcie, więc nie słycać, jak chodzą.

Igor chyba jednak postanowił narazić się Staniszewskiemu, bo zabrał ze sobą i Weronikę, i Dorę. Dziewczynka przytula się do mnie, nurkując pod wężykiem kroplówki, a jej babka wypakowuje jedzenie do szafki.

– Tu masz kanapki – wyjaśnia. – Jest też kawałek ciasta, owoce, a w termosie herbata. – Rano śniadanie podrzuci ci brat. Dowiedz się, ile będą cię tu trzymać, a my wszystko zorganizujemy – zapewnia przejęta. – O nic się nie martw. Twoje zdrowie jest teraz najważniejsze.

Ogarnia mnie wzruszenie. Grażyna, moja była już teściowa, nigdy nie była w stosunku do mnie tak serdeczna. Na dzień przed ślubem zadzwoniła, by poinformować, że nie chce, bym zwyczajowo nazywała ją „mama”, bo moją matką się nie czuje. Z początku nie widziałam w tym nic złego, nawet było mi to na rękę, jednak później zrozumiałam, że nigdy mnie nie zaakceptuje. Przecież rolą kobiety jest siedzieć w domu i rodzić dzieci, a nie jakieś awanse w pracy, przez co jej syn, zamiast być głową rodziny, pracuje na przysłowiowe waciki.

Zdenerwowany Igor przestawia z kąta w kąt torbę, którą przyniósł.

– Mam nadzieję, że o niczym nie zapomniałem. Jak coś, to dzwoń. Telefon i ładowarkę zapakowałem do tej przegródki z przodu.

Drzwi do sali się otwierają i zauważam ubraną w różowy uniform pielęgniarkę. Jest dość pulchna, ale przy tym wygląda bardzo sympatycznie. Domyślam się, że to ona ma odłączyć kroplówkę, która nie leci już od kilku minut.

– Moi państwo, czas odwiedzin już się dawno skończył – podejmuje. – Jeśli któryś z doktorów was tu zobaczy, będą kłopoty.

I właśnie wtedy Weronika zaczyna płakać, sprawiając, że moje serce rozpada się na kawałki.

– Ja nie chcę iść – łka. – To moja mamusia.... Nie chcę, żeby została tu sama.

Wzrok pielęgniarki łagodnieje.

– Mam na imię Agnieszka i będę opiekować się twoją mamusią – zwraca się do dziewczynki. – Mama musi zostać, bo pan doktor chce sprawdzić, czy twój braciszek lub siostrzyczka dobrze się czują. To może potrwać kilka dni, ale później mama wróci do domu.

Weronika odkleja się ode mnie, ale czuję, że nadal jest nieufna.

– Nie okłamuje mnie pani?

Dora rzuca Agnieszce przepaszające spojrzenie i pomaga małej wstać. Jednak pielęgniarka wcale nie wydaje się dotknięta pytaniem dziecka.

– Nigdy nie łamię obietnic. A teraz chodźcie już, bo będą kłopoty.

Mija kilka minut i Agnieszka wraca, tym razem przynosząc gaziki i korek do zamknięcia wenflonu. – Fajną masz rodzinę – zagaduje, odpinając kroplówkę. – Miałaś pecha, że przyjął cię akurat Staniszewski. To straszny formalista. Poza tym miał mieć urlop, ale doktor Czyżewski złamał nogę, więc sama rozumiesz, skąd ta zgryźliwość.

Mimowolnie się uśmiecham. Nie wiem, czy Agnieszka powiedziała to specjalnie, by mnie rozweselić, ale poskutkowało.

– No, od razu lepiej – podejmuje. Pomaga mi usiąść, bo mówi, że mogę mieć zawroty głowy.

Pytam, co mi będą robić.

– Doktor jeszcze nic nie rozpisał. – Wstaje, zabierając tackę. –

Do rana pewnie będzie miał cały plan przygotowany.

Gdy zostaję sama, zjadam dwie kanapki i popijam herbatą. Później odnajduję w torbie koszulę nocną i przebieram się z tej szpitalnej. Jest jeszcze wcześnie, więc wysyłam wiadomość do Zoi, że wszystko ze mną w porządku i żeby się nie martwiła.

Przyjaciółka odpisuje zaledwie po minucie, że już zdażyła wypytać o wszystko Igora. Prosi też, żeby do niej zadzwonić, jeśli będę miała czas.

No przecież czasu mi nie brakuje, więc wybieram numer i dzwonię.

– Jestem sama na sali, więc mogę co najwyżej pogadać ze ścianą albo z drzwiami do łazienki – żartuję, gdy pyta, czy nie będziemy nikomu przeszkadzać.

– Policja zabrała ten list – podejmuje po chwili. – Ustalenie, kto go podrzucił, nie powinno być trudne, bo ten twój ochroniarz powiedział, że robili zdjęcia każdemu, kto przechodził koło twojej furtki. Tak na wszelki wypadek. Poza tym z Aurelią już ponoć lepiej – kontynuuje. – Przypomniałam sobie, że jej mama pracuje w bufecie w budynku tej firmy tłumaczeniowej.

No tak, „Lingua Franca”. To przecież stamtąd wzięłam Roberta Tomczyka. Aurelka oczywiście wiedziała, że poszukuję tłumacza, skojarzyła fakty, podpytała matkę, po czym podrzuciła kilka nazwisk.

– Kryśka, jesteś tam? – dopytuje Zoja, więc szybko odpowiadam, że się zamyśliłam.

Rozmawiamy jeszcze pół godziny, o wszystkim i o niczym, po czym przyjaciółka rozłącza się, obiecując jeszcze, że wpadnie jutro po pracy.

Odkładam smartfona do szuflady w szafce nocnej i kładę się do łóżka. Wenflon przeszkadza, ale przecież sama go sobie nie wyciągnę. Będę musiała jakoś się przyzwyczaić. Wiem, że nie wyciągną mi tego dziadostwa do momentu wypisu, ale jutro poproszę pielęgniarkę, żeby przepięła go w inne miejsce. Poprzednio wkłuli się za nadgarstkiem, nie jak teraz przed,

i wtedy tak nie bolało.

*

Szpitalna rutyna doprowadza mnie do szału. Dzień zaczyna się o szóstej rano, kiedy to do sali wpada ze szmatą sprzątaczką. Zapala światło, przeciera blat stolika nocnego, parapet i ramę łóżka, następnie wkracza do łazienki, by maznąć zlew i sedes, wraca po mopa, by po łebkach umyć podłogę, i wychodzi tak, jak weszła, bez słowa. Wstaję, by skorzystać z toalety i zgasić jarzeniówkę, ale gdy wracam do łóżka, pojawia się Agnieszka, by zmierzyć temperaturę.

– Zaraz kończę zmianę. Na dzisiaj masz morfologię i krzywą cukrzycową – ostrzega. – Będiesz musiała wypić glukozę.

Nic mi to nie mówi. Na szczęście, bo gdybym miała świadomość, jakie to słodkie, pewnie spróbowałabym uciec.

Agnieszka pobiera dwie fiołki krwi przez wenflon, a następnie podaje kubeczek z gęstym płynem, informując, że przez najbliższe kilka godzin nie wolno mi nic jeść, że powinnam leżeć i czekać na kolejne badania krwi. Kleisty ulepek ledwie przechodzi mi przez gardło, ale jestem dzielna, bo Agnieszka mówi, że jeśli teraz zwymiotuję, to będę musiała wypić kolejną porcję. Nie, tego bym stanowczo nie wytrzymała.

– Pożyczę ci książkę, chcesz? – proponuje jeszcze, już w drzwiach. – Ale to po wizycie, bo zaraz doktory będą chodzić.

Rzeczywiście, na korytarzu robi się coraz głośniejsze. Przez chwilę drzwi są jeszcze otwarte, więc słyszę urywki rozmów i kilka męskich głosów. Wydaje mi się, że rozpoznaję wśród nich profesora Kleszczyńskiego, ale mogę się mylić.

Przymykam oczy. Nadal mnie mdli, więc staram się skupić na miłych wspomnieniach, ale odgłos otwieranych i zamykanych na oddziale drzwi wybija mnie z zamyślenia. Po chwili zresztą całe konsylium zbiera się u mnie. Zauważam doktora Staniszewskiego, dwóch innych lekarzy, ale wszystkim

przewodzi profesor Kleszczyński.

– Dzień dobry, pani Krystyno – mówi bez spoglądania w papiery.

Odpowiadam na uprzejmość, po czym naburmuszony Staniszewski zaczyna referować mój przypadek.

– Wiek: dwadzieścia dziewięć lat. Pierwsza ciąża. Hospitalizowana z powodu zasłabnięcia spowodowanego najprawdopodobniej anemią. Niedawno hospitalizowana z powodu wstrząśnienia mózgu.

Jestem pod wrażeniem. Nie wiem, skąd uzyskał te wszystkie informacje, bo na pewno nie ode mnie. Zresztą, może mają to w jakiejś bazie danych?

Po ilości zleconych badań orientuję się, że tak prędko mnie nie wypuszczą. Więc może faktycznie książka będzie dobrym pomysłem.

Do końca tygodnia zdążam przeczytać cztery powieści i jestem lżejsza o co najmniej pół litra krwi. Dziwią mnie te krwiopicze zapędy NFZ, ale wtedy profesor ujawnia, że uzgodnił z Igorem, że zrobimy kilka badań prywatnie. Mój mężczyzna zresztą od razu za nie zapłacił, do czego przyznał się dopiero, gdy czekamy na wypis.

Po pierwszej nieufności Weronika jest zafascynowana położną Agnieszką. Chyba po części dlatego, że zostawiając mi książkę, kobieta przyniosła również coś dla Niki. Chodzi o broszurę, w której pokazane jest i opisane w przystępny sposób, jak rozwija się dziecko w łonie matki. Zachwycona dziewczynka przegląda książeczkę i chętnie informuje nas o wszystkim. Chyba jest nawet trochę zawiedziona, że wychodzę ze szpitala i nie będzie już spotykać swojej nowej znajomej.

W domu czeka na mnie prawdziwa uczta. Jasiek jest w pracy, ale *okāsan* i tata Kenji przygotowali obiad. Dora, która zajmuje pokój gościnny na parterze, zagląda im zza pleców, ale sama chyba nie została dopuszczona do garów.

– *Okāsan, otōsan, oishii desu!*^[32] – wołam, pochłaniając drugi już talerz *miso* z *daikonem* i tofu. Po szpitalnym jedzeniu, mimo

iż regularnie podrzucano mi coś do jedzenia, jestem głodna jak wilk.

– *Tabete kudasai*[\[33\]](#), Krysia. – Głos taty drży ze wzruszenia. Gotuje profesjonalnie, odkąd pamiętam, ale wciąż się cieszy, kiedy jego dania mi smakują. Jednak tym razem chyba trochę przesadził z ilością dań, bo na stół wędrują ryż na sypko, jajka, szpinak z ziarnami sezamu, smażony kurczak i jeszcze, chyba tak na wszelki wypadek, cienkie chrupiące plasterki wołowiny.

Wieczorem, gdy Igor odwozi Dorę na Młyńską, kładę Weronikę spać. Dziewczynka jest czymś zmartwiona. Gdy dopytuję, czy coś się stało, mówi, że w poniedziałek, jak co roku, babcia chce ją zabrać na dwa tygodnie do Międzyzdrojów.

– Ona załatwia wszystko już na początku roku – tłumaczy, obawiając się, jak zareaguję na tę wiadomość. – Wtedy jeszcze cię nie znałam, więc się cieszyłam, ale teraz wcale nie chcę jechać – wyznaje w końcu, przyciszając głos.

Uśmiecham się rozczulona, gładząc ją po policzku.

– Kochanie, są wakacje, a nad morzem jest fajnie – zapewniam. – Będziesz zbierać muszelki, a jak wrócisz, zrobimy z nich coś fajnego.

Weronika spogląda na mnie tymi swoimi wielkimi, zielonymi oczyma i na jej twarzy pojawia się delikatny uśmiech spowodowany uczuciem ulgi.

– Naprawdę nie jesteś na mnie zła? – upewnia się jeszcze.

Kręcę głową.

– Nic a nic.

– Ale będę mogła do ciebie dzwonić z telefonu babci?

Uśmiecham się.

– Nawet musisz, bo jeśli ty nie zadzwonisz, ja to zrobię.

Weronika chichocze, a mi od razu robi się cieplej na sercu. Przesuwa się do ściany, bym mogła położyć się obok, z czego chętnie korzystam.

– Wiesz, że ta miła położna, Agnieszka, powiedziała, że mam

wspaniałą córkę? – wyznaję.

Mała przytula się do mnie. Jej ręka łąduje na moim brzuchu, gdzie – jak już wie – rośnie jej brat lub siostra.

– To ja mam wspaniałą mamę. Codziennie, kładąc się spać, marzyłam, żebyś przyszła, i w końcu jesteś.

Przymykam powieki, żeby powstrzymać łzy. Nie mogę się rozryczeć. Jestem dorosła, hormony hormonami, ale muszę wziąć się w garść.

Weronika już zasypia, układając się na moim ramieniu. Nie mogę się teraz ruszyć, bo dziewczynka się rozbudzi. Muszę trochę poczekać. Właściwie powinnam zacząć się przyzwyczajać do nieprzespanych nocy, ale dochodzę do wniosku, że trzymanie w ramionach dziecka wynagradza z nawiązką wszystkie niedogodności. Jestem szczęśliwa.

*

Budzę się rano we własnym łóżku. Nie wiem, jak się tu znalazłam, pewnie Igor mnie przeniósł, ale nie może potwierdzić mojej teorii, bo jeszcze śpi. Zastanawiam się, dlaczego nie wspomniał, że Weronika wyjeżdża. Może nie chciał, żeby było mi smutno?

Siadam, uświadamiając sobie, że przecież trzeba zrobić pranie. Nie wiem, co jest w koszu na brudną bieliznę, ale jeśli będzie dzisiaj tak ciepło, jak wczoraj, wszystko do wieczora zdaży wyschnąć.

Wymykam się do pralni, oczekując hałdy do prania, tymczasem kilka ubrań dosycha jeszcze na sznurkach, a cała reszta leży równiutko złożona w koszu, gotowa do wyniesienia na górę. Po fakturze materiału stwierdzam, że wszystko zostało wyprasowane.

To na pewno Dora. Podczas gdy byłam w szpitalu, ona zadbała, żeby w domu był porządek, żebym nie musiała się przemęczać, gdy już wrócę. Obiecuję sobie, że przy najbliższej

okazji podziękuję jej ciepło. Przecież w końcu nie musiała. Cała serdeczność Grażynki, mojej poprzedniej teściowej, ograniczyła się do sztucznego uśmiechu podczas wesela.

Sięgam po kosz, ale zaraz rezygnuję. Przecież lekarz wyraźnie mówił, że mam nie dźwigać. Poproszę Igora, żeby po śniadaniu przyniósł go na górę.

Idę do kuchni zrobić kanapki. Nastawiam wodę, żeby sparzyć pomidory, gotuję jajka, płuczę sałatę. Lubię, jak na talerzu jest kolorowo. Jestem tak pochłonięta pracą, że nie zauważam Igora aż do momentu, gdy zabiera mi nóż, stwierdzając, że teraz on zajmie się resztą. W zasadzie nie mam nic przeciwko, bo wygląda bardzo seksownie, krzątając się po kuchni.

– Mmm – mruczę zadowolona.

– Nastawiłabyś kawę, kocico, a nie tylko wylegujesz się na słońcu – żartuje Igor.

Tak, kawa to doskonały pomysł. Może być z ekspresu. Sprawdzam, czy jest wystarczająco dużo wody, wsypuję świeże ziarna i sięgam do szafki po kubki. Moja ręka się zatrzymuje, a oczy zachodzą łzami, gdy zauważam biały kubek z napisem *Jej Wysokość Mama i jej chwila relaksu*. Ucho ma przewiązane złotą wstążeczką.

– Cieszę się, że już wróciłaś. – Małe rączki obejmują mnie od tyłu. – Podoba ci się kubek? Chciałam, żebyś pamiętała o mnie, jak będę nad morzem.

Odwracam się i przygarniam Weronikę do siebie, szepcząc słowa pełne miłości.

– Jeszcze nikt nie podarował mi nic równie wspaniałego – zapewniam.

– Dziewczyny, śniadanie. – Igor zachowuje powściągliwość, ale widzę, że oczy mu się śmieją.

Cały dzień upływa w wesołej atmosferze. Pakuję torbę Weroniki, później musimy skoczyć do galerii, bo dziewczynka powinna mieć przecież co najmniej dwa stroje kąpielowe. Ten, który ma, nadaje się na pływalnię, ale na plaży wolałaby

bardziej kolorowy. Igor pasuje i postanawia poczekać w kawiarni. Mówi, że same najlepiej poradzimy sobie z kupnem ciuchów. Dodatkowo Weronika wybiera dla siebie tunikę z Elzą z Krainy Lodu i wynajduje identyczną dla mnie.

– No nie daj się prosić – nalega, kiedy kręcę nosem.

Nie mam wyjścia i ulegam.

Ulegam także wtedy, gdy Weronika ciągnie mnie do księgarni, bo widzi na półce okładkę, która jej się podoba. Dwa okna na poddaszu i kawałek nieba. *Spotkamy się przypadkiem*. Nazwisko autorki nic mi nie mówi, ale tytuł budzi przyjemne skojarzenia. Przecież my z Igorem spotkaliśmy się właśnie przypadkiem i wyszły z tego same dobre rzeczy.

Odruchowo układam dłoń na podbrzuszu, przypominając sobie, jak szybko bije serduszko maleństwa. Sto czterdzieści uderzeń na minutę. Z każdą chwilą komórki się dzielą, by w przyszłości przekształcić się w rączki, nóżki, oczy, uszy i wszystko, co jest niezbędne do życia.

– Krystyna. – Ton głosu byłej teściowej wyraźnie wskazuje, że nie jest zachwycona spotkaniem.

I z wzajemnością, zresztą w ogóle jej nie zauważyłam. Zdążyłam już zapłacić i pakuję książkę do torebki, a ona czeka przy sąsiedniej kasie, bo właśnie skończyła się rolka.

– Dzień dobry – odpowiadam równie chłodno.

– Będę babcią, wiesz? – zagaduje, chyba tylko po to, by mi dopiec.

Wzdycham, modląc się o cierpliwość. Oczywiście, że wiem. Przecież dlatego rozwiodłam się z jej synusem.

– Tylko, Grażynko, przyjrzyj się dokładnie, czy dziecko będzie podobne do kogokolwiek poza Honoratką. – Nie mogę się powstrzymać przed uszczypliwością.

Grażyna otwiera usta, by wyrazić święte oburzenie, ale zauważam Igora, który daje znak, że spóźnimy się na obiad do Dory, więc szybko przywołuję oglądającą puzzle Weronikę i wychodzimy. Dopiero tam, na zewnątrz, idąc pod rękę

z Igorem, czuję się bezpieczna.

Nigdy wcześniej nie byłam u Dory. To mieszkanie jest inne niż to za ścianą, należące do Igora. Przeładowany książkami regał, bibeloty na komodzie, kryształy za przeszkloną witryną. Wszystko przypomina bardziej antykwariat niż jadalnię.

Na ścianie zauważam portrety dzieci. Dwaj chłopcy zupełnie do siebie niepodobni, no może poza uśmiechem. Starszy patrzy na młodszego z pobłażliwą czułością. Ma czarne włosy i ciemną oprawę oczu, podczas gdy ten drugi ma włosy brązowe, w odcieniu toffi. To na bank Igor, więc tym starszym musi być...

– To Sergiusz. – Igor jakby czytał mi w myślach.

Nie wiem, co powiedzieć, więc tylko kiwam głową, pozwalając, żeby mnie objął. Jego ramiona zagarniają mnie od tyłu, dając złudzenie stabilności, ale czuję, że drży. Minęło tyle lat, a on jeszcze chyba nie oswoił traumy.

– Nie można zmienić przeszłości, ale można jej się nie poddać.
– Moje myśli same formują się w słowa. Czuję się jak ostatnia idiotka, prawiąc takie morały, ale zauważam, że mięśnie Igora rozluźniają się nieco.

– To już nieważne – zapewnia. – Wy jesteście moją przyszłością. Wy i Weronika.

Wzruszenie odbiera mi głos. Odwracam się, by spojrzeć mu w oczy, i widzę, że błyszczą jakimś wewnętrznym światłem. Tak wygląda zakochany facet. Hubert strasznie mnie skrzywdził, łamiąc przysięgę małżeńską, ale koniec końców wyszło mi to tylko na dobre. Teraz czuję się szczęśliwa i akceptowana taką, jaką jestem.

– Wyglądacie razem jak gołąbeczki, ale tato, nie zgnieć mi mamy – prosi Weronika, wróciwszy z kuchni.

Igor niechętnie odrywa się ode mnie.

– Kto cię nauczył tak mówić, młoda damo? – Udaje niezadowolenie.

– Babcia – odpowiada Weronika z rozbijającą szczerością.

Moją twarz oblewa rumieniec. Ta bezpośredniość jest słodka, ale czasami też krępująca. Zdaję sobie jednak sprawę, że dzieci jeszcze nie raz postawią mnie w niezręcznej sytuacji.

– Babci cebula się trochę przypaliła, ale udawajcie, że nic nie wiecie – ciągnie konspiracyjnie Weronika. – Kazała mi was zagadać, bo wietrzy kuchnię.

Zasłaniam dłonią usta, by ukryć uśmiech. Jestem ciekawa, czy nas też tak sprzedaje. Robi to pewnie w dobrej wierze, więc wcale by mnie to nie zdziwiło.

Obiad mija w bardzo milej atmosferze. Nie wiem, jakie czary Dora odprawiła nad patelnią, ale nie czuć żadnej spalenizny, mięso rozpływa się w ustach, a sos jest przepyszny. Jem, aż mi się uszy trzęsą, i z chęcią sięgam po dokładkę.

Chcę pomóc posprzątać ze stołu, ale gdy sięgam po puste talerze, Igor daje mi po łapach.

– To zadanie dla prawdziwego mężczyzny, a nie jakiejś ciężarówki – naigrawa się ze mnie. Nie czuję się żadną ciężarówką, przytyłam dopiero dwa kilo, ale doceniam jego dobre chęci. Za kilka miesięcy, kiedy naprawdę ciężko będzie mi się ruszać, pewnie za to gorąco podziękuję.

Dora zaskakuje mnie, podając do kawy *kasuterę*.

– Wzięłam przepis od Yuki – wyjaśnia. – Mam nadzieję, że nie jest za suche.

Jako pierwsza nakładam kawałek na kryształowy talerzyk i rozpływam się w superlatywach. Uwielbiam to ciasto. Już od wczesnego dzieciństwa kojarzyło mi się z rodziną i zawsze będzie.

– A tak się bałam, że nie wyjdzie. – Dorze kamień spadł z serca. To chyba uśmiech sprawia, że zmarszczki na jej twarzy się wygładzają i wygląda dużo młodziej. – Ale uważajcie na siebie, jak nas nie będzie – prosi. – Yuki obiecała mieć na was oko. I Jasiak też.

Igor zaczyna kasłać, a ja odwracam głowę, by nie parsknąć śmiechem. Jeden nadopiekuńczy facet ma pilnować drugiego

z identycznymi zapędami? Iście doborowe towarzystwo.

*

Tęsknię za Weroniką. Nie ma jej od zaledwie trzech dni, a ja podświadomie szukam jej po wszystkich kątach. Igor wraca z pracy po dziewiętnastej. Jasiek powiedział w końcu oficjalnie, na kiedy zaplanowana jest wycieczka do Japonii, więc musi do tego czasu wyrobić się z wszystkimi klientkami. Pozostała jeszcze kwestia wiz, ale dopiero w sobotę będziemy wypełniać dokumenty. Poprzednim razem załatwiłam sprawę dość szybko, więc mam nadzieję, że i teraz nie będzie z tym problemu.

Ale przecież do soboty to ja zwariuję z tego poczucia osamotnienia. Nie mogę wiecznie narzucać się *okāsan*. Spędzam u niej dwie, trzy godziny dziennie, ale dłużej po prostu nie wypada. Później wracam do domu i śpię. Gdy Weronika była na miejscu, próbowałam walczyć z sennością, ale teraz się jej poddaję. Tak jest lepiej, bo czas szybciej płynie. Naprawdę nie wiem, jak ja przeżyję te dwa tygodnie. Chcę, żeby już wróciła, ale mimo to przez telefon perfidnie kłamię, że wszystko u mnie w porządku.

Igor wróci dzisiaj dopiero po dwudziestej. Kiedyś napomknął coś, że chętnie by kogoś zatrudnił, ale to dopiero po wakacjach. Teraz, latem, pewnie i tak nikogo nie znajdzie. Z całego serca popieram ten pomysł, bo może wtedy będzie spędzał w domu więcej czasu. Nie wyobrażam sobie, że gdy urodzi się dziecko, będzie siedział w pracy jak teraz – po dziesięć godzin. Na dłuższą metę to wykończy nas wszystkich.

Siadam na łóżku i szukam w torebce wyników badań, które odebrałam rano z laboratorium. Ciężko coś znaleźć, bo okazuje się, że noszę zupełnie niepotrzebne rzeczy. Jak ta fiolka po tabletkach uspokajających, które załatwiła mi kiedyś Zoja. Do tego stare kalendarzyki, pudełko spinaczy, a nawet zszywacz. Nic dziwnego, że ta torebka jest taka ciężka.

Przybory biurowe i kalendarze chowam do szafki, ale fiolka

zostaje na nocnym stoliku. Czas na drzemkę. Nie mam siły znosić jej teraz do śmietnika.

Budzę się, bo Igor szarpie mną, jakby się paliło.

– Otwórz oczy – powtarza jak katarynka. – Nie zostawiaj mnie, otwórz oczy.

Otwieram. Od tych wszystkich wstrząsów robi mi się niedobrze.

– Litości – proszę. – Co się stało?

– Połknęłaś to? – pyta Igor, podsuwając mi tuż przed oczy pustą fiolkę po lekach.

– No jasne – odpowiadam półprzytomnie. – A kto inny mógłby to niby zeżreć?

Igor podrywa mnie z łóżka i niesie w kierunku schodów. Nie, no kompletnie zwariował.

– Co ty wyprawiasz? Chciałam wyrzucić puste opakowanie. Nie próbowałam się zabić – zapewniam, uświadomiwszy sobie, co mógł pomyśleć Igor.

Ukochany przystaje, a ja wyślizguję się z jego ramion.

– Myślałem... Myślałem... – milknie, bojąc się przyznać do najczarniejszych myśli. Wplata dłoń we włosy, przywierając plecami do ściany, po czym po prostu osuwa się na podłogę.

Przyklękam tuż koło niego.

– Igor, to stare opakowanie – zapewniam, biorąc jego dłoń w swoje. – Zoja dawała mi po jednej tabletkę, bo też się chyba bała, że po tej aferze z Honoratą mogłabym przedawkować. Posłuchaj mnie, niczego teraz nie połknęłam. Mam was, mam po co żyć.

Nie wiem, co jeszcze powiedzieć, jak go przekonać... Wygląda tak bezradnie, gdy tępo wpatruje się w podłogę.

– Wiem, że próbowałeś kiedyś popełnić samobójstwo – ryzykuję.

Spogląda na mnie przerażony, jakbym właśnie odkryła jego

najpilniej strzeżony sekret. Jest tak blady, że naprawdę zaczynam się o niego bać.

– Dora się niechcący wygadała – dodaje.

Nic nie mówi. Cisza brzęczy w uszach, jest głośniejsza niż krzyk. Nie pomogę mu, jeśli sam nie będzie tego chciał. A on uparcie milczy.

– Igor, proszę... – Mój głos załamuje się, bo nie wiem, po jaki argument sięgnąć. Przeklinam się za to, że nie chciało mi się wyrzucić tej durnej fiołki. Gdyby nie to, Igor nie siedziałby teraz na podłodze jak katatonik. – Igor, potrzebuję cię.

Głośno przełyka ślinę.

– I nie boisz się, że znów mi odbije? – pyta jakimś takim obcym głosem.

Boję się, oczywiście, że się boję, ale bardziej tego, że coś mu się stanie. Zaczynam płakać. Chyba to sprowadza na niego otrzeźwienie, bo przytula mnie i przeprasza za swoje zachowanie.

– Ukradłem tabletki ojca – wyjaśnia w końcu. – Tato cierpiał na pewien rodzaj schizofrenii. Gdy brał lekarstwa, był normalny, ale problem polega na tym, że brać nie chciał. Za to wpajał mi tę swoją ukochaną filozofię za pomocą pasa. Aż pewnego dnia nie wytrzymałem. Miałem dość słuchania, że jestem przygłupem i do niczego w życiu nie dojdę. Sięgnąłem po jego pastylki. Na szczęście matka szybciej wróciła do domu. Inaczej nie miałbym żadnych szans. Tak sobie zresztą to wszystko obliczyłem – śmieje się gorzko. – Miała wrócić po szesnastej. Ja tamtego dnia w ogóle nie poszedłem do szkoły. Pewnie do niej zadzwonili i dlatego chciała sprawdzić, co się stało. Gdy odzyskałem przytomność, przenieśli mnie na oddział psychiatryczny, do doktora Tarnowskiego. Tego samego Włodzimierza Tarnowskiego, który przywiózł mi ciebie do „Fryzjerni” po tym, jak zemdląłeś.

Przymykam oczy, próbując zachować spokój. Nie mogę uwierzyć, że można tak skrzywdzić własne dziecko. Igor jest już dorosły, wkrótce sam po raz kolejny zostanie ojcem, ale

przeszłość wciąż rzuca cienie na jego życie.

– Ojciec się powiesił – podejmuje po chwili. – Zapraǳał dyndać jak Dziki z jego ulubionej książki.

Nie wiem, co powiedzieć. Tu nie pomogą chyba żadne słowa. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro, że Igora spotkało tyle złego ze strony najbliższej, wydawałoby się, osoby.

– Przepraszam – ciągnie Igor, widząc, jak cała ta nasza rozmowa na mnie wpłynęła. – Przepraszam, nie powinienem cię teraz denerwować. Przyniosę coś do picia.

Ale ja nie chcę wody. Chcę, żeby mnie przytulił. Każdy z nas ma głębokie rany, możemy być silni, jedynie wspierając się nawzajem. Delikatnie gładzi mnie po plecach, zapewniając o swojej miłości. Tak, wiem, że mnie kocha. Ja jego też i dlatego obiecuję sobie już nigdy nie poruszać drażliwych tematów.

Wracamy do sypialni. Dochodzi północ. Po tym, co usłyszałam, przypuszczam, że nie będę mogła zasnąć, ale film urywa mi się, gdy tylko dotykam głową poduszki.

*

Dopijając kawę przed wyjściem do pracy, Igor podsłuchuje jednym uchem, jak Alicja przekonuje mnie, żebym rzuciła robotę w „Allumi”.

– Miałaś już chyba wystarczająco dużo czasu, żeby rozważyć moją propozycję – nalega.

Wzdycham ciężko. Prawdę mówiąc, całkowicie wyleciało mi to z głowy. Tylko dzięki przypomnieniu w smartfonie pamiętam, że dzisiaj kończy mi się zwolnienie i muszę iść po kolejne.

Igor przygląda mi się badawczo, jakby chciał zapytać, o co właściwie chodzi, a ja próbuję na migi wytłumaczyć, że porozmawiamy o tym później. Wzrusza ramionami i wychodzi. Wiem, że będzie miał focha, ale nic na to nie poradzę. Nie mogę rozmawiać z dwoma osobami naraz.

– Krysiu, to naprawdę dobra praca. – Alicja próbuje przemówić mi do rozsądku. – Brak konieczności siedzenia plackiem w biurze przez bite osiem godzin ma duże znaczenie, zwłaszcza gdy człowiek ma małe dziecko. Dopuszczamy możliwość pracy zdalnej, z domu, gdy trzeba przygotować jakieś materiały, i nikt nie rozlicza, ile czasu tak naprawdę ci to zajmie, więc w międzyczasie możesz zajmować się dzieckiem. Kto pozwoli ci na coś takiego?

Chcąc nie chcąc, muszę przyznać jej rację. Propozycja naprawdę jest kusząca.

– Dam znać jeszcze dzisiaj – obiecuję. – Powinnam, choćby dla formalności, porozmawiać o tym z Igorem.

– No niech ci będzie – kapituluję. – Będziemy w kontakcie.

Idę na korytarz, by sprawdzić, czy Igor jeszcze jest w domu, ale jego buty zniknęły. Odnajduję w sypialni telefon i próbuję się z nim połączyć, ale nie odbiera.

Nożeż psia jego mać! Faceci i ich durne fochy!

Piszę wiadomość, że mam ofertę pracy z firmy szkoleniowej i że poważnie ją rozważam. Zaledwie po chwili przychodzi odpowiedź: „Nigdy nie lubiłem tej twojej aluminiowej firmy”. Chce mi się śmiać. A więc jednak się gniewa i z premedytacją odrzucił połączenie. A mówią, że to baby są nieznośne.

Okolo południa parkuję przed „Allumi”. Udało mi się odebrać kolejne zwolnienie, bo mimo iż profesor zaczyna przyjmować pacjentki od szesnastej, okazało się, że wpadł rano, by zostawić dla mnie druczek. Widzieliśmy się w szpitalu, miał wgląd do większości badań, więc widocznie uznał, że wizyta nie ma sensu. Dlatego sekretarka medyczna zadzwoniła z pytaniem, czy mogę wpaść wcześniej. Kolejną wizytę będę miała za trzy tygodnie. Wszystko świetnie się ułożyło.

Mijam portiernię, gdzie cieć jak zwykle kłania mi się nisko, i wchodzę do budynku. Już nie czuję się tu jak u siebie. Nie czuję związku z firmą i mam ochotę jak najszybciej opuścić to miejsce. Jednak wiem, że muszę najpierw wyjaśnić dręczące mnie sprawy.

Zoja siedzi przy moim biurku. Sama ją o to prosiłam, ktoś przecież musi mieć oko na spływające do mnie maile.

– Jak miło cię widzieć! – woła, podrywając się z miejsca.

– Ciebie też. – Odwzajemniam uśmiech. Rozglądam się dyskretnie. Nic się tu nie zmieniło. Zoja nie wprowadziła, nawet tymczasowo, żadnych zmian. Jediną różnicą jest chyba to, że na biurku, wśród porozkładanych dokumentów, stoi inny kubek z kawą. – Przyniosłam kolejne zwolnienie – podejmuję.

Przyjaciółka kiwa głową, jakby tego się właśnie spodziewała.

– Ale czujesz się już lepiej, prawda? Masz jakieś wieści? Policja coś ustaliła?

Przygryzam nerwowo wargi. Chciałabym uniknąć tego tematu, rozumiem jednak, że Zojka się martwi.

– Nie dopytywałam – przyznaję po chwili. – Wychodzę z założenia, że przecież by się odezwali.

Zoja patrzy na mnie z politowaniem.

– No proszę... Dlaczego nie postawili nikogo pod twoim domem? Dlaczego to Igor płaci za ochronę? Naprawdę wierzysz, że policmajstry się tym rzetelnie zajmą?

Nie wiem, w co wierzę. Wiem tylko, że nie mam ochoty o tym rozmawiać.

– Dałaś ten list Hubertowi? – pytam, by zmienić temat.

Na twarzy Zoi pojawia się konsternacja. Przez chwilę próbuje sobie przypomnieć, o czym mówię, po czym uśmiecha się kwaśno.

– Zabij mnie, ale na śmierć zapomniałam – mówi, sięgając do torebki.

Mimo wszystko czuję ulgę. Nienawidzę Huberta, ale nie chcę się mieszać w jego sprawy. Skoro związał się z taką obłudnicą, to jego problem. Nie mój cyrk, nie moje małpy.

Uruchamiam niszczarkę i obserwuję, jak wyniki badań wraz z kopertą zamieniają się w cienkie paseczki, po czym lądują na stercie innych zniszczonych dokumentów. I to wszystko. Nie

było tematu. Niech sobie robią, co chcą.

– Ten twój uśmiech... Właśnie się ciebie przestraszyłam. – Zoja zaskakuje mnie swoim spostrzeżeniem.

– Zamyśliłam się – wyjaśniam zakłopotana. – W moim życiu same zmiany.

Zoja pochyła się w moim kierunku. Spod wycięcia oliwkowej bluzki wystaje kawałek koronkowego stanika. Gdyby to była jakaś inna kobieta, być może pomyślałabym, że wygląda wyzywająco, jednak Zoi w jakiś sposób ten strój pasuje. Jest świadomą swej urody młodą kobietą. Do tego bardzo atrakcyjną. Ciągłe nie mogę się nadziwić, że wciąż jest sama.

– A nie mówiłam, że ten cały rozwód wyjdzie ci tylko na dobre? – zagaduje. – Wegetowałeś, jak roślina bez wody, a teraz kwitniesz. Nowy mężczyzna, dzieci, dom... Tylko pozazdrościć.

Ton jej głosu jest życzliwy, a jednak coś w tej wypowiedzi budzi mój niepokój. Ktoś mi chyba czegoś zazdrości. Przypominam sobie maila, którego przysłała, i czuję ukłucie w sercu.

– Mam pewne plany, ale nie chciałabym się nimi jeszcze dzielić – mówię ostrożnie.

– Okej, okej – uspokaja mnie. – Jak będziesz mogła, to powiedz.

Zerkam na zegarek. Dochodzi południe. Nie ma potrzeby, żebym spędziła tu cały dzień.

– Jest szef? – pytam.

Zoja robi zdziwioną minę.

– To ty nic nie wiesz?

Wzdycham sfrustrowana. Skąd mam wiedzieć, skoro siedzę w domu na zwolnieniu? Zojka szybko zauważa swój błąd, bo śmieje się, by ukryć zakłopotanie.

– A bo afera wyszła – podejmuje, poprawiając się na krześle. – Z samego rana żona szefa przysłała gońcem papiery rozwodowe. Wiesz, że ona jest radcą prawnym, prawda? Korespondencja

była tajna, za potwierdzeniem odbioru, ale Klaudii udało się zapuścić żurawia, jak Ziemiański otwierał kopertę. Mało zawału nie dostał.

Nie, no tego się nie spodziewałam. Znam Alicję i wiem, że bez poważnego powodu nie zdecydowałyby się na ten krok. Wytrzymali ze sobą ponad ćwierć wieku, nie mogę więc zrozumieć dlaczego.

– Zgarnął rzeczy z biurka i wyleciał jak poparzony.

– To rzeczywiście wesoło – stwierdzam cynicznie. – Zastępuje go Staszewski, tak? – upewniam się, bo już wiem, co chcę zrobić.

Może to i nawet lepiej, że nie ma Ziemiańskiego? Chyba głupio bym się czuła podczas rozmowy z nim. Mogę wprawdzie pójść prosto do kadr, ale chciałabym najpierw porozmawiać z kimś z zarządu.

Odnajduję Staszewskiego w jego biurze. Chyba jadł przed chwilą drugie śniadanie, bo na koszuli opiętej na zbyt wydatnym brzuchu leży sporo okruszków.

– Och, pani Krystyna! – woła, wstając. – Nie spodziewałem się pani. Ale to znamienne, że przychodzi pani właśnie dzisiaj.

Nie rozumiem, skąd ta wrogość. Przecież nigdy nie dochodziło między nami do żadnych spięć.

– Co pan insynuuje? – pytam, czując, że za chwilę stracę cierpliwość.

– Niszczy pani mężczyznom życie – wypala. – Pani były mąż jest wrakiem człowieka. Tej biednej kobiecie włosy osiwieją, zanim on dojdzie do siebie. Popelnia błąd za błędem, a to wszystko przez brak pewności siebie. Nieźle udało się go pani zaszczyć – rzuca oskarżycielsko.

Nie, nie mogę pozwolić na taką bezczelność.

– Jak pan śmie?! Rozumiem, że może mnie pan nie lubić, ale jak pan może wysuwać wobec mnie takie oskarżenia? Chyba

pan oszalał!

Mam ochotę wykrzyczeć mu w twarz, że Hubert potrafi nieźle zgrywać ofiarę losu, by zrzucić na kogoś odpowiedzialność, ale odwracam się na pięcie i trzaskam drzwiami. Rozmowa z tym facetem nie ma najmniejszego sensu, przecież Honoratka zdażyła już wypłakać mu swoje żale i to ja jestem tą złą. Ta biedna kobieta wykazała się heroizmem i wyciągnęła Hubercika z toksycznego związku ze mną. Powinna za to dostać medal – kpię w duchu.

Siedząc już w samochodzie, opieram głowę o kierownicę. Muszę się trochę uspokoić. Nerwy mogą przecież zaszkodzić maleństwu. Biorę kilka głębokich wdechów i moje serce stopniowo przestaje tak galopować.

Odnajduję w torebce telefon i szybko wybieram numer.

– Cześć. Byłam przed chwilą w „Allumi” i dowiedziałam się, że wysłałaś papiery rozwodowe. – Nie owijam w bawełnę.

Alicja nie zaprzecza. Czyli to jednak prawda.

– Wiem, że mąż mnie szuka, ale nie chcę z nim teraz rozmawiać. Siedzę w tej japońskiej restauracji, w której widziałyśmy się ostatnio. Jeśli chcesz, to przyjedź.

Uruchamiam silnik i po piętnastu minutach parkuję w okolicach „Oishii”. Uznaję, że to nawet dobrze, bo trochę zgłodniałam, a nie chce mi się gotować. Poza tym stęskniłam się za tatą i Jaśkiem. Dużo pracują, więc dawno ich nie widziałam.

– Ślicznie wyglądasz. – Alicja stara się przybrać bez troski ton, gdy siadam przy jej stoliku.

Niestety, nie mogę odwdzińczyć się komplementem. Pomimo dość mocnego makijażu widać, że nie spała całą noc. Zapomniała też o ulubionych perfumach.

– Na razie zatrzymałam się u koleżanki – podejmuje po chwili.
– Ale już rozglądam się za mieszkaniem.

– Ale co się stało? – pytam, bo przecież nie wiem, co skłoniło ją do takich kroków. Jest mi przykro, że jej małżeństwo się rozpada. Sama przecież przed kilkoma miesiącami byłam

w identycznej sytuacji. Tylko że się nie wyprowadziłam. Zamiast tego wyrzuciłam Huberta z domu.

Alicja odsuwa na bok pusty już talerz i opiera łokcie na stole, błędząc gdzieś spojrzeniem.

– Tuż po tym, jak Artur pojechał rano do pracy, przed naszym domem zaparkował samochód. Wysiadł z niego młody mężczyzna, właściwie chłopak, bo wyglądał, jakby ledwie zdał maturę. Zaczął mnie przeproszać. Mówił, że powinien już dawno oddać zgubę, że już w styczniu zaadresował kopertę i miał iść na pocztę, ale wtedy się dowiedział, że matka ma białaczkę i musiał się zająć młodszym rodzeństwem, więc wszystko wyleciało mu z głowy. Przeproszał ze dwadzieścia razy i prosił, żebym nie zgłaszała jego szefowej całej sprawy, bo naprawdę potrzebuje pracy.

Przymykam oczy. Zaczynam się domyślać, co Alicja mogła znaleźć w tej kopercie, ale nie chcę przerywać.

– Koperta rzeczywiście była zaadresowana. Taka ochronna, bąbelkowa, z napisem „ostrożnie”. W środku, w przezroczystym pudełeczku, znalazłam złote kolczyki. Na papeterii resortu SPA w Karpaczu widniała adnotacja, że znaleziono je w pokoju, który zajmowaliśmy. Nie muszę ci chyba mówić, że nigdy nie byłam w tamtym hotelu, a kolczyki nie są moje? – dopytuje Alicja niebezpiecznie drżącym głosem.

Czuję narastającą wściekłość. Nie mogę zrozumieć, co skłania mężczyzn do zdradzania swoich żon. Czy przysięga małżeńska do niczego ich nie zobowiązuje?

– Może to jakaś pomyłka? – próbuję jeszcze niezdarnie bronić swych wyobrażeń o szczęśliwej miłości.

Alicja kręci głową, zrezygnowana. W jej oczach szklą się łzy, ale wyciera je zdecydowanym ruchem.

– Mam dostęp do jego konta bankowego. Sprawdziłam historię operacji ze stycznia i faktycznie zapłacił dwa i pół pattyka za weekend w Karpaczu.

Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro. Nic tak nie boli, jak utrata zaufania do najbliższej, wydawałoby się, osoby.

Jednak coś nie daje mi spokoju. Przecież trochę czekałam, zanim sąd przysłał zawiadomienie o terminie rozprawy, tymczasem Alicja dzisiaj się dowiedziała o zdradzie i już dzisiaj Artur otrzymał stosowne dokumenty.

– Wykorzystałam wszystkie znajomości – przyznaje Alicja, odgadując, o czym myślę. – Wszyscy radzili poczekać, żebym mogła trochę ochłonać, ale ja nie chcę czekać. To nic nie zmieni. Nigdy mu nie wybaczę.

Unoszę głowę, bo widzę, że ktoś koło nas stoi. To Jasiek z wielką tacą pełną jedzenia. Wśród talerzy i półmisek stoją również dwie filiżanki.

Spoglądam na niego zaskoczona.

– Nic się nie zmieniło, nie serwujemy kawy – wyjaśnia. – Ale dla was zrobię dzisiaj wyjątek. Tylko się nie przyzwyczajaj. – Grozi palcem, gdy już zdążył wszystko poustawiać i przytrzymuje tacę ramieniem.

Mam ochotę wybuchnąć śmiechem, ale się powstrzymuję. Pewnie obserwował nas od dłuższego czasu i gdy nasze miny były naprawdę smętne, postanowił interweniować. Kochany Jasiek.

– *Dōmo arigatō*. – Kłaniam się, ujmując w dłonie pałeczki.

Jasiek prycha, ale widzę, że jest z siebie zadowolony. Życzy nam jeszcze smacznego i odchodzi.

– W samą porę, bo już się bałam, że się rozkleję – przyznaje Alicja, popijając kawę. – Mogę spróbować tego, co ci tutaj przyniósł?

Spoglądam na nią zdziwiona głupim pytaniem.

– Musisz. Przecież sama tego wszystkiego nie zjem.

*

Po godzinie parkuję w pobliżu „Fryzjerni”. Jasiek przygotował lunch dla Igora i obiecałam dostarczyć. Poza tym nie chce mi

się za bardzo wracać do pustego domu.

W drzwiach klatki mijam ponętą brunetkę. Kragłości aż się wylewają z jej na wpół rozpiętej bluzki koszulowej w kolorze fuksji, a czarna minispódniczka nie sięga nawet połowy uda. Sądząc po unoszącej się za nią woni perfum zmieszanej z zapachem lakieru do włosów, była przed chwilą u Igora.

Przygryzam wargi. Nie, to niedorzeczne. Nie mogę być zazdrosna o każdą dziewczynę, która przychodzi do niego na wizytę. Nawet o takie, a może właśnie szczególnie o takie, jak ta tutaj. Przypominam sobie, że wystający spod bluzki stanik Zoi zwrócił moją uwagę, ale w porównaniu z tą dziewczyną Zoja ubiera się jak zakonnica.

Nie wiem, czy Igor nie ma na fotelu kolejnej klientki, więc wchodzę ostrożnie, nie robiąc hałasu. Zastaję go z miotłą w ręku. Zmiata włosy tej, co tu przed chwilą była.

– Wygląda pan seksownie, panie Sygniewski. – Nie mogę się powstrzymać przed komentarzem. Na szczęście oprócz naszej dwójki w salonie nie ma nikogo, więc nie stawiam go w krępującej sytuacji.

– A pani bardzo apetycznie – odcina się, spoglądając na paczkę z jedzeniem, którą przyniosłam. – Jestem głodny jak wilk. Mam dokładnie dwadzieścia minut, a nie zdążyłem nic zamówić.

Przenosi spojrzenie na mnie i odnoszę wrażenie, że nie tylko na sushi ma ochotę. Płonę rumieńcem.

– W domu – stopuję go, a Igor markotnieje.

– Psujesz zabawę – mamrocze pod nosem, zabierając ode mnie pakunek.

Nastawiam ekspres. W tym czasie Igor wyciąga wszystko na stół. Dziwi się, że przynoszę tylko jeden kubek z kawą.

– Przed chwilą piłam – wyjaśniam. – Rozmawiałam z Alicją. To znajoma, która jest współwłaścicielem firmy organizującej szkolenia dla firm. Omawiałyśmy warunki mojego zatrudnienia.

– No, w końcu mówisz rozsądnie – zauważa, wpychając do

buzi całe nigiri.

Obiecuję, że porozmawiamy o tym w domu. Chcę, żeby zjadł spokojnie, a nie próbował ze mną dyskutować z pełną buzią. Musi jeść. Żyje ostatnio w takim biegu, że obawiam się o jego zdrowie. Sporo schudł. Nic dziwnego, że Jasiek próbuje go odkarmić.

Dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo Igor to wszystko przeżywa. Dwa razy wylądowałam w szpitalu, ktoś podrzucił mi głupi liścik. Na zewnątrz udawał twardego, bym mogła na nim polegać, chciał dać mi poczucie bezpieczeństwa, ale to wszystko dużo go kosztowało.

Dzwoni domofon. Igor wzdycha ciężko, przelękając ostatnie kęsy, a ja wstaję, by otworzyć.

– Do zobaczenia w domu – rzucam jeszcze, sięgając po torebkę.

W drzwiach mijam przysadzistą blondynkę. Włosy ma zaczesane gładko do tyłu i związane w kitkę. Oceniam, że mycie jest tu priorytetem, ale tym przecież zajmie się Igor. Kiedyś wspominał, że niektóre kobiety przed pójściem do fryzjera przez kilka dni nie myją włosów. Takich nie lubi najbardziej.

Już na zewnątrz słyszę krzyk dobiegający z przejścia między blokami, ale za późno kojarzę go z parą uciekających wyrostków. Jeden z nich, wpadając na mnie, gubi czapkę.

– Zlecenie anulowane, paniusiu – cedzi mi wprost do ucha, przyprawiając niemal o zawał serca.

Nienawidzę dymu papierosowego, dusi mnie, a ten młodzieniaszek capi tanimi fajkami. Nie mam odwagi na niego spojrzeć, zauważam jedynie kraciastą koszulę. Oddycham z ulgą, gdy podąża za kumplem w stronę parkingu.

Znowu ktoś krzyczy. Tym razem jakiś mężczyzna.

– Proszę pani?! Nic pani nie jest? Dzwonię pod 112.

Nie wiem, po co tam idę, ale nogi same niosą mnie w tamtym kierunku. Pewnie by powiedzieć, że wiem, gdzie leży czapka jednego z bandziorów.

Dzieli mnie jeszcze kilkanaście metrów, gdy słyszę sygnał nadjeżdżającego radiowozu. Nic dziwnego, że są tak szybko: komenda znajduje się zaledwie dwie przecznice stąd.

Jednak docieram na miejsce pierwsza. Przystaję przerażona, widząc na chodniku zwijającą się z bólu Honoratkę. Powiększająca się kałuża krwi... Nie wygląda to dobrze.

– Jeden z nich zgubił czapkę z daszkiem. Wiem, gdzie leży – oznajmiam, bo nic sensowniejszego nie przychodzi mi do głowy.

Honorata posyła mi nienawistne spojrzenie, ale zaraz znów krzyczy z bólu. Chyba ma skurcze. Zaczynam się denerwować. Przecież ona może stracić dziecko! Gdzie to pogotowie?

– Pani pokaże, gdzie leży ta czapka – zagaduje młody policjant, biorąc mnie pod ramię. – Pani widziała, co tu się stało?

Odpowiadam, że nie, że widziałam jedynie dwóch uciekających stąd młodzieniaszków. Jeden z nich mało mnie nie stratował. Śmierdział fajkami i miał na sobie koszulę w kratę. Po chwili przypominam sobie, że ten drugi nosił chyba czarną koszulkę i spodenki moro, ale nie wiem, czy te informacje się komuś przydadzą. Twarzy w ogóle nie kojarzę. Tamten facet, który został z Honoratą, pewnie wie więcej.

Podaję jeszcze nazwisko, adres i numer telefonu i jestem wolna. Idę do samochodu i dopiero tam, gdy mam już zapięty pas, uświadamiam sobie, że powinnam zawiadomić Huberta.

Wybieram jego numer, ale rozłącza mnie. Wzdycham ciężko. Też pewnie bym nie odebrała. No nic, trzeba będzie powiadomić go osobiście. I tak zresztą chciałam napisać wypowiedzenie. Załatwię przy okazji obie sprawy.

Huberta nie zastaję w jego biurze, Aneta mówi, że poszedł do Ziemiańskiego, który wrócił jakąś godzinę temu. Wzruszam ramionami. Jeszcze lepiej. Wszystko na miejscu.

Klaudia dziwi się na mój widok. Gdy pytam, czy ma gdzieś pod ręką gotowy formularz wypowiedzenia umowy o pracę, z wrażenia rozlewa kawę.

– Chyba żartujesz? – podejmuje, sięgając po chusteczki higieniczne, którymi wyciera plamę.

Zaprzeczam, kręcąc głową.

– Dostałam lepszą ofertę. To masz ten druk?

Klaudia puszcza formularz na drukarkę, a ja kręcę nosem. Musi być jeszcze ta formułka, że proszę pracodawcę, by do końca okresu wypowiedzenia pozwolił mi nie świadczyć pracy.

Wypełniam poprawiony formularz i zanim Klaudia się orientuje, co zamierzam zrobić, wchodzę do biura Ziemiańskiego.

Staję jak wryta, widząc nie tylko Ziemiańskiego i Huberta, ale też Zoję. Przyjaciółka ma skwaszoną minę, po czym odgaduję, że nie jest tu z własnej woli.

Ziemiański wybałusza oczy.

– Co pani tu robi, pani Krystyno? – pyta oburzony. – Mamy zebranie.

Taa, kiedyś sama brałam w nich udział – myślę skwaszona.

Hubert nerwowo bawi się długopisem. Chyba nie czuje się pewnie. To pomaga mi odzyskać rezon.

– Przyniosłam wypowiedzenie, panie prezesie. – Uśmiecham się szeroko, kładąc przed Ziemiańskim mój bilet do szczęścia. – Mam nadzieję, że nie będzie się pan upierał, żebym do samego końca chodziła do pracy. Jeśli tak, mam kolejne L4 – precyzuję, żeby nie było żadnych wątpliwości co do moich zamiarów.

Ziemiański drapie się po głowie, odsłaniając pod pachą okrągłą plamę od potu.

– Pani Krystyno, to nie jest odpowiedni czas ani miejsce na takie deklaracje – strofuje mnie.

Wzruszam ramionami.

– Wołałam mieć świadków. Poza tym mam wiadomość dla mojego byłego męża. Honorata została zabrana do szpitala.

– Co z dzieckiem? – woła szybko Ziemiański.

Zbyt szybko, żeby ten przejaw zainteresowania uszedł uwadze wszystkich.

Spoglądam na Zoję. Ona też już rozumiała. Tylko Hubert jest jeszcze niczego nieświadomy.

– A więc to pan jest tą „grubą rybą”, z którą spotykała się Honorata – wypala Zoja.

Przyjaciółka rzuca kolejne fakty, z lubością pastwiąc się nad prezesem, który nie ma możliwości wejść jej w słowo, by czemukolwiek zaprzeczyć, a ja z obawą spoglądam na Huberta. Zgarbił się, jest tak przygaszony, jakby przez te kilka minut przybyło mu z dziesięć lat.

– Naprawdę mi przykro – mówię, ale wiem, że to marne pocieszenie. Zaczynam też rozumieć, co tu się działo przez ostatnie tygodnie. Przecież Andrzej wspominał, że Ziemiański chciał, żeby wyszkolił Huberta... – Niedobrze mi, muszę wyjść.

Pokonuję po dwa schodki naraz, by jak najszybciej wyjść z „Allumi”. Ziemiański ma romans z Honoratką już od dawna. To pewnie jej kolczyki zostały w hotelu w Karpaczu. To zapewne Ziemiański jest ojcem dziecka Honoraty.

Bo przecież nie Hubert.

Z Hubertem Honoratka zaczęła kręcić, gdy już była w ciąży. Szybko poszła na całość, by się nie zorientował w oszustwie. A później pewnie zaczęła knuć, by pozbyć się mnie z pracy. Pewnie szantażowała Ziemiańskiego i kazała mu mnie zwolnić. Zaczęli rozsiewać plotki, by mi zaszkodzić.

Tylko dlaczego Zoja nie powiedziała mi wszystkiego, co wiedziała? Dlaczego mnie nie ostrzegła?

Odwracam się na pięcie i wracam do biurowca. Muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć wszystko.

Odnajduję Zojkę w moim byłym gabinecie. Jest tak zdenerwowana, że trzęsą jej się ręce.

– Mów – rozkazuję, klapiąc na krześle naprzeciwko niej.

– Ale... Ale co? – Unika spojrzenia mi prosto w oczy, więc nie

mam wątpliwości, że coś ukrywa.

– Wszystko! – żądam, pochylając się w jej kierunku. – Mam już dość tych gier i podchodów.

– Kocham cię – wypala Zoja.

Nie, no wszystkiego mogłabym się spodziewać, ale przecież nie takiego wyznania! Przyjaźniłyśmy się, Zoja wiedziała o mnie niemal wszystko, tymczasem sama ukrywała przede mną swoje prawdziwe intencje. Ufałam jej, a ona wykreśliła mi taki numer.

– Że co? – parskam z niedowierzaniem.

– Mnie też to zaskoczyło – podejmuje Zoja ze ściśniętym gardłem. – Nigdy wcześniej nie czułam nic podobnego w stosunku do kobiety. Potrafisz to zrozumieć? Byłam z facetem cztery lata, prawie wyszłam za niego za mąż, a gdy Gołabek przyprowadził cię do biura, już wiedziałam, że cię kocham. Modliłam się, by po praktykach zaproponował ci etat, prawdę mówiąc, sama go o to męczyłam. A tego twojego Huberta nie lubiłam od samego początku. Zresztą miałam rację, że ten typ na ciebie nie zasługuje. Dlatego podsunęłam go Honoracie. Wiedziałam, że ta larwa się do niego przyczepi i będziesz miała święty spokój.

Patrzę na nią i nie wierzę. Jak mogła? Nie miała prawa wtrącać się w moje życie. Tak naprawdę to ona rozpieprzyła moje małżeństwo.

– Coś ty sobie myślała?! – wołam wzburzona.

– Że jesteś z nim nieszczęśliwa! – odparowuje, bliska płaczu. – Co innego mogłam myśleć? Może i kiedyś byliście szczęśliwi, ale to z czasem umarło. Obserwowałam, jak z dnia na dzień wędziesz. Niby się uśmiechałaś do każdego, ale gdy wydawało ci się, że nikt nie patrzy, twoja twarz szarzała. Pękało mi serce. Wyglądałaś jak zaniedbana kobieta po czterdziestce. I to się wcale nie zaczęło, gdy nakryłaś Huberta z Honoratą, tylko kilka lat wcześniej. Sama przyznaj, że nie pasowaliście do siebie. Ten związek był jak rak, wykańczał cię od środka. Nie mogłam na to patrzeć. Możesz mnie znienawidzić, ale gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym to samo.

Wstaję i wychodzę bez słowa. Nie mogę teraz z nią rozmawiać, jestem zbyt wściekła. Chcę jak najszybciej opuścić budynek i zostawić to wszystko za sobą.

Nie jestem w stanie teraz prowadzić. Dzwonię po taksówkę, ale telefon nie łapie sieci. Niech to szlag! Już wzdycham zrezygnowana, sądząc, że będę musiała iść na piechotę, ale zauważam po drugiej stronie ulicy tego starszego pana, który uratował mnie poprzednim razem. Wszedł do piekarni, to pewnie zaraz wyjdzie.

– Pani Krysia, o ile mnie pamięć nie myli – zauważa, gdy mówię „dzień dobry”.

– Najmocniej pana przepraszam – zaczynam zmieszana, bojąc się, że weźmie mnie za kretynkę. – Telefon nawalił. Czy mógłby pan zamówić dla mnie taksówkę?

Taksuje mnie wzrokiem. Mogłam jednak iść na piechotę. Ale teraz już za późno.

– Pani Krysiu, nie ma potrzeby dzwonić po taksówkę. Jeśli tam, gdzie ostatnio, to mam po drodze. Podwiozę panią – proponuje.

Nie wypada odmówić. Staram się uśmiechnąć i wyglądać beztrudnie, ale nie udaje mi się go oszukać. Wsiadamy do samochodu i zauważam, że zerka na mnie w lusterku. Z każdą sekundą czuję się coraz bardziej nieswojo.

– Wiem, że zna pan Igora – wypalam, przerywając niezręczną ciszę.

Jeśli spodziewałam się, że obrzuci mnie jakimś zaniepokojonym spojrzeniem bądź dłoń mu zadrży, to nic takiego oczywiście się nie dzieje.

– Owszem, pana Igora znam dość dobrze – mówi w końcu, gdy światło na skrzyżowaniu zmienia się na zielone. – Ale to oczywiście w żaden sposób źle o nim nie świadczy.

– Nie, oczywiście, że nie – reaguję impulsywnie. – A co, jeśli ktoś, w dobrej wierze, rujnuje komuś życie i z tego wszystkiego wychodzą same dobre rzeczy?

Pan Włodzimierz stwierdza, że nic z tego nie rozumie. Ganię się za tak głupio postawione pytanie.

– Mąż znalazł sobie inną i się rozwiedliśmy. Później poznałam Igora i jestem z nim szczęśliwa, ale właśnie się dowiedziałam, że moja przyjaciółka przyczyniła się do rozpadu mojego małżeństwa. Że zrobiła to z premedytacją. Czy mam się na nią wściekać, że przez nią jestem rozwódką, czy raczej podziękować, że dzięki jej interwencji poznałam Igora? – nakreślam sprawę.

Pan Włodzimierz parkuje w pobliżu „Fryzjerni”. Nawet nie zauważyłam, że droga minęła tak szybko.

– Pani Krysiu, kim pani jest z zawodu? – pyta ni z gruszki, ni z pietruszki.

– Księgową – odpowiadam, zbita z tropu.

W zamyśleniu kiwa głową.

– W takim razie, gdy przyjdzie pani do domu, proszę wziąć kartkę i zrobić rachunek zysków i strat. Wie pani, o co w tym chodzi, prawda? To pomoże podjąć właściwą decyzję. Plan A nie zawsze jest tym najkorzystniejszym.

Wracam do domu już spokojna. Wściekłość na Zoję minęła, bo przecież bez rozpisywania wspomnianej przez pana Włodzimierza tabelki uświadamiam sobie, że więcej zyskałam, niż straciłam. Zoja ma rację, że z Hubertem nie byłam szczęśliwa. To dzięki Igorowi zaczęłam żyć tak naprawdę, to przy nim rozwinęłam skrzydła. Tam, gdzie są zyski, zawsze są jakieś straty. Każda decyzja jest obarczona kosztem alternatywnym.

Dwa razy resetuję telefon i w końcu sieć zaskakuje. Łączę się z Dorą, a ta od razu daje mi Weronikę.

– I co tam u was? – pytam na wstępie. – Codziennie za tobą tęsknię.

Rozmawiamy prawie przez godzinę. Weronika się w końcu przyznaje, że przez przypadek zabrała ze sobą książkę, którą kupiliśmy. Była wepchnięta do reklamówki ze strojami kąpielowymi i już pierwszego dnia zabrała ją na plażę.

– I mam, jak się przebrałam za parawanem, to zauważyłam tę panią Agnieszkę ze szpitala. No wiesz, tę miłą, co dała mi książeczkę o dzidziusiu. I ja jej dałam tę naszą książkę – wyznaje. – Nie gniewasz się?

Jak mogłabym się na nią gniewać? Podsuwam pomysł, że książka może właśnie miała być prezentem, a Weronika wdycha z ulgą i podejmuje codzienną opowieść o morzu i piasku.

Igor wraca z pracy we wspaniałym nastroju. W jednej ręce niesie bukiet róż, a w drugiej bezalkoholowego szampana.

– Mamy jakąś okazję? – pytam podejrzliwie, gdy wręcza mi kwiaty.

– Mamy wolną chatę. Już samo to warto uczcić, bo mam ochotę kochać się z tobą na stole w kuchni. – Puszczą do mnie oko. – A poza tym pracownik firmy ochroniarskiej sprzedał mi newsa, że zamknęli tych drani, którzy pobili Aurelię i podrzucili ci liścik. Podobno jest dla nich cała lista zarzutów, więc tak szybko się nie wywiną. Wsypali dziewczynę twojego byłego, ale jest w szpitalu, więc nie mogą jej teraz przesłuchać. Pewnie będą nas jeszcze wzywać na komendę, ale jesteś bezpieczna, a to dla mnie najważniejsze.

Jestem w szoku. Nie spodziewałam się, że za tym wszystkim mogła stać Honorata. A może nie powinno mnie to dziwić?

Wrobiła Huberta w ciążę, szantażowała Ziemiańskiego, ale może bała się, że odkryje prawdę? Przecież szczerze się zdziwiła, widząc mnie w „Allumi”. Była pewna, że draby wykonały zadanie, a tymczasem oberwało się Aurelii. Może Honorata chciała, żeby za darmo dokończyli robotę, tym razem na właściwej osobie? Przypomina mi się, że wyrostek, który na mnie wpadł, powiedział, że zlecenie jest anulowane. Wtedy tego nie rozumiałam, ale teraz wszystko stało się jasne.

Igor nie pozwala mi dłużej myśleć o przeszłości. Zabiera kwiaty i razem z szampanem odstawia na szafkę, a potem tonę jego ramionach. Jedną ręką obejmuje jego plecy, a drugą kark, przyciągając bliżej. Nie trzeba mu tłumaczyć, że chcę, by mnie

wreszcie pocałował.

Przeszłość nie ma już znaczenia. Chcę, żeby był tylko on, mój ukochany mężczyzna. Niczego więcej nie potrzebuję.

Dwa tygodnie później

Zbliżam się do przejścia dla pieszych. Mimo iż dopiero włączyło się zielone, automatycznie zwalniam. Bo to przecież tutaj poznałam Igora. Tutaj wszystko się zaczęło.

Markotnieję. Umówiliśmy się rano, że poczeka tu na mnie, i go nie ma.

Zaczynam nerwowo splatać palce, bojąc się, że może coś się stało, gdy nagle czuję, że mnie obejmuje. Kładzie dłoń na brzuchu, gdzie rozwija się nasze dziecko.

– Nie powiesz mi, że mam uważać? – pytam zaczepnie.

Wiem, że się uśmiecha.

– Zawsze będę mówił – mruczy mi do ucha.

Przypominam sobie, po co w ogóle wychodziłam dziś z domu. Wzięłam urlop, by na spokojnie, jako klient, porozmawiać z Alicją.

Mam powód, by się obawiać. Honorata urodziła wcześniaka, prawie dwa miesiące przed terminem. Na razie moja ciąża przebiega prawidłowo, ale przecież nie wiadomo, jak będzie później. Życie potrafi płatać różne figle.

– Ala powiedziała, że jeśli dziecko urodzi się do 300 dni od daty rozvodu, to ojcostwo będzie automatycznie przypisane Hubertowi. Trzeba będzie wtedy założyć sprawę w sądzie.

– Nie widzę żadnego problemu – mówi Igor, a ja odnoszę wrażenie, że on już to wszystko wie, że sam sprawdził. – Byłem w USC. Mają wolny termin w piątek na siedemnastą – rzuca od niechcienia.

Nie, nie mogę w to uwierzyć. Wykręcam głowę, by na niego

spojrzeć.

– Chcesz się ze mną ożenić?

Wygląda, jakby rozważał tę propozycję bardzo dokładnie, ale drżą mu kąciki ust. Wiem, że ledwie może zachować powagę.

– Skoro prosisz mnie o rękę, to nie wypada odmówić – stwierdza, teatralnie podając mi swoją dłoń.

Nie wiem, czy mam ochotę przyłożyć mu, czy go przytulić, ale jestem tak szczęśliwa, że czuję łzy spływające po policzkach. Igor wyciera je kciukiem.

– No już nie becz, nie becz... To chyba najlepiej tak z zaskoczenia, prawda? Jeszcze chyba zmieścisz się w tę sukienkę z bankietu. Jasiek zarezerwował dla nas całe „Oishii”.

Znów zaczynam ryczeć. Ze szczęścia. Igor bierze mnie na ręce i przenosi na drugą stronę ulicy, bo światło znów zmieniło się na zielone, a przechodnie patrzą na nas jakoś dziwnie.

– Nie boisz się? – pytam niespodziewanie.

Igor jest zaskoczony moim pytaniem.

– No wiesz, tego, że się roztyję, będę miała rozstępy i tak dalej – precyzuję.

Zdecydowanie kręci głową.

– Zobaczysz, jak urodzi się Agnieszka...

– Agnieszka? – wchodzę mu w słowo. Przecież jeszcze nie rozmawialiśmy na temat imienia dla dziecka. Nie wiemy nawet, jakiej będzie płci.

– Weronika wybrała – wyjaśnia. – Jaśkowi też się podoba.

Znów załatwiają swoje interesy za moimi plecami. Są niemożliwi, a jednak kocham ich całym sercem.

– Nie będziesz mógł mnie widzieć przed ślubem. Muszę umówić się do jakiegoś fryzjera – uświadamiam sobie nagle.

Spogląda na mnie z ukosa, a w kącikach ust czai się uśmiech.

– Ani mi się waż!

[1] Jap. – Krysia jest dzisiaj smutna.

[2] Jap. – Dzień dobry, pani Krysiu.

[3] Jap. – śniadanie.

[4] Jap. – Wszystko w porządku?

[5] Jap. – Ach tak...

[6] Jap. – Dziękuję bardzo.

[7] Jap. – Dzień dobry, matko.

[8] Jap. – Matko, oto dowód mojej wdzięczności.

[9] Jap. – Jestem Sayaka.

[10] W języku japońskim wyrazy „mąż” i „więzień” różnią się jedynie długością samogłoski.

[11] Jap. – Naprawdę?

[12] Jap. – Śliczniutka.

[13] Jap. – Zrozumiałaś, siostrze?

[14] Jap. – Zrozumiałam.

[15] Jap. – Jest wspaniała.

[16] Oglądanie kwiatów to tradycyjny japoński zwyczaj cieszenia się przemijającym pięknem kwiatów.

[17] Jap. – Ale to tajemnica.

[18] Japoński złośliwy demon wodny.

[19] Jap. – Proszę się nie poddawać.

[20] Jap. – Siostrzyczko, to jest prezent.

[21] Jap. – Dziękuję za posiłek.

[22] Jap. – Co się stało?

[23] Jap. – Kocham cię, mamo.

[24] Jap. – To przyjaciółka?

[25] Jap. – Tak. Zjemy razem.

[26] Jap. – Starsza siostrzyczko.

[27] Jap. – Dzień dobry.

[28] Jap. – To wspaniale.

[29] Jap. – Język polski jest trudny.

[30] Jap. – Bardzo przepraszam.

[31] Jap. – Nic się nie stało.

[32] Jap. – Matko, ojczy, to jest pyszne!

[33] Jap. – Proszę, jedz.

SPIS TREŚCI

[Strona przedtytułowa](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

* * *